


V
B
J
C

W HOŁDZIE JÓZEFOWI IGNACEMU KRASZEWSKIEMU NA UCZCZENIE PIĘĆDZIESIĘCIU LAT GENIALNYCH PRAC JEGO NA WSZYSTKICH POLACH LITERATURY, POŚWIĘCONE.

WSPOMNIENIA

Z ROKU

1848 i 1849

PRZEZ AUTORA

„Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.“



POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
1879.



BELOW F. POZNAŃ.





Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

Do

Józefa Kraszewskiego.

Wielki i kochany

Mistrzu!

Polska cała naszych Ojców a da Bóg i naszych wnuków, zjednoczona w wspólném uczuciu, święci od morza do morza Jubileusz pięćdziesięciu lat Twojéj pracy, któréj plonem jest blisko sześćset tomów pysznych poematów epopejowych, znakomitych dzieł historycznych, skarbów pamiętnikowych wydobytych przez Ciebie z ukrycia, nakoniec powieści pełnych życia, prawdy, znajomości najgłębszéj ludzi i czasów, ciągnących się nieskończoném pasmem przez dziesięć wieków naszéj historyi. Nie masz w całym tym zbiorze jednego dziełka, któreby nie było naznaczone znamieniem wszechstronnego geniuszu — wszystko

przenikającego rozumu i najczystszéj miłości Ojczyzny promieniejącéj na jéj przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Żaden jeszcze pisarz nie wzbogacił literatury swojego kraju równie hojnym darem.

Przyjm, Mistrzu, ten biedny listek do wieńca któren Ci — wdzięczny naród wije. Ofiaruję ci co mam najlepszego pod sercem — wspomnienia moje odnoszące się do wypadków, których następstwa rozwijają się ciągle, póki nie sprowadzą w logicznéj, niechybnéj, koniecznéj syntezie wyzwolenia dla naszéj drogiéj Ojczyzny.

Jesteśmy starzy obydwaj i może nie doczekamy się tego wymiaru sprawiedliwości dziejowéj, która jest sprawiedliwością Boga na ziemi. Możemy jednak umrzeć spokojni pod tym względem. Nas nie będzie ale Polska będzie, czy tego chcą czy nie chcą ci, co sądzą, że losy świata mają w ręku.

I.

Wśrodku miesiąca Października 1848 roku, dwóch Polaków z Kongresówski przebywało na chłopskim wózku granicę galicyjsko-węgierską, na drodze z Nowego-Sącza do Preszowa, przechodzącéj przez rozległą równinę, która dzieli strome i śnieżyste Tatry, nagle urwane od zaokrąglonych i zielonością okrytych Karpat wschodnich. Zmierzali oni ku Pesztowi z upoważnieniem na piśmie od całéj niemal nowéj emigracyi, z pod moskiewskiego panowania, która napłynęła była do Lwowa i Krakowa, do układania się z rządem węgierskim o utworzenie siły Polskiéj w Węgrzech na zasadzie: „My dziś z wami — wy jutro z nami“.

Ci dwaj podróżni byli niegdyś kolegami w korpusie kadetów w Kaliszu. Jeden z nich walczył w 1831 roku, mając zaledwie lat 15cie, lecz został był w kraju, odniósłszy ciężką ranę pod murami Warszawy, która nie dozwoliła mu podnieść się ze szpitalnego łóżka, jak to uczyniło wielu innych, ażeby dążyć za wojskiem. Drugi zbyt młody, ażeby wziąć mógł udział w wielkiéj walce

narodowéj — artysta zniepospolitym talentem — chciał służyć sprawie ojczystéj w 1848 r. i przybył do Lwowa, gdzie taką sobie zjednał był popularność między nową emigracyą, że go wybrała na prezesa swoich zgromadzeń.

Pierwszym był piszący, drugim Józef Kwiatkowski dziś budowniczy w Krakowie, gdzie wystawił kilka pięknych gmachów.

Nim postąpię daléj w opowiadaniu mojéj Odyssei, niech mi wolno będzie przebiedz szybko wypadki, które mnie rzuciły na drogę rewolucyjnéj dyplomacyi, dla odegrania nader małéj wprawdzie roli, ale nieco uprzywilejowanéj pod tym względem, że mogłem patrzeć z za kulis na niektóre sceny dramatu 1848 i 1849 roku, w których Polacy byli aktorami, a następnie poznać z bliska stronictwa, koterye i wybitniejsze osobistości staréj emigracyi we Francyi.

Przybyłem do Lwowa na początku roku 1848 za interesem spadkowym, który się przewlekał, z powodu rozmaitych okoliczności politycznych i prywatnych od lat przeszło 60, i już był ostatecznem przedawnieniem zagrożony. Dodam nawiasem, że losu tego w następstwie — nie uniknął.

Kiedym od kilku tygodni obradował z moim mecenasem i wyszukiwał po archiwach niektórych potrzebnych mi jeszcze dokumentów, zawiała od zachodu owa burza, ktora wywróciła tron Ludwika Filipa i zawichrzyła całe Niemcy. Na początku Marca rozruchy w Kolonii, Monachium, Hamburgu zwiastowały, że gorączka rewolucyjna przekroczyła Ren. 13 Marca wybuchła ona w Wiedniu. Dobrotliwy cesarz Ferdynand, poświęcił Metternicha —

podporę absolutyzmu austryackiego i poczynił wszystkie ustępstwa jakich od niego żądano z jednéj i drugiéj strony Litawy. W moc rozporządzeń jego w ciągu trzech dni 14, 15 i 16 Marca, ludy Przedlitawii otrzymały wolność druku (cenzura została zniesiona), instytucyę gwardyi Narodowéj i pierwsze podstawy rządu konstytucyjnego, a dla dopełnienia dzieła, dekret cesarski zwołał zgromadzenie narodowe, oparte na wyborach we wszystkich prowincyach téj części monarhii. Jednocześnie Węgrzy, którzy już wszystkie te swobody i te instytucye posiadali, uzyskali ministerstwo odpowiedzialne z hr. Bathyanim na czele, i tym sposobem dualizm — cel dążeń patryotów węgierskich był osiągniętym — ale wtenczas na chwilę tylko. O Polakach najpóźniéj rząd austryacki pomyślał. Dopiero 20 Marca ogłoszoną została amnestya dla skompromitowanych w dawniejszych ruchach obywateli Galicyi i Krakowa. Już w téj chwili całe Niemcy były wzburzone. 16 Marca lud Drezdeński wywalczył sobie wolność druku i konstytucyę, 18 Marca zaś stoczyła się na ulicach Berlina krwawa walka między ludem i wojskiem, a lubo lud został odparty, król Fryderyk Wilhelm uląkł się ogólnego prądu niemieckiego i wydał odezwę do „swoich ukochanych Berlińczyków“ w wyrazach bardzo pojednawczych, zmienił ministerium, zniósł cenzurę, zwołał zgromadzenie narodowe konstytucyjne na 2 Kwietnia, a 21 Marca wystąpił solennie, jako obrońca idei zjednoczenia Niemiec na podstawach konstytucyinych pod berłem niemieckiego cesarza, którym oczywiście sam być pragnął. Tegoż samego dnia ogłosił amnestyę dla wszystkich politycznych więźniów, którą lud Berliński zrozumiał jako hasło do podniesienia Polskiéj sprawy.

Już lud Wiedeński w dniu swojéj rewolucyi, t. j. 13 Marca wykrzykiwał na ulicach: „Niech żyją Polacy!“ Poświadczył to publicznie w Krakowie na zgromadzeniu akademickiem 17 Marca professor Brodowski i całe zgromadzenie wykrzyknęło nawzajem: „Niech żyją Wiedeńczycy!“ W Prusach lud miał od naszego powstania Listopadowego żywą sympatyę dla sprawy polskiéj. Nigdzie więcéj, gruntowniéj i serdeczniéj nie pisano o naszéj wielkiéj walce. Wychodźców naszych przyjmowano w Prusach i w całych Niemczech po bratersku; przebywającym tam, nawet długie lata, okazywano ciągłą i szczerą uprzejmość. Doświadczyłem sam tego, uczęszczając w latach 1832, 1833 i 1834 na uniwersytet Wrocławski, i z miłem zadziwieniem słyszałem wtenczas śpiewaną dosyć powszechnie na ulicach jakby pieśń narodową — piosneczkę o Kościuszcze*). To współczucie wybuchło z niewidzianem dotąd w Niemczech zapałem po ogłoszeniu amnestyi dla politycznych więźniów przez króla Fryderyka Wilhelma. Lud Berliński pobiegł natychmiast tłumem do więziennego gmachu, wyprowadził z niego Mierosławskiego i innych Polaków skazanych na śmierć lub więzienie i obnosił ich w tryumfie po mieście. Przyniesiono ich przed zamek królewski i tysiące głosów wywoływało króla, a król chcąc się przypodobać ludowi, wyszedł na ganek i odkrył głowę przed ludźmi, których niedawno więził. Fakt ten wstrząsnął elektrycznie całem Księztwem Poznańskiem i Prusami polskiemi. W trzy dni po nim, przedstawiła się już królowi pruskiemu deputacya z tych prowincyj z arcybiskupem Przyłuskim na

---

*) „Denkst du daran mein tapferer Lagienko“ na nutę pieśni Beranger'a „Te souvient tu, disait un Capitaine“.

czele, ażeby mu wyrazić życzenia obywateli polskich. Fryderyk Wilhelm odpowiedział, że do tych życzeń zupełnie się przychyla, i że natychmiast wyznaczy komisyę złożoną z obywateli obu narodowości, zamieszkujących Księstwo Poznańskie, ażeby wraz z naczelnym prezesem zajęła się reorganizacyą tego księstwa, w duchu narodowym z uwzględnieniem wszakże Niemców poznańskich. Niemniéj jak Księstwo Poznańskie zelektryzowana była emigracya Polska we Francyi, oczekująca od tak dawna jakiegośkolwiek promyka nadziei. 26 Marca książę Adam Czartoryjski z Teodorem Morawskim ministrem z 1831 roku, generałem Chrzanowskim i P. Bystrzonowskim przybyli do Kolonii, a skoro tylko wiadomość o tem rozeszła się po mieście, lud zebrał się tłumnie z chorągwiami polskiemi i niemieckiemi, zaszedł pod okna ich mieszkania i uczcił długiemi okrzykami: „Niech żyją Polacy! Niech żyje Polska odrodzona!“

Wśród takichże samych okrzyków na wszystkich stacyach, w wagonie przystrojonym rękami ludu niemieckiego w sosnowe gałęzie i wieńce z bluszczu (innéj zieloności nie było jeszcze w téj porze) jechał pierwszy ten poczet reprezentantów emigracyi Polskiéj z Kolonii aż do Berlina, a po kilkudniowym pobycie w stolicy Hohenzollernów zawitał 8 Kwietnia na ziemi polskiéj w Poznaniu. Wkrótce potem jenerałowie: Dembiński, Dwernicki i Bem przybyli do Lwowa, a następnie emigracya masami wyruszyła ku wrzekomo oswobodżonym polskim prowincyom, porzucając posady, zarobki, żony i dzieci, zachęcona przez Lamartina, który powiedział deputacyi polskiéj tonem upewniającym: „Ojczyzna dla was otworem — wracajcie“. Z drugiéj strony młodzież z Kongresówki zaczęła wszystkiemi ścieżkami przemykać się do Księstwa Poznańskiego, ażeby

zaciągać się pod chorągwie narodowe. Komisya bowiem, zapowiedziana przez Fryderyka Wilhelma i w krótkim bardzo czasie ukonstytuowana, na pierwszem zaraz posiedzeniu swojem uchwaliła utworzenie wojska polskiego i kazała rozpisać powszechne zaciągi, a uchwała ta, nietylko że nie wywołała żadnego nieukontentowania między ludnością Berlińską, ale owszem, została tam nader sympatycznie przyjętą. Otworzono nawet w Berlinie listy składkowe dla zapomożenia ochotników, pragnących wstąpić w szeregi polskie, w przekonaniu, że ta siła Polska przeciw Moskwie obróconą będzie. Te objawy współczucia dla sprawy polskiéj tak ze strony króla, jak i ludności berlińskiéj miały po części pobudkę w obradach toczących się w Heidelbergu, a następnie w Frankfurcie n. M. W Heidelbergu zgromadzili się byli już, 5 Marca w liczbie 51, ludzie najwięcéj wpływu mający na opinię publiczną w Niemczech: historycy publicyści, mówcy, jak Gervinus, Roemer, Brentano, Hansemann, Winter i inni, i przypatrując się ztamtąd ruchom niemieckim, usiłowali im nadać jeden wspólny kierunek, a mianowicie przedstawić im za cel zjednoczenie ścisłe Niemiec na zasadach konstytucyjnych, i odbudowanie Polski dla zasłonięcia téj przyszłéj rzeszy niemieckiéj od ambicyi i wpływu Moskwy. W skutek narad tych ogłosiło zgromadzenie wezwanie do wszystkich rządów i ludów niemieckich, ażeby wysłały na 31 Marca przedstawicieli swoich do Frankfurtu, w charakterze przygotowawczego parlamentu niemieckiego (Vor-Parlament) dla naradzenia się w kwestyach zasadniczych, tyczących się organizacyi rzeszy niemieckiéj. Myśl ta bardzo przypadła do wszystkich umysłów niemieckich a szczególniéj też

pruskich. Nie mówię tu o stronnictwie wojskowem, które ze zgrozą patrzało na wszystkie ruchy rewolucyjne, lecz o klasie zwiącéj się myślącą i postępową, któréj marzeniem było oddawna widzieć naród swój przewodniczący rzeszy niemieckiéj, a która spodziewała się, że na takim stanowisku postawi go parlament niemiecki. Król sam nie miał jeszcze takiego wstrętu, jaki późniéj okazał do wszystkiego, co nosi znamie rewolucyjne; korona cesarsko-niemiecka wielce go nęciła, bez względu z jakich rąkby ją otrzymał, i to tłómaczy postępowanie tego monarchy wobec wybuchu ludowego 18 Marca, który w mocy jego było stłumić. Jego cel ambitny wykrył się w trzy dni potem, jak to już nadmieniłem wyżéj. Rankiem tego dnia, to jest 21go Marca, czytała publiczność Berlińska na rogach ulic odezwę króla, do „swoich ukochanych Berlińczyków“, w któréj oznajmiał im, że bierze w ręce sprawę jedności Niemiec, a obok było obwieszczenie ministeryalne zapowiadające uroczystą paradę na stwierdzenie sojuszu królewskiego z ideą niemiecką. Około południa, tegoż dnia minister oświaty i spraw duchownych, przyjmując na posłuchaniu delegacyę studentów, powiedział im: „J. K. Mość chce stanąć na czele Niemiec dla zabezpieczenia ich wolności pod tarczą konstytucyjnéj Monarchii i w tym zamiarze przychylił się do zwołania bezzwłocznie Parlamentu przygotowawczego niemieckiego, któremu sam przewodniczyć będzie. Król liczy na poparcie ze strony swojego wiernego ludu, a czyż nie sądzicie Panowie, że na nim polegać można“? Młodzież odpowiedziała raźnemi okrzykami, a po południu, podług ogłoszonego programu, Fryderyk Wilhelm przejeżdżał po ulicach Berlina, przybrany w godła rzeszy niemieckiéj, w pośród tłumów ludu, które go witały

hucznemi wiwatami. Polacy, bawiący w stolicy pruskiéj, mięszali się z ludem, mając na kapeluszach kokardy niemieckie obok polskich, na znak zespolenia się braterskiego z Niemcami.

Za przykładem Pruskiego poszły wszystkie inne rządy niemieckie i zezwoliły na zebranie się Parlamentu przygotowawczego w Frankfurcie.

Te postępy rewolucyi wprowadziły w gniew zapamiętały reprezentanta despotyzmu monarchicznego w Europie, cesarza Mikołaja, który od Lutowéj rewolucyi w Paryżu trzymał dłoń na rękojści swojéj szpady*). Znanym jest powszechnie i często dotąd powtarzanym wykrzyk jego „korzcie się ludy", ale nie od rzeczy będzie przytoczyć całą jego odezwę:

My Mikołaj I. cesarz i samowładca wszech Rosyi,
Obwieszczamy:

„Po błogosławieństwach długoletniego pokoju, zachód Europy nagle zaburzonym został rozruchami grożącemi obaleniem Władz prawych i wszelkiego porządku społecznego.

Wszcząwszy się najprzód we Francyi, bunt i bezrząd udzieliły się prędko ościennym Niemcom, a rozlewając się wszędzie z gwałtownością, wzrastającą w miarę ustępności rządów, niszczący ten potok dosięgnął nareszcie i sprzymierzonych z nami cesarstwa austryackiego i królestwa pruskiego. Obecnie nie znając więcéj granic zuchwałości,

*) 7 Marca na balu w Petersburgu powiedział car do oficerów: „Moi panowie! gotujcie się siąść na koń", a 11 Marca nakazane zostały przygotowania wojenne Rosyi zgodnie z Prusami.

zagraża w szaleństwie swojem i Naszéj od Boga powierzonéj nam Rosyi.

Ale tak nie będzie!

Świętym przykładem prawosławnych naszych przodków, wezwawszy na pomoc Boga Wszechmocnego, jesteśmy gotowi spotkać naszych nieprzyjaciół, gdziekolwiekby się stawili i nie oszczędzając siebie, będziemy w nierozłącznym związku z świętą naszą Rosyą bronić imienia Rosyjskiego i nietykalności naszych granic.

Jesteśmy przekonani, że każdy Rosyanin, każdy wierny nasz poddany odpowie na wezwanie swojego Monarchy. Starodawne hasło nasze: za Wiarę i Ojczyznę! wskaże nam i teraz drogę do zwycięztwa, a wtenczas w uczuciach pobożnéj wdzięczności jak i teraz w uczuciach świętego na tem polegania wszyscy razem wykrzykniemy:

Z nami Bóg, wiedzcie o tem narody i korzcie się, albowiem Bóg z nami.

Dan w Petersburgu 14 Marca (26 Marca).

Mikołaj".

Po takiéj groźbie, wymierzonéj przeciw całym Niemcom, można zrozumieć, że zbrojenie się Polaków w Wielkiem Księstwie Poznańskiem mile widziane było przez stronnictwo „czynu" w Berlinie. Zanim jednak manifest carski doszedł do Niemiec (nie było wtenczas jeszcze dróg żelaznych w Rosyi), parlament przygotowawczy niemiecki już był zagajony. Członkowie jego zebrani na dniu 31 Marca w Frankfurcie w liczbie 574 zastali przygotowane dla siebie tryumfalne przyjęcie. Przeszli w całem zebraniu przez ulice miasta do miejsca posiedzeń pod zwycięzkiemi

łukami, wśród tłumów radosnego ludu, przy odgłosie dzwonów, huku dział i nieustannych wiwatach, a na pierwszych zaraz posiedzeniach 31 Marca i 4 Kwietnia ułożono i przyjęto następną uchwałę tyczącą się Polski:

„Związek niemiecki uznaje podział Polski za haniebną niesprawiedliwość i uważa za święty obowiązek ludów niemieckich wszelkich dołożyć starań, aby przywróconą została. Oświadcza przytem życzenia swoje, aby rządy niemieckie zapewniły Polakom wolne przejście bez broni do ich ojczyzny i w razie potrzeby pomocy im udzieliły“. Ta uchwała, lubo miała tylko charakter projektu do uchwały, wychodząc od zgromadzenia przygotowawczego, a nie od rzeczywistego parlamentu niemieckiego, wywarła jednak wrażenie ogromne nietylko na ludy niemieckie, ale na całą Europę w ogólności.

Rząd austryacki pospieszył ogłosić w Gazecie Wiedeńskiéj (6 kwietnia) deklaracyę, najzupełniéj zgodną z duchem owéj uchwały. „Austrya, słowa są deklaracyi, odpowie oczekiwaniom Polski, a przywracając ją da dowód sprawiedliwości i roztropnéj polityki. . . . Wolna Austrya przyniesie wolność Polsce, a silna związkiem z Polską i sympatyą Europy, nie będzie wahała się walczyć z Rossyą w tak wielkim celu“. W tymże czasie była deputacya Polska w Wiedniu i 2 Kwietnia miała posłuchanie u arcyksięcia Jana, który uchodził za najlepszą głowę polityczną w familii panującéj. Na przemowę Polaków, arcyksiążę odpowiedział w te słowa: „Bądzmy otwartymi. Moja babka i król Frydryk, dzieląc Polskę, ciężki grzech popełnili. Podział ten jest największem nieszczęściem Europy. Od téj chwili spokój i rzetelność w świecie politycznym ustały, a handlowanie narodami ze szkodą rządów się rozpoczęło.

Nieszczęście to trwać będzie, póki Polska bytu swego nie odzyska. Byt Polski jest rzeczą naturalną i konieczną. Nie ma więc co mówić o sposobach przywrócenia jéj, bo rzecz naturalna i konieczna sama do skutku przychodzi jakimkolwiek sposobem. Roztropniéj jest przeto dzisiaj o sposobach odbudowania Polski nie mówić, lecz do odbudowania tego się przygotować"*).

12 Kwietnia Sejm węgierski odezwał się z kolei w sprawie polskiéj w sposób energiczny, żądając jéj przywrócenia bezwarunkowego. Rząd tymczasowy francuzki, pomimo niechęci osobistéj Lamartina dla Polaków, jawnéj we wszystkich jego pismach, a do któréj zdaje się miał prywatne powody, uczuł, że mu milczeć nie należy w obec tego ogólnego ruchu na korzyść Polski w państwach niemieckich. Na wniosek jego zgromadzenie konstytucyjne wystosowało adres do przygotowawczego parlamentu niemieckiego z wyrazami współczucia za podniesienie przez niego sprawy polskiéj. Agenci dyplomatyczni francuzcy za granicą otrzymali instrukcye do popierania téj sprawy przy wszystkich rządach, które to instrukcye wznawiane były aż do dni czerwcowych. Na dowód tego złożył Lamartine zgromadzeniu konstycyjnemu 23 Maja 1848 roku okólnik, przesłany krótko pierwéj posłom francuzkim na dworach północnych, następującéj treści:

„Były rząd pozwalał z niechęcią, i jakby przymuszony, swoim Izbom oświadczać corocznie życzenia swe o wskrzeszenie narodowości polskiéj. Rzeczposplita mówi więcéj —

---

*) Ustęp ze sprawozdania deputacyi krakowskiéj w dniu 2 Kwietnia r. b. do Wiednia wyprawionéj. Gazeta Krakowska z 29 Kwietnia 1848 roku.

mówi przez swój rząd i głośno. „Sprawa przywrócenia narodowości polskiéj w rozmiarach, jakie oznaczone zostaną w porozumieniu z trzema dworami, jest własną Francyi sprawą; sprawą, któréj nigdy ani opuści ani zapomni, sprawą, którą najprzód popierać będzie na drodze dyplomatycznéj, a jeźli się to nie uda, czynnem działaniem w dniu i godzinie, w któréj wypadki pozwolą jéj rozważnie i przez zawczasu przygotowane kombinacye wystąpić ze sprzymierzeńcami swemi naturalnemi w sprawie wyswobodzenia Polski“.

„Powiedzcie panowie otwarcie rządowi pruskiemu, dobitnie rządowi austryackiemu, a bez obawy rosyjskiemu: pragniemy pokoju z wami, poszukiwać będziemy nawet przymierza z wami na zasadach sprawiedliwych dla wszystkich narodów, a dobroczynnych dla narodów słabych, lecz pierwszym warunkiem trwałości tego pokoju, szczerości tych przymierzy jest, aby Polska zabrana, ujarzmiona, wyzuta ze swojéj narodowości, pozbawiona niezawisłości politycznéj i religijnéj, nie stała między wami a nami. Oddajcie Polsce, co jéj się należy, usamowolnijcie ją, uorganizujcie ją w porozumieniu z nią samą i z mocarstwami dbałemi o prawo i sprawiedliwość, które gwarantowały solidarnie traktaty 1815 r., odtwórzcie jednem słowem Polskę z własnem życiem i indywidualizmem, a tym sposobem wszystko się ułatwi, wszystko się zmieni w pokój i przyjaźń między Rzecząpospolitą francuzką, a mocarstwami, które wzięły udział w podziale tego kraju. Inaczéj zaś wszystko będzie chwilowe, fałszywe, nieprzy-

jazne, najeżone trudnościami, pełne zasadzek ukrytych, groźne wojną. Trwałość pokoju świata od tego zależy".

Streszczając wszystkie przytoczone powyżéj dokumenta i fakta powiedzieć można, że sprawa polska była w Marcu i Kwietniu 1848 wyprowadzona przed sąd ludów Europy w sposób, rokujący nam najpiękniejsze nadzieje. Od Polaków zależało posunąć ją ku rostrzygnięciu, a przynajmniéj utrzymać ją na porządku dziennym polityki europejskiéj, związując ją solidarnie i stale z kwestyą niemieckiéj jedności, ale do tego trzebaby było ze strony Polaków wielkiéj roztropności, wielkiego umiarkowania, wielkiego taktu, zalet, niestety, rzadkich bardzo między nami, a rzadziéj jeszcze połączonych w jednéj osobie z odwagą cywilną i mocą charakteru. Bywali ludzie, którzy mogli byli pokierować umiejętnie skołataną nawą narodową, gdyby z niezachwianą energią i nie zważając na krzyki gawiedzi chcieli byli przeprowadzić własne swe zdrowe zdania, ale, niestety, woleli oni iść za prądem z dołu, ażeby nie narazić się na niepopularność, na przezwiska niepatryotów i zdrajców. Tak się stało w Księstwie Poznańskiem w roku 1848. Członkowie komitetu narodowego ks. arcybiskup Przyłuski, pp. Potworowski, M. Mielżyński, Libelt, Stefański, ludzie światli, wytrawni, nieposzlakowanéj cnoty obywatelskiéj, na pierwszem posiedzeniu popełnili błąd, którego już późniéj naprawić nie było podobna; uchwalili utworzenie wojska polskiego, nie pytając się, czy to wojsko, zamiast pomódz, nie zaszkodzi naszéj sprawie; uczynili to, ażeby zadowolić rozbudzony patryotyzm mas, który się domagał hałaśliwie pułków, legionów, orłów, chorągwi polskich, ale po co było z tem tak spieszyć? Szaleństwem było myśleć, że Księstwo Poznańskie wyda wojnę Rosyi na własną rękę.

Nie trzebaż więc było czekać, póki Niemcy a przedewszystkiem Prusacy, upojeni myślą zjednoczenia wszystkich państw niemieckich nie wywołają sami w szranki grożącego im kolosa północy, który wielkiego i wolnego państwa niemieckiego obok siebie znieśćby nie mógł za czasów Mikołaja.

Na Niemcach więc polegała w r. 1848 cała nasza nadzieja. Byli oni w zupełnéj zgodzie z nami, co do zasady, że Polska jest niezbędną tak dla zasłonienia od Rosyi przyszłych Niemiec, jak w ogóle dla równowagi, spokoju i wolności całéj ucywilizowanéj Europy, ale w kwestyach szczegółowych, tyczących się reorganizacyi na sposób narodowy pruskiego zaboru, tudzież utworzenia wojska polskiego, kwestyach skomplikowanych i wielce draźliwych, mogliśmy sie bardzo łatwo z nimi powadzić, czego koniecznie unikać należało,, ażeby sprawy naszéj, tak dobrze stojącéj na szwank nie wystawić. Na to ani Komitet Narodowy ani Mierosławski nie pomnieli.

Owoż zaledwie ogłoszone zostało rozporządenie Komitetu, powołujące ludność Księstwa pod chorągwie narodowe wszystko, co żyło, chwyciło za broń. Szlachta, oficyaliści, mieszczaństwo polskie za strzelby myśliwskie, chłopi za kosy, i oddziały ruchawki zaczęły się snuć po całym Księstwie z halasem zwykłym w takiem rozgorączkowaniu mas; — młodzież z Królestwa przybywająca gromadami, przyczyniła się do anarchii, a Poznań stał się punktem zbiorowym tego pospolitego ruszenia. Na ten widok zaniepokoili się mieszkańcy niemieccy Księstwa, sądząc, że oddani będą pod panowanie polskie, a wojsko pruskie obruszyło się do najwyższego stopnia. Rząd pruski otrzymał od władzy wojskowéj w Poznaniu raporta, wska-

zujące niebezpieczeństwo podobnego stanu rzeczy, i nader nieprzychylne Polakom, oraz rozliczne zażalenia od Niemców téj prowincyi. Wskutek tego Poznań ogłoszony został w stanie oblężenia. Nowe pułki wysłano do Księstwa, które podniosły ogólną cyfrę konsystującego w téj prowincyi wojska do 20,000 żołnierzy, przyczem przyszedł rozkaz do nadgranicznych komend, ażeby nie przepuszczały przez granicę przybywających z Kongresówki ochotników, a żołdactwo w wykonaniu tych rozkazów wystąpiło z całem znanem swojem brutalstwem. Oddział jeden dragonów napadł z dobytemi pałaszami na gromadkę takich ochotników, rozsiekał na śmierć dwóch braci Lipskich, ranił kilku innych, resztę rozpędził.

Komitet Narodowy zaniósł skargę do króla. P. Libulski, wysłany z tą skargą, odwołał się przytem jeszcze i do ludu Berlińskiego, zawiadamiając go publicznemi plakatami o podnoszącéj się reakcyi w Księstwie Poznańskiem. Wielu innych Polaków przebywających w Berlinie i nawet stary książe Adam Czartoryiski, który bawił w téj stolicy, starali się także poruszyć opinię publiczną za Polakami. Król Fryderyk Wilhelm wielce tem wszystkiem zakłopotany wysłał do Poznania jenerała Willisena, ażeby strony poważnione i interesa przeciwstawione sobie ile możności pogodził, i na niego zlał misyę poruczoną poprzednio Komitetowi Narodowemu ułożenia planu reorganizacyi Księstwa.

Jenerał Willisen, był starym przyjacielem Polaków. W roku 1831 opisywał i rozbierał krytycznie w dzienniku wojskowym Berlińskim wszystkie bitwy, utarczki i ruchy strategiczne naszego wojska z wielkiem współczuciem dla

naszéj sprawy, a następnie wydał historyę tejże kampanii, która jest bezwątpienia najgruntowniejszą ze wszystkich dzieł tego rodzaju, jakie wyszły.

Zdaje się, że rząd, powierzając mu misyę reorganizatora Księstwa, nie dał mu szczegółowych instrukcyj, polegając zupełnie na jego sądzie. Myśl rządu późniéj dopiero objawioną została, gdy już Willisen ogłosił był swój programm, który nierównie więcéj Polakom przysądzał, niżeli to było w zamiarach rządu i niżeli mu tego oględność na interesa państwa pruskiego — bezstronnie mówiąc — pozwalała. Myśl rządu znajdujemy w dzienniku urzędowym pruskim Allg. Zeitung z 12 Kwietnia 1848 r. w artykule wstępnym pod tytułem: Kwestya Polska. Czytamy tam najprzód oświadczenie następujące: „Przedewszystkiem mamy sobie za obowiązek oświadczyć wyraźnie i otwarcie; wszystkim, którzyby o tem wątpić mogli, że Prusy przy rozwiązaniu kwestyi polskiéj, wszelki interes własny odkładają na bok i że nie cofną się przed żadną terytoryalną ofiarą, potrzebną do utworzenia Poski, lecz te części Księstwa, które są istotnie niemieckie, muszą przy Niemcach i Prusach pozostać, i pod tym względem żadna nie zachodzi wątpliwość. Mieszkańcy sami rozstrzygną wolnemi głosami, czy chcą należeć do Polski czy do Niemiec“. Daléj pisarz oficyalny stara się udowodnić, że póki kwestya przywrócenia Polski nie będzie urzędownie wytoczoną, póty rząd pruski żadnéj części Księstwa z pod władzy swojéj wypuścić nie może. Nie może także tolerować zbrojenia się i koncentrowania band anarchicznych, które nie wstrzymałyby się od napadu na Królestwo Polskie, z czego wynikłaby niezawodna porażka i zajęcie Księstwa Poznańskiego przez Rosyę wraz z fortecą poznańską, a tym sposobem

wschodnie prowincye monarchii byłyby tak dobrze jak odcięte od reszty, i Niemcy od Wschodu zupełnie odsłonięte.

Trudno zaprzeczyć, że rozumowanie to było logiczne i słuszne ze stanowiska rządu pruskiego, ale jenerał Willisen już się był przechylił zupełnie na stronę życzeń polskich i program reorganizacyi Księstwa, ogłoszony przez niego 8 Kwietnia, to jest na cztery dni przed zacytowanym wyżéj artykułem dziennika urzędowego, nietylko zastrzegał dla Księstwa najzupełniejszą autonomię, na coby się rząd pruski z pewnemi zastrzeżeniami na korzyść Niemców Poznańskich zapewne zgodził, ale warował jeszcze i wojsko narodowe, złożone: 1e z landweru, w którym oficerowie mieli być wybieralni, komenda polska i kokardy polskie; 2ie z korpusu ochotników, który miał być uformowany z funduszów prywatnych. Na ostatek program reorganizacyi zamieszczał warunek ten, że wojska z innych prowincyi, konsystytujące w Księstwie będą odwołane.

Po ogłoszeniu tego programu, krzyk ogromny powstał między niemcami Księstwa na Willisena, a jenerał Wedell, komenderujący wojskiem pruskiem w Księstwie, ani słyszeć chciał o tym programie, o ile się tyczył spraw wojskowych. Dwie siły stały naprzeciw siebie: 28 tysięcy wojska pruskiego z jednéj strony, a około 30 tysięcy ruchawki poznańskiéj z drugiéj strony. W téj ruchawce liczę kilka tworzących się naówczas regularnych pułków; mianowicie: jeden pułk piechoty i jeden ułanów, które zaczęły się organizować w Poznaniu kosztem miasta, a po ogłoszeniu Poznania w stanie oblężenia, wyszły do Karnaszewa kończyć tam swoją organizacyę, pułki ułanów T. Działyńskiego i Mycielskiego i może jeszcze inne.

Główna jednak masa pospolitego ruszenia składała się z gromadek bez żadnéj organizacyi, uzbrojonych — jak wspomniałem wyżéj — w strzelby myśliwskie a najpowszechniéj w kosy. Gromady te, gdy bramy Poznania zostały dla nich zamknięte, skoncentrowały się jedne pod miastem Środą, gdzie liczono do dwudziestu tysięcy ludzi zbrojnych, inne w liczbie około 12 tysięcy ludzi pod lasem Krotoszyńskim pod wodzą Mierosławskiego. W takim stanie zastał J. Willisen Księstwo Poznańskie, i łudząc się co do zamiarów rządu swojego, chciał chaos ten uporządkować w taki sposób, ażeby z niego zrobić kraj polski, w osobie króla tylko złączony z Prusami. Działał on w myśl Komitetu Narodowego, który pod jego przewodnictwem urzędował daléj — ale ogłoszenie rządowe z 12 Kwietnia sparaliżowało czynności tak jenerała Willisena jak Komitetu. Komitet natychmiast się rozwiązał; jenerał Willisen zostawiony sobie samemu, nadaremnie usiłował nakłonić gromady zbrojne, ażeby się rozwiązały — stanowczo tego odmówiły, a wojsko pruskie zamierzało otoczyć całe zbrojne zebranie pod Środą, ażeby je głodem do poddania zmusić. Willisen użył pośrednictwa swojego między stronami, i z pomocą jenerała Colomba doprowadził je do konwencyi, wskutek któréj ruchawka odstąpiła od Środy, ale udała się pod Wrześnię i Trzemeszno, a Mierosławski z pod lasu Krotoszyńskiego posunął się pod Miłosław. Niebezpieczeństwo starcia się ruchawki z wojskiem pruskiem na chwilę więc tylko usunięte zostało. Rozważni patryoci poznańscy drżeli na tę myśl. W miejsce rozwiązanego komitetu uformował się nowy pod bokiem Willisena, złożony z dwóch członków dawnego komitetu, Libelta, M. Mielżyńskiego, i nowych członków: Mora-

czewskiego, Jarochowskiego, ks. Janiszewskiego i ks. Prusinowskiego; wydał on odezwę do ruchawki, błagając ją w najgorętszych wyrazach, ażeby unikała wszelkiego zajścia z wojskiem pruskiem. Jenerał Willisen zaś korespondował czynnie z rządem, chcąc uzyskać od niego jakiekolwiek ustępstwo dla ducha wojskowego Polaków, ale przeciw niemu biło całe stronnictwo wojskowe, które coraz więcéj nabierało wpływu na dworze Fryderyka Wilhelma. Niemcy, osiedli w Księstwie i Prusach wschodnich, nie przestawali także użalać się na tego jenerała, że popiera wyłącznie żywioł Polski z krzywdą Niemców*), a co najgorsza obok niego wystąpił Mierosławski, jako wódz siły zbrojnéj narodowéj w Ksiéstwie Poznańskiem — quasi dyktator — i wysyłał raz po raz swojego szefa sztabu Krauthofera do króla, ażeby z nim traktować jak potęga z potęgą. Znam Ludwika Mierosławskiego z ławek szkolnych, siedzieliśmy bowiem na jednéj ławce w korpusie kadetów w Kaliszu; miałem z nim następnie stosunki we Francyi, i

---

*) Minister Camphausen otrzymał z Prus zachodnich z cyrkułu Karthauser prośbę następującą, datowaną 14 Kwietnia. „Odezwa tymczasowego polskiego komitetu ogłaszającego Prusy zachodnie za polską prowincyę, zniewoliła mieszkańców naszych cyrkułów do następującego oświadczenia: Nie uwłaczając polskiéj narodowości ani też do niéj przystępując, jesteśmy zniewoleni prosić, aby Zachodnie Prusy, jako pruska prowincya, do związku niemieckiego przypuszczone były. Jesteśmy Prusakami i takimi zostać chcemy".

Ta prośba pisana jest jeszcze w tonie grzecznym, ale Camphausen i król sam odbierali nieustanne zażalenia na Polaków, na Komitet Narodowy i jenerała Willisena w wyrazach cierpkich a częstokroć obelżywych. Ztąd to zapewne Bismarck wyciągnął ten wniosek, który Polakom wypowiedział, że sprawa polska więcéj nierównie kłopotu aniżeli korzyści przynieść może Niemcom.

2*

w dalszym ciągu tego opowiadania, będę miał sposobność skreślić jego wierny wizerunek; teraz to tylko powiem, że odegrał rolę fatalną w Księstwie Poznańskiem jak się to zaraz pokaże.

Willisen, nie wskórawszy nic u rządu, wyjechał z Poznania dnia 21 Kweitnia, bądź odwołany, bądź zrzekłszy się własnowolnie powierzonéj mu missyi, któréj wypełnić nie było mu podobna. Po jego wyjeździe jeden człowiek był tylko w Księstwie Poznańskiém, który mógł był przeszkodzić zgubnemu dla sprawy naszéj starciu się Polaków z Prusakami, co więcéj, nawet złączyć sciśléj jeszcze niżeli były te dwie wielkie kwestye jedności niemieckiéj i odbudowania Polski, gdyby ten człowiek miał był zmysł polityczny i uczucia obywatelskie. Tym był właśnie Mierosławski. Popularność ogromna, jaką mu proces jego zjednał był nietylko w Księstwie Poznańskiem, ale w całych Niemczech, łatwo mogła z niego uczynić potęgę w obec zachwianych rządów niemieckich. Wnieść to można z wezwania, jakie późniéj otrzymał od Badeńczyków, ażeby im przywodził. Nieszczęściem polityka Mierosławskiego nie przechodziła po za zakres junakeryi studenckiéj i na myśl mu nawet nie przyszło, ażeby walce w Poznańskiem przeszkodzić. Prusacy chcieli zająć Trzemeszno, ruchawka stojąca w mieście nie chciała ich wpuścić. Nastąpiła utarczka, która stała się hasłem dla Prusaków do uderzenia na wszystkie ruchawki polskie. Pod Miłosławiem zostali pobici przez dzielne chłopstwo wielkopolskie. Taktyka Mierosławskiego nie miała w tem żadnego udziału, ale po bitwie, dumny zwycięztwem wydał proklamacyę, wzywając Księstwo całe do powstania a w siedm dni potem zmuszony był kapitulować. Podpisał tę kapi-

tulacyę 9 Maja warując sobie pasport do Francyi, który po kilku dniach otrzymał na słowo honoru, że już więcéj przeciw Prusakom broni nie podniesie i 14 Maja wyjechał do Francyi, zostawiwszy między Polakami i Prusakami przepaść, która się coraz bardziéj rozszerza i nigdy się już nie zamknie. W dzień, w którym się toczyła walka pod Miłosławiem, Niegolewski na czele innych posłów polskich wnosił na sejmie pruskim, świeżo otwartym, ażeby to zgromadzenie wezwało związek niemiecki w imię niemieckiego honoru do dotrzymania Polakom przyrzeczenia, przez parlament przygotowawczy uczynionego. Wniosek przyjęty z wielkiem współczuciem 2 Maja, wrócił pod obrady 4 Maja. Już wiadomość o bitwie pod Miłosławiem przyszła była do Berlina, rozprawy w Izbie były żywe, gwałtowne, pełne wymówek dla Polaków. Wniosek nakoniec przyjęty został, ale tylko większością dwóch głosów. Było to pożegnanie, dane sprawie Polskiéj przez Niemców. Jak tylko się bowiem rozeszło po Berlinie, że w Poznańskiem wybuchła zacięta walka między Polakami i Pruskiem wojskiem, cała sympatya Berlińczyków dla polskiéj sprawy w jednéj chwili zagasła. Studenci nawet oświadczyli na zebraniu swojem, że od sprawy polskiéj ręce sobie umywają. W parlamencie przygotowawczym już więcéj mowy o niéj nie było; tylko ażeby nie dać zaprzeczenia swoim zasadom, zgromadzenie zamykając posiedzenia swoje 31 Maja wygłosiło w sposób ogólny, prawo służące wszystkim obcym pierwiastkom w Niemczech do używania autonomii.

Były to czcze słowa. Krwawe zajścia w Poznańskiem dały przeświadczenie wszystkim ludziom politycznym w Prusach, że odbudowując Polskę, wystawiliby przeciw sobie bardzo niebezpiecznego nieprzyjaciela i przez to cały ruch

niemiecki 1848 r., powiedzieć można, zwichnięty został. Niemcy zjednoczone, jakich chciał parlament przygotowawczy, miały bowiem żyć zgodnie z zachodem, i dla tego potrzebowały odgrodzić się od Rosyi przedmurzem potężnem odbudowanéj Polski, a gdy samo podniesienie chorągwi polskiéj pokazało się tak niebezpiecznem dla Prus, król Fryderyk Wilhelm zrzekł się swojego marzenia być koronowanym cesarzem niemieckim przez niemiecki parlament. Wolał się zbliżyć na powrót do Rosyi, solidarnie związanéj z Prusami podziałem Polski, i do cesarza Mikołaja, dla którego miał dziwne jakieś uwielbienie, jak się to pokazuje z listów jego do Bunsena, gdzie tego żelaznego władcę nazywa wielkim i świętym człowiekiem.

Wypadki, jakie zaszły następnie we Francyi, wrzenie klubów, napad 15 Maja czerwonych republikanów na zgromadzenie konstytucyjne pod pozorem upominania się za Polską, i nakoniec straszliwe walki czerwcowe na ulicach Paryża, zniesławiły ideę rewolucyjną w ogólności. Uznano dosyć powszechnie w sferach oświeceńszych, że otworzyć szluzy dążnościom ludowym, jest to puścić wolno potok wszystko niszczący. Od dni czerwcowych rząd republikański był we Francyi zachwiany i chylił się do upadku. W Niemczech, w Prusach mianowicie, reakcya i militaryzm wzięły górę stanowczo; w Poznańskiem zaprowadzony był ogólny stan oblężenia, i wszyscy emigranci dawni i nowi zostali z kraju wydaleni, a parlament niemiecki, otwarty w pierwszych dniach Czerwca w krótkim czasie potrafił idee niemieckie śmiesznością okryć i obradował coraz w większem osamotnieniu tak, że w końcu już nawet echa nie powtarzały jego nudnych sporów.

Dramat rewolucyjny nie był jednak jeszcze skończony na całéj téj rozległéj scenie, na któréj się od miesiąca Marca odgrywał. Monarchia Habsburgów przedstawiała obraz chaotycznéj walki rozprzężonych żywiołów, a nigdzie siły dosyć rozumnéj, ażeby te różnorodne żywioły objęła i do zgody doprowadziła. Wszystkie narodowości austryackie powstały przeciw despotyzmowi centralnemu, ale jedna drugiéj ręki podać nie chciała. Każda swój interes tylko miała na oku i działała na swój własny rachunek — a tym sposobem ściągała na siebie wszystkie siły, jakiemi rząd rozporządzał. Rząd zaś sam, lubo miał dosyć mocy aby te rozstrzelone narodowości jednę po drugiéj poskromić, nigdy nie był sam z sobą w zgodzie. Cesarz chciał wprawdzie wszystkim ludom podwładnym swemu berłu dogodzić, ale za nim była kamarilla, która każde ustępstwo, uczynione przez niego, kazała ludom drogo opłacać — wszędzie chciała przywrócić dawny stan rzeczy, a nigdzie tego dokazać nie mogła, bo jéj w tem znowu cesarz przeszkadzał.

Kraków i Galicya przypuszczone do tychże samych swobód, jakie monarcha innym krajom swojego państwa udzielił, nie były nigdy pewne jutra przez cały ciąg tego rewolucyjnego peryodu. Po oświadczeniu urzędowem w Gazecie Wiedeńskiéj, że Austrya wolna wywalczy dla Polski wolność i niepodległość; co więcéj, nazajutrz po ogłoszeniu konstytucyi dla całego państwa austryackiego, to jest 26 Kwietnia — nagle, bez żadnéj namacalnéj przyczyny wojsko austryackie bombardowało Kraków, poczem Komitet Narodowy i gwardya narodowa zostały zniesione, ludność rozbrojona, emigranci wypędzeni, a jenerał Casti-

glione obejmuje dyktaturę, i znów w parę dni potem prezes rady ministrów Pillersdorf, odpisując na list księcia Jerzego Lubomirskiego, upewnia go, że autonomia Krakowa i Galicyi nie jest bynajmniéj zagrożoną. W rzeczy saméj, po téj krwawéj zabawce wojska austryackiego, którą jenerał Castiglione sam dosyć ciężko opłacił, wolno było jak pierwéj, mówić, drukować, gromadzić się w Krakowie, i nowoprzybyłych emigrantów młodych i starych policya już nie niepokoiła.

We Lwowie, który miał być z kolei bombardowany 2 Listopada, panowała aż do owego smutnego dnia zupełna swoboda, wprawdzie pod okiem silnéj załogi, któréj bagnety i działa hamowały nieco zapał ludności. Władza autonomiczna skoncentrowana była w Radzie narodowéj, wolnemi głosami wybranéj. Dzienniki nie ulegały żadnéj cenzurze, zgromadzenia nie były wzbronione, a młoda emigracya, napływająca ciągle z Królestwa, od czasu zwłaszcza jak w Księstwie Poznańskiem skończona była krótka epopeja Mierosławskiego, wolno chodziła po mieście. Młodzież ta opuszczała kraj, nie wiedząc dobrze, jak rzeczy stoją w Europie, sądząc, że sprawa Polski jest jeszcze na porządku dziennym, i że gdzieśkolwiek tworzyć się będą legiony polskie.

Na początku Września było we Lwowie takich młodych wychodźców z różnych klas społeczeństwa, z Kongresówki, a po części i z prowincyi przyłączonych do Rossyi, najmniéj z tysiąc, których obywatele między siebie rozebrali, każdy po kilku, i gościli w swoich mieszkaniach. Były już i partye między nimi, ale główna masa zgromadzała się pod prezydencyą mojego kolegi, jak już nadmieniłem na

początku. Miał on, obok szczeréj i braterskiéj uprzejmości dla téj młodzieży, pewną stanowczość zdania, i coś w powierzchowności, co mu, razem wzięte, jednało popularność. Wysoki, wysmukły, z długiemi włosami i miną artysty trafiał on do przekonania swoich słuchaczy frazesami trochę à la Joseph Prudhomme, którym dobitności dodawał machając długiemi rękami.

Ubolewałem nad losem tylu dziarskich młodych ludzi, dla których bardzo mało było widoków w Galicyi; a w kraju, gdyby chcieli wrócić, czekały ich ciężkie prześladowania, gdy w tem zaczęły się rzeczy w państwie austryackiem groźnie gmatwać. Demokracya wrzała w Wiedniu. W jednym tylko klubie, prezydowanym przez Dr. Taussenau liczono kilkadziesiąt tysięcy — mówiono nawet 100,000 — członków. Cesarz z ministrami i sejmem przeniósł się do Kromieryża. W Węgrzech uchwały sejmowe wydane pod wpływem Kossutha względem uzbrojenia 200,000 wojska, i puszczenia w obieg banknotów na 60 millionów złr. zaczynały wchodzić w wykonanie. Na początku zaś Października ministeryum zachowawcze Bathyani'ego ustąpiło i wybrano komitet obrony krajowéj pod prezydencyą Kossutha. Ten obrot rzeczy dodał mi otuchy. Wierzyłem w Kossutha, widziałem w nim człowieka jedynego, który był na wysokości wypadków, i który zapewnie podzielał szczerze opinię sejmu węgierskiego, wyrażoną solennie na posiedzeniu 12 Kwietnia „że sprawa polska jest sprawą węgierską“, ale Rada Narodowa galicyjska nie mogła była żadnych z nim układów zawiązywać, bez narażania miasta na bombardowanie, a całéj Galicyi na niebezpie-

czeństwo nowéj krwawéj plagi jak ta, któréj pamięć była jeszcze świeża. Najwłaściwiéj było, jak mnie się zdawało, żeby młoda emigracya wyprawiła deputacyę od siebie do prezesa obrony krajowéj w Węgrzech, ofiarując Węgrom swoje usługi, nie jako najemnicy, lecz jako zaród sprzymierzonego z niemi korpusu polskiego. Odpowiedzialność za taki krok nie mogła spaść ani na Galicyę, ani na Radę Narodową, ale wyłącznie na młodą emigracyę.

Myśl tę zwierzyłem Kwiatkowskiemu i oświadczyłem mu, że jestem gotów jechać w takiéj missyi do Węgier, ale będąc od młodéj emigracyi zupełnie nieznany, proponuję mu żeby jechał ze mną na koszt mój do Pesztu, uzyskawszy od owéj młodzieży upoważnienie dla nas obydwóch do traktowania z rządem węgierskim, opatrzone jak najliczniejszemi podpisami. Kwiatkowski zgodził się chętnie na to, i tegoż samego dnia rzecz całą przedłożył na zgromadzeniu młodéj emigracyi, która projekt cały z entuzyazmen przyjęła i natychmiast zaczęła, ułożone przez nas upoważnienie podpisywać. Nazajutrz podpisy zostały uzupełnione, a trzeciego dnia ja i kolega mój wyjechaliśmy ze Lwowa, zaleciwszy jak najmocniéj młodzieży, ażeby żaden nie ruszał do Węgier, póki komitet przy téj okoliczności utworzony, nie otrzyma od nas wiadomości.

Nie udaliśmy się wprost do Pesztu. Obróciliśmy drogę na Kraków, gdzie przebywało kilkuset młodych emigrantów. Porozumieliśmy się z nimi. Wszyscy z zapałem przyłożyli podpisy swoje na upoważnienie podpisane przez ich braci ze Lwowa. Zaleciliśmy im po-

dobnie jak tamtym, ażeby czekali na znak od nas i puściliśmy się w drogę do Węgier, a kilkunastu młodych emigrantów odprowadziło nas aż do Nowego-Sącza. Nazajutrz byliśmy na węgierskiéj ziemi u węgierskiego szlachcica, do którego dano nam list polecający w Krakowie, jako do wielkiego przyjaciela Polaków.

II.

Ów szlachcic węgierski — nazwisko jego wyszło mi zupełnie z pamięci — przyjął nas uprzejmie, ale bez wielkiéj serdeczności. Był to stary kawaler, pan na kilku wioskach, lecz tak mało dbały o najprostsze wygody w swoim domu, że pod wpływem pierwszego wrażenia uczyniłem z cicha uwagę mojemu koledze, iż jesteśmy podobno za granicami cywilizacyi europejskiéj. Łóżka mianowicie były tak wąziutkie, że w nich obrócić się nie było podobna, lecz gospodarz miał tę pociechę, że usypiał pod cieniem swojego szlachectwa, bo nad jego łóżeczkiem, wyrysowane na wielkiéj karcie drzewo genealogiczne jego rodu, rozpościerało swoje rozliczne konary.

Przy wieczerzy, któréj fundamentem była jakaś narodowa potrawka z papryką, nieznośnie piekąca w gardle, gdyśmy już wychylili byli parę kieliszków wina, zdaleka tylko spokrewionego z węgrzynem naszych stołów szlacheckich, gospodarz nasz pomny na to, że:

Węgier, Polak dwa bratanki,
I do szabli i do szklanki,

zaczął się poufale rozgadywać. Był to typ węgierskiego szlachcica dawnéj daty, wielce zbliżonego w charakterystycznych rysach do zlachcica polskiego z przedrozbiorowych czasów. W oczach jego naród węgierski, to była szlachta węgierska sama jedna, inne zaś klasy były na to tylko stworzone, aby jéj służyły. Dlatego téż zmiany, świeżo zaprowadzone naówczas w jego kraju, które pozwoliły chłopom pracować wyłącznie dla siebie a nie dla szlachty, były mu nienawistne.

— Dawniéj — mówił nam ze słowacka po polsku — szlachta nasza słynęła z gościnności i hojności, teraz zaś, gdy za sprawą tego kalwina Kossutha, odjęto nam nasze odwieczne prawa, gdy nas opodatkowano i z chłopów naszych porobiono panów na swoich zagrodach, nie jesteśmy w stanie uczciwie przyjąć gościa. Dziś chłop nie wiele bogatszy niż był, a szlachta zeszła na biedaków.

Po tem pierwszem a szczerem odezwaniu się naszego amfitriona, pomyślałem sobie: straciliśmy parę dni najniepotrzebniéj zbaczając z naszéj drogi, ażeby zakosztować téj gościnności z papryką i kwaśnem winem, i zacząłem w duchu wyrzekać na lekkomyślność ziomka naszego w Krakowie, który w najlepszéj chęci zapewne, ale nie znając sposobu myślenia tego obywatela, przyniósł nam list rekomendacyjny do niego z gorącą namową, abyśmy do jego domu wstąpili. Lecz po chwilce rozwagi spostrzegłem, że możemy pewną korzyść wyciągnąć z dziwnéj owéj okoliczności, która na wstępie naszym na węgierską ziemię zetknęła nas z zapalonym przeciwnikiem Kossutha. Kto wie — powiedziałem sobie — może popędziwszy go na szersze pole poufnéj gawędki, wykryje nam prawdziwie ujemne strony charakteru lub położenia człowieka, na któ-

rym tyle budujemy nadziei, i będziemy wiedzieli, jak z nim począć. Popchnąłem więc daléj rozmowę dosyć kłopotliwą dla nas z początku.

— Zapewne — rzekłem — szlachta węgierska poniosła ciężkie ofiary, ale sądziłem, że była do nich gotową, skoro obie izby sejmowe przyjęły wygotowane przez Kossutha podanie do cesarza o opodatkowanie szlachty i uwolnienie chłopów od wszelkich pozostałych jeszcze powinności poddańczych, które wraz z innemi żądaniami uzyskało sankcyę cesarską.

— Ech! — odpowiedział Węgier niecierpliwie — widzę, że panowie nieświadomi jesteście zupełnie, jak się rzeczy działy. Pozwólcie mi opowiedzieć wam to od początku.

O wszystkich zmianach, jakie zaprowadzone zostały u nas w Marcu tego roku, nikt jeszcze w Lutym nie myślał prócz jednego Kossutha. Kossuth już od 1830 r. rzucał między naród idee demokratyczne w mowach swoich na rozmaitych zgromadzeniach i w pismach, mianowicie téż, kiedy był redaktorem głównym dziennika Pesti Herlap (Gazety Peszteńskiéj); ale idee te przyjmowały się tylko między wychowańcami szkół kalwińskich, z jakich i on sam wyszedł. Do sejmu one nie przeniknęły. Kossuth sam, kilka lat temu, wyszedł był z redakcyi Gazety Peszteńskiéj i ucichł, rzuciwszy się w przedsiębiorstwa przemysłowe. W roku zeszłym dopiero wybrany posłem na sejm przez komitet Peszteński, wrócił do życia politycznego, ale aż do rewolucyi lutowéj we Francyi z żadnym planem reform nie występował. Rewolucya francuzka zelektryzowała go i 3 Marca wynagrodził sobie kilkoletnie milczenie piorunującą mową w izbie poselskiéj,

która wstrzęsła w podstawach swoich całą monarchię austryacką. Wszędzie się młodzież rozogniła, wszędzie masy zaczęły się poruszać i wszędzie powtarzano te słowa mówcy: „Politykę Metternicha czuć trupem.“ To był cios à la Jarnac, którym Kossuth zabił system Metternichowski, wymierzywszy go w chwili sposobnéj.

— I dobrze uczynił — wyrwałem się prawie mimowolnie.

— Nie przeczę temu — odparł Węgier — ale było to wypowiedzenie wojny na śmierć Austryi, która na tym systemacie utkwiła jak na bezpiecznéj kotwicy, i lubo go się zarzekła w chwili trwogi, trzyma go jednak w odwodzie i niebawem jawnie wróci do niego. Na zakończenie mowy swojéj — ciągnął daléj nasz gospodarz — przedstawił Kossuth izbie projekt owego podania do cesarza, w którem domagał się najprzód odrębnego i odpowiedzialnego ministeryum dla Węgier; pod tarczą zaś tego tak ponętnego dla naszego patryotyzmu żądania, zamieścił szereg innych, czysto demokratycznych, na korzyść chłopów a krzywdę szlachty. Mogę panom śmiało zaręczyć, że ogromna większość w Izbie słuchała z wewnętrznem oburzeniem tych ostatnich wymysłów, ale przekonana, że je Izba magnatów niewątpliwie odrzuci, chciała zwalić na nią niepopularność za rozstrzygnięcie w sposób tak doraźny ciężkiéj kwestyi demokratycznéj, a sama głosowała z udanym entuzyazmem za całem factum Kossutha, ażeby tanim kosztem pozykać sobie sławę arcyliberalnego zgromadzenia.

W trzy dni potem, to jest 6 Marca, podanie przesłane zostało do Izby magnatów, która niestety! nie miała odwagi wręcz go odrzucić, wolała sprawę puścić w od-

włokę pod pozorem, że arcyksiążę Palatyn wraz z kilkoma największymi figurami z Izby, był w Wiedniu, i że w ich nieobecności nie należało Izbie stanowić w tak ważnym przedmiocie. Kossuth widząc tę chwiejność magnatów, uderzył na nich natarczywie w Izbie poselskiéj, powiedział, że postępują niekonstytucyjnie i zagroził, że jeźli ociągać się będą dłużéj z decyzyą, to Izba posłów zmieni się w konwencyę. Na jego wniosek Izba wystósowała do nich Nuntium, to jest odezwę, w tymże duchu. Poruszyło ich to i wyznaczyli dzień 14 Marca na obrady nad podaniem Kossutha. Było to 9 Marca i Kossuth miał cztery dni przed sobą, ażeby przyrządzić matnię, w którą tę nieradną Izbę wpędził. 14 Marca rano całe miasto Peszt napełnione było włościanami, których sprowadził z okolic. Przybyła milicya z Presburga, a kto tylko mógł ze stronnictwa demokratycznego z dalekich nawet stron podążył do Peszt na ten dzień stanowczy. Byłem i ja tam, i jako świadek naoczny opowiadam wam, co się działo.

Na parę godzin przed otwarciem posiedzenia wróciła z Wiednia deputacya, wysłana z Izby magnatów do cesarza w początkach Marca pod przewodnictwem arcyksięcia Palatyna i przyniosła wiadomość, że w Wiedniu rewolucya i że Metternich złożył wszystkie swoje urzędy. Był to skutek mowy Kossutha z 3 Marca. Żarzewie, które on rzucił między studencką młodzież i gawiedź wiedeńską, tlało dni kilka. Hałasy były na ulicach, krzyczano na Metternicha, gromadzono się coraz tłumniéj; nakoniec 13 Marca wybuchły wszystkie żywioły rewolucyjne i zaczęły się owe ustępstwa ze strony rządu, które

w kilku dniach następnych zmieniły w chaos całą monarchię austryacką.

Wiadomość o wybuchu wiedeńskim przeraziła naszych magnatów, a w dodatku, idąc do Izby, przeciskać się musieli przez tłumy ludu, które ją oblegały; nawet w sali posiedzeń, miejsca przeznaczone dla publiczności, były motłochem przepełnione. Po otwarciu posiedzenia prezydujący wyprawił dwóch członków do ludu na placu, ażeby się spytali, w jakim celu zgromadził się tak tłumnie. Wysłańcy wrócili z odpowiedzią od przywódzców tego zbiegowiska, że włościanie z okolic a z nimi lud Pesztu zebrali się przed pałacem w nadziei, iż Izba magnatów przyłączy się do podania posłów i czekają spokojnie na rezultat głosowania dostojnych panów w tym przedmiocie, ażeby im swoje podziękowania oświadczyć. Odpowiedź ta, widocznie przez Kossutha zawczasu ułożona, znaczyła w gruncie, że jeźli Izba magnatów podanie odrzuci, to ją lud rozpędzi. Magnaci pospuszczali głowy; niejeden zapłakał w cichości, ale pod takim naciskiem zdecydowali się wszyscy głosować za podaniem do cesarza, które majątki ich o więcéj niż połowę zmniejszyć miało. Kossuth tryumfował. Wieczorem cała tłuszcza różnorodna, którą on poruszał po woli swojéj, wyprawiła Fackelzug na jego cześć. Nie zapomnę nigdy tego niewidzianego jeszcze u nas widowiska. Na czele szła milicya Presburgska z pochodniami, chorągwiami narodowemi i muzyką, a za nią potok ludu z krzykami, które się na cało miasto rozlegały. Ta hałaśliwa procesya zaszła przed gospodę pod Grünen Baum, gdzie mieszkał Kossuth, który wyszedł na balkon i długą mową uraczył swoich czcicieli. Tłum mu odpowiedział okrzykami Elien, poczem udał się w tymże samym po-

rządku przy odgłosie marszu Rakoczego, który grała muzyka milicyi Presburgskiéj, przed pałac Palatyna, lecz wątpię, żeby ten był z tego uczczenia równie uradowany jak Kossuth. Przez cały dzień następny przeciągnęły się jeszcze bachanalie ludowe, a 16 Marca deputacya obu Izb sejmowych, z arcyksięciem Palatynem na czele, powiozła do Wiednia dzieło Kossutha, żeby go cesarzowi przedstawić. W każdym innym czasie byłby go monarcha bez najmniejszego wahania się odrzucił, ale wobec rewolucyjnéj zawiei, która się już na całe państwo była rozciągnęła lubo wojsko zostało mu wierne, na wszystko się zgadzał czego tylko od niego rewolucya żądała. Przychylił się też i do podania przyniesionego mu przez deputacyę naszych Izb sejmowych, nie wyłączając żadnego zawartego w niem żądania. Tym to sposobem udało się Kossuthowi, który przed rokiem był adwokatem bez klientów, dziennikarzem bez dziennika, przeprowadzić w kraju naszym radykalne zmiany, o których się nikomu pierwéj nie śniło, którym cała szlachta była przeciwna, a w nagrodę za to samemu zostać ministrem skarbu w pierwszem ministerstwie odrębnem i odpowiedzialnem w Węgrzech.

— Manewrował biegle — pomyślałem sobie — i w okolicznościach nadzwyczaj przyjaznych jego planom a jako oswobodziciel chłopów pozyskał sobie podstawę, z któréj niełatwo go będzie zwalić. Lecz tę uwagę schowałem dla siebie. Węgra zaś chcąc nieco pocieszyć, powiedziałem mu, że naród jego, uzyskawszy zupełny samorząd, jeżeli będzie miał ministrów zdolnych, dbałych o wzrost przemysłu, rolnictwa, handlu — o zaprowadzenie dróg bitych, dróg żelaznych, żeglugi na rzekach i o inne ulepszenia materyalne, to straty poniesione przez szlachtę,

przez usamowolnienie chłopów, będą w kilku latach sowicie wynagrodzone.

— Och! — odrzekł Węgier — samorząd nasz potrwa miesiąc, dwa lub trzy, a potem wrócimy do dawnego stanu, lecz szlachta już tego nie odzyska, co jéj odjęto.

— Dla czegoż pan tak źle wróżysz o prawach uzyskanych świeżo przez swoich współziomków? — spytałem go, przerywając mu z ciekawością.

— Bośmy je uzyskali — odpowiedział mi — pod naciskiem okoliczności nadzwyczajnych, nieprzyjaznych monarchii, a nie mamy dosyć sił, aby je utrzymać. Wszakżeż już miano ochotę koniecznie nam je odebrać, i w tym celu podszczuto przeciw nam Kroatów; to był początek wojny między domem Rakuskim a Węgrami; wojny dotąd jeszcze nie jawnéj, bo rząd austryacki ma ciągle do czynienia to z Włochami, to z Czechami, to z Wiedeńczykami; ale niech się z innych stron uspokoi, to na nas uderzy z całą swoją siłą. Widząc też, na co się zanosi, ministeryum Bathyani'ego usunęło się. Arcyksiążę Palatyn wyjechał z Węgier, a sejm nie widział innéj rady jak powierzyć władzę prawie dyktatorską Kossuthowi, który nas w ten ogromny kłopot wprowadził. Czy zaś wyprowadzi nas z niego? to wielkie pytanie.

— My Polacy — odezwałem się — widzimy rzeczy jakoś w lepszem świetle; wprawdzie z po za gór. Mamy nadzieję, że Węgrzy dadzą radę domowi Rakuskiemu, a w następstwie sprowadzą rozpadnięcie się całéj budowy kongresu wiedeńskiego. Ta nadzieja przywiodła nas tu, jak pan widzisz, aby związać ściśléj na polu bitwy sprawę polską ze sprawą węgierską.

Węgier się skrzywił. — Ale na czemże panowie — rzekł — budujecie tę piękną nadzieję?

— Najprzód na patryotyzmie Madziarów — odrzekłem — i na materyalnéj nawet ich sile wobec skołatanéj Austryi, a następnie na okolicznościach, które się na to składają, ażeby im dać przewagę. W téj chwili nie jestże Wiedeń w pełnéj rewolucyi? Wiedeńczycy czekają na pomoc Węgrów, a jakaż wyborna sposobność, żeby wziąć armię Windischgrätza i niedobitki Jelaczyca, oblegające stolicę Austryacką, we dwa ognie. Nie wątpię — mogę nawet powiedzieć, iż Europa cała nie wątpi, że Kossuth błędu tego nie popełni, aby zostawił Wiedeńczyków na pastwę wojskom, oblegającym ich miasto.

— Ale z czemże pan chcesz, żeby im przyszedł na odsiecz? — odparł nasz gospodarz — nie ma on armii Sobieskiego, możesz mi pan zawierzyć — dołożył żartobliwie.

Ale nie ma też pod Wiedniem Kara-Mustafy z całą dawną potęgą Ottomańską, — odrzekłem nie mniéj żartobliwie — jest tam tylko Windischgrätz z niewielką siłą i Jelaczyc już poprzednio pobity przez Węgrów.

— Za pozwoleniem — przerwał mi — armia główna Windiszgrätza liczy 50,000 ludzi, a niedobitki Jelaczyca to jeszcze 20,000 żołnierzy; oto jest siła oblegająca w téj chwili Wiedeń, na skrzydłach jéj jest jeszcze, razem wziąwszy, około 30,000 wojska a w dodatku 8,000 stoi na Spiżu, tak, że jeżeli Kossuth zechce przyjść w pomoc Wiedeńczykom, będzie miał do czynienia z armią przeszło stutysięczną.

— Niechże i tak będzie — rzekłem, trochę zakłopotany — ale przecież Węgrzy mogą wystawić większą jeszcze siłę.

Węgier się rozśmiał. — Wiesz pan — zagadnął mnie — wiele Kossuth mógł wystawić wojska, ażeby odeprzeć napaść Kroatów? Oto 15,000 tysięcy, ściągnąwszy wszystkie siły porozrzucane po kraju.

— A gdzież są — spytałem — owe 200,000 nowego wojska, którego pobór z takim entuzyazmem — pamiętam to — zawotowany został przez sejm na wniosek Kossutha jeszcze w pierwszéj połowie Lipca?

Na papierze w archiwach sejmowych — odpowiedział Węgier. — Cały ten entuzyazm odegrany został dla Wiednia i dla Europy, a rzeczywiście z owego postanowienia sejmowego jedna część tylko weszła w wykonanie to jest upoważnienie dla Kossutha, wówczas ministra skarbu do wypuszczenia w obieg banknotów na 60 millionów złr., bo w skarbie było pusto jak w kieszeni pana ministra.

— Jakto — wykrzyknąłem — więc cała siła zbrojna Węgierska ogranicza się na 15,000 wojska!

— Hm — odrzekł, po chwili zastanowienia — dziś jest zapewne trochę więcéj. Kossuth miał czas sprowadzić oddziały, które były na krańcach Węgier na północy i na wschodzie w czasie najścia Kroatów i tym sposobem armia nasza stojąca pod dowództwem jenerała Mogi nad granicą austryacką, może wynosić dwadzieścia, lub najwięcéj dwadzieścia kilka tysięcy ludzi; zwłaszcza jeżeli żołnierze nasi z pułków będących w granicach Austryi nie przestają przechodzić do Węgier.

— A więc — spytałem — są jeszcze pułki węgierskie w granicach Austryi? Przecież powrót ich

do kraju zawarowanym był w podaniu sejmowem, do którego się cesarz przychylił.

— Tak — odpowiedział Węgier — było to przyrzeczone, i w pierwszéj chwili dozwolono wrócić sześciu batalionom i około trzydziestu szwadronom, które się połączyły z dawniéj będącemi w kraju pułkami węgierskiemi i składają razem ową armię dwudziestotysięczną, o któréj dopiero co mówiłem, ale jak tylko rząd cesarski ochłonął nieco z pierwszego postrachu, wstrzymał powrót reszty pułków węgierskich. Kilka szwadronów huzarów, które konsystowały w Galicyi i miały oficerów rodaków, przebiły się do kraju, nie pytając o pozwolenie. Z innych zaś pułków naszych, porozrzucanych po różnych krajach austryackich, poczciwi żołnierze nasi przemykają się do nas, tylko pojedyńczo i nie wielu to się udało, a takich pułków jest dosyć znaczna liczba; w samych Włoszech pod marszałkiem Radeckim jest 12,000 Węgrów i ci dla sprawy narodowéj są straceni.

Za to przyznaję, że mamy od Marca Honwedów, czyli gwardyę narodową, któréj część możnaby uruchomić, ale wszystkiego jest 10 batalionów honwedów po 1,200 ludzi każdy, czyli razem 12,000 honwedów w całym kraju. Od trzech tygodni zaczęto organizować korpusy partyzantów. Rozporządzenie w tym względzie wyszło od ministeryum Bathyani'ego na parę dni przed jego ustąpieniem. Miało być takich korpusów 4, każdy po 10,000 ludzi. Mianowano dowódzców, naznaczono jako miejsca werbunku miasteczka: Papa, Bacz, Solnok i Arad, ale zaledwie że się zebrały pierwsze garstki ochotników, trzeba było je czemprędzéj wyprawić przeciw Kroatom, nie czekając, żeby się choć trochę nauczyły władać bronią. Ta

ruchawka stanowi dziś korpusik Percela wraz z batalionem przez niego na własną ręke jego uformowanym w komitacie Tolna. Podobno oszczędzono jeden zarodek korpusu partyzanckiego z czterech zamierzonych i ten organizuje się daléj w Aradzie pod dowództwem Maryaszego. Formuje się także w Peszcie parę bateryi artyleryi, a instruktorami — zabawna to rzecz — są artylerzyści austryaccy z Budy. Legion szumnie nazwany Hunyady, którego twórcą jest Kossuth, miał być z 1200 piechoty i 800 huzarów. Kossuth wystąpiwszy z ministeryum Bathyani'ego, bardzo czynnie organizacyą tego legionu się zajmował, ale dziś ma ważniejsze rzeczy na głowie i nie wiem, kto daléj dzieło jego prowadzi. Otoż wyliczyłem panom wszystkie siły i siłki, jakiemi Kossuth rozporządza. Powiedzcież mi otwarcie, czy jest z czem tak bardzo wojować? Mogliśmy Kroatów rozpędzić, ale damyż radę stutysięcznéj armii austryackiéj, za którą w potrzebie znajdzie się druga niemniéj potężna?

— Ależ — odrzekłem — Węgrzy są narodem licznym i walecznym i mogą także wystawić dwakroć, a nawet trzykroć stotysięcy wojska, byleby Kossuth rozwinął niezłomną energię, jakiéj okoliczności wymagają.

Uśmiech lekko szyderczy Węgra na tę apostrofę do jego miłości własnéj narodowéj dał mi poznać, że wcale go nie tknęła. — Zaiste — rzekł — można w Węgrzech oderwać trzykroć stotysięcy chłopów od roli, i wyrobników od rzemiosł, ludzi u nas nie brak, lecz niestety! brak nam wszelkich środków, ażeby z takiego motłochu zrobić armię porządną. Rząd austryacki postarał się o to, aby nas pod tym względem zupełnie ubezwładnić. Chciał mieć żołnierzy węgierskich, ale nie chciał mieć Węgrów oficerów, szczególniéj też w węgierskich pułkach i tak też

utrudnił wykształceńszéj młodzieży zawód wojskowy, że ją od niego odstręczył. Ci, którzy z temi trudnościami odważyli się walczyć, nie czując się zapewne usposobionymi do innego zawodu, musieli po większéj części wejść do pułków niemieckich i zostali Niemcami, karyerowiczami. Zaledwie kilku z nich ofiarowało w dzisiéjszych okolicznościach usługi swoje ojczyźnie. W pułkach węgierskich jest bardzo mało oficerów Węgrów i pułki te pomięszane są z niemieckiemi w brygadach i dywizyach pod dowódzcami różnych narodowości, ale nie Madzyarami. Z takiego składu rzeczy wynikło, że gdy sejm uchwalił wystawienie dwukroćstotysięcznéj armii, nie było dosyć oficerów i podoficerów, nietylko ażeby uorganizować armię, ale choćby nawet jednę nową porządną brygadę. Dowództwo starych naszych pułków trzeba było zostawić jenerałowi Moga, Wołochowi, którego przychylność dla węgierskiéj sprawy jest arcywątpliwą. Musiano także zostawić na czele fabryk broni, prochu i wszystkich zakładów wojskowych, Niemców którzy niemi dawniéj zawiadowali, bo nie było uzdolnionych do tego Węgrów. Nie było komu nawet powierzyć ministeryum wojny, póki się nie zjawił Messaros przybyły z Włoch i jako tako obeznany z administracyą wojskową, ale nie mógł on stworzyć ani korpusu oficerów czysto węgierskich, ani ludzi fachowych do objęcia tych rozmaitych posad, które są niezbędnemi kółkami w mechanizmie potęgi wojskowéj. Utworzenie armii węgierskiéj zostało więc problematem, na którego rozwiązanie adwokacki rozum Kossutha nie wystarcza.

Nie wiedziałem już, co Węgrowi na to odpowiedzieć; przybił mnie jakby maczugą. Nastąpiło milczenie, wśród którego usłyszeliśmy staroświecki zegar, bijący jedenastą

godzinę. Powstaliśmy i powiedzieliśmy dobra noc gospodarzowi, który nas odprowadził do przygotowanych nam na nocleg, owych wysławianych już przezemnie wązkich łóżek, w malutkiéj izdebce i pożegnał uprzejmie, rad bardzo — malowało się to na jego twarzy — że wyrzekł ostatnie słowo w dyskusyi.

Trudno nam było obudwu zasnąć po téj rozmowie. Wszystko, co nam Węgier opowiadał, razem wzięte ukazało nam w tak niekorzystnem świetle sprawę węgierską, żeśmy zaczynali już powątpiewać, czy pielgrzymka nasza ma cel użyteczny. i praktyczny.

Obradowaliśmy nad tem długo; powoli otrzęśliśmy się z pierwszego dotkliwego wrażenia i zgodziliśmy się na to, że nie mamy żadnego uzasadnionego powodu, ażeby odstąpić od naszego przedsięwzięcia; że utworzenie armii węgierskiéj bez oficerów, jest wprawdzie ogromnem zadaniem, ale właśnie Polacy mogą być w tem niezmiernie użytecznemi Węgrom. Emigracya dawna była jeszcze w owéj epoce, z małym wyjątkiem, w sile wieku i mogła im dostarczyć jenerałów, pułkowników i oficerów niższych wszelkiéj broni, z których znaczna liczba wyszła była ze szkół wojskowych a liczyliśmy na patryotyzm wszystkich, że nie odmówią usług swoich Węgrom, skoro ci się zobowiążą, że nawzajem pomogą nam do odzyskania ojczyzny. Chodziło tylko o to, czy będzie dosyć czasu na sformowanie armii węgierskiéj, wobec tak szybko rozwijających się wypadków, które ciągnęły za sobą nieodwłoczną wojnę między domem Rakuskim a Węgrami, ale bliska już zima dozwalała wróżyć, że choćby się czynności wojenne rozpoczęły, to niezadługo, w skutek mrozów i śniegów przerwanemi zostaną aż do wiosny. Zgola zgodziliśmy się na

to, że brak sił uorganizowanych w Węgrzech, nie był żadnym szkopułem dla naszéj missyi, lecz owszem użyteczność jéj poniekąd podwajał, byleby Kossuth jasno to pojmował, że w obec Rosyi niezawisłe Węgry bez niezawisłéj Polski ostaćby się nie mogły, a o wysokim poglądzie Kossutha na rzeczy ani jeden ani drugi nie wątpiliśmy. Człowiek ten w oczach naszych górował nad poziomem powszechnym roku 1848. Z samego opowiadania Węgra, jakkolwiek mocno zaprawione było żółcią, pokazywało się, że on był jedyną dźwignią swojego narodu, że na jego głowie wszystko w Węgrzech spoczywało w ówczesnych okolicznościach, i że aż do chwili, do któréj się ten rozdział wspomnień moich odnosi, prowadził podjętą przez siebie sprawę oswobodzenia i odrodzenia ojczyzny, śmiało, wytrwale, z nadzwyczajną zręcznością i wielką logiką, zacząwszy przedsięwzięcie swoje od usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów, o czem my na nieszczęście nasze nigdy szczerze nie pomyśleliśmy, tyle razy podnosząc broń przeciw naszym ciemiężcom zewnętrznym, a co jemu dało ogromną siłę, do dalszego działania.

Wszystkie te uwagi, które nam z kolei się nasuwały jednemu i drugiemu, dodały nam otuchy, i w ten sposób zakończyliśmy naradę rozpoczętą w smętnym humorze — prawie w zniechęceniu.

Mój kolega zasnął smacznie; ja zaś dobyłem ołówka z pugilaresu, papieru z tłómoczka i resztę nocy spędziłem na spisywaniu protokularnem, za świeżéj pamięci, rozmowy, jaką mieliśmy z Węgrem. Na mnie bowiem spaść miał cały trud rokowania z Kossuthem, ponieważ kolega mój znał tylko język ojczysty, który niestety! nie wiele więcéj znanym jest w Europie niż Chiński. Do tego zaś rokowania

chciałem być uzbrojony w argumenta, oparte, ile możności, na dokładnéj znajomości stanu wewnętrznego Węgier.

Nazajutrz po kawie rannéj, którą nas uczęstował nasz gospodarz, podziękowawszy mu serdecznie za gościnność, pożegnaliśmy go i wyjechaliśmy, na góralskim wózku, który nas do niego przywiózł, do Preszowa, gdzieśmy przed wieczorem stanęli.

W Preszowie zamieszkiwał od wielu lat Polak emigrant z 1831 roku, który trudnił się kupiectwem i zrobił był sobie na tem mająteczek; mieliśmy do niego list polecający z Krakowa. Przyjął nas po bratersku, przepędziliśmy z nim wieczór i cały prawie dzień następny, bo dyliżans wyjeżdżał wieczorem dopiero do Pesztu. Czas ten bardzo mile nam zeszedł. Ziomek nasz, którego nazwiska przypomnieć już sobie nie mogę, tak samo jak i nazwiska Węgra, u któregośmy gościli, nie nosił na sobie tego piętna walki z biedą i przeciwnościami różnego rodzaju, które znamionuje większą część emigrantów naszych we Francyi; żył między Słowakami jak między swoimi, szanowany i kochany od wszystkich, szczęście mu służyło, echa z Kraju go dochodziły, i dlatego zachował był humor wesoły i gościnność szczerą, wylaną, prostoduszną. Oprowadzał nas po swojem miasteczku, które jest murowane, schludne, wesołe i niezeszpecone brudnem żydostwem, jak nasze miasta i miasteczka. W jednem miejscu była jakaś chłopska zabawa. Zaszliśmy tam i przypatrywaliśmy się tańcom z prawdziwą przyjemnością. Lud słowacki zachował w narzeczu swojem, w fizyonomii, a nawet w ubiorze, tańcu i ruchach tak widoczne cechy ścisłego pokrewieństwa z naszym ludem krakowskim, żem go braterskiem uczuciem pokochał. Pokrewieństwo to

stwierdza historya; ziemia krakowska wchodziła bowiem w skład państwa wielkjéj Morawy, po którego rozpadnięciu się dopiero zagarnął ją Chrobry pod swoje berło. Lud słowacki jest pracowity, przemyślny, znacznie wyższy pod względem intelektualnym od ludu madziarskiego, rozrasta się też i bogaci, a w niedalekiéj zapewne przyszłości wyruguje go zupełnie za Cisę.

W domu naszego ziomka poznaliśmy także kilka osób z mieszczaństwa Preszowskiego, złożonego wyłącznie prawie ze Słowaków. Mężczyzni byli przyzwoici, kobiety wesołe i uprzejme; mówiliśmy do nich po polsku, oni do nas po słowacku i rozumieliśmy się bardzo dobrze, czasami tylko nie mogliśmy się wstrzymać od uśmiechu, słysząc wyraz jakiś, dosyć twardy w naszéj mowie, zmiękczony po słowacku tak, jak go małe dzieci u nas wymawiają, a za każdym uśmiechem naszym damy się rumieniły.

Ziomek nasz nie mógł nam dać zrazu bardzo szczegółowych objaśnień o stanie wewnętrznym Węgier. Lecz gdym mu przeczytał protokół naszéj rozmowy z Węgrem, poświadczył, że w opowiadaniu tem jest rzetelna prawda, tylko cierpko wyrażona; dołożył, że w ogóle szlachta osiadła jest Kossuthowi przeciwną, że niemniéj przeciwne mu jest duchowieństwo katolickie, zwłaszcza wyższe, że ludzie, którzy dawniéj pozyskali sobie byli sławę patryotów, poodsuwali się od niego jeden po drugim, w miarę jak się przybliżał do ostatniego rezultatu swojéj polityki, to jest do zupełnego z Austryą zerwania, którego sobie żaden z nich nie życzył; że dziś niema ani jednego człowieka zdolnego w jakimkolwiek bądź fachu, na którego by się szczerze mógł spuścić; że w chmarze stronników jego najwięcéj jest takich, którzy o własnem tylko wyniesieniu

myślą, i że Niemcy, których zostawiono na czele fabryk i innych zakładów wojskowych, wszystko na wspak robią, żeby Węgrom szkodzić.

Wymieniwszy te strony ujemne sytuacyi Kossutha, wskazał nam jako jéj stronę dodatnią, ogromną jego popularność między ludem prostym tak na wsiach jak i w miastach, oraz między młodzieżą madziarską, wyszłą ze szkół protestanckich, w których — wierności dla katolickiego cesarza Austryi nie bardzo, snać uczono. Tę wierność zachował wprawdzie w sercu swojem lud wiejski, ale potrafiono go trochę obałamucić tem, że to król węgierski w sporze jest z cesarzem austryackim.

W konkluzyi ziomek nasz nie odradzał nam bynajmiéj podróży naszéj do Pesztu i owszem sądził, jak i my, że Polacy są Węgrom potrzebni, że kilkudziesięciu oficerów polskich może dać pomyślny obrót sprawie węgierskiéj przy zasobach, jakie kraj ten posiada, i że raz związani z nami Węgrzy, jeżeli zdobędą sobie niezależność, zmuszeni będą samą mocą okoliczności, podnieść sprawę Polską.

Pożegnaliśmy poczciwego ziomka naszego, zabawiwszy u niego całą dobę i puściliśmy się w dalszą drogę dyliżansem przeszłowiecznéj mody, dobrze wysłużonym i trochę kaleką, bo resory jego były postronkami pozwiązywane, a wielki gościniec do Pesztu nie był drogą bitą, ani nawet wyrównaną. Częstokroć sterczały pagórki na środku, czasami z jednego brzegu do drugiego takie było pochylenie, że powozom trudno było się na niem w równowadze utrzymać. Na jednéj takiéj pochyłości dyliżans nasz się przewrócił i o mało się w kawałki nie

rozleciał. Rankiem przejechaliśmy przez Koszyce, jeszcze słowackie miasto średniowiecznéj postaci, otoczone murem ze strzelnicami, basztami i bramami, które dopiero otwierano gdyśmy wjeżdżali! Na rynku przed winiarniami obywatele posilali się winem czerwonem na śniadanie, zamiast kawy lub herbaty; byliśmy bowiem w kraju winnym, którego prawdziwą stolicą jest Erlau. Przejeżdżaliśmy następnie przez Miszkowiec, czyli Miskolcz — niezbyt odległy od Cisy a od którego zaczyna się kraj madziarski — przez, tylko co wspomniane, Erlau, po madziarsku Jäger, położone wśród sławnych winnic, zasłoniętych od północy parawanem gór neogradzkich, któremu zawdzięcza smak wyborny swoich gron; daléj przez Gyöngyös otoczony wieńcem ogrodów dostarczających Pesztowi kwiatów i owoców, które nie równają się jednak z owocami Banatu, i ku wieczorowi, trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Preszowa, stanęliśmy w węgierskiéj stolicy.

Już było zapóźno, żeby się tego samego dnia przedstawić Kossuthowi. Poświęciliśmy więc resztę wieczora na zwiedzenie miasta. Peszt od niedawnego czasu zaczął się był podnosić i prócz swojego szerokiego Dunaju, kilku dosyć pokaźnych budowli, mianowicie hotelów nowo wystawionych nad jego brzegiem i imponującego położeniem swojem na wysokim wzgórzu, królewskiego zamku w Budzie, nic nie miał, coby uwagę cudzoziemca na siebie ściągało.

Zresztą było to wtenczas jeszcze raczéj niemieckie niż madziarskie miasto; w sklepach i na ulicach język niemiecki przeważnie było słychać. Wstąpiliśmy do jednego księgarza, u którego widziałem wystawionych niemało

broszur i książek w madziarskim języku i zażądawszy Przewodnika po Peszcie, powiedziałem księgarzowi sposobem komplementu, że madziarska literatura bezwątpienia kwitnie, skoro tyle u niego widzę publikacyi w tym języku.

Księgarz, który był Niemcem, rozśmiał się rubasznie. Te publikacye mój panie — odrzekł — dowodzą właśnie, że literatura madziarska jest poronionym płodem. Jest ich pełno u mnie dla tego, że ich nikt nie kupuje; próżno mi miejsce zawalają.

— Madziary więc nie lubią czytać? — spytałem go.

— Czytają — odpowiedział — ale tylko książki niemieckie, bo prawdziwym językiem klas wykształceńszych w Węgrzech jest niemiecki. Madziarskiego uczą się od niedawnego czasu i bardzo wielu jeszcze go się nie douczyło. Rozumieją go, ale nie są w stanie płynnie nim mówić, a mniéj jeszcze nim pisać.

— Więc patryotyzm madziarski — rzekłem — jest tylko powierzchownym?

— Patryotyzm madziarski — odparł księgarz — mało ma styczności z ich językiem; i dodał z ironią; opiera on się na czemsiś silniéjszem, to jest na ogromnéj miłości własnéj i pysze narodowéj Madziarów.

Uwaga ta rubasznego księgarza Niemca naprowadziła mnie na wniosek, że wszelka narodowość najdłużéj się utrzymuje ze swojemi odrębnemi cechami w ludzie prostym, i że tam ma właściwie swoje korzenie. Pychę klas wyższych może rząd zaborczy ująć sobie tytułami, orderami, łaskami różnego rodzaju, które go niewiele kosztują i tym sposobem łatwo je wynarodowia. Lecz lud prosty zostaje przez długie wieki wiernym swojéj przeszłości, jak to wi-

dzimy na Szląsku, i czasami z jego łona zdrowe soki wstępują w te klasy, niby wyższe a podobne do schnących konarów na drzewie burzą ztrzaskanem i ożywiają je napowrót życiem narodowem. Takie widowisko przedstawiły Czechy w peryodzie od ostatnich lat wieku zeszłego aż do środka teraźniejszego, kiedy widziano panów czeskich przed niedawnym czasem jeszcze zniemczałych, z nazwiskami swojemi rodowemi przetłómaczonemi na niemieckie, przeistaczających się napowrót w patryotów czeskich. Podobnyż fenomen zaczął się objawiać w Węgrzech na lat kilka przed naszą podróżą i zastaliśmy go w pełnym rozwoju.

Następnego dnia przed południem udaliśmy się do skromnéj kamienicy, w któréj komitet obrony krajowéj miał swoje biuro. Powierzyliśmy jednemu z urzędników nasze pełnomocnitwo, które wraz z podpisami stanowiło dosyć spory foliał, ażeby go prezydentowi wręczył i prosił od nas o wyznaczenie nam dnia i godziny na posłuchanie jeżeli go nam udzielić zechce. Niebawem wyszedł dyrektor policyi i oświadczył nam, że prezydent nie ma dziś jednéj minuty wolnéj, przygotowując wyprawę na odsiecz Wiednia, i że sam jutro wyjeżdża do obozu stojącego nad granicą austryacką, ale prosi nas, abyśmy mu towarzyszyli na statku parowym do Granu, a będzie mógł z nami szeroko rzecz naszą debatować. — Jeżeli panowie zgadzacie się na to, rzekł na końcu, bądźcie o 8 rano na wybrzeżu przed statkiem parowym, przedstawię was prezydentowi i wsiądziecie z nim na statek.

Ukłoniliśmy się, odpowiadając, że zastósujemy się do woli prezydenta i nazajutrz stawiliśmy się przed ósmą

rano na wyznaczonem miejscu, gdzie zastaliśmy tłum zgromadzony, by pożegnać ulubionego naczelnika narodu.

O ósméj przybył Kossuth w mundurze honwedów pod szaraczkowym surdutem, przypominającym małego kaprala i w kapeluszu z czarném piórem na kształt Franciszka I^go^. Za nim szła dosyć liczna świta, a w niéj dyrektor policyi, który mu nas przedstawił. Kossuth powitał nas uprzejmie i powtórzył zaproszenie, żebyśmy mu przez część drogi towarzyszyli. Wstąpiliśmy za nim na statek i przy odgłosie tysiącznych Elien z brzegu, mieszających się z hukiem kilku dział którym odpowiadało działko wiwatowe na statku, odpłynęliśmy w górę Dunaju.

III.

Kossuth stał czas długi na wązkim mostku nad pokładem blisko steru, a za nim był adjutant jego hr. Karol Leiningen (von Alt-Leiningen Westerburg), który go pokazywał ręką tłumom zgromadzonym na brzegach Dunaju, mianowicie na lewym brzegu, bliżéj którego płynął nasz statek. Były to gromady włościan z wiosek nadbrzeżnych i nieco dalszych, gęsto rozsianych w pobliżu Pesztu. Witały one grzmiącemi Elien a Kossuth! prezesa rządu, oswobodziciela włościan a ze statku odpowiadały im okrzyki: Elien a Madziar! Głowa już mnie zaczynała boleć od tego ciągłego hałasu, ale nakoniec wpłynęliśmy między puste pola; Kossuth zeszedł do swojej kabiny i wkrótce kazał nas poprosić do siebie. Zastaliśmy go w towarzystwie dr. Tausenau, którego nie wiem dlaczego, chciał mieć świadkiem naszéj rozmowy; podał nam uprzejmie rękę i wskazał miejsce obok siebie na kanapce. Wtenczas dopiero mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Był to w owéj epoce człowiek

w sile wieku; miał lat 46, średniego wzrostu, szczupłéj lecz kształnéj budowy ciała, twarzy pociągłéj, śniadawéj; z dosyć długim nosem prostym i nieco grubym, nosem słowiańskim, jedyną cechą jego chorwackiego z dziadów pochodzenia: włosy miał ciemne, wąs czarny zawiesisty i oczy czarne, nader wymowne, ale wejrzenie ich nie było wejrzeniem człowieka stworzonego do władzy, nie badało, nie przenikało nawskroś drugich, nie rozkazywało, przeciwnie, zdradzało w ciągu rozmowy własne jego wrażenia i częstokroć myśli, których wypowiedzieć nie chciał. Był to bowiem przedewszystkiem mówca, szczery, sercowy, lubujący się w swojem słowie i ufający mu zupełnie, bo słowo było jego siłą, dźwignią którą poruszał masy, a kiedy płynęło z jego ust, rozlewało się zarazem i na całéj jego twarzy. Ale podobny dar ma zwykle stronę odwrotną, która najlepsze chęci świetnego mówcy zdradza, gdy wejdzie na pole praktycznego działania i tak było z Kossuthem jak to zobaczemy w następstwie. Zapytał on nas po niemiecku, czy mówimy tym językiem, odpowiedziałem mu, że kolega mój mówi tylko swoim językiem rodowitym, a co do mnie rozumiem dobrze język niemiecki, tak, iż nawet słuchać w nim mogłem kursów uniwersyteckich, ale w mówieniu nim, mało mam wprawy, i jeżeliby to panu prezydentowi było jedno, nierównie łatwiéj rozmówiłbym się z nim po francuzku. — „Na nieszczęście, rzekł Kossuth, jestem względem francuzczyzny w takim samym stosunku, w jakim pan jesteś do niemczyzny, to jest, że ją bardzo dobrze rozumiem, ale bardzo licho nią mówię. Jest jednak sposób zaradzenia téj trudności, a ten jest, że ja będę do pana mówił po niemiecku, a pan do mnie po francuzku“. Skłoniłem się

wielce zadwolniony z tego układu, i chciałem sprawę moją wprowadzić, ale Kossuth dał mi znak ręką, że chce sam głos zabrać, umilkłem więc. Raz, czy dwa wysunąłem się z mojem zdaniem w ciągu jego przemówienia, lecz mi znowu dał znak ręką, żeby mu nie przerywać; odtąd słuchałem go w milczeniu i tylko szum pary, regularne tętna maszyny i plusk fal, wtórowały jego słowom.

Streszczę, co mi powiedział w tem pierwszem przemówieniu, które trwało dobre pół godziny.

— Nie pierwsi panowie — rzekł mi — przybywacie do mnie z propozycyą utworzenia w Węgrzech siły polskiéj. Już mi kilka takowych uczyniono w rozmaitych warunkach i z rozmaitemi planami w dodatku. Pewien dawny pułkownik polski, zamieszkały w Węgrzech (dowiedziałem się późniéj, że to był pułkownik Jerzy Bułharyn), radził mi, ażebym utworzył jak najprędzéj korpus polski, i dodawszy mu dywizyę huzarów wyprawił go do Galicyi, zapewniając mnie, że samo ukazanie się chorągwi polskiéj wywoła powstanie w téj prowincyi; być to mogło ale o trzy mile od naszych granic jest Windischgrätz i Jelaczyc, przeciw którym wszystkie siły nasze ściągnąć nam trzeba było. Hrabia Adam Potocki, żądał odemnie rzeczy wprost przeciwnéj, to jest, żebym mu dozwolił uformować za ziemi węgierskiéj pułk polski, który on własnym kosztem wystawi i utrzyma, ale wyłącznie dla sprawy polskiéj, a Węgrzy go w żadnym wypadku użyć nie będą mogli. Odmówiłem wręcz; Węgrzy nie potrzebują mieć u siebie wojska któreby nie służyło na ich obronę — i znów trzech panów przybyłych ze Lwowa od jakiegoś komitetu młodzieży, przyobiecywało mi spro-

wadzić na obronę Węgier 6 do 8 set dziarskich młodzieńców, nie żądając nic więcéj jak tylko ażebym z nich uformował batalion polskiéj piechoty, szwadron jazdy i pół bateryi artyleryi, wprost w charakterze najemników, których po ukończeniu wojny wolno nam będzie rozpuścić. Nie dałem jeszcze na to odpowiedzi. Dziś panowie przychodzicie z propozycyą w większych rozmiarach i opartą na dosyć mocnym fundamencie, skoro macie za sobą półtora tysiąca młodych ludzi, którzy, jak sądzicie i czemu bardzo wierzę, przyciągnąć mogą pod swoją chorągiew całe młode pokolenie polskie; ale wieleż to trudności — ileż niebezpieczeństw dla Węgier, gdybyśmy przystąpić chcieli do wykonania waszéj myśli. My mamy poddostatkiem ludzi — młodych, silnych, doskonałych na żołnierzy — tylko nie mamy czem ich uzbroić. Znaleźliśmy w arsenałach wszystkiego 40 tysięcy karabinów i z nich więcéj niż połowę rozdaliśmy już Honwedom, korpusom partyzanckim i nowo tworzącym się pułkom. Mam wprawdzie nadzieję, że w niedługim czasie zapomożemy się w broń bądź z fabryk naszych, bądź z zagranicy, lecz teraz mamy jéj bardzo mało i jeżeli uzbroję Polaków, to nie będe mógł uzbroić Węgrów, a lubo wysoko cenię polską waleczność, mogęż Polakom przed Węgrami powierzyć obronę kraju? To jest jedno pytanie, za którem podnosi się drugie nierównie ważniejsze a mianowicie, czy wasze mundury narodowe i wasze orły nie ściągnęłyby na nas Moskali? Oto są skrupuły i obawy, które budzą we mnie wszystkie propozycye polskie w ogólności, a wasza w szczególności. Dr. Tausenau, potakiwał głową tym słowom. Jeżeli panowie, rzekł Kossuth w końcu, widzicie jaki sposób dopomożenia skutecznie sprawie węgierskiéj, nie

narażając jéj z drugiéj strony na zgubę, proszę mówić, słucham.

Spytałem go, czy mogę mówić otwarcie, odkładając wszelką dyplomacyę na stronę.

— I owszem — odpowiedział mi — im szczerzéj mówić będziecie tem łatwiéj się porozumiemy — jeżeli porozumienie się jest możebnem.

— Więc przedewszystkiem panie prezydencie — rzekłem — (Kossuth nie przyjmował tytułu ekscelencyi), niech mi wolno będzie oświadczyć, że pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem ze wszystkiego, coś mi pan raczył powiedzieć, jest ten, iż stanowczo nie życzysz sobie współudziału Polaków w sprawie węgierskiéj, ponieważ zdaniem pańskiem współudział ten zamiast być pomocnym, może ściągnąć na Węgry interwencyę moskiewską. Ale jest-że rzeczą pewną, że bez polskich mundurów i polskich orłów, Moskale nie wtargną do Węgier w ciągu obecnéj wojny?

— Jest to przynajmniéj mniéj pewnem — odparł Kossuth.

— Mniéj pewnem odrzekłem, jeżeli wojsko austryackie samo podoła Węgrom, lecz jeżeli szala zacznie przeważać na stronę Węgier, sądzisz-że pan, iż Rosya spokojnie na to patrzeć będzie, jak gdyby obojętnem jéj było, czy obok niéj istnieje w całéj swojéj dawnéj potędze monarchia austryacka związana z nią odwiecznemi sojuszami, despotycznie rządzona i trzymająca Galicyę na uwięzi, czy się rozpada, ażeby na jéj miejscu powstało grono mniejszych państw republikańskich lub konstytucyjnych, przeciwnych jéj polityce zaborczéj? Rzućmy okiem na przeszłość.

Od podziału Polski, Rosya opiera się na potrójnem przymierzu, przywodzi mu, jest jego spojnią i nieraz już poświęciła mu swoje zbyt gorące zachcianki, z obawy, żeby się nie rozchwiał, bo idąc ręka w rękę z Prusami i Austryą, dzieląc się z nimi swojemi łupami, lub ofiarując im kompensacye w innych stronach, rozszerza się powolniéj ale bezpieczniéj. Przymierze to jest dla niéj zabezpieczeniem przed niebezpieczeństwem tych koalicyj europejskich, które dwukrotnie zachwiały potęgę Francyi — za Ludwika XIV i za Napoleona — a zarazem jest zabezpieczeniem wzajemnem trzech mocarstw samowładnych przeciw duchowi rewolucyi. Dlatego to na widok ustępstw, jakie w Marcu poczyniły ludom rządy Austryi i Prus, car Mikołaj wydał ów groźny krzyk lwa zranionego, który obudził wnet reakcyę w Prusach. Lecz car nie przestał na téj groźbie. Już od wybuchu rewolucyi lutowéj w Paryżu zaczął się przygotowywać do wojny i dziś jest zupełnie gotowym, gdy tymczasem ruch ogólny ludów Europejskich, który mu zagrażał jest, z wyjątkiem Węgier, wszędzie sparaliżowany. W Węgrzech rozstrzyga się ostatecznie sprawa między ludami a monarchami i jeżeli rząd austryacki sam Węgrom niepodała, to cesarz Mikołaj nie byłby czem jest — to jest typem wszechwładnego cara, godnym następcą Iwanów i Piotra, gdyby nie przyszedł mu w pomoc, czy go będzie o to prosić, czy nie, a prawdopodobnie rząd austryacki w złym razie nie zawaha się uciec pod jego opiekę.

— Och, wtenczas — rzekł Kossuth — niewątpliwie odwołamy się do Polaków prawem odwetu.

— Będzie to za późno — odpowiedziałem. — Polacy nie mają gotowego wojska, a co gorsza Węgrzy

mają go tylko garstkę; ta garstka może oswobodzić Wiedeń, nie przeczę temu, jeżeli Wiedeńczycy mają dosyć siły, ażeby z nią skutecznie współdziałać. . . .

— Mają najmniéj stopięćdziesiąt tysięcy gwardyi narodowéj uruchomionéj — odezwał się dr. Tausenau.

— Ale oswobodzenie Wiednia — mówiłem daléj — nie rozstrzygnie sprawy węgierskiéj. Rząd austryacki jest dobrze obwarowany w Kromieryżu i prócz armii Windischgrätza ma jeszcze armię Radeckiego we Włoszech. Będzie więc miał do wyboru, albo ściągnąć tę drugą armię, poświęcając czasowo Włochy, albo wezwać Rosyę na pomoc; w każdym razie Węgrzy, rzucając rękawicę Rakuskiemu domowi, powinny być przygotowane na długą, uporną, niebezpieczną walkę, a mogąż w obecnych warunkach wystawić potrzebną po temu siłę? Cóż znaczy, że mają ludność, liczną, waleczną, patryotyczną, kiedy nie mają ani broni dla niéj, ani oficerów dla wytworzenia z niéj porządnéj armii, kiedy nawet wszystkie zakłady wojenne pozostawione są dotąd pod zawiadywaniem Niemców, w braku uzdolnionych do tego krajowców, a Niemcy ci widocznie zdradzają położone w nich zaufanie.

Te uwagi moje, do których podał mi temat szlachcic węgierski, znany już czytelnikowi, poruszyły snać drażliwą strunę u Kossutha, bo twarz jego się zachmurzyła i rzucił na mnie zimne — urażone wejrzenie.

— Wszakże pozwoliłeś mi panie prezydencie — rzekłem w odpowiedzi na to wejrzenie — mówić do siebie otwarcie?

— Mów pan daléj, mów — odpowiedział.

Ciągnąłem więc daléj rzecz moją: Jeżeli wtrąciłem się do szczegółów sytuacyi militarnéj Węgier — mówiłem

to dlatego, że właśnie sytuacya ta przemawia bardzo silnie za połączeniem solidarnem sprawy węgierskiéj ze sprawą polską, które mogą wzajemnie się podpierać i złączonemi siłami obu narodów otrzymać zwycięztwo jedna i druga, a rozdzielone i zostawione każda saméj sobie, prawdopodobnie upadną obydwie.

Pierwsza pomoc, jaką Polska udzielić może Węgrom, jest dać im tyle oficerów, ile ich potrzebować będą — zacząwszy od poruczników, aż do jenerałów. Jenerałowie i w znaczniejszéj części wyżsi oficerowie nasi odbyli nietylko kampanię w 1831 roku ale i wojny Napoleońskie; młodśi zaś powychodzili z różnych szkół wojskowych, które istniały w Polsce za czasów konstytucyjnych, a w bitwach 1831 r., okazali się godnymi swoich starszych towarzyszów broni. Jedni zaś i drudzy są w większéj części na wygnaniu.

Kiedym to mówił, chmura na czole Kossutha rozpraszała się stopniowo i oczy jego zajaśniały na nowo wyrazem serdecznéj uprzejmości. — O! na jenerałach i wogóle na oficerach polskich — rzekł przerywając mi — polegałbym z nieograniczoną ufnością, ale jesteś-że pan pewnym, że oni zechcą w znacznéj liczbie wejść do służby węgierskiéj? Między nimi są różne partye, a ci, którzy się kupią około księcia Czartoryskiego, zdają się więcéj pokładać nadziei w dyplomacyi niż w jakiemkolwiek zbrojnem działaniu.

— Wszakżeż i sam książę Czartoryski — odparłem — pojechał do Poznania wraz z swoimi najbliższymi przyjaciołmi, jak tylko się rozpoczął ruch narodowy w téj części Polski. Wszystkie bowiem stronnictwa emigracyi polskiéj w jedno się łączą wobec chorągwi polskiéj, gdy się ona gdziekolwiek pokaże i możesz pan być przekonanym,

że oficerowie polscy wyżsi i niżsi, którzy tylko mają jeszcze siły, pospieszą do Węgier, ażeby służyć węgierskiéj sprawie, jeżeli będą mieli rękojmię, że Węgrzy poprą nawzajem wszystkiemi siłami swojemi sprawę polską. Jako prości zaś najemnicy nie przyjdą oni — lub najwięcéj przyjdzie ich kilku, i takich właśnie, na których najmniéj polegać można, bo emigracya polska, jak każde ciało zbiorowe, ma swojego ducha i swój punkt honoru, który się na tem zasadza, ażeby służyć tylko sprawie ojczystéj, a nie plamić jéj w oczach świata, służąc obcym sprawom jako najemnicy.

Kossuth zamyślił się i powiedział po chwili:

— Stawiasz mnie pan w trudnéj alternatywie.

— Mojem zdaniem — odrzekłem — nie ma tu żadnéj alternatywy, sprawa węgierska jest sama przez się ściśle złączona ze sprawą polską z podwójnego względu. Raz, że Węgry pomyśleć nawet o tem nie mogą, aby się dla nich otworzyła jakaś przyszłość bez Polski niepodległéj, którąby im służyła za przedmurze od Rosyi, — Kossuth dał głową znak potakujący. — Drugi raz, że i dziś już Węgry przygotowane być powinny spotkać za Austryą Rosyę, jak to starałem się dowieść. Czyż więc nie lepiéj im iść śmiało naprzeciw niebezpieczeństwu, niż dać się przez nie zaskoczyć niespodzianie, to jest; przyjąć współudział Polaków i mieć w odwodzie — zamiast ją odpychać — tę wielką siłę, jaką znaleźć mogą, ku pomocy sobie, w powstaniu w Polsce w razie najścia Moskali?

Mając polskich oficerów, polskie legiony i powstanie w Polsce w perspektywie, mogą Węgrzy wystąpić do walki z Austryą i Rosyą z nadzieją zwycięztwa — Europa

będzie za niemi. Bez Polaków nie dadzą rady samej nawet Austryi, skoro nie mają pomiędzy sobą oficerów do uorganizowania porządnéj armii.

Kossuth i dr. Tausenau, spojrzeli po sobie.

— Kwestya to jest arcy-ważna — odezwał się demokrata wiedeński — i może najwłaściwiéj byłoby traktować ją dopiero po rezultacie wyprawy pod Wiedeń.

— Przedewszystkiem — rzekł Kossuth — należy ją dokładnie sformułować. O cóż chodzi? Panowie proponujcie, uformowanie legionów polskich w Węgrzech, — nie wchodzę nateraz w szczegóły tego projektu, — i warujecie ażeby te legiony nie były rozpuszczone, dopóki los Polski nie rozstrzygnie się raz jeszcze na polu bitwy — wszakże takie jest wasze żądanie?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Na korzyść naszą w tym układzie — mówił daléj Kossuth — dodajesz pan zapewnienie, że na wezwanie nasze przybędzie znaczna liczba oficerów polskich, wyższych i niższych rang służyć węgierskiéj sprawie.

— Mam to przekonanie — odrzekłem.

— Czy podejmujesz się pan jechać w takiéj misyi do Francyi? — spytał Kossuth.

— Z największą chęcią — odpowiedziałem.

— A więc co do mnie, prywatnie — rzekł Kossuth podając nam rękę — przyjmuję propozycyę panów w zasadzie, ale, jako naczelnik komitetu obrony, potrzebuję być do takowego przyjęcia upoważnionym, choćby w sposób ogólny przez sejm, a zatem rzecz nie może być zupełnie zakończona, aż za powrotem moim do Pesztu. Jeżeli panowie nie macie innych jakich interesów w naszéj sto-

licy, towarzyszcie mi aż do końca wyprawy pod Wiedeń; wrócimy razem do Pesztu.

Skłoniliśmy się jak najgrzeczniéj ja i mój kolega na to uprzejme zaproszenie. Dołożyłem potrzebny komplement i rozmowa weszła na drogę poufalszą. Kossuth, przybierając ton serdecznéj szczerości, który go czynił niezmiernie ujmującym, powiedział nam, że jest tyle prawie Polakiem, ile Węgrem.

— Byłem jeszcze młodym — mówił — nie miałem spełna lat trzydziestu i zaczynałem zawód adwokacki, gdy wybuchła wasza rewolucya. Aż do tego czasu żyłem bez wiary w postęp historyczny, bez nadziei w lepszą przyszłość dla ludów; przekonany, że chyba cud jaki sprowadzi tryumf sprawiedliwości na ziemi. Kto żył w państwie Austryackiem pod Metternichowskim systematem, łatwo ten pesymizm pojmie. System ten, który zresztą był tylko wydoskonaleniem dawniejszych systematów, przetwarzał zwolna liczny ów zbiór różnorodnych plemion, zostających pod berłem Habsburgów, w jedną ogromną masę czterdziestu milionów idyotów, i zdawało się, że nie ma sposobu temu przeszkodzić, tak przewrotnie obmyślone były wszystkie środki rządowe. W niemieckich prowincyach rząd popierał przynajmniéj rolnictwo, przemysł i handel, ale w Węgrzech tak jak w waszéj polskiéj Galicyi, nie dopuszczał żadnych materyalnych nawet ulepszeń. Poczciwy Seczeni (Szecseni), jedyny w owym czasie patryota węgierski, zużył życie i poświęcił znaczną część swojego wielkiego majątku ażeby podnieść trochę bogactwo krajowe, a we wszystkiem rząd stawiał mu uporne przeszkody. . . I tak nigdy nie uzyskał on pozwolenia na zbudowanie dróg bitych. A jednak magnaci nasi

i większa część szlachty, już zniemczeni, popierali ten rząd dlatego, że ich średnowieczne przywileje podtrzymywał; prosty lud zaś ślepo w niego wierzył. Jakżeż tu było marzyć o niepodległości Węgier? Nikt też u nas o tem nie marzył. Inaczéj się działo u was. Wy, Polacy, którzy jesteście pod potrójnem jarzmem, nie przestaliście nigdy myśleć o odzyskaniu waszéj ojczyzny wolnéj i niepodległéj i wasze powstanie listopadowe przypominało staréj Europie heroiczne czasy. Od 29 Listopada z każdym dniem rosło podziwienie i współczucie ludów dla was. Dla mnie sprawa wasza stała się jakby moją sprawą ojczystą, gdyż wasz heroizm obudził nareszcie węgierskiego ducha. Rozniecić tę iskrę, stało się przedmiotem mojéj ambicyi, celem mojego życia i zacząłem tę pracę w 1832 r., kiedym założył dziennik litografowany pod tytułem Sejm, który zdawał sprawę ze wszystkich obrad sejmowych; czego rząd nie dozwalał. Rozsyłałem ten dziennik po wszystkich komitatach i mogę powiedzieć, żem stworzył pierwszą opozycyę sejmową. Odpokutowałem to dwuletniem więzieniem, lecz z więzienia wyszedłem silniejszym niż byłem i stworzyłem demokratyczne stronnictwo za pomocą Peszteńskiéj Gazety, któréj przez kilka lat byłem głównym redaktorem. Stronnictwo demokratyczne wysłało mnie do Izby, następnie wyniosło do władzy i z jego współudziałem mogłem zdemokratyzować Węgry, a teraz mamy i nasze powstanie listopadowe . . . oby się lepiéj powiodło jak wasze! Widzicie panowie, że cała karyera moja zaczyna się od 29 Listopada 1831 r., i że mogę się uważać za syna waszéj rewolucyi.

Tu Kossuth zwrócił się do historyi naszéj walki, rozstrząsał z nami, to jest ze mną i dr. Tausenau,

główne jéj wypadki, następnie wypytywał się o naszych jenerałów, o emigracyę, jéj koleje, jéj byt dzisiejszy, a mówił z tak przyjaznem, tak serdecznem a przytem nieco poetycznem uczuciem, że ta pierwsza parogodzinna z nim rozmowa była dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Przytoczę kilka słów jego, ażeby pokazać, w jakiem świetle widział naszych wojaków z 1831 r.

— Walka wasza — powiedział mi zostawiła na umyśle moim takie wrażenie, iż w każdym wojskowym polskim widzę postać epopejową — prawdziwego rycerza — i nie przypuszczam, aby na nim mogła być jakaśkolwiek zmaza, bo rycerstwo jest waszym duchem narodowym. Na nieszczęście brak wam było w r. 1831 takiego wodza, jakich miewaliście w świetnéj epoce waszéj historyi. Ten byłby Moskali za Dniepr przepędził po zwycięztwie pod Dębem Wielkim. Bodajby się znalazł teraz taki, czy to między wami, czy między nami, a Węgry i Polska będą wolne i niepodległe.

Uważałem w ciągu rozmowy, ze Kossuth kilkakrotnie wypytywał się ciekawie o Mierosławskiego i spostrzegłem, że wyobraźnia jego dosyć skłonna do szlachetnych złudzeń, trzymała w odwodzie tego przywódcę niedoszłego powstania w 1846 r. jako przypuszczalnego wodza, zdolnego stanąć na wysokości polsko-węgierskiego zadania.

Rozmowę naszą przerwały krzyki Elien z nad brzegu Dunaju i strzały z armaty wiwatówki na naszym statku, a szum wypuszczonéj pary z maszyny, oznajmił nam, że dobijamy do lądu. Kossuth się zerwał.

— To Weitzen (Wacow), rzekł. Tu czekają na mnie honwedy z całéj okolicy; muszę największą część ich pociągnąć za sobą pod Wiedeń, co mi zajmie parę

godzin. Panowie — dodał obracając się do nas trzech — obejrzyjcie miasto a potem możecie wrócić na statek; macie tu książki, dzienniki, karty, warcaby dla rozrywki.

Wysiadł na brzeg, poszliśmy za nim, przypatrywaliśmy się jakiś czas widowisku licznie zebranych honwedów, do których Kossuth przemawiał i którzy go słuchali z rosnącym entuzyazmem; potem obejrzeliśmy wspaniałą katedrę Wacowską, jedyną budowę godną widzenia w tem mieście, którego słowiańska nazwa świadczyła nam, że jesteśmy w kraju Słowaków.. i wróciliśmy na statek

Dr. Tausenau opowiadał nam wypadki wiedeńskie, sławiąc je na ton liryczny. — Dowiedzieliśmy się od niego, że na wieść o zbliżaniu się Windischgrätza wysłany on został do Kossutha o pomoc, że Kossuth długo się ociągał, nie chcąc, jak mówił zejść z drogi legalnéj; że żadał, aby go wezwał urzędownie sejm w Kromieryżu, który ze swojéj strony nie chciał wejść na drogę rewolucyjną; że przed kilku dniami dopiero na ponowne i rozpaczne wezwanie Wiedeńczyków a przytem na usilne jego, Tausenaua, namowy, zdecydował się nakoniec przejść Rubikon. Demokrata wiedeński utrzymywał, że przez ten śmiały krok Kossuth wprowadził sprawę demokratyczną nietylko w państwie Austryackiem ale w całych Niemczech, w całéj nawet Europie, na nowe tory.

— Dotąd — mówił on — każdy lud tylko o sobie myślał, Węgrzy mianowicie, stali na bezczelnie samolubnem stanowisku usiłując wyzyskać na swoją wyłączną korzyść wszystkie te pojedyncze wybuchy ludów państwa Austryackiego, które wielkich kłopotów nabawiają dynastyę panującą, ale nie są w stanie rozprządz monarchii. Owoż

wobec tych zawikłań Madziary do tego tylko dążyli, ażeby uzyskać dla siebie samorząd, a następnie ściągnąć dwor do Pesztu i zrobić z Węgier środek ciężkości państwa Habsburgów. Nie udało się to i Kossuth, spostrzegał coraz jawniéj, że dom rakuzki, pobiwszy Włochów, poskromiwszy Czechów, jeżeli teraz jeszcze przytłumi rewolucyę wiedeńską, to z całą siłą swoją obróci się na Węgrów. Moc okoliczności nakłoniła go więc przyjść w pomoc Wiedniowi i wprowadzić tym sposobem w czyn wielką zasadę solidarności ludów, w któréj, jedynie, jest zbawienie dla Węgrów, dla Niemców i dla was Polaków — chodzi o to tylko, czy nie zapóźno wziął to postanowienie. Podróż nasza zajmie dni kilka, bo Kossuth ma wstępować do wszystkich znaczniejszych miast po drodze, ażeby pociągać za sobą honwedów; w samym Granie mamy zabawić dwa lub trzy dni; z Presburga będziemy ciągnąć lądem pod Wiedeń razem z honwedami a jest ze dwa etapy na téj drodze — zgoła nie będziemy pod Wiedniem jak za sześć lub siedm dni a tymczasem kto wie, czy Windischgrtätz nie zmusi głodem naszéj bohaterskiéj stolicy do kapitulacyi?

— Miejmy nadzieję, że tak nie będzie — odezwałem się.

— Nie tracę też jeszcze nadziei — odpowiedział Tausenau — i owszem oczekuję téj pięknéj chwili, gdy Węgrzy w Schwechat pod Wiedniem zapalą jaką stodołę podług umowy, ażeby dać znać Wiedeńczykom, że już przybyli, a Wiedeńczycy odpowiedzą im racą z wieży świętego Stefana.

Na téj rozmowie upłynęło parę godzin. Kossuth wrócił na statek; dwa czy trzy inne statki parowe przy-

płynęły były za nami, podczas gdyśmy stali pod Wacowem; honwedzi wsiedli na nie i popłynęliśmy daléj razem wśród okrzyków z brzegu i ze statków. Wkrótce dano obiad, przy końcu którego znalazłem się w niemałém kłopocie.

Doktor Tausenau wniósł toast na cześć Kossutha i przy téj okoliczności wypalił mowę kwiecisto-demokratyczną, którą zakończył wyszukanym frazesem, że jeżeli Kossuth uosabnia w sobie jednym cały rząd węgierski, to dlatego, ażeby nie było dwóch słońc na węgierskiem niebie.

Kossuth odpowiedział mu i miałem sposobność ocenić po raz pierwszy urok jego słowa. Była to wymowa daleka od wszelkiéj napuszystości, bez klasycznych peryodów; płynęła naturalnie, gładko, potoczyście, i to podnosiła się do efektów dramatycznych, to spadała na ton poufały, czasem żartobliwy, a słuchacze przechodzili z entuzyazmu do szczerego śmiechu. Przy końcu mowy, niespodzianie obracając się ku nam, rzekł:

— Panowie mamy między sobą dwóch reprezentantów bohaterskiego narodu polskiego.

Tu wyliczył tytuły, jakie Polska ma do współczucia świata całego i do przyjaźni poszczególnéj Węgrów, a zakończył toastem następującym:

— Pijmy na cześć naszych odwiecznych sprzymierzeńców Polaków. Obyśmy ich jak najprędzéj widzieli wolnymi, złączonymi w jeden potężny naród, jakim byli przed zbrodnią podziału, a niech pomną na przyjaźń skojarzoną niegdyś między Polską a Węgrami, gdy oba narody miały na tronach swoich książąt z rodu Jagiellonów.

Wszyscy z entuzyazmem wychylili ten toast. Ja zaś czułem się przytłoczony ciężarem wdzięczności. Otóż to bieda na mnie, mówiłem sobie w duchu, trzeba na to piękne przemówienie odpowiedzieć. W jakimże języku? Po niemiecku nie potrafię, po francuzku nie zrozumieją i pytanie czy zdołam choć słówko jedno bez zająknienia powiedzieć, bo jeszcze nigdy publicznie nie mówiłem. Na szczęście przypomniałem sobie, że znam jeden wyraz węgierski, jeden tylko ale elektryczny i że ten może mnie wyratować; powstałem więc i wystąpiłem śmiało z oracyą francuską, bardzo krótką, to prawda, ale zakończyłem ją owym szczęśliwym wyrazem, to jest okrzykiem: Elien a Kossuth! Elien a Magiar! i zyskałem powszechne oklaski, jak gdybym powiedział mowę w Cycerońskim stylu.

Wieczorem przybyliśmy do Granu, gdzieśmy wszyscy na ląd wysiedli. Kossuth stanął w wspaniałym pałacu arcybiskupa, który jest Prymasem Węgier i używa jak niegdyś Prymas Polski książęcego tytułu, ale który natenczas wyjechał był umyślnie, aby nie przyjmować, niemiłego katolickiemu duchowieństwu, gościa w swojéj arcybiskupiéj stolicy.

Nam dwom wyznaczono mieszkanie u wikaryusza jeneralnego. Miał on osobny pałac a raczéj okazałą kamienicę, w któréj mieszkał wraz z nim drugi wikaryusz i dwóch czy trzech innych księży. Był to staruszek z białą zupełnie głową — bardzo poważny w swojem obejściu — przyjął nas uprzejmie i podejmował przez te parę dni które przepędziliśmy w Granie, nietylko gościnnie ale nawet wykwintnie; wprawdzie niebyło w tem nic nadzwy-

czajnego, bo dom jego urządzony był na stopę prawie pańską.

Pomimo całéj uprzejmości swojéj, nie zataił nam poczciwy staruszek swojego zdziwienia, że nas Polaków i katolików widzi w otoczeniu Kossutha kalwina; starałem się wytłumaczyć mu, że nasza misya nie ma nic wspólnego z religią, że jest czysto polityczną, ale cała wymowa moja nie trafiła do przekonania tych poczciwych księży.

Byliśmy jak dwaj obwinieni przed sądem, na szczęście przed sądem nader uprzejmym, a sumienie nasze nic nam nie wyrzucało.

Czas upłynął nam w Granie bez znudzenia, oglądaliśmy katedrę zbudowaną na wzór bazyliki św. Piotra w Rzymie w znacznie mniejszych, ma się rozumieć, rozmiarach, ale jeszcze kolosalnych. Grubość murów w podziemiach i średnica kolumn portyku są niemal takie, jak w Paryskim Pantheonie. Wspaniała ta świątynia nie była jeszcze w owéj epoce zupełnie wewnątrz ukończona. Przypatrywaliśmy się także codziennie przeglądom honwedów i zadziwiajacym skutkom wymowy Kossutha, która tych spokojnych dotąd ludzi poruszała elektrycznie i zmieniała nagle w wojowników. Po każdem przemówieniu jego, kompanie i bataliony całe, z małym wyjątkiem, ofiarowały się iść bezzwłocznie do walki.

Zbywające chwile spędzaliśmy na przechadzkach. Gran przedstawia się nader malowniczo; wznosi się na piętrzących sie wzgórzach; na najwyższem z nich króluje katedra, któréj kopułę widać o parę mil dokoła. Miasto otoczone jest ogrodami, winnicami i zielonemi

naddunajskiemi łąkami. Gdyśmy wrócili z Kossuthem do statku, żeby w dalszą puścić się drogę, zastaliśmy całą flotyllę paropływów, tworzącą orszak naszemu statkowi. Jedne z nich były też same, które szły za nami od Wacowa i odwiózłszy będących na nich honwedów na przeznaczone miejsce, wróciły do Granu, inne były świeżo przybyłe z Pesztu; jedne i drugie zapełnili honwedzi z Granu i popłynęliśmy wszyscy razem przy zwykłych okrzykach, po których rozpoczęły się na towarzyszących nam statkach śpiewy narodowe, które to ustawały, to znów się rozlegały za nami przez resztę drogi naszéj na Dunaju.

Płynęliśmy przez dwa dni, Kossuth wstępował do różnych miejscowości; w ważniejszych, jak w Komornie i innem miejscu, nie pamiętam już jakiem, nocowaliśmy, Kossuth w mieście, my dwaj zaś, dr. Tausenau i parę osób z otoczenia Kossutha na statku. W téj drugiéj części podróży naszéj, miałem jeszcze długie pogadanki z Kossuthem. Głównem ich przedmiotem była misya, jaką mi chciał dać do Francyi, a która się stopniowo rozwijała w jego myśli. Chodziło mu najprzód o to, żebym mu sprowadził oficerów polskich jak to już nadmieniłem wyżéj, i w tym względzie mówił mi, że trzeba mi będzie znosić się z posłem węgierskim w Paryżu, hrabią Wł. Telekim, w którym zupełne pokładał zaufanie, i który miał w ręku znaczne fundusze węgierskie. Wymieniłem mu jednak niektórych jenerałów i wyższych oficerów, którzy zdaniem ogólnem najwięcéj okazali talentu w kampanii 1831 r., a na czele ich stawiałem jenerała Prądzyńskiego.

— Myślałem ja już o nim — powiedział mi na to — ale dowiedziałem się, że on bardzo chory w Krakowie, i nie ma nadziei, ażeby się mógł wydźwignąć.

O innych jenerałach naszych nie miał wyrobionéj opinii, ale myśl jego krążyła około jednéj osobistości, która przed niedawnym czasem wzbudziła była wiele zawodnych nadziei, to jest około Mierosławskiego.

— Nie ujmuję — mówił on — talentom i charakterom już doświadczonym, ale do okoliczności nowych, trzeba ludzi nowych. Dla Mierosławskiego wojna wasza 1831 roku była tylko szkołą, z któréj skorzystał, jak się to dobrze pokazuje z jego dzieł. W roku 1846 wystąpił samodzielnie i śmiało, zbyt śmiało może, ale droga jaką obrał, była jedyna, na któréj Polskę zbawić można, to jest, droga demokratyczna. Wszakże to do was kiedyś powiedział Napoleon: „że czego chcą miliony ludzi i chcą szczerze i statecznie, to w końcu stać się musi". Chodzi o to, żeby te miliony ludzi poruszyć, jedną myślą ożywić i do walki wyprowadzić. Tego chciał Mierosławski w 1846 r. Czy środki jego były dobrze obmyślone, to trudno osądzić; został schwytany przez Prusaków, gdy zaledwie wziął się do dzieła, jednak już sie masy ruszały, a obrona jego przed sądem była dla niego prawdziwym tryumfem moralnym.

— Widzę — rzekłem z uśmiechem — że pan prezydent radbyś go widzieć w Węgrzech.

— Nie taję się z tem — odpowiedział Kossuth — nie powierzyłbym mu wprawdzie odrazu żadnego dowództwa, wypróbowałbym go najprzód w sztabie głównym, dałbym mu rangę pułkownika z głosem doradczym na

radach wojennych, i jeżeli, jak sądzę, przyniósłby na te rady myśl młodą, pełną życia i siły, to zostałby szefem sztabu, a byłoby to szczęśliwem zdarzeniem, gdyby taką myśl młodą można skojarzyć z doświadczeniem praktycznem starego jenerała.

Nie miałem nigdy tak wysokiego wyobrażenia o Mierosławskim, ale kiedym się z nim rozstawał w korpusie kadetów Kaliskich, on miał lat 18, ja nie miałem 15cie i trudno mi było na wspomnieniach z owego czasu opierać sąd o człowieku, który z młodzieńca stał się człowiekiem dojrzałym i mógł się był wyrobić. Wolałem też milczeć. Kossuth mówił mi następnie o innem jeszcze poleceniu, które miał mi dać do Francyi. Rząd węgierski zamówił był znaczną ilość broni w Anglii i we Francyi, a hr. Teleki opatrzony był w fundusze potrzebne na zapłacenie i odstawienie jéj, lecz zachodziło pytanie jaką drogą broń tę sprowadzić do Węgier, o tem zaś Kossuth zadecydować nie mógł, póki los wyprawy jego pod Wiedeń nie był rozstrzygnięty. Powiedział mi tylko nawiasem, że jeżeli broń tę wypadnie sprowadzić morzem, co było najpodobniejszem, to możnaby na tymże statku wyprawić ochotników z młodéj emigracyi we Francyi, którzyby się ofiarowali wstąpić do polskich legionów.

Mówiliśmy także i o ogólnéj sytuacyi Europy, a chcąc mile pogłaskać miłość własną Kossutha, wysunąłem się ze zdaniem, że jeżeli on, jak spodziewam się, zajmie Wiedeń a za sobą w Węgrzech zostawi organizującą się dwukroćstotysięczną armię, to zaopanuje te ogólną sytuacyę i będzie mógł nie tylko Węgrom otworzyć wielką przyszłość, ale dać syntezę wszystkim tym bezładnym aspi-

racyom i ruchom ludów europejskich, których początkiem była rewolucya Lutowa we Francyi.

Tak — być to może, odpowiedział Kossuth zamyślony — a oczy jego błyszczały płomieniem entuzyazmu. — Snać trafiłem w jego marzenie, które było także, przyznaję, po części i mojem. W owéj epoce wierzono w logikę wypadków, w wielkie syntezy dziejowe, w ciągły postęp ludzkości na wszystkich drogach. To filozoficzne credo, do którego najpobożniéjszy chrześcianin mógł się przyznać, było szczególniéj pocieszającem dla Polaków bo im ukazywało w perspektywie odrodzenie ojczyzny, jako niechybny wynik logiki dziejowéj. Dlatego też wszystkie wypadki ważniejsze, które się pod oczami naszemi wytaczały, przybierały dla nas znaczenie nierównie donioślejsze niżeli go miały w istocie. W roku 1848 mianowicie myśleliśmy, że już się wali budowa kongresu wiedeńskiego a na jéj miejsce powstanie porządek inny, oparty na prawach narodowościów — na solidarności ludów — na sprawiedliwości w jéj najwyższem znaczeniu. Smutne doświadczenia lat następnych bardzo osłabiły tę piękną wiarę i sprowadziły na jéj miejsce ohydny materializm — samolubstwo narodów i cześć siły brutalskiéj. Przejdzie i ta faza — nowe pokolenie przekona się, że postęp jest niewątpliwie prawem ludzkości, tylko nie trzeba go mierzyć podług drobnéj skali ludzkiego żywota które jest jedną chwilką na zegarze dziejowym; trzeba, o ile to podobna, wznieść się na stanowisko bezwzględne i wiekuiste, z którego Opatrzność Najwyższa baczy na pochód rodu ludzkiego, a wtenczas zrozumiemy historyę .... ale wróćmy do wypadków wyprawy węgierskiéj.

Trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Granu, wylądowaliśmy rankiem w pobliżu Presburga, ale na przeciwnym brzegu. Zastaliśmy tam obóz honwedów. Byli to ci których Kossuth zabrał ze sobą z Wacu i do których przyłączyli się byli inni z Raab. Z nami przybyła z Granu niemała ich liczba, tak, że razem uformowała się siła kilkunastu tysięcy honwedów, a wozów nagromadzonych tam z wiktuałami, winem, drzewem, ze słomą i próżnych była ogromna liczba. Przypomniały mi się dawne tabory naszych husarzy z tą różnicą, że wozy husaryi naszéj związywano razem i robiono z nich szańce ruchome dla osłonienia obozów, gdy tymczasem wozy węgierskie sprawiały tylko ogromny nieład w obozie, w marszach i na polu bitwy, jak się to pokazało niebawem.

W tym dalszym ciągu drogi do Schwechat jechaliśmy my dwaj Polacy wpośród honwedów na wózku węgierskim bardzo porządnym i dosyć wygodnym, a marsz wojska był dosyć podobny do przyjemnéj przechadzki. Po ujściu pierwszéj milki, wojacy nasi zatrzymali sie w pięknym lasku, odszpontowali beczki z winem i posilili się sowicie tym narodowym napojem. Po drugiéj milce obiadowaliśmy i spoczywaliśmy parę godzin. Milkę daléj jeszcze stanęliśmy na nocleg. Było to w Parendorfie wiosce austryackiéj na pograniczu węgierskiem. Nazajutrz dopiero 31 Października przybyliśmy o zmroku do Schwechat, gdzieśmy się połączyli z główną armią węgierską, stojącą już od miesiąca na obserwacyi w okolicy między wioskami Parendorf, Elen i Schwechat. Cała ta armia stanowiła niewielką kupkę, obozującą na pochyłościach jednego pagórka, i wątpię, ażeby wynosiła więcéj nad 20,000

ludzi. Kossuth sprowadził był kilkanaście tysięcy honwedów, razem więc było w Schwechat trzydzieści kilka tysięcy wojska węgierskiego. Windischgrätz miał pod swojem dowództwem więcéj niż dwa razy tyle żołnierzy, lecz pomimo téj nierówności sił, Węgrzy gdyby byli przyszli w porę, działając wspólnie z Wiedeńczykami mogli go byli zmusić do odstąpienia od oblężenia. Na nieszczęście w przeddzień przybycia Węgrów, Wiedeń już był wzięty o czem Kossuth ani się domyślał. Wieczorem według umowy z Wiedeńczykami, Węgrzy zapalili jakąś pustą budowlę i czekali, w odpowiedzi, na race które oblężeni mieli wypuścić z wieży świętego Szczepana, ale daremnie zwracali oczy ku téj wieży, którą dobrze widać z Schwechat — nic się nie pokazywało. Nie rozpaczali jednak, sądząc że Wiedeńczycy zaniedbali postawić kogo na straży na wieży, i nie wiedzieli o danym im znaku.

W takiem to przypuszczeniu zdecydowali się wydać nazajutrz bitwę wojsku austryackiemu.

Ja i mój kolega, zawieruszeni w tę wyprawę, byliśmy w położeniu dosyć kłopotliwem, nie mieliśmy koni ażeby assystować Kossuthowi, uzbrojeniśmy byli tylko w laseczki, nie wiedzieliśmy więc co z naszemi osobami zrobić, ale gdyśmy się zabierali do spoczynku w ubogiéj kwaterze, jaką nam wyznaczono, przyszedł do nas adjutant Kossutha, hrabia Leiningen, i powiedział nam, że Kossuth radzi nam, abyśmy pojechali do Presburga i tam czekali na wynik bitwy; dodał przytem, że jest podwoda na nasze rozkazy. Bardzośmy wdzięczni byli Kossuthowi, że pamiętał o nas i nie zwlekając, siedliśmy na podwodę i pojechaliśmy

do Presburga. Czekaliśmy tam niecierpliwie wiadomości z pola bitwy. Trzeciego dnia powiadają nam w hotelu, że mnóstwo honwedów snuje się po mieście i że, podobno, rzeczy zły obrot wzięły pod Schwechatem. Wyszliśmy, ażeby zasięgnąć pewniejszych wiadomości, i spotykamy demokratę wiedeńskiego dr. Tausenau, który spostrzegłszy nas, przybiegł przywitać się z nami z wielkiemi objawami przyjaźni. Był on w całéj téj sprawie przy boku Kossutha w nadziei, że z nim tryumfalnie wejdzie do Wiednia, i będzie miał sposobność wypalić mowę, któréj rozgłos rozejdzie się po świecie całym.

Opowiedział on nam wszystkie szczegóły tego pierwszego niefortunnego spotkania się Węgrów z Austryakami. 1[go] Grudnia o świcie wojsko węgierskie stanęło w szyku bojowym. Naprzeciw niemu wystąpił Jelaczyc z Kroatami i częścią armii Windischgrätza; rozpoczął kanonadę, ale kule nie dochodziły do linij węgierskich; wśród téj kanonady, przybiega Görgöj do Kossutha i oskarza jenerała Mogę głównodowodzącego, że zdradza, że źle armię ustawił, że sam ze sztabem w dolinę się schował, zkąd widzieć nawet nie może co się dzieje na linii bojowéj, nakoniec, że armia żadnych obrotów dobrze wykonać nie jest wstanie, bo wozy plątają się między kolumami i zawadzają im.

Kossuth uwierzył oskarzeniom Görgöj'a i bardzo się zafrasował. Wysłał swoich adjutantów, żeby wozy w tył usunęli;. ci zamiast dotrzeć do wozów, krzyczeli zdaleka: Die Wagen retiriren; Artylerya i huzary, usłyszawszy słowo retiriren najdobitniéj wymówione,

myśleli, że to jest rozkaz ogólnego odwrotu i zaczęli się cofać nagle, co widząc inne pułki, zabrały się także do odwrotu. Wkrótce ten odwrot zmienił się w popłoch, w ucieczkę ogólną, którą Kossuth nadaremnie chciał wstrzymać; przybiegł do huzarów, błagał, zaklinał, żeby się wrócili na miejsce, ale popęd był dany, panika ogarnęła całe wojsko i nie pozostało Kossuthowi jak konia zwrócić i uciekać jak wszyscy. O sobie mówił Tausenau, że dostał się nad brzeg Dunaju i spostrzegłszy łódkę rybacką, najął ją za grube pieniądze, i na téj łódce przybył do Presburga.

Taki był koniec wyprawy Węgrów pod Wiedeń, po którój tyle obiecywaliśmy sobie wielkich skutków, niestety!

IV.

Przez parę dni byliśmy w wielkiéj niespokojności o Kossutha i o los armii węgierskiéj. Wybawił nas z niéj znowu demokrata wiedeński. 4 Listopada wpadł on do nas z doniesieniem, że armia węgierska przecież się znalazła, że jest w Parendorf, gdzie się udało nakoniec Kossuthowi z pomocą niektórych oficerów powstrzymać uciekających i przywrócić jakiśkolwiek ład w tym odmęcie pomięszanych batalionów, ale że zmartwienie, jakie mu ta ucieczka sprawiła i wszystkie trudy z któremi miał do walczenia, oddziałały na jego nie zbyt silną kompleksyę, i że wczoraj wieczór przyjechał chory do Presburga.

Wyszedłem natychmiast wywiedzieć się o jego zdrowiu. W mieszkaniu, które zajmował, — był to zdaje się jakiś gmach rządowy, — była wielka sala, gdzie się gromadzili Węgrzy z jego otoczenia i gdzie można było wejść bez żadnego meldowania. Wszedłem tam. Hr. Leiningen natychmiast zbliżył się do mnie i powtórzył mi prawie toż samo, co nam już opowiadał Tausenau. Dodał tylko, że Kossuth dziś rankiem oddał jenerała Mogę pod

sąd wojenny (który, mówiąc nawiasem, uznał go niewinnym) a Görgöj'a mianował jenerałem i tymczasowem dowódcą całéj armii. Tę ostatnią nowinę oznajmił mi z widocznem niezadowolnieniem, które podzielała cała armia i ogół publiczności. Görgöj w nikim zaufania nie wzbudzał. Przyznawano mu wprawdzie wiadomości wojskowe, jako niegdyś uczniowi akademii wojskowéj w Wiener-Neustadt. Nie odmawiano mu i odwagi osobistéj, któréj dał był dowody w krótkiéj walce z Kroatami, ale był to człowiek młody niedoświadczony, w którego minie napuszonéj, ruchach i oczach siwych z wejrzeniem zimnem jak połysk stali, malowały się zarozumiałość, pycha i ambicya bez skrupułu. Zresztą od początku kryzys węgierskiéj, która go zastała porucznikiem austryackim, piął się ciągłemi tylko intrygami do coraz wyższéj rangi. Już w ciągu kroackiéj kampanii dołki kopał pod Perczelem, którego świeżo nabyta sława była mu solą w oku, a odkąd Kossuth objął władzę prawie dyktatorską, słaniał mu się nieustannie, wysuwając się z coraz nowemi projektami i w obec niego tak układał swoją powierzchowność, że się wydawał innym zupełnie człowiekiem, niżeli był rzeczywiście. Był potulnym, miał głos słodziutki i wejrzenie dziecka, które się do ojca swojego z miłością zwraca. Kossuth dał się schwycić na ten lep, tem łatwiéj, że podług jego teoryi do okoliczności nowych trzeba ludzi nowych i to był bezwątpienia argument, który w myśli jego przemawiał głównie za Görgöjem, ale na młodość, zdolność i odwagę jego zakredytował mu zbyt wiele, wynosząc go — niedawno porucznika — na wodza naczelnego armii węgierskiéj i zdając tym sposobem los Ojczyzny w jego ręce. Tak samo myślał

i Leiningen, po chwili milczenia powiedział bowiem mi, że teraz już zapewnie Kossuth żałuje, iż tak pospiesznie zamianował Görgöja jenerałem i wodzem.

— Dlaczegoż by tak prędko już miał żałować? — spytałem go.

— Ach! — odrzekł — bo mam jeszcze jedną ważną nowinę panu oznajmić. J. Bem potrafił ujść z Wiednia i przemknął się do Presburga. Był u prezydenta, nie ma temu pół godziny i prezydent po rozmowie z nim odżył, jest w weselszym humorze i zdaje się zdrowszym.

A czy mógłbym go widzieć? spytałem przerywając mu.

Bezwątpienia — odpowiedział Leiningen. — Wszakże on pana zawsze mile widzi a pogadacie o Bemie. Radbym wiedzieć, co on z nim zrobi, bo trudno przypuścić, ażeby starego doświadczonego jenerała oddał pod rozkazy młokosa, który niczem się nie odznaczył jak Görgöj. To powiedziawszy, poszedł do przybocznego pokoju i wkrótce wrócił z oznajmieniem, że Kossuth prosi mnie do siebie.

Zastałem go w łóżku, pobladłym, z przygasłemi oczami a na twarzy jego widać było zmęczenie i zniechęcenie. Wyciągnął ku mnie rękę białą i kształtną jak u kobiety.

— Ot, widzisz pan — rzekł — od czego zależy los wypraw wojennych; jeden rozkaz źle zrozumiany i wyprawa zwichnięta; — szczęściem, że nas nie gonili, bo cała armia byłaby zgubioną. Co mnie najdotkliwiéj ubodło — mowił daléj — to tchórzostwo naszych huzarów dotąd zawsze tak walecznych; przybiegłem do nich, tłomaczyłem omyłkę, zaklinałem, ażeby wrócili na dawne

stanowisko i nie plamili sławy głośnéj na świecie całym węgierskich huzarów, ale popłoch między nimi był taki, że mnie ani słuchać chcieli. Uciekali wciąż; i to przed niczem. Teraz trzeba koniecznie choćby malutkiego jakiego odwetu dla podniesienia ducha w wojsku i w narodzie; inaczéj sprawa Węgierska zgubiona w sposób haniebny.

Starałem się dodać mu otuchy, ale patrząc na tego człowieka, który nie mając władzy w ręku, tyle rzeczy śmiałych, tyle zmian radykalnych w swoim kraju dokonał słowem i piórem, a mając władzę chwiał się, nie umiał się poznać na ludziach i po pierwszéj cięższéj próbie, musiał się kłaść w łóżko, mówiłem sobie: tajemnica jego charakteru jest w jego ustroju nerwowym, raczéj kobiecym niż męskim. Ztąd ten wdzięk szczególny w jego obejściu się, którym wszystkich ku sobie pociąga, ale ztąd także te optymistyczne złudzenia, te poszepty miłości własnéj nader drażliwéj i te wpływy nerwowe które w chwilach najważniéjszych biorą w nim górę nad zimnym i praktycznym rozumem męża stanu. Kossuth opowiedział mi nagłe zjawienie się Bema przy jego łóżku, co było dla niego najmilszą niespodzianką, jaka nadarzyć mu się mogła. Spytał mnie, czy znam tego jenerała, a na moją odpowiedź, że go nigdy nie widziałem, powiedział mi, że właśnie oczekuje jego przybycia i przedstawi mnie jemu.

Z powodu Bema rozpoczęliśmy raz jeszcze mówić o wojnie 1831 roku, o bitwie ostrołęckiéj, w któréj on ocalił armię naszą i o szturmie Warszawy, który zmylił jego rachuby. Utrzymywał bowiem na radzie wojennéj, że główny atak Moskali będzie od strony Królikarni i Mokotowa,

zkąd rzeczywiście mogli się łatwo dostać w środek miasta, gdy tymczasem oni całą siłą uderzyli na punkt nierównie daléj wysunięty, na Wolę, ale znaleźli ją słabo bronioną i zdobyli ją w pół godziny. Gdym się zapuszczał w szczegóły téj ostatniéj wielkiéj walki naszéj, któréj wspomnienie tkwiło natenczas żywo jeszcze w mojéj pamięci, jak gdyby się wczoraj dopiero odbyła, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna pięćdziesięcio-kilko-letni, dosyć słusznego wzrostu, średniéj tuszy, z twarzą zupełnie wygoloną, bladą, nieco nalaną, rysami bez charakteru męzkiego, oczami zamglonemi, w surducie zapiętym aż pod szyję, i halsztuku bez kołnierzyka. Byłbym go wziął za kościelnego sługę w świątecznem ubraniu, gdyby go Kossuth nie był powitał z oznakami wielkiéj czci, tytułując go jenerałem. Był to Bem. Pod tą powierzchownością pedela krył się wojownik z sercem nieustraszonem i duszą nieugiętą jak żelazo. O Lawaterze! jakże często ludzi mylisz. Kossuth zaprezentował mnie.

— Czy krewny jenerała — spytał mnie Bem.

— Syn — odpowiedziałem.

— Widzę po wstążce krzyża polskiego, którą nosisz, żeś służył w 1831 r.

— Tak jest.

Na to skłonił mi się lekko głową i obróciwszy się do Kossutha zaczął rozwijać mapę, którą z sobą przywiózł.

Kossuth mnie poprosił, ażebym kazał przywołać Görgöja. Wyszedłem, powiedziałem hr. Leiningen, czego żąda Kossuth i wydaliłem się na miasto; ale chcąc pomówić z Bemem, w godzinę potem wróciłem przed dom, gdzie mieszkał Kossuth. Chodziłem jakiś czas tam i na-

powrót po ulicy, nareszcie u drzwi domu tego spostrzegłem Bema, rozmawiającego z półkownikiem, późniejszym jenerałem Bułharynem*).

Zbliżyłem się do nich i opowiedziałem Bemowi cel naszego pobytu przy Kossucie. Słuchał mnie dosyć zimno, w końcu spytał zkąd weźmiemy oficerów do naszych legionów? odpowiedziałem mu, że mam jechać do Francyi dla sprowadzenia takowych; p. Bułharyn dołożył, że przybyłych z Galicyi oficerów polskich jest już dzisiaj znaczna liczba w Peszcie.

Bem głową potrząsnął i rzekł: — Inna to rzecz była formować legiony pod osłoną Francyi, kiedy Francya głosiła po świecie zasady wolności, równości, braterstwa i biła na wszystkich punktach koalicyę mocarstw despotycznych, a inna rzecz formować je w Węgrzech zamkniętych w kółku swoich malutkich, egoistycznych interesów wrogich wszystkim słowiańskim narodom i które się nigdy nie odważą na walkę z Moskwą.

— Będą do tego zmuszone — odrzekłem.

— Dużo o tem mówić, powiedział, ja nie mam czasu w obecnéj chwili tem się zajmować, bo wyjeżdżam pokierować wyprawą na korpusik austryacki Simonicza,

---

*) P. jenerał Bułharyn w dziele swojem Rys wojny węgierskiéj w Paryżu 1852, druk Martinetta wspomina o mnie i o moim koledze w tych słowach: „W Presburgu zastałem nową deputacyę z dwóch członków młodéj emigracyi polskiéj, to jest z téj co niedawno kraj opuściła. Było ich do dwóch tysięcy w Galicyi“. Więcéj nic nie mówi, ale też raz tylko spotkałem w Węgrzech Bułharyna, który zupełnie obcym był wszelkim układom, tyczącym się formacyi legionów polsko-węgierskich i wszystko, co o tem mówi w swojem dziele jest bardzo niedokładne.

lecz za powrotem moim rozważymy tę rzecz bliżéj. To powiedziawszy skłonił się nam i odszedł.

Zostałem kilka chwil z p. Bułharynem, który mnie zapewniał, że Bem jest stanowczo przeciwny legionom polsko-węgierskim, i że nie przeciągnę go w tym względzie na naszą stronę.

„— Chce on, mówił Bułharyn, żeby, kiedy już młodzież polska garnie się do Węgier, porozrzucać oddziały polskie po całéj armii węgierskiéj. Jaką zaś w tém ma myśl i dla czego tak nieprzychylnym jest projektowi legionów, tego, doprawdy nie pojmuję i mocno nad tem ubolewam. Powodem do tego, zdaje mi się, była zbyt absolutnie pojęta i niewłaściwie w téj okoliczności zastosowana polityka ogólna Hotelu Lambert, do któréj jenerał Bem był wtajemniczony jako jeden z poufałych przyjaciół księcia Adama Czartoryskiego. Stary książe wiedząc aż nadto dobrze, że sprawa polska uważana była za ostatecznie straconą przez wszystkie gabinety i wszystkich wpływowych mężów stanu w Europie, jedną tylko przewidywał okoliczność w któréj by wystąpić mogła na porządek dzienny dyplomacyi Europejskiéj, pewnym był mianowicie, że Rossya prędzéj czy późniéj sięgnie jeszcze po Konstantynopol a wtenczas wszystkie inne mocarstwa przekonają się jawnie, że innego sposobu nie ma na powściągnięcie jéj nienasyconéj ambicyi, jak odbudować Polskę i takiem przedmurzem zasłonić od niéj wschód równie jak i resztę Europy. Z taką myślą przewodnią książe Adam Czartoryjski obrócił główną działalność na wschód, ażeby Słowian Zadunajskich odciągnąć z pod wpływu Rosyi i uczynić powolnemi swojéj polityce.

Niestety doświadczenie z roku 1855 okazało, że i ta rachuba była złudzeniem, bo w obec najgroźniejszego nawet niebezpieczeństwa ze strony Rosyi trzy naówczas najpotężniejsze w Europie mocarstwa nie czuły się już na siłach odbudować Polskę; lecz trudno mieć za złe księciu Czartoryskiemu, że tak nielogicznego rezultatu nie przypuszczał. Agenci jego na wschodzie pracowali bardzo czynnie i zręcznie i potrafili byli wielki wpływ pozyskać na Serbów i Bulgarów*). Prowadzili te politykę jeszcze w 1848 roku, kiedy Czesi podnieśli myśl jedności Słowiańskiéj poczynając od zjednoczenia Słowian w państwie Austryackiem. Myśl ta pozyskała sobie szczupłe tylko gronko zwolenników w Galicyi ale między niemi byli mężowie, którzy najwyżéj stali w spółeczeństwie, imieniem, bogactwem, ustaloną reputacyą prawości i patryotyzmu jako to: ks. Jerzy Lubomirski, ks. Władyław Sanguszko i hr. Adam Potocki. Zetknąwszy się z temi panami, — usposobiony już przychylnie dla Słowian pod wpływem Hotelu Lambert, lubo między polityką Hotelu Lambert a mrzonkami czeskiemi, którym ci ostatni dali się na chwilę uwieść był przedział ogromny — Bem wykombinował wraz z niemi plan, który miał pogodzić interesa słowiańskie, węgierskie i polskie. Jaki to był plan, to wyjaśnia list

*) Br. Zalewski — powiada w monografii Orpiszewskiego (Przegląd Polski na miesiąc Wrzesień 1875) że śp. ks. Jerzemu Lubomirskiemu jeden z wysoko postawionych mężów stanu w Austryi mówił w roku 1871: „Dowiedzioną jest rzeczą, że ze wszystkich państw europejskich, jedno tylko zrobiło coś dla cywilizacyi i przyszłości na wschodzie podtrzymując i podnosząc tam Unię, a to państwo (cette puissance) nazywa się książę Adam Czartoryski i jenerał Zamoyski“.

Bema do hr. Z., ogłoszony w Tygodniu z 13go Maja 1877 Nr. 36, który tu przytaczam:

Lwów 29 Września 1848 r.

„Węgrzy, z którymi Polska od niepamiętnych czasów w przyjaznych była stosunkach, znajdują się teraz w położeniu bardzo krytycznem. Kroaci tudzież inni Słowianie, którzy od kilku wieków z nimi są połączeni, podburzeni dzisiaj przez Niemców a nawet przez Moskali, powstali przeciw nim. Wojna domowa wzmaga się groźnie. My tylko Polacy, możemy powaśnionych pogodzić, nakłaniając Madziarów do zapewnienia Słowianom wszelkich swobód konstytucyjnych, a tych przekonywając, że dalszy ścisły związek z Madziarami jest dla nich najkorzystniejszy (sic).

„Do téj wielkiéj missyi, namówiłem syna JW. Pana Dobrodzieja. Książę Wł. Sanguszko, książę Jerzy Lubomirski i kilku innych najznakomitszych deputatów naszych należeć do niéj będzie. Jedziemy na Tarnów i Wiedeń, gdzie zebrawszy się, ułożymy plan działań naszych a ztamtąd do Pesztu udamy się. Formacya legii polsko-słowiańskiéj, do któréj cała emigracya się zaciągnie, pozwoli nam utworzyć w Węgrzech hufiec zbrojny, który naszéj interwencyi powagi doda, a który dla przyszłéj armii polskiéj zawiązkiem się stanie“.

Pierwszym więc celem Bema było, utworzyć legion polsko-słowiański, co oczywiście uskuteczniéby się nie dało gdzieindziéj jak na ziemi kroackiéj i w razie potrzeby wystąpić nawet jak się zdaje z medyacyą zbrojną między Węgrami a Kroatami. Jaki zaś był jego cel dalszy, trudno się domyśleć. Być może, iż spodziewał się

pogodzonych Węgrów i Kroatów pociągnąć przeciw Moskalom, ale cały plan spoczywał na mgle, i jak Bem przybył do Wiednia, już ta mgła była rozwiana. — Kroaci pobici uciekli byli na terytoryum austryackie, gdzie się wkrótce połączyli z armią Windischgrätza. W Wiedniu zaś wrzała rewolucya a demokracya rządząca w mieście, wzywała Węgrów na pomoc. Bem widział, że nie czas myśleć o godzeniu Słowian z Węgrami i zamiast jechać do Pesztu, przyjął dowództwo rewolucyi w Wiedniu. Gdy po wzięciu Wiednia przedarł się szczęśliwie do Presburga spostrzegł zapewnie wyraźniéj jeszcze, że występować ze swoim planem pojednawczym w owéj chwili byłoby śmiesznością, ale z drugiéj strony owe idee słowianofilskie, które wywiózł był z Francyi i zobowiązania się, jakie zaciągnął względem panów galicyjskich, czyniły mu wstrętnym wszelki projekt formowania legionów polsko-węgierskich, dla tego iż mogłyby przeciw Słowianom być użyte. Nie przewidywał, że Węgrzy zetrą się niebawem nie ze Słowianami lecz z Moskalami.

Zapatrywanie się jednak Bema na kwestyę węgiersko-polską było zrazu czysto teoretyczne, i nie byłby się przy niem długo upierał, jak się to późniéj pokazało, gdyby nie zaszła była okoliczność fatalna, która przeniosła na grunt węgierski namiętności, pretensye ambitne i nienawiści stronnictw emigracyjnych i doprowadziła je do scen, jakie się chyba tylko w małych Rzeczpospolitych włoskich odbywały.

Okoliczność ta znana dziś tylko dwom osobom: Kossuthowi, który nawet o wszystkich jéj szczegółach dokładnie nie wie, i piszącemu. Osoby, które w niéj główne rolę grały, a których interesem było zachować

rzecz całą w tajemnicy — już nie żyją i godzina sądu historycznego dla nich wybiła. Opowiem też wiernie lubo nie bez żalu, wszystko co zaszło. Przedtem jednak kilka słów powiedzieć mi należy o wyprawie, któréj dowództwo Kossuth powierzył był Bemowi. Chodziło o to, o czem już, jako o gorączkowem życzeniu prezydenta Węgier nadmieniłem wyżéj, aby jakąkolwiek choćby malutką korzyść odnieść nad Austryakami dla podniesienia ducha w armii. Owóż, parotysięczny oddział austryacki, pod dowództwem jenerała Simonicza, błąkał się po prawéj stronie małych Karpat na terytoryum węgierskiem, podczas gdy cała armia Windischgrätza, cofnąwszy się do Wiednia, po ucieczce Węgrów z pod Schwechat znajdowała się w murach téj stolicy, Görgöj zamierzył oddział Simonicza otoczyć i do poddania się zmusić; w tym celu wysłał z pod Parendorf jeszcze 4 Listopada dwie dywizye pod dowództwem pułkowników Gyion'a i Lazar'a, żeby go zaatakowali, jeden z północy drugi z południa. Nad temi to dwoma dywizyami naczelne dowództwo objąć miał Bem, ale gdy przyjechał na miejsce operacyi, już dwaj węgierscy pułkownicy, manewrując po omacku i tracąc czas na bezowocnych między sobą naradach, dozwolili byli Simoniczowi umknąć w wąwozy karpackie, gdzie ścigać go było już daremnem, i Bem wrócił, nic nie zdziaławszy do Presburga.

Tu zaczyna się ów smutny epizod w historyi działań polskich w Węgrzech, o którym tylko co napomknąłem, a który teraz opiszę.

Po wyjeździe Bema na tę pierwszą jego wyprawę w Węgrzech zaszedłem, zwyczajem moim, następnego

dnia około południa do sali w mieszkaniu Kossutha, gdzie zbierali się Węgrzy z jego otoczenia. Wszyscy oblegli mnie, pytając, czy nie widziałem polskiéj deputacyi, która przybyła do Presburga i przed chwilą przyjętą była przez prezydenta? Nic o tem niewiedzialem i była to dla mnie wielka niespodzianka. — Węgrzy mnie objaśnili, że jest trzech deputatów; dwóch członków Rad Narodowych ze wschodnéj Galicyi trzeci zaś wysłany z Krakowa jest jakąś znakomitością wojskową; że tym deputatom towarzyszy orszak obywateli i oficerów w mundurach ułańskich, a nakoniec, że przybyli w tym samym celu co my, to jest, układać się z Kossuthem o uformowanie legii polskiéj w Węgrzech. Nie wymieniono mi ich nazwisk, ale wskazano mi hotel, gdzie mieszkają.

Poszedłem z tą wiadomością do mojego kolegi i uradziliśmy, że w obec takiéj deputacyi, rola nasza skończona — lecz że nam należy iść do tych panów i powiedzieć im, na czem stanęły układy nasze z Kossuthem. Udaliśmy się więc do ich mieszkania i zastaliśmy w szczupłem pokoiku hotelowym dwóch z pomiędzy owych deputatów galicyjskich. Jeden był mały człowieczek, szczupły, przedwcześnie osiwiały, mówiący cicho, powolnie, trochę ochrypłym głosem, a po niedługiéj rozmowie można było poznać, że należy do bardzo rozrodzonego u nas gatunku safandułów. Drugi był wysoki, ogromnéj tuszy, prawdziwy kolos. W oczach jego i na całéj twarzy przebijała wielka intelligencya a ton stanowczy z jakim przemawiał za obudwuch pokazywał od razu, że towarzyszem swoim obraca jak lalką.

Pierwszym był Wysocki, drugim Józef Dierzkowski, członek Rady Narodowéj Lwowskiéj, którego widziałem

już był na posiedzeniu tejże Rady. Miał na niem mowę, a lubo przedmiot był suchy, mówił nader gładko, płynnie, jędrnie, i podziwiałem w nim ten dar wymowy, tak rzadki w Polsce. Poprzednio czytałem był kilka jego powiastek bardzo udatnych i nimem go osobiście poznał miałem już o nim wyobrażenie, że jest, co nazywają Francuzi: un homme d'esprit, czyli człowiekiem bystrego pojęcia i łatwego dowcipu. Przeszłości jego bynajmniéj nie znałem, a tem samem o charakterze jego żadnego wniosku czynić nie mogłem.

Opowiedziałem tym panom treść moich rozmów z Kossuthem i oświadczyłem w imieniu mojem i mojego kolegi, że teraz gdy oni przybyli w solennéj deputacyi z Galicyi, my ustępujemy z placu.

— Ale bynajmniéj — odezwał się Dzierzkowski — będziemy wszyscy razem składać jedną ogólną deputacyę polską: Wysocki z Krakowa, ja ze Lwowa, Borzęcki z Samborza, a panowie od młodéj emigracyi. Zaczęliście bardzo dobrze, prowadźcież rzecz daléj wespół z nami.

Powiedziawszy to, podał nam rękę, a Wysocki powtórzył nam jak echo też same oświadczenia.

Co do mnie, to skojarzenie się solidarne z ludźmi, których wcale nie znałem, nie bardzo mi się spodobało wyznaję to szczerze; instynkt mój zachowawczy, który mnie dotąd strzegł od wszelkich, improwizowanych stosunków, zażalił się w głębi mojéj istoty, jak gdybym go boleśnie zranił, ale nie widziałem możliwego pozoru, żeby się od téj spółki uchylić. Ci panowie przyjechali do Węgier w charakterze deputowanych z Galicyi i w tymże

samym celu, jaki my mieliśmy przed sobą — jakże mogliśmy się odosobniać? Nie było na to sposobu.

Przy końcu naszéj rozmowy przybył i trzeci deputat, wyżéj wspomniany Józef Borzęcki prezes Rady Narodowéj Samborskiéj jeżeli się nie mylę, wkrótce po nim zeszli się i obywatele składający orszak panów deputatów, a między nimi ułan jedyny, który w imaginacyi Węgrów w kilku ułanów się pomnożył*). Był to książę Józef Woroniecki. Nazajutrz trzéj panowie deputacyi i my dwaj wysłańcy młodéj Emigracyi byliśmy razem u Kossutha i oświadczyliśmy mu, że odtąd stanowimy jedną deputacyę polską; Kossuth był bardzo uprzejmym i rozmownym — Dzierzkowski potrafił go nawet kilkoma zręcznemi komplementami w doskonały humor wprowadzić.

Wieczorem zaproszeni przez panów deputatów, byliśmy znowu u nich i zastaliśmy jak poprzednim razem tylko Wysockiego i Dierzkowskiego. Dali oni nam do przejrzenia różne projekta, tyczące się organizacyi siły polskiéj w Węgrzech, urządzenia szkoły wojskowéj dla młodzieży polskiéj i inne podobne elekubracye, po większéj części nie na czasie. Nie śmiałem jednak wręcz tego powiedzieć, owszem pochwaliłem wszystko aby uniknąć nieskończonéj dyskusyi. Wtenczas Dierzkowski wystąpił z wnioskiem, do którego się wnet i Wysocki przyłączył, ażebym ja jako dosyć poufale już będący z Kossuthem, projekta te w imieniu ogólnem przedłożył mu i prosił o spieszną rezolucyę. Wszedłszy raz już w spółkę z temi

*) Ten mundur ułański był mundurem gwardyi narodowéj konnéj we Lwowie — ale ta zaledwo z kilku gwardzistów się składała.

panami, trzeba było brnąć dalej — przyrzekłem więc spełnić ich żądanie.

Tu dołożyć muszę szczegół drobiazgowy na pozór, ale który posłuży do wyjaśnienia następstw, jakie z poruczonego mi przez nich zlecenia wynikły. Dierzkowski wyszedł do innego pokoju z papierami, podczas gdy ja rozmawiałem z Wysockim. Po chwili wrócił i oddał mi papiery zwinięte w rulon i starannie obwiązane. Wręczyłem je następnego dnia Kossuthowi w dobréj wierze, że nic więcéj w nich się nie zawiera jak owe projekta, które mi do przejrzenia dano. Kossuth mi przyrzekł, że wszystko tegoż samego dnia uważnie przeczyta, i oświadczył mi, że nazajutrz wszyscy razem wyjedziemy do Pesztu; przyczem upoważnił mnie zaprosić w jego imieniu tak panów deputatów jak i towarzyszących im obywateli galicyjskich, ażeby wsiedli z nim na jeden statek — A w ciągu drogi, rzekł — przedyskutujemy razem przedłożenia wasze.

Przyszedłszy wieczorem do panów deputatów, zdać im sprawę z mojego widzenia się z Kossuthem znalazłem ich bardzo rozdrażnionych, a przyczyną tego było, że, przechodząc przed godziną koło mieszkania Kossutha, spotkali Bema, który wrócił do Pesztu i szedł do prezydenta. Przewidywali, że Bem wszystkie ich projekta zepsuje i wyrażali się o nim z wielką goryczą, szczególniéj też Dzierzkowski, który miał z nim jakieś zajście w Paryżu, i od tego czasu cierpieć go nie mógł.

Nazajutrz czekaliśmy wszyscy na Kossutha o naznaczenéj godzinie przy statku parowym. Spotkałem tam mojego nowego przyjaciela Tausenau'a, który o mało mi się na szyję nie rzucił. Kossuth przyszedł i skłonił się nam bardzo zimno, jak gdyby nas nie poznał, z nim był Bem,

za niemi Bułharyn i Węgrzy z otoczenia prezydenta; wsiedliśmy wszyscy za nim na statek, lecz Kossuth poszedł do swojéj kabiny i zamknął się w niéj. Czekałem napróżno parę godzin, żeby nas zaprosił na rozmowę, jak był przyrzekł. Pokazał się dopiero, gdyśmy przybyli do Komorna gdzie wysiadł i dwie godziny tam zabawił. Gdy wrócił, zasiedliśmy do obiadu; przy toastach Bem powiedział mowę po niemiecku, hucznemi oklaskami Węgrów przerywaną — Kossuth mu odpowiedział, ale do nas przez cały ciąg obiadu ani słówka nie przemówił. Widziałem wyraźnie, że coś zaszło, co postawiło między nim a całą naszą deputacyą, jakąś lodowatą przegrodę. Co to było? dojść tego chciałem koniecznie lecz czekałem długo jeszcze na sposobność zbliżenia się do niego. Po obiedzie zamknął się znowu w swojéj kabinie, wieczorem dopiero wyszedł z niéj z miną obojętną człowieka, który swoją pracę dzienną ukończył i chce dać myśli wypoczynek. — Zbliżył się do stołu, przy którym kilku Węgrów grało w karty; podszedłem ku niemu i powiedziałem mu z cicha, że po wszystkich dowodach uprzejmości jego dla mnie, i gdy na jego wyraźne żądanie od piętnastu dni podróżuję z nim, nie spodziewałem się podobnych oznak lekceważenia i niemal wzgardy jaką mi dziś okazuje.

— Pan sam temu winieneś — odpowiedział mi sucho.

— Jakto? — krzyknąłem — jakimże sposobem? Kossuth wstał i biorąc mnie na stronę, rzekł:

— Pan mi przedłożyłeś wczoraj dwa nowe warunki do kontraktu tyczącego się legii polsko-węgierskiéj. Warunek pierwszy ażebym pana Wysockiego mianował jene-

rałem i dowódzcą legii, a żądanie to opierasz na wysokiem i ogólnem poważaniu jakiego pan Wysocki używa w emigracyi, z podwojnego tytułu jako patryota zasłużony i jako oficer, odznaczający się głęboką nauką, znakomitemi zdolnościami wojskowemi i niezaprzeczoną odwagą. Warunek drugi, ażebym p. Dzierzkowskiemu dał przy rządzie węgierskim stanowisko ministra reprezentanta interesów polskich, które to stanowisko ma być odpowiedniem znaczeniu jego, jako członka rady narodowéj we Lwowie i sławie, ja kąso biezjednał we wszystkich częściach Polski swoim talentem pisarskim. Owoż dowiedziałem się z bardzo pewnego żródła — nie chciał powiedzieć, że od Bema — iż pan Wysocki jest tylko dawnym podporucznikiem wojska polskiego, i że żadnego tytułu nie ma do tego ogólnego poważania, którym, jak pan mienisz, ma być zaszczycanym w emigracyi; że pan Dzierzkowski nie jest czem innem, jak un chevalier d'industrie najgorszego rodzaju, żyjący z wyderkafów, z grubych nawet oszustw i którego prowadzenie się prywatne jest ciągłym skandalem. Nakoniec że ani jeden ani drugi nie są deputatami Galicyi, bo Galicya nie ma żadnego zgromadzenia reprezentacyjnego, mogącego wysyłać gdziekolwiek deputatów w imieniu kraju.

Słuchałem całéj téj przemowy z rosnącem zdumieniem.

— Kiedyż ja panu przedkładałem te warunki, o których mówisz — wykrzyknąłem z nader boleśnem uczuciem. Pan się mylisz, ja pana Dzierzkowskiego raz tylko widziałem we Lwowie na posiedzeniu Rady Narodowéj i przeszłości jego wcale nie znam, także i pana Wysockiego dopiero tu w Presburgu spotkałem, jakżebym mógł obudwu tak wysławiać.

— Chódźże pan ze mną — rzekł Kossuth tonem złagodzonym i wprowadził mnie do swéj kabiny.

Na stoliku leżały tam papiery, które mu przedłożyłem w przeddzień; z pomiędzy nich wydobył półarkusik pisma i dał mi go w rękę. Były to owe warunki, które mi przytoczył, ale szerzéj rozwiedzone i przedstawione Kossuthowi tak w imieniu tych dwuch panów jako i naszem?

— Więc spytałem Kossutha — to pismo było w jednym rulonie z projektami, odnoszącemi się do legii polskiéj.

— Nie inaczéj — odrzekł Kossuth — wszytkie te papiery, jak pan widzisz są jeszcze razem.

Ręce mi opadły; pomiarkowałem, że Dzierzkowski, wziąwszy projekta, które przejrzałem, niby dla zwinięcia ich i obwiązania sznurkiem, wsunął pomiędzy nie ów półarkusik zawierający pretensye osobiste obu tych panów, dołożywszy do nich frazes finalny, solidaryzujący mnie i kolegę mojego z nimi. Ale jakże to było powiedzieć Kossuthowi . . . . stałem chwilę zmięszany i milczący.

— Widzisz pan — rzekł Kossuth — co to jest zbytnia dobra wiara; można stać się bezwiednem narzędziem jakiejś intrygi, bo widzę aż nadto dobrze, iż pan ani się domyślałeś, żeś mi podał tak wygórowane żądania pana podporucznika Wysockiego, i pana literata Dzierzkowskiego, ale teraz muszę panu powiedzieć, że mając między nami tak znakomitego jenerała polskiego, jakim jest Bem, który zapewne obejmie naczelne dowództwo naszéj armii, bez jego porady nic nie postanowimy względem zamierzonego legionu polskiego.

Ukłoniłem się na to i wyszedłem, bo nie pozostało mi nic innego do czynienia. W salonie ogólnym zastałem Wysockiego, który siedział odosobniony i czatował na mnie.

— No i cóż? — spytał głosem przytłumionym od wzruszenia, biorąc mnie pod rękę.

Wyprowadziłem go na pokład, gdzie wśród ciemności nocnéj mogliśmy mówić bez innych świadków, jak ludzi ze służby statku, którzy się tam snuli.

— Cóżeście zrobili, rzekłem; nietylko żeście sobie samym zaszkodzili, ale bodaj czy nie zniweczyliście całego projektu legionów.

Opowiedziałem mu następnie, co zaszło między mną a Kossuthem, osłaniając ile się dało to, co zbyt boleśnie urazić mogło obu panów deputatów galicyjskich. Wysocki, który był dosyć ograniczonego umysłu i bardzo słabego charakteru, tak, że zawsze ktoś drugi nim kierował, ale gdy był zostawiony samemu sobie, miał natchnienia uczciwe i słuchał, co mu szeptał głos honoru, zaczął wyrzekać i rozpaczać zwalając wszystko złe na Dzierzkowskiego.

— On to, mówił, był autorem owéj noty z wygórowanemi pretensyami i on ją bez wiedzy mojéj wsunął między papiery, które pan miałeś podać Kossuthowi. . . . Teraz nie pozostaje mi, dołożył, jak napisać do Kossutha, że chcę być żołnierzem w legionie polskim i żadnéj innéj rangi ani pragnę ani przyjmę.

Gdyśmy kończyli tę rozmowę, ukazała się w cieniu ogromna postać Dzierzkowskiego. Wysocki wpadł na niego z wyrzutami, które on obojętnie przyjął.

— I cóż daléj? rzekł. Stało się, a w Peszcie odpłacimy się Bemowi za jego sztuczkę, bo tam już pełno jest młodzieży, która z nami będzie trzymać.

Wysocki jeszcze czas jakiś się dąsał, ale go Dzierzkowski swojem cynicznem szyderstwem powoli rozbrajał i nim przyjechaliśmy do Pesztu, już go był napowrót pod swój wpływ podgarnął.

W Peszcie, gdzieśmy wszyscy stanęli w jednym hotelu nad Dunajem, zastaliśmy rzeczywiście mnóstwo młodzieży galicyjskiéj, z niemi część niecierpliwszą młodéj emigracyi, która dała się pociągnąć przykładem Galicyanów, nie czekając na znak od nas, i znaczną dosyć liczbę dawnych oficerów Polaków, jednych ze służby austryackiéj, drugich nierównie liczniejszych z wojska polskiego z przed 1830 roku. Byli to, o ile sobie przypominam, z artyleryi naszéj: Łącki kapitan, Bienicki i Stobiecki porucznicy; z piechoty oficerowie różnego stopnia: Idzikowski, Grochowalski, Czernik, Matczyński, Żurowski, oraz nie wiem już jakiéj broni: Błeszyński, Wierucki, Żółtowski, Korzeliński, Dunowski i inni. Niebawem przyjechali, dawny kapitan czy major kawaleryi Tchórznicki z młodym Janem Alexandrem Fredro, który mu był pod opiekę oddany i Poniński, dziś jenerał dywizyi wojska włoskiego a naówczas młody, dymisiowany porucznik austryacki, wyszły ze szkoły inżynieryi w Wiedniu.

Mieszkanie nasze stało się jakby kwaterą główną, gromadzących się w Peszcie Polaków. Wszystkim spieszno było formować bataliony, szwadrony, baterye polskie i wszyscy garnęli się nie około Bema, ale, jak to przewidział był Dzierzkowski, koło Wysockiego i koło niego, a centralizacya demokratyczna w Paryżu taki urok wy-

wywierała na ówczesną młodzież naszą, że cały ten zastęp, który na początku grudnia już był w Peszcie, uważał Wysockiego za naturalnego, że tak rzekę, dowódcę przyszłéj legii, dla tego jedynie, że należał do téj centralizacyi; innego bowiem tytułu do tego nie miał; w Dzierzkowskim zaś widział pełnomocnika polskiego w Węgrzech, nie pytając się, czy miał po temu jaki legalny mandat i czy charakterem swoim zasłużyl na podobne zaufanie; dosyć było dla tych młodych ludzi, że był członkiem Rady Narodowéj we Lwowie i głośnym demokratą. Dodać należy, że niezaprzeczoną wyższością inteligencyi i wymowy, zdawał się rzeczywiście do takowéj missyi nader sposobnym.

Lecz jeżeli zdemokratyzowana młodzież polska, napływająca do Pesztu a za jéj przykładem i starsi ludzie, nawet oficerowie z przed 1831 roku, kupili się około tych dwóch reprezentantów demokracyi, to z drugiéj strony dla Kossutha, jego ministrów, mianowicie Messarosa ministra wojny i najwięcéj wpływowych członków Izby poselskiéj węgierskiej Bem był wyrocznią. Było już rzeczą prawie postanowioną, żę dowództwo naczelne armii węgierskiéj odjęte będzie Görgöjowi i jemu oddane, a Bem przeciwny z zasady formacyi legii polsko-węgierskiéj, jeszcze zażarciéj się jéj sprzeciwiał od czasu, jak się przekonał, że Wysocki pnie się na jéj naczelnika.

Rząd węgierski uległ jego wpływowi tem łatwiéj, że sam przez się niezbyt chętnym był wystawieniu pokaźnéj siły polskiéj w Węgrzech, mając to zawsze na myśli, że ona ściągnąć może Moskali na Madziarów.

Za przybyciem też Kossutha do Pesztu, Messaros, minister wojny zawiadomił Polaków, iż rząd przychylając się do propozycyi pierwszéj deputacyi Lwowskiéj, w imieniu

któréj występowali kapitanowie gwardyi narodowéj tego miasta Czernik i Matczyński (oficerowie z 1830 r.), pozwala na uformowanie batalionu, a tymczasowo dwóch kompanij polskich, pod dowództwem wyżéj wymienionych kapitanów, tudzież jednego szwadronu ułanów i jednéj bateryi artyleryi. Przytem rząd pozwala Polakom formować mniejsze oddziały, które będą przyłączane do batalionów węgierskich.

To postanowienie rządowe ubodło niezmiernie Polaków. Dawni oficerowie nasi, pierwsi o niem uwiadomieni, mieli się zejść u nas na naradę. Pochwyciłem chwilę, kiedy Wysocki był sam w domu i zacząłem pracować nad nim, żeby nie nakłaniał ich do natychmiastowego zerwania z Węgrami lecz żeby wprzódy uczynić krok solenny do Bema i spróbować, czy przemawiając do jego patryotyzmu nie potrafimy go nawrócić na naszą stronę w téj kwestyi legionów, która tak zły obrót wzięła a za jego wdaniem się mogłaby jeszcze inaczéj być rozstrzygnięta. Podjąłem się wybadać sam, czyby przyjął Bem i jakby przyjął deputacyę, któraby się w tym celu do niego udała. Wysocki długo się wzdragał, nakoniec zgodził się na proponowany przezemnie krok, a ja poszedłem wyszukać Władysława Jordana, adjutanta Bema, ażeby mi w téj sprawie pojednawczéj dopomógł. Znałem Jordana od kilku dni zaledwo, ale od pierwszéj chwili spostrzegłem, że nie był adjutantem dworakiem, że miał charakter niepodległy, trochę sceptyczny, trochę szyderski, lecz męzki i że przedewszystkiem był dobrym Polakiem. Znalazłem go łatwo, porozumieliśmy się prędko i poszliśmy razem do Bema.

Zastaliśmy go nadspodziewanie dobrze usposobionym. Po krótkiéj rozmowie powiedział mi:

— Przyjdźcie do mnie, będę wam bardzo rad i roztrząśniemy razem co jest za i przeciw legii polsko-węgierskiéj. Niech przyjdzie i Wysocki, nie jako centralizator, bo z takim do czynienia mieć nie chcę, ale jako młodszy do starszego, jako niższy oficer do jenerała, a przyjmę go z otwartemi rękami.

Wróciłem do domu przed naradą, o któréj wyżéj nadmieniłem i w skutek rozmowy mojéj z Bemem, którą Wysockiemu i Dzierzkowskiemu opowiedziałem, naradzano się już tylko nad tem, czy iść do niego czy nie iść? Wszyscy zgodzili się na to, żeby pięciu czy sześciu z nas poszło do niego w imieniu wszystkich Polaków, będących w Peszcie. Dzierzkowski proszony, żeby należał do téj deputacyi wymówił się, ale nazajutrz, gdy deputaci, w których liczbie i ja byłem, zgromadzili się i gdyśmy już mieli iść do Bema, wziął on Wysockiego na stronę i uzupełniając zapewne lekcyę, którą mu dał był w cztery oczy, rzekł dosyć głośno:

— Pamiętajże Wysocki, żebyście nie dali się Bemowi otumanić, trzeba z nim trzymać się hardo, przypomnieć mu legiony portugalskie i zagrozić, że jeżeli nam będzie przeszkadzał w formowaniu legionów w Węgrzech, to zaprotestujemy we wszystkich pismach publicznych przeciw jego postępowaniu i wykażemy, że gdy chodziło o jego prywatne korzyści nie wahał się frymarczyć krwią polską a teraz, gdy z kwestyi węgierskiéj wywinie się prawdopodobnie kwestya polska, nie chce, żebyśmy byli gotowi do walki.

— No, bądź spokojny, odrzekł Wysocki, będę ja wiedział, co mu powiedzieć — i tak nastrojony poszedł z nami.

Bem uprzedzony o naszéj wizycie, czekał na nas, przyjął bardzo uprzejmie, podał nawet rękę Wysockiemu.

— Jesteśmy tu panowie *en famille*, rzekł do nas, i zaczęła się rozmowa poufała i ożywiona.

Jenerał nam powiedział, że nigdy nie był stanowczo przeciwny legionom, ale nie chciał, żeby je formowano od samego początku kampanii węgiersko-austryackiéj a to z wielu przyczyn. Mianowicie, żeby przy organizowaniu armii węgierskiéj nie wprowadzać w nią rozdwojenia a ztąd anarchii, następnie, żeby nie ściągnąć przedwcześnie Moskali na Węgry, nakoniec, żeby nie podać się w nienawiść Słowianom, których przez tyle lat staraliśmy się ująć sobie i których powinniśmy łagodnie doprowadzić do zgody z Węgrami. Zdaniem jego lepiéj jest uformować jeden tylko batalion polski i małe oddziały, porozrzucane po armii węgierskiéj, któreby powoli wcielano do tego batalionu i tym sposobem batalion wyrósłby niepostrzeżenie na legion, a legion na armię polską.

Zbijaliśmy ten system różnemi argumentami, szczególniéj tem, że zostawiłby nas na łasce Węgrów, i że młodzież polska nie rozumiejąc takiéj, trochę zawikłanéj polityki, rozeszłaby się z Węgier, zniechęciła w kraju innych młodych ludzi gotowych biedz pod chorągiew polską, i w skutku tego nie byłoby może ani jednego polskiego batalionu.

Tu Wysocki wysunął się niezgrabnie z przypomnieniem legionu portugalskiego i Bem wpadł w zły humor.

— Och! ten legion portugalski *c'est toujours votre cheval de bataille*, odezwał się cierpko i zaczął usprawiedliwiać ten nieszczęsny koncept, lecz

rozmowa zwróciła się niebawem znowu do legionu polsko-węgierskiego.

Bem oświadczył nam, że skoro życzeniem ogólnem jest, aby taki legion był bez zwłoki utworzonym, obowiązkiem jego jest przyłączyć się do ogółu, pod warunkiem wszelako, że legion ten będzie uorganizowany dawnym trybem wojskowym, a nie na zasadzie demokratycznéj wyborów na oficerów i podoficerów. Wszyscyśmy się na to zgodzili, prócz Wysockiego, który milczał. Jeden głos się odezwał, żeby choć dowódzca legionu był wybrany ogólnem głosowaniem.

— Niechże będzie wybrany, odrzekł Bem, ale wyłącznie przez tych, którzy do legionu mają należeć — chodziło mu zapewne o to, ażeby Dzierzkowskiego od głosowania wyłączyć.

Zgodziliśmy się i na to i już zabieraliśmy się pożegnać jenerała, gdy Wysocki, który nie chciał odejść, nie wyrecytowawszy swojéj lekcyi, wystąpił z napomnieniem do Bema mniéj więcéj w tych słowach: Niechże jenerał przyrzeczenia swojego nie zapomni, bo inaczéj będziemy protestowali i uczynimy jenerała odpowiedzialnym przed narodem i światem całym za zniweczenie nadziei, które budowaliśmy na sprawie węgierskiéj.

Bem nie dał mu skończyć — twarz jego zwykle blada i zimna, przybrała wyraz zajadły.

Takim zapewne był w ogniu bitwy, gdy w Siedmiogrodzie sam jeden rzucał się na działa nieprzyjacielskie; uderzył ręką w stół.

— Tak! krzyknął, protestować, szkalować, szarpać najzasłużeńsze reputacye, to wasze rzemiosło! protestujcież

więc i szkalujcie! ja z wami już nic nie mam do czynienia, idźcie precz!...

Nie było podobna naprawić złego, które głupstwo Wysockiego zrządziło. Wyszliśmy ze smutkiem w duszy. Wysocki tylko był pyszny, jakby dopełnił wielkiego obywatelskiego obowiązku! W jaki sposób zdał sprawę Dzierzkowskiemu z widzenia się naszego z Bemem i co uradzili we dwóch, tego nie wiem, lecz następnego ranka usłyszałem gwar idący crescendo w naszym wspólnym salonie. Zajrzałem tam. Była to młodzież nasza, która się gromadziła na wezwanie, zapewne Wysockiego; niektórzy byli już w mundurach kompanij polskich, które im w przeddzień rozdano. Gdy już salon i korytarze były napełnione, ukazali się dwaj wrzekomi deputaci galicyjscy. Wysocki powiedział mowę do młodzieży tonem zimnym, ale żółć się z niéj lała. Była to ciągła diatryba na Bema, którego wystawiał jak intryganta, myślącego zawsze i wszędzie tylko o swoich osobistych korzyściach, na dowód czego przytaczał ową starą i oklepaną historyę legionu portugalskiego, a przystępując do okoliczności obecnych, oskarzał go, że nie wiedzieć w jakich widokach sparaliżował dobre chęci rządu węgierskiego dla Polaków i w niwecz obrócił projekt legionów polsko-węgierskich. Zakończył radą, ażeby młodzież opuściła Węgry, bo nie godzi się Polakom służyć obcym, wprost tylko jako żołdactwo najemne.

Słowa te wywołały między tym tłumem młodych ludzi oburzenie niezmierne; wyszli wymyślając na Bema i złorzecząc mu; tegoż samego dnia kilkunastu ich opuściło Peszt, ażeby się przemknąć na powrót do Galicyi; ale znalazł się jeden, który postanowił zemścić się za

wszystkich. Safanduła Wysocki ani się domyślał zapewne, że w jego wyuczonéj mowie jeden z jego słuchaczy wyczerpnie myśl zabójstwa.

W rzeczy saméj w parę godzin po zebraniu, o którem tylko co mówiłem, młody jeden galicyanin nazwiskiem Ksawery Kołodziejski zjawił się u drzwi Bema pod pozorem, że przychodzi w ważnym interesie. Jenerał kazał go wpuścić, Kołodziejski zbliżył się na dwa kroki do niego i dobywszy znienacka pistolet, który trzymał w kieszeni, wystrzelił zeń. Kulka utkwiła w kości policzka jenerała. Jordan przytomny téj scenie dobył pałasza i chciał porąbać zabójcę, ale go Bem wstrzymał i pochwyciwszy Kołodziejskiego za kołnierz, krzyknął na służącego, żeby zawołał policyę.

Wiem czyja to sprawka, rzekł do Jordana, ale trzeba, żeby to sąd sprawdził.

Kilku policyantów przybiegło, ujęło młodego zabójcę i tegoż samego dnia oddany został pod sąd marcyalny.

Jak tylko wiadomość o tym zamachu rozeszła się między młodzieżą polską, zebrała się ona natychmiast na naradę i postanowiła Kołodziejskiego ratować wszelkiemi środkami, a Bema zabić moralnie. Młodzież ta składała się, jak już nadmieniłem wyżéj, w większéj części z galicyanów, znających dobrze język niemiecki, którym przeważnie mówiono w Peszcie, to jéj dawało możność poruszenia w téj sprawie opinii publicznéj po swojéj myśli. Jedni z tych młodych ludzi rozbiegli się po biurach gazet, drudzy po kawiarniach, winiarniach i innych miejscach publicznych, a hasłem jednych i drugich było głosić, że Bem jest człowiekiem nader niebezpiecznym tak dla Polaków jak i dla Węgrów, że ciężą na nim zdrady

z r. 1831, — nie wahali się zmienić w zdradę świetnego czynu, którym zbawił armię naszą pod Ostrołęką, — że w emigracyi życie jego było ciągiem intryg i pan Bóg wie co jeszcze. Co zaś do Kołodziejskiego wystawiali go jak bohatera, który się poświęcił, ażeby Węgrów i Polaków ustrzedz od niechybnéj zdrady.

Nazajutrz Kołodziejski doraźnie osądzony, był wystawiony pod pręgierzem, a w 24 godzin późniéj miał być rozstrzelany, ale wszystkie gazety, które wyszły rano, uniewinniały go, a potępiały Bema, powtarzając to, co głosiła młodzież.

Młody winowajca stawiony pod pręgierzem, okuty w kajdany był przedmiotem ciekawości powszechnéj, tłumy ludu cisnęły się, ażeby mu się przypatrzeć. Był to młodzieniec małego wzrostu, trochę zsiadły ale twarz miał piękną, męską, z zawiesistym wąsem, a na niéj ani cienia obawy lub wyrzutu; wyraz jéj był pogodny, śmiały, tryumfujący. Nie trudno mu też było przy pomocy dzienników i ciągłem adwokatowaniu współziomków całą publiczność przeciągnąć na swoją stronę. Gdzież publiczność nie daje się pozorami uwodzić?

Po południu nie można już było przecisnąć się do Kołodziejskiego, tak nabity był ludem plac gdzie on był wystawiony pod pręgierzem, a krzyki Elien na cześć jego nie ustawały. Krzyczano nawet przed pałacem prezydencyi „precz z Bemem! niech żyje Kołodziejski.“

Rząd uląkł się tego wybuchu opinii, kazał Kołodziejskiego z pod pręgierza uprowadzić, przetrzymano go kilka dni w areszcie i wypuszczono na wolność*).

*) Wysocki przyjął go do batalionu piechoty polskiéj w Aradzie.

Zarazem rząd widział się zmuszonym odstąpić od zamiaru powierzenia Bemowi naczelnego dowództwa armii. W obec tak źle uprzedzonéj przeciw niemu opinii stało się to niepodobnem.

Nie dosyć na tem. Rząd chcąc także i nieukontentowanie Polaków ułagodzić, mianował Wysockiego dowódzcą dwóch formujących się kompanij polskich z rangą majora i do tych kompanij przyłączył szwadron ułanów i baterye artyleryi, lecz w myśli Kossutha, jak się to niebawem pokazało, było pozbyć się jak najprędzéj Polaków z Pesztu. Postrzegł on, że duch niezgody jeszcze nas nie opuścił i niestety! zapewne tak prędko jeszcze nie opuści, bo ma głębokie korzenie w charakterze indywidualnym każdego z nas. U nas to szczególniéj co głowa, to rozum; tak zawsze bywało i tak jest jeszcze dzisiaj. Jednak po pierwszych bitwach przekonał się Kossuth, że ten duch niezgody ma swoją przeciw-wagę w bohaterstwie Polaków do wszelkich poświęceń gotowem, którego w sprawach niedotyczących nawet bezpośrednio ojczyzny dawali dowody we wszystkich czasach.

V.

Nadzieje z jakiemi przyjechałem do Węgier osłabły były bardzo po wypadkach, których byłem świadkiem począwszy od ucieczki Węgrów z pod Schwechad a skończywszy na zamachu Kołodziejskiego na Bema. U ludzi mojego pokolenia — zwłaszcza u najmłodszych między nimi — źródłem złudzeń, które ich na smutne rozczarowania naraziły tak w Węgrzech w 1848 r., jak we Francyi w r. 1870, gdy się wmięszali w tok wypadków, były wspomnienia naszego Listopadowego powstania. Myśleliśmy że wszędzie gdzie naród występował do walki w obronie swoich praw lub swojego honoru znajdziemy tenże sam zapał ogólny — to zrzeczenie się wszelkich osobistych celów — to poświęcenie się bezwarunkowe sprawie narodowéj, jakie widzieliśmy w r. 1830 i 1831 w Polsce. Owoż w Węgrzech trochę odmiennie się działo. Arystokracya i posiadła szlachta w małéj tylko liczbie przyłączyły się do ruchu rewolucyjnego. Masy nie rozu-

miały po większéj części o co chodzi — zaciągały się do honwedów i szły do walki na słowo Kossutha — ale bez entuzyazmu. Oficerowie zaś — zarówno ci, którzy dawniéj już służyli wojskowo a tych było bardzo niewielu — jak i ci, którzy rozpoczynali w téj wojnie zawód wojskowy, pojmowali sprawę węgierską nie inaczéj tylko jako grę, w któréj zyskać mogli stopnie pułkowników, generałów, ba nawet i wielki los — to jest buławę wodza naczelnego. Kossuth jeden był uosobieniem czystego patryotyzmu Węgierskiego. Na nieszczęście nie miał ani dosyć bystrego oka, ażeby się na ludziach łatwo mógł poznać i ustrzedz od intryg, które się koło niego knuły, ani dosyć silnéj woli, żeby trzymać na wodzy charaktery niesforne i hamować nierozważne popędy tłumów. Wszystko to już było widocznem w chwili do któréj zaszedłem w mojem opowiadaniu i wielce ostudziło moje współczucie dla węgierskiéj sprawy, ale był jeszcze inny szkopuł, o który się rozbijały moje nadzieje jako Polaka. Widziałem, że Węgrzy w około Kossutha nie radzi byli uformowaniu siły polskiéj w ich kraju i zespoleniu dwóch spraw. Zdawało mi się, że i Kossuth przechyla się na ich stronę a po krwawym zamachu Kołodziejskiego i postępowaniu większéj części młodziey Polskiéj w Peszcie w téj okoliczności, sądziłem, że wszystkie zachody, aby nawrócić go do naszego projektu byłyby nadaremne; uważałem też misyą moją jako chybioną i chciałem, jakimkolwiek sposobem wydostać się z Węgier, uwiadomić młodą emigracyę o stanie rzeczy w tym kraju i samemu przeczekać w jakim spokojnym zakątku do końca burzy; potem wrócić do kraju, jeżeli by to być mogło nie pociągając za sobą epizodu mniéj

więcéj długiego w cytadeli Warszawskiéj — lub podróży przymusowéj w lodowate kraje.

W téj myśli napisałem do Kossutha list pożegnalny. Nazajutrz otrzymałem od sekretarza jego F. Pulskiego bilecik z uwiadomieniem, że prezydent prosi mnie do siebie na chwilkę rozmowy w południowéj godzinie. — Poszedłem do niego — przyjął mnie z tą miłą uprzejmością, jaką mi dawniéj okazywał na statku parowym wciągu podróży naszéj pod Wiedeń. Dlaczegoż pan chcesz z Węgier wyjechać? spytał mnie. Odpowiedziałem mu, że główną tego przyczyną jest rozchwianie się projektu, za którym przyjechałem. — Mylisz się pan, rzekł, ten projekt nie jest bynajmniéj rozchwiany. Legiony Polskie będą w Węgrzech — daje panu na to moje słowo — tylko przyjęliśmy w znacznéj części rady Bema jako rozstropne i bardzo praktyczne. Formujemy na teraz tylko dwie kompanie Polskie bo dla tych dwóch kompanij Rossya nam wojny zaraz nie wypowie, a gdybyśmy ogłosili, że formujemy legiony Polskie, byłby to niewątpliwie casus belli. Skoro zaś te dwie kompanie będą umundurowane i uorganizowane wyślemy je na prowincyę a w Peszcie rozpocznie się po cichu organizacya dwóch nowych kompanij, i tak daléj. Mówiłem o tem z pułkownikiem Bułharynem, który jest stary żołnierz, poczciwy człowiek, wolny od tych stronniczych uprzedzeń i namiętności, które z emigracyi wieją na młodzież Polską w kraju — on będzie ciągłym organizatorem tych kompanii Polskich, jedna po drugiéj. Przytem wszystkie oddziały Polskie piechoty, kawaleryi i artyleryi, które z początku rozrzucone będą po wojsku Węgierskiem w danym czasie połączą się z uformowaną już legią;

tym sposobem stanie korpus Polski, gotowy rzucić się na tyły Moskali w razie gdyby wkroczyli do Węgier i wywołać powstanie w Galicyi i w Królestwie. — Oto mój plan.

Zmiękłem po takiem wyjaśnieniu rzeczy, chwyciłem rękę Kossutha i ścisnąłem ją serdecznie. ,,Widzisz pan — powiedział mi — że nie miałeś żadnego słusznego powodu do zniechęcenia się. Ja zaś liczyłem i liczę na pana, że zechcesz oddać wielką usługę sprawie Węgierskiéj a tem samem i sprawie polskiéj podejmując się misyi do Francyi o któréj mówiliśmy dawniéj — Ja o niéj myśleć nie przestałem i owszem dziś nierównie więcéj przywiązuję do niéj wagi, niżeli wtenczas, kiedym pierwszą myśl jéj powziął w ciągu podróży naszéj na Dunaju, bo od tego czasu trudności i niebezpieczeństwa ogromnie się wzmogły wokoło nas“.

Na to wezwanie tak podchlebne odpowiedziałem Kossuthowi iż skoro sądzi, że mogę podwójnéj sprawie Węgierskiéj i Polskiéj użytecznie posłużyć, gotów jestem jechać do Francyi i dołożę wszelkich usilności, ażeby godnie odpowiedzieć jego zaufaniu.

Wtenczas wytłumaczył mi szczegółowo czego żąda odemnie. Najprzód co się tyczy werbowania dawnych oficerów polskich do służby Węgierskiéj powtórzył mi, że należy mi się znosić z hr. Telekim posłem Węgierskim w Paryżu, prócz dwóch osobistości, które mam w jego własnem imieniu uprosić, ażeby talenta swoje sprawie Węgierskiéj poświęciły, to jest jenerałów Dembińskiego i Mierosławskiego. Pierwszemu ofiaruje znaczne dowództwo, prawdopodobnie naczelne armij Węgierskiéj, drugiemu rangę pułkownika w sztabie głównem z per-

spektywą, że może prędko wyżéj postąpić, jeżeli okaże zdolności odpowiednie wyższemu stanowisku. Co do drugiego interesu, o którym także dawniéj mi już mówił, to jest sprowadzenia do Węgier broni zakupionéj w Anglii i w Belgii, prosił mnie żebym hr. Telekiemu zawiózł te ustne instrukcye: 1) że dziś nie ma innéj drogi dla sprowadzenia téj broni jak morzem do portu kroackiego Fiume, gdzie naprzeciw téj wysyłki — jeżeli będzie o niéj zawczasu uprzedzonym — wyprawi Perczela z korpusikiem partyzanckim; — 2) że na tymże samym statku możnaby wyprawić oficerów polskich i młodych ludzi z nowéj emigracyi, którzy by chcieli jechać do Węgier i że tych ostatnich należałoby uzbroić na morzu, ażeby za wylądowaniem w Fiume mogli w połączeniu z korpusem Perczela bronić transportu; — 3) że ponieważ podług wiadomości przed kilkoma już tygodniami otrzymanych przez rząd Węgierski, Piemont gotuje się do nowéj wojny przeciw Austryi, jest więc bardzo prawdopodobnem, że z chęcią by użyczył statku wojennego na przewóz broni i emigrantów polskich, bądź z Marsylii, bądź z Genuy lub z portu Spezia do Fiume byleby hr. Teleki dołożył potrzebnych po temu starań — w czem i ja mogłbym mu być pomocnym — a hr. Teleki usługi moje bez wątpienia z wdzięcznością przyjmie.

Kossuth dołożył, że jeżeli mi nie daje instrukcyi pisanych dla posła Węgierskiego, to przez ostrożność konieczną w interesie tak wielkiéj wagi, ale mi da list do mnie wystósowany w takich słowach, że mu zaufać każe wszystkiemu co mu powiem. W końcu uprzedził mnie, że nie będę mógł wyjechać prędzéj jak za 8 lub 10 dni ponieważ on pierwéj widzieć się potrzebuje

z Perczelem, —naówczas nie obecnym w Peszcie i naradzić się z nim, w jakich warunkach przetransportowanie broni, o którą mu przedewszystkiem chodziło, byłoby możebnem z Fiume do Pesztu — przytem złożyć chce jeszcze radę z ministrami czy nie ma innych interesów do załatwienia we Francyi i w Anglii, wszystkie zaś te kwestye wymagają namysłu.

Wróciwszy po téj długiéj rozmowie z prezydentem Węgier do mojego mieszkania rozważałem na zimno położenie w jakiem mnie rezultat jéj postawił. Puszczałem się na drogę politycznych awantur, bez wielkich złudzeń, mianowicie co do patryotyzmu Węgrów i energii Kossutha — jak się już poprzednio pod tym względem rozpisałem — i wiedziałem dobrze, że w razie gdybym był schwytany w przeprawie przez Galicyą będę niechybnie rozstrzelanym lub powieszonym podług praw marcyalnych a gdybym się ustrzegł podobnego niebezpieczeństwa — jeżeli sprawa Węgierska upadnie, to zostanę tułaczem. Lecz parę tysięcy Polaków było już wplątanych w sprawę węgierską i sprawy téj nie miałem żadnego gruntowego powodu uważać za straconą ani nawet za niebezpiecznie zagrożoną. Rząd austryacki nie miał stałego gruntu pod nogami, na żadnym bowiem z ludów monarchii polegać nie mógł; przytem najrozmaitsze wpływy nim miotały, a armia, która pozostała mu była wierną trzymała się biernie, od zajścia pod Schwechat jakby nie czuła się na siłach Węgrom podołać bez znacznego wzmocnienia się. Korzystając z téj przerwy w kampanii, Węgrzy przygotowywali się dosyć czynnie do odporu. W takich okolicznościach jenerał energiczny, śmiały i zręczny za jakiego uważanym był Dembiński i kilkudzie-

sięciu oficerów Polskich sprowadzonych z Francyi mogli przeważyć szalę wojny na stronę Węgier; zwłaszcza że Piemont gotował się do nowéj wojny z Austryą, która ogromną dywersyę zrobić mogła na ich korzyść.

Z tych wszystkich względów wycofać się ze sprawy Wegierskiéj, gdy sposobność mi się nastręczyła być jéj użytecznym byłoby wprost zbiegostwem. Nie przeszło mi też to wcale przez myśl. Po rozwadze jak i przed rozwagą byłem zrezygnowany, stawić życie moje na grę w téj misyi hazardownéj, którą mi Kossuth poruczał. Wysocki przed którym zataić nie mógłem, że jadę do Francyi i w jakim celu — byłoby to bowiem niesłuszną podejrzliwością z mojéj strony — nalegał na mnie, ażebym za przybyciem do Paryża zniósł się z centralizacyą demokratyczną, która, mówił mi, przedstawia większość emigracyi i najenergiczniejsze jéj żywioły. Przyrzekłem mu to, bo ani wtenczas, ani późniéj do żadnego stronnictwa nie należałem i pewny byłem, że wszystkie pod chorągwią Polską łatwo się połączą. Zresztą potrzebowałem się zetkąć z centralizacyą, choćby ze względu na Mierosławskiego, którego ściągnąć miałem do Węgier. Nadmieniłem o tem Wysockiemu. — Rozśmiał się. — Byleby Mierosławski rzekł mi nie chciał swoich wynalazków wojennych, swoich kozłów i barykad przenośnych, zastósowywać w Węgrzech, bo okryłby śmiesznością siebie i nas. W ogóle sąd jego o tem współzawodniku swoim do hetmańskiéj demokratycznéj buławy nie był wcale podchlebny.

W parę dni po mojem widzeniu się z Kossuthem spotkałem Wł. Jordana. Zbliżył się do mnie i podając mi rękę rzekł z ironicznem uśmiechem: „Jedziesz do Francyi

werbować jenerałów naszych dla ocalenia Węgier.“ Przyznałem mu, że tak jest i nie potrzebowałem się pytać zkąd miał tę wiadomość; widocznem było, że od Bema, który był jeszcze w Peszcie i zawsze w zażyłości z Kossuthem. Szliśmy czas jakiś razem, Jordan ciągle mi o misyi mojéj mówił w sposób żartobliwy — nagle odezwał się — wiesz co najzabawniejszego w tem, oto że i ja jadę do Francyi w takijże saméj misyi. Jakto spytałem zdziwiony, także od Kossutha? Nie, odpowiedział mi, od Bema. Ach rozumiem, rzekłem, Bem myśli, że ja samych demokratów chcę nasłać Węgrom. Widział mnie ciągle z Wysockim i Dierzkowskim i zapewne sądzi, że z niemi trzymam ściśle. Nie inaczéj, odrzekł, i wybić mu tego z głowy nie mogłem. Mniejsza o to, powiedziałem i owszem, wierz mi, że cieszę się bardzo, że cię wysyła gdyż coby się mnie samemu nie udało, to nam dwom może się udać działając zgodnie. Jordan podobnie jak ja nie był człowiekiem partyi. Zgadzaliśmy się dosyć we wszystkiem. Przyrzekliśmy też sobie nawzajem, że jeden bez drugiego nic nie pocznie.

Upłynęło jeszcze kilka dni, w ciągu których słyszałem Kossutha mówiącego w Izbie Węgierskiéj ze zwykłem skutkiem, naprzemian, najgorętszego entuzyazmu i najserdeczniejszego śmiechu w całéj izbie, stósownie do tego, czy poruszał jéj struny patryotyczne — czy zabawiał ją zartobliwemi uwagami, następnie byłem obecny przy poświęceniu Polskiéj chorągwi.

Miły to był obrzęd dla serca Polskiego. Dwie kompanie Polskie pięknie umundurowane — po kilku tygodniach ćwiczeń — marszerowały dobrze — robiły bronią nieźle a żwawe ruchy téj młodzieży i jéj fizonomie

inteligentne tchnące zapałem i odwagą odznaczały ją wśród batalionów Honwedów — jak prawdziwie rycerską falangę.

Obie kompanie uszykowały się na placu przed muzeum wśród ogromnego tłumu ludu. Wkrótce przybyła uproszona na matkę chrzestną chorągwi, w zastępstwie chorej żony Kossutha, siostra jego pani Ruthkay, otoczona w swoim powozie licznym orszakiem oficerów Węgierskich. Muzyka wojskowa węgierska zagrała mazura „Jeszcze Polska nie zginęła“. Straż chorągwianna przyniosła pani Ruthkay chorągiew, na której pierwszy ćwieczek przybiła, Węgrzy z jéj orszaku przybili inne. Nastąpiła cisza, Ksiądz poświęcił solennie nasz znak narodowy, pod którym dzielna młodzież Polska miała iść do walki — poczem matka chrzestna wziąwszy go w rękę, oddała go straży chorągwiannéj, wyrażając życzenie, ażeby prowadził Polaków do zwycięztw, do chwały i do odzyskanéj ojczyzny. Na zakończenie Dzierzkowski miał mowę do młodych wojaków jak zwykle bardzo udaną i powiedzianą głosem donośnym i dźwięcznym.

Czekałem już tylko na dopełnienie tego obrzędu, ażeby się puścić w drogę ku Francyi. W przeddzień wezwał mnie był Kossuth i wręczył mi list do mnie adresowany i odnoszący się do mojéj misyi. List ten podpisany był przez F. Pulskiego, świeżo mianowanego ministrem spraw zagranicznych na miejsce jenerała Kaźmierza Bathyaniego, który przeszedł do służby czynnéj w armii. Dał mi zarazem drugi list, podpisany przez ministra spraw wewnętrznych do komisarza politycznego*)

*) Ci komisarze z rozległą władzą ustanowieni byli przez Kossutha.

w miasteczku nadgranicznem Kesmark u stóp Tatrów, ażeby mi wszelkiemi możliwemi środkami ułatwił przejście granicy między Węgrami a Galicyą. Wziąwszy te papiery pożegnałem z żalem naczelnika rządu Węgierskiego, do którego szczerze się przywiązałem, a którego już więcéj widzieć nie miałem, i nazajutrz wyjechałem z Pesztu dyliżansem, w towarzystwie Dzierzkowskiego i dawnego kolegi mojego Kwiatkowskiego, który zniechęcony wszystkiem, co widział i słyszał w Węgrzech wracał do Galicyi. Obudwom Kossuth dostarczył dosyć hojnie funduszu na drogę.

Jechaliśmy aż do Preszowa tymże samym traktem, którym przyjechałem do Pesztu. W Preszowie poszliśmy odwiedzić znajomego nam Polaka tam osiadłego. Zastaliśmy u niego Łabęckiego emigranta*), który trzymał dzierzawkę nie daleko Preszowa pod samemi Tatrami i żył w niéj z żoną i kilkorgiem dzieci. Zaprosił on nas do siebie na wieczerzę i nocleg w sposób tak serdeczny, żeśmy mu odmówić nie mogli i pojechaliśmy z nim razem. W dworku jego drewnianym, bardzo skromnym ale dosyć obszernym, gościło już kilku Polaków. Razem było nas gości siedmiu lub ośmiu i uraczał nas czem miał pod sercem — tak bywało u niego ciągle, od początku poruszenia Polskiego w sprawie węgierskiéj. Dom jego był istnym karawanserajem dla przechodzących z Galicyi do Węgier i z Węgier do Galicyi, ale ta gościnność zrujnowała go ze szczętem i późniéj widziałem go we Francyi w ciężkiéj biedzie.

*) Było kilku emigrantów tego nazwiska, jedni byli jego braćmi, drudzy tylko imiennikami.

Dowiedziawszy się on, że jadę z misyą do Francyi i mam się przemykać przez Galicyą, wziął mnie na stronę i powiedział mi: „Niepotrzebujesz wlec się przez Galicyę rzemiennym dyszlem od obywatela do obywatela, narażając się na to, że w nie jednem miejscu źle cię przyjąć mogą, albo nawet odprawić z kwitkiem, coby cię postawiło w nader niebezpiecznem położeniu. Ja mam stryja mieszkającego kilka mil od granicy Węgierskiéj ku Krakowowi — jest to najpoczciwszy człowiek na świecie, do którego ci dam list. Dostań sie tylko do niego a możesz być pewnym, że cię przyjmie jak ojciec i odeśle do samego Krakowa".

Podziękowałem mu szczerze za tę przysługę. Przenocowałem u niego jakby w obozie, bo wszyscy razem leżeliśmy pokotem na sianie w dwóch izbach i nazajutrz gdym się żegnał z nim, jego rodziną i zgromadzonemi u niego Polakami, dał mi przyrzeczony liścik do swojego stryja a ja schowałem go starannie jakby jaki talizman. Wkrótce pokaże się, na jak okropne niebezpieczeństwo wystawił mnie właśnie zacny Łabęcki swoim optymizmem, myśląc, że każdy ma równie złote serce jak on.

W domu Łabęckiego zostawiłem moich dwóch towarzyszów podróży i pojechałem sam do miasteczka Kesmark. Jest to punkt ważny na drodze handlowéj z Węgier do Krakowa i do królestwa kongresowego. Są tam wielkie składy wina, komora celna i obszerne domy zajezdne. Przybywszy do tego miasta udałem się natychmiast do komisarza politycznego i wręczyłem mu list urzędowy dany mi przez Kossutha. Komisarz przeczytawszy go uważnie rzekł mi: „Uczynię wszystko co będe mógł, aby panu przejście granicy ułatwić, ale nie mogę mu

zataić, że zadanie jest trudne. Granica Galicyjska jest strzeżona przez trzy kordony mniéj więcéj uzbrojone W pierwszéj linii stoją zwykli strażnicy pograniczni (Gräntzjäger), których liczba ogromnie powiększoną została ostatniemi czasy. Ci pilnują wszystkich dróg, ścieżek i zajmują wszystkie wyniosłości tak, że jeden drugiego widzi i kontroluje. — Za niemi rozstawiony jest Landsturm chłopski, w trzeciéj zaś linii są komendy wojskowe we wszystkich miasteczkach i znaczniejszych wsiach, a patrole ciągle chodzą od jednéj do drugiéj komendy. Każdy przejeżdzający lub przechodzący granicę prowadzonym jest pod eskortą strażników granicznych do takiéj komendy gdzie pokazać musi swój paszport i usprawiedliwić się zkąd, dokąd i w jakim interesie się udaje. Nie dosyć na tem, w całéj Galicyi chłopi otrzymali nakaz, aby każdego podróżującego, który by nie był im znanym, chwytali i odstawiali do najbliższéj komendy wojskowéj; mają obiecaną nagrodę w razie schwytania emisariusza lub emigranta, co przy znanem usposobieniu chłopów waszych jest dla nich bardzo ponętnem polowaniem. Ażeby wszystkich tych niebezpieczeństw uniknąć widzę tylko jeden sposób, a ten jest wyprawić pana z pierwszym transportem wina, który z tąd wyjdzie do Krakowa. Kupiec i agent towarzyszący wysyłce są mi dobrze znani — ułożę rzecz całą z tym ostatnim i dam panu paszport jako pomocnikowi agenta. W tym charakterze zajedziesz bezpiecznie i spokojnie aż do samego Krakowa. Lecz transport nie wyjdzie ztąd prędzéj jak za dni piętnaście.

Och! wykrzyknąłem piętnaście dni czekać nie mogę. Wprawdzie zwłoka ta nie mogła bardzo zaszkodzić mojéj

misyi, ale byłem jeszcze młody, nie przyuczony do cierpliwości i perspektywa przesiedzenia 15 dni w małéj Węgierskiéj mieścinie była dla mnie tak odstraszająca, żem wmawiał w siebie iż mi honor nie pozwala czekać tak długo, jedynie przez wzgląd na własne moje bezpieczeństwo.

Komisarz snać trochę urażony, żem bez namysłu odrzucił jego projekt — rzeczywiście praktyczny — powiedział mi sucho, że skoro mi chodzi o to, żeby bezwłocznie przejść granicę, to mi da przewodnika, który mnie przeprowadzi przez góry, zarośla i lasy — tylko trzeba mi będzie drapać się po skałach — a w miejscach odkrytych czołgać się. Nie uśmiechało mi się to wcale i spytałem go, czy nie ma innego jeszcze sposobu — pośredniego między dwoma które mi podawał, bo po skałach drapać się nie potrafię. Komisarz się uśmiechnął i po chwili namysłu rzekł. Jest jeszcze jeden, tylko naradzić się nad nim musiemy z pewnym obywatelem Galicyjskim nadgranicznym, który szczęściem dla pana jest właśnie w téj chwili w Kesmarku, gdzie przyjechał dla widzenia się z synem swoim, żołnierzem z polskiego batalionu przybyłym z Pesztu. Chodźmy do niego. Poszliśmy do wielkiego zajazdnego domu, gdzieśmy zastali owego obywatela i jego syna. Komisarz opowiedział mu mój interes a potem swój projekt, który był następujący. Jutro, powiedział, jest dzień targowy w Nowymtargu, dokąd się wybiera, jak zwykle, dużo chłopów z téj strony granicy. Pod pretekstem targu może i pan ten — wskazując na mnie — przejść granicę, ma się rozumieć stósownie przebrany. Dam mu paszport i oddam go pod opiekę znajomego mi gospodarza, na którego włożę ciężką odpowiedzialność za

jego osobę. Oto jest wszystko, co mogę w téj okoliczności uczynić. Ale to nie dosyć; zachodzi jeszcze pytanie, gdzie chłop ma tego pana zaprowadzić przeszedłszy Nowytarg i jakim sposobem odstawić mu wszystkie rzeczy do niego należące, a których z sobą żadną miarą zabrać nie może? W tem pan jeden, rzekł do Galicyjskiego obywatela, możesz nam dać użyteczną radę, a może i pomoc.

Obywatel Galicyjski przeprosił mnie, że do swojego domu zaprosić mnie nie może, gdyż wskutku zaawanturowania się jego syna do Węgier i dzisiejszéj wycieczki jegoż samego do Kesmark, znajduje się w położeniu nader niepewnem względem władz Austryackich, ale mi radził, żebym zaszedł do pana Stadnickiego mieszkającego pół mili za Nowymtargiem, który mnie bez najmnieszéj wątpliwości gościnnie przyjmie i odeśle ku Krakowowi rzemiennym dyszlem. „Pan Stadnicki — mówił mi on — jest to człowiek w wieku i nader zacny. W r. 1846 był okropnie zrabowany i pobity przez chłopów, co jednak nie złamało bynajmniéj jego charakteru; do niego więc śmiało możesz się pan udać, a o rzeczy swoje nie potrzebujesz się troszczyć — ja je zabiorę i odwiozę panu do domu pana Stadnickiego — tylko, jeżeli pan masz papiery ważne i kompromitujące, zechciéj je dobrze schować, a najlepiéj przy pomocy szewca — między podeszwy obuwia“.

A więc zadanie rozwiązane rzekłem — i ze wszech miar bardzo dogodnie. Ścisnąłem rękę jednego i drugiego z prawdziwą wdzięcznością. Komisarz zaprosił mnie na dzień następny na śniadanko ranne i dołożył, że u niego dokonam mojéj toalety jako hayduk.

Podług tego programu nazajutrz po śniadaniu u komisarza — przebrany za hayduka — w spodniach z koziéj sierści zmieszanéj z wełną, obcisłych jak trykoty i ktore za każdem poruszeniem nieznośnie mnie drapały — w butach zużytych, których fałdy koło kostek piłowały mi ciało, — w krótkim kożuszku z rostworami pod pachami, któremi gdym był w drodze przechodził mróz tego dnia 12to stopniowy i na wskroś mnie przenikał, a na dopełnienie przebrania, z twarzą posmarowaną mieszaniną sadła, sadzy i innego jakiegoś jeszcze brudu, co mi nadawało cerę górala, wyruszyłem na moją pielgrzymkę w towarzystwie prawdziwego górala, którego mi komisarz dał za przewodnika, zapowiedziawszy mu, że jeżeli włos mi z głowy spadnie, to on za to mieniem swojem i skórą odpowie.

Dzień był mroźny lecz piękny — słońce świeciło w pełnym blasku a promienie jego łamały się pryzmatycznie w atomach lodowych zawieszonych w powietrzu. Wyszedłszy za miasto, jeden z najpiękniejszych krajobrazów Tatrzańskich odkrył się przed memi oczyma w śnieżnéj powłoce niepokalanéj białości; na lewo wzniosłe Tatry z jodłowemi lasy przystrojonemi, jakby w białe draperie; na prawo modra wstęga Dunajca, za nią wśród skalistych wzgórz ruiny Czorsztyńskiego zamku, które zdawały mi się jakby miejscem znajomem, bo niegdyś dzieckiem czytałem z wielkiem zajęciem powieść, utytułowaną „Zamek na Czorsztynie“; nakoniec przed nami szeroki wąwoz, przez który Dunajec z Popradem wymykają się z Węgier ku Polskiéj ziemi i który otwiera widok na rozległą, falowatą, mnóstwem wiosek i gajów ożywioną, Nowotargską równinę.

Prześliśmy granicę bez trudności. Paszport, jakim mnie opatrzył komisarz z Kesmarku żadnego nie wzbudził podejrzenia u strażników granicznych, ale to niebezpieczeństwo zażegnane nie było jedyne z którym spotkać się miałem. Wnet pokazało się drugie, o którym nie myśleliśmy bynajmniéj, ani ja, ani komisarz z Kesmarku ani obywatel Galicyjski. Po drodze przyłączyli się do nas wieśniacy i wieśniaczki dążący na targ, pojedyńczo lub, gromadkami i starali się zawiązać z nami rozmowę. Mój przewodnik znajdując się w swoim żywiole, rozgadywał się z innemi gospodarzami o cenach bydła, o urodzajach, o różnych zdarzeniach wiejskich, a mnie zostawił na pastwę kobietom ciekawym i gadatliwym. Owoż wtenczas dopiero postrzegłem, że mój akcent warszawski tak się różni od góralskiego, iż dosyć mi było dwa słowa powiedzieć, aby się zdradzić. Co tu było począć? . . . . Przemyśliwałem nad tem — a kobiety zaczepiały mnie pytaniami — nagle błysło mi natchnienie — zebrałem w pamięci, co tylko mogłem słów Węgierskich prawdziwych czy fałszywych: „Serem tem tem, Elien a Kossuth, Elien a Madziar etc“, i w odpowiedzi wypaliłem to jednym tchem. Baby mruknęły. „Dyć to prawdziwy Węgier — to się z nim ani dogadać“, i dały mi pokój. Tym sposobem zaszedłem bezpiecznie do Nowegotargu, a ztamtąd do włości pana Stadnickiego odległéj o pół mili, czy mile od tego miasteczka. Zatrzymałem się na wejściu do wsi i wysłałem mojego przewodnika do dworu, ażeby prosił pana Stadnickiego o krótką gościnność dla Polaka idącego z Węgier, a który się do niego udaje z polecenia pana * * tu wymieniłem nazwisko obywatela, który mnie do tego nakłonił i snać od odpowiedzialności za to usu-

nąć się nie myślał, skoro miał sam do pana Stadnickiego przyjechać i rzeczy mi przywieść. Dołożyłem przewodnikowi, że powinien ostrzedz pana Stadnickiego, iż jestem w ubraniu hayduka, i że może byłoby dobrze, gdyby mi przysłał jakie okrycie — jeżeli zechce mnie przyjąć — ażebym nie wszedł do jego domu w tem ubraniu; zwłaszcza że wyjdę w innem.

Po niezbyt długiem czekaniu spostrzegłem człowieka sędziwego, słusznego wzrostu, idącego ku mnie z moim przewodnikiem. Był to pan Stadnicki. Bez żadnéj przedmowy poprosił mnie poważnym tonem, żebym szedł z nim tak jak jestem ubrany, bo jest pewnym swoich sług i swoich włościan. Zdziwiło mnie to nieco, wiedząc że był ciężko pobitym i zrabowanym przez chłopów przed dwoma laty, lecz nie pozwoliłem sobie uczynić żadnéj nad tem uwagi i poszedłem z nim.

Dom pana Stadnickiego był bardzo skromny — żył on w nim samotnie; niewiem czy był kawalerem, czy wdowcem. Poważny — mało mowny — zimny jak Anglik, z początku przejmował mnie chłodem. Myślałem, że jestem dla niego osobą podejrzaną i czekałem niecierpliwie na przyjazd obywatela, któremu powierzyłem był moje rzeczy i który, jeden tylko mógł podejrzenia jego rozproszyć. Przy tem zimnem obejściu się był jednak bardzo gościnnym dla mnie. Zaraz po wejściu mojem w jego progi poprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie mi ze swojéj garderoby przyniósł ubranie, ażeby mnie zwolnić od mojéj roli hayduka. Gdym wrócił do jego saloniku zastałem go w rozmowie z młodym jakimś człowiekiem, który nie mogąc przedrzeć się do Węgier, chciał wrócić do rodzicielskiego domu i prosił pana Stadnickiego o uży-

czenie mu bryczki i koni, żeby mógł zajechać do najbliższego obywatela. Pan Stadnicki dosyć sucho i z niczem go odprawił. Niebawem drzwi się otwierają i wchodzi.... z wielkiem ździwieniem mojem Wł. Jordan, który także przyszedł prosić o odesłanie go dalej. Pan Stadnicki odpowiedział mu, że swoich koni użyczyć mu nie może, ale mu każe wynaleść podwódkę chłopską, na co się Jordan chętnie zgodził. Przyniesiono podwieczorek. Jordan opowiedział nam, że przeszedł granicę nocą przez góry — bez przebierania się — i zabłąkał się do domu państwa * * * w niedalekim sąsiedztwie pana Stadnickiego — ostrzegł mnie, żebym ten dom omijał, bo przyjęliby mnie jak włóczęgę, tak, jak jemu się stało. Pan Stadnicki słuchał i nic nie mówił. Jordan wskazał mi, do kogo się mam udać za przybyciem do Krakowa i w krótce zobaczywszy, że wózek chłopski zajechał przed dwór, pożegnał gospodarza. Po jego wyjeździe oświadczyłem panu Stadnickiemu, że i ja podobnie jak Jordan nie żądam, ażeby mnie wysłał w dalszą drogę swojemi końmi, lecz tylko, żeby mi raczył podwódkę nastręczyć.

„Za pozwoleniem, odezwał się pan Stadnicki. Jeżeli tym dwom panom odmówiłem koni moich to dlatego, że je dla pana zachowuję, bo przyszedłeś pierwszy do mnie i nie znasz kraju. Jutro po śniadaniu odeszlę cię do znajomego mi domu, gdzie cię gościnnie przyjmą i odprawią dalej. Możesz być o to spokojnym“.

O zmroku dopiero przyjechał obywatel tak oczekiwany przezemnie z moim tłomoczkiem i resztę wieczora przepędziliśmy we trzech bardzo mile. Im więcej poznawałem charakter pana Stadnickiego tem więcej mnie do siebie przyciągał. Rzadki też to był typ w naszem polskiem

społeczeństwie, w którym wszystko niestety! polega najczęściéj na powierzchownych oznakach gościnności, ludzkości, przyjaźni, nawet patryotyzmu. Pan Stadnicki przeciwnie — poważny — zimny — skąpy w słowach — w częstowaniu skromny, okazywał dopiero czynem, jak się późniéj dowiedziałem, że do wszelkich ofiar zawsze gotowy. Nazajutrz po rannym obiadku zajechała przed dwór piękna bryczka z dziarskiemi końmi, którą odjechać miałem. Pojedziesz pan, powiedział mi mój gospodarz do państwa * * *. Ależ panie! wykrzyknąłem, wszakże mnie Jordan ostrzegał, ażeby ten dom omijać. Nie zważaj na to, odrzekł z lekkim ironicznym uśmiechem. Wstąpisz do państwa * * * na krótki popasik, koni od nich żądać nie będziesz i z tego względu mam nadzieję, że cię źle nie przyjmą, że może nawet zaofiarują ci kawy ze śmietanką na podwieczorek, poznasz ich dom a potem pojedziesz do panów * * * *, za których ja ręczę. Byli to dwaj bracia, których nazwisko mi wymienił, ale mi wyszło z pamięci, jak większa część nazwisk z tego czasu.

Pojechałem więc od pana Stadnickiego do państwa * * * gdzie wrzeczy saméj zostałem dosyć grzecznie przyjęty, zapewne dla tego, żem się w innych warunkach przedstawił niż Jordan.

Była to dobra szlachecka rodzina, któréj zachciało się uchodzić za pańską i zawisła w powietrzu jak trumna Mahometa między szlachtą, od któréj się odłączyła a panami do których się przyłączyć nie potrafiła. — Próżność panowała w tym domu i cechowała się w najdrobniejszych szczegółach, nie mogąc podnieść się do okazałości, ani nawet do elegancyi. Jeżeli patryotyzm był wygnany z tego

domu to dla tego zapewne, że się wydawał państwu * * * spospolitowanym i nie modnym.

Od państwa * * * zajechałem na szczero-polską gościnność, dobre zrazy z kaszą i wygodny nocleg do panów K., bo zdaje mi się, że od téj litery zaczynało się ich nazwisko. Ugościwszy mnie, chcieli oni z kolei wyprawić mnie do znajomego im domu, za który mi odpowiadali. Gdybym już wtenczas należał do bractwa piszących, byłbym może korzystał ze sposobności zwiedzenia rozlicznych dworów obywatelskich, aby zdejmować obrazki obyczajowe, ale nie zajmowałem się jeszcze tem dosyć niewdzięcznem u nas rzemiosłem a najazdy podobne na nieznajome mi domy wcale mi w smak nieszły. Miałem ciągle na myśli radę poczciwego Łabęckiego, ażeby zajechać do jego stryja. Sądziłem, że ten stryj nie zbyt daleko od panów K. mieszkać musi, prosiłem ich więc, ażeby mnie do niego odesłać raczyli, jeżeli to jest rzeczą możebną. Odpowiedzieli mi, że nigdy o tym obywatelu nie słyszeli, ani o wiosce, w któréj mieszka, co nie przeszkadza, że mnie do niego odeszlą, skoro sobie tego tak bardzo życzę. Spodziewali sie, że woźnica ich zna wioskę pana Łabęckiego, ale i on nic o niéj nie wiedział. Wydobyłem list synowca jego z pugilaresu, żeby popatrzeć, czy nie ma na kopercie jakiéj skazówki i rzeczywiście wymienioną tam była wioska przyległa. Tę wszyscy znali, była odległą pięć mil od majątku panów K., lecz to nie zdawało się ich bynajmniéj frasować, kazali tylko woźnicy wieźć mnie dobrym truchtem, abym przed nocą na miejsce zajechał.

Była już jednak godzina 9 wieczorem, gdyśmy stanęli w owéj wiosce, pytamy się o pana Łabęckiego i o jego

majętność, powiadają nam, że to jest szlachcic zagonowy, który ma swoją chałupę w osadzie złożonéj z takiejże szlachty lecz za wsią. Była to pierwsza niespodzianka trochę złowroga, ale pomyślałem, że i szlachcic zagonowy może mieć wózik i konia i odesłać mnie do Krakowa a niczego więcéj mi nie potrzeba. Jedziemy więc do téj osady — składała się z kilkunastu domków nie wiele różniących się od chałup chłopskich — i zajeżdżamy przed domek pana Łabęckiego. Wnet wyszedł do nas stary człowiek w wyszarzanéj kapocie; powiedziałem mu, że mam do niego list od jego synowca; poprosił mnie do izby. wielce zmieszany i — druga niespodzianka — przeczytawszy list przy łojowéj świeczce, „Ach panie, wykrzyknął! ja biedny człowiek koni nie mam i pana w domu swoim przyjąć nie mogę. Na miłosć Boską, dodał tonem błagającym, na rany Chrystusa, jedź sobie pan daléj, gdzie chcesz, a mnie nie narażaj, żeby mi mój kawałek ziemi zabrali i mnie samego uwięzili“. W téj chwili przybył jego synalek, istny parobek i obaj zaczęli mnie naglić, żebym z ich domu natychmiast wyszedł. Wracam do bryczki, nie wiedząc, co z sobą zrobić; proszę woźnicy, wtykając mu pięć reńskich w rękę, żeby mnie zawiózł do najbliższego obywatela, woźnica mi odpowiada, że za żadne pieniądze daléj mnie nie zawiezie, bo nie ma na to rozkazu, a koni na swoją odpowiedzialność męczyć nie może. Więc zatrzymaj pieniądze odrzekłem a zawieź mnie choć do plebanij we wsi przyległéj; widziałem tam bowiem piękny murowany kościół. Woźnica zgodził się na to i zawiózł mnie do owéj plebanii. Wszędzie światła już były pogaszone, ledwie znalazłem furtkę w murze otaczającym plebanię. Dzwonię kilka razy, psy mi tylko odpowiadają;

po namyśle bojąc się, ażeby mnie ksiądz proboszcz nie odprawił w gorszy jeszcze sposób, jak pan brat szlachcic zagonowy, powziąłem heroiczne postanowienie; pytam się woźnicy, czy popasie w karczmie? odpowiedział, że tak — a więc wieź mnie rzekłem do karczmy. Przed karczmą stało kilka wózków wiejskich a w izbie szynkownéj było pełno chłopów, wszedłem między nich i nadrabiając miną, lubo dusza była na ramieniu, odezwałem się: „Chłopcy, jest tu który, coby mnie do Krakowa zawiózł?“ Chłopi spojrzeli po sobie i nastąpiła chwila straszliwego dla mnie milczenia. Gdyby jeden tylko powziął był podejrzenie, że przybywam z Węgier, byłby wszystkich podszczuł na mnie i odstawili by mnie do wojskowéj komendy. Szczęściem młody jakiś chłopek z głupowatą miną nie dał im się długo namyślać. Ja pana zawiozę, zawołał. Byłbym mu się na szyję rzucił, gdybym mógł był iść za naturalnym popędem. Chłopi widząc sprawę skończoną, wrócili do swoich rozmów i niebezpieczeństwo zdawało się minione; tak jednak nie było. Chłopek nie chciał natychmiast jechać, trzeba mu było jeszcze parę godzin popaść. Arendarz ofiarował mi na ten czas izbę gościnną i poprowadził mnie do niéj przez inną, przytykającą do szynku, a w niéj dwóch żydów leżało na sianie. Nie spali jeszcze i przez drzwi otwarte słyszeli wszystko, co się mówiło w szynku. „Sie kommen von der Gräntze“ rzekł do mnie jeden z nich. Zaprzeczyłem temu z oburzeniem ale żydów nie przekonałem. „Sagen Sie was sie wollen, Sie kommen von Ungarn“, rzekł drugi. Jestem zgubiony pomyślałem sobie i przepędziłem dwie czy trzy godziny w okropnéj niespokojności. Nakoniec

chłopek przyszedł oznajmić mi, że jest gotów i wyjechałem bez szwanku. Żydom zapewne wstawać się nie chciało w nocy, żeby się z chłopami zmówić przeciw mnie — a może też byli poczciwsi niżelim sądził.

Kilka mil daléj był nowy popas nadedniem w jakiejś mieścinie, gdzie widziałem oddziały piechoty austryackiéj, przechodzące przez rynek. Nie wysiadłem już z wózka, lubo mróż krew mi w żyłach ścinał i przebyłem nowe dwie, czy trzy godziny w męczącéj niespokojności.

Słońce już było wysoko na niebie gdyśmy zajechali na Kaźmierz. Wtenczas dopiero odetchnąłem swobodnie. Kazałem się zawieść w Krakowie do osoby wskazanéj mi przez Wł. Jordana, zdaje mi się, że to był pan Nurkowski, nie jestem jednak tego pewny. W każdym razie był to zacny człowiek, poświęcony sprawie narodowéj i należący do jakiegoś tajnego komitetu. Zaprowadził on mnie natychmiast do pałacu Wielopolskich, gdzie mi wyjednał bezpieczne schronienie a następnie opiekował się mną troskliwie przez kilka dni pobytu mojego w Krakowie. Byłem z nim u umierającego już jenerała Prądzyńskiego, którego miałem polecenie odwiedzić i pozdrowić w imieniu Kossutha. Wyraził mi to Pulszki w swoim liście, a uznanie to talentów i zasług naszego znakomitego strategika, przychodzące z obcego kraju, było dla niego pociechą na łożu śmiertelnem.

Widziałem się w Krakowie z Władysławem Jordanem i jego bratem Edmundem i ułożyłem się z pierwszym, że jeden na drugiego czekać będzie w hotelu zum weissen Adler w Wrocławiu.

Zacny człowiek, który czuwał nademną w Krakowie, dał mi za przewodnika wieśniaka, gospodarza znanéj poczciwości, poświęconego sprawie narodowéj — należał do ruchu powstańczego w 1846 r., — ażeby mnie zawiózł na granicę Pruską i przeprowadził na drugą stronę. Przeprawa była niebezpieczniejszą jeszcze niż ta, którą odbyłem przez granicę Węgiersko-Galicyjską. Mój przewodnik zostawiwszy wózek swój z końmi w ostatniéj karczmie Galicyjskiéj i wziąwszy mój tłomoczek na plecy zaprowadził mnie nad brzeg Przemszy, rzeczki dzielącéj Szląsk Pruski od Galicyi, postawił tłomoczek mój pod krzakiem i powiedział mi, żebym usiadł na nim, przycupił się i ani znaku życia nie dawał. Sam zaś przeszedł Przemszę w bród, aby sprowadzić z drugiego brzegu przewoźnika z czółnem.

Usiadłem pod owym krzaczkiem ogołoconym z liści i zupełnie przezroczystym, a noc była jasna, księżycowa; śnieg okrywający pola dodawał jéj jeszcze jasności; niebawem usłyszałem tentent kopyt końskich, odwróciłem się i postrzegłem patrol kawaleryi Austryackiéj, przebiegający opodal; za nim w kwadrans przebiegł drugi patrol i tak było ciągle przez cały czas mojego czekania, które trwało z półtory godziny. Najniebezpieczniejszą chwilą była ta, gdy się dał słyszeć wśród ciszy nocnéj plusk wody na Przemszy a w pełnem świetle księżyca ukazało się czołno przewozowe zmierzające ku Galicyjskiemu brzegowi. Serce mi drżało, szczerze się przyznaję. Szczęśliwym trafem żaden patrol nie przechodził. Mój przewodnik przybiegł do mnie, zabrał znowu mój tłomoczek na plecy i odprowadził mnie do czółna. Przy pożegnaniu dopiero powiedział mi, żem szczęśliwie uszedł

wielkiego niebezpieczeństwa ale bezpieczniejszéj drogi do przeprawienia mnie do Prus nie było. W godzinę późniéj byłem na drodze żelaznéj idącéj do Wrocławia a w południe w Wrocławiu pod Białym Orłem. Był tam już Wł. Jordan i zeszliśmy się u stołu przy obiedzie. Z Jordanem przyszedł był Francuz ruchliwy, gadatliwy, pan Lombard, jeden z redaktorów National'a wysłany do Wrocławia jako reporter do wypadków Węgierskich. Mieszkał on także pod Białym Orłem, a Jordan znał go z Paryża. Po obiedzie poszliśmy na cygara do pokoju Jordana i Francuz począł nas wypytywać o nowiny Węgierskie. Jordan lubiący bardzo drwinkować, rozpowiadał mu niestworzone rzeczy, które Francuz spiesznie notował, późniéj przesłał je do swojego dziennika, w ówczas używającego wielkiéj powagi jako organ Cavaignac'a i Bastida, i ten je ogłosił. Za Nationalem powtórzyły też same nowiny inne dzienniki Francuzkie, Angielskie i Niemieckie i blagi Jordana obiegły całą Europę, z czego późniéj w Paryżu naśmialiśmy się obydwaj, trochę jak studenci po spłatanym figlu.

Zabawiłem parę dni w Wrocławiu, parę dni w Dreźnie, aby odwiedzić miejsca, gdzie upłynęły te lata młodości mojéj, które dla urodzonych na szczęśliwszéj ziemi są złotemi latami; to jest od 18go do 20go roku życia. Po wojnie bowiem 1831 r. wróciwszy od szpady do książki, kończyłem nauki na uniwersytecie w Wrocławiu a w Dreźnie przepędziłem całe lato 1832 roku, kiedy to miasto, dosyć lube Polakom, było główną stacyą, wielkim karawanserajem, na drodze naszych wychodzców. Możniejsi zatrzymali się tam byli dla urządzenia, o ile można było swoich interesów i trochę także w nadziei

jakiegoś zwrotu w polityce Moskiewskiéj pod naciskiem innych mocarstw. Ubożsi ciągnęli tam z Prus, z Austryi, i bardzo wielu także z Królestwa Kongresowego, uciekających przed poborem Moskiewskim, bo w Dreźnie był komitet, z Panią Klaudyną Potocką na czele, który dostarczał emigrantom wszystkiego, czego potrzebowali na dalszą drogę do Francyi. Prócz emigrantów było w tymże mieście mnóstwo przyjezdnych za paszportami z różnych części Polski, którzy przybyli tam, ażeby pożegnać się z krewnemi swemi, idącemi na wygnanie. Zgoła stolica Saska wydawała się miastem na w pół Polskiem. Na ulicach, na Brylowskim tarasie, w galeryi obrazów, w muzeach, w teatrze, w Linkische Baden i w malowniczych okolicach miasta, wszędzie słychać było polską mowę i zwykle w tonie dosyć wesołym, tak, że nie jeden Niemiec mógł sobie pomyśleć, że Polacy idą na wygnanie, jakby na zabawę.

Z Drezna zajechałem bez wytchnienia aż do Louvain w Belgii, gdzie stał garnizonem J. Kruszewski, któremu chciałem złożyć moje uszanowanie, jako jednemu z najdzielniejszych Polskich oficerów i dawnemu bardzo znajomemu; przytem z jenerałową łączy mnie niteczka powinowactwa, słaba wprawdzie, ale od czasu jak ją poznałem wzmocniona najszczerszą przyjaźnią. Jenerał dowodził dywizyą kawaleryi, lubo zostawał w randze jenerała brygady. Rząd Belgijski przez wzgląd na cara Mikołaja nie śmiał posunąć go wyżéj. W gościnnym domu państwa Kruszewskich przepędziłem parę dni, podczas których rozstrzygał się los Rzeczypospolitéj Francuzkiéj. Odbywał się bowiem wybór na jéj Prezydenta. Gdym wyjeżdżał z Louvain wynik ostateczny głosowania nie

był jeszcze wiadomy, ale z obliczeń częściowych pokazywało się już, że ogromną większość miał za sobą książę Ludwik Napoleon. Wiedząc jakby pożyteczną mi była w takich okolicznościach rekomendacya do osoby przeznaczonéj do znacznéj roli pod rządem Bonapartystowskim dał mi jenerał Kruszewski list do Aleksandra Walewskiego, którego znał dobrze w 1831 r., gdy byli razem adjutantami Skrzyneckiego. List ten wielce mi posłużył, jak się to pokaże daléj. Z Louvain pociąg parowy zawiózł mnie w parę godzin do Bruxelli, gdziem się pół dnia zatrzymał, ażeby odwiedzić Lelewela i tegoż samego dnia w nocy przybyłem do Paryża a pierwsza nowina, o jakiéj się dowiedziałem, wysiadając z wagonu, była, że w południe książę Ludwik Napoleon ogłoszony został z ganku ratusza prezydentem Rzeczypospolitéj Francuzkiéj na mocy przeszło 5 milionów przychylnych mu głosów.

VI.

Paryż był długo dla myśli mojéj jakby rajem utraconym, do którego się odnosiły moje najdawniejsze i najczarowniejsze wspomnienia, wspomnienia poranku życia i szczęśliwości niewinnéj, zupełnéj, niczem nie zamąconéj.

Przebyłem bowiem z rodzicami półtora roku w tym nowoczesnym Babylonie mając lat cztery i pięć, to jest, gdy nic jeszcze nie było stale odbitego w mojéj pamięci, gdy dusza moja otwierała się dopiero na świat, chciwa życia, kochania, radości, a świat był tak pięknym w koło niéj i tak mile się do niéj uśmiechał! Wszystkie też wrażenia moje z owego czasu odfotografowały się w niéj na tle złotem jak obrazy bizantyjskie. Wspaniałe bulwary paryzkie z rojącą się na nich elegancką publicznością i mnóstwem najwytworniejszych powozów przewijających się środkiem — ogród Tuileryjski napełniony wiosną i latem, w przedobiadowych godzinach, strojnemi, żwawemi, wesołemi dziećmi, igrającemi pospołu w wielkich kołach —

widowiska maryonetek w teatrzyku „Les ombres chinoises“, którym towarzyszyły serdeczne śmiechy kilkuset małych widzów pod opieką swoich bon, — baliki dziecinne urządzane w sposób najrozmaitszy, ale zawsze z tą miłością dla dzieci posuniętą aż do bałwochwalstwa, która charakteryzuje Francuzów i ich obyczaje — czarodziejstwa opery i baletu, których kilka widziałem z niewypowiedzianem zachwyceniem — i wpośród tego wszystkiego szkółka, gdzie chodziłem uczyć się pisać, kreśląc na piasku posypanym na pulpicie litery, które nauczyciel pisał, na wzór dla nas, na wielkiéj tablicy — oto panorama, która się dotąd przesuwa przed moją myślą, gdy ją zwracam ku początkom mojego tułaczego żywota nim się rozpoczęły dla mnie lata sieroctwa.

Dosyć to już odległa przeszłość. Było to w peryodzie od końca 1819 do początku 1821 r. Wielka epopeja napoleońska kończyła się wtenczas smutnym i straszliwie pouczającym epilogiem. Zwyciężony Tytan konał powoli na skale św. Heleny, a na miejscu jego panował stary, ociężały, okaleczały Ludwik XVIII, otoczony niedobitkami wersalskiego świata, zgromadzonemi w koło jego tronu, po dwudziestu kilku latach tułactwa po całéj Europie.

Ta przeszłość powołana napowrót do życia zbiegiem najdziwniejszych okoliczności, ażeby w piętnaście lat późniéj zniknęła na zawsze w ponownéj rewolucyi, miała pewną stronę rzewnie poetyczną, która oddziałała nawet na mnie, małego chłopczynę, obcego na francuzkiéj ziemi. — Miałem bonę nader żarliwą royalistkę, do któréj się serdecznie przywiązałem. Widzę ją jeszcze w pamięci z fularową chusteczką na głowie, nieco na bakier za-

wiązaną i w fartuszku białym, zwykłem wówczas ubraniu bon paryskich; — ona na przechadzkach i w domu opowiadała mi ciągle różne sceny z epoki terroryzmu, a szczególniéj żałosną historyę Ludwika XVI i jego rodziny, którą codzień niemal powtarzała z coraz nowemi szczegółami, a ja słuchałem ciekawie i z rozrzewnieniem. Wkrótce zrobiła ze mnie małego royalistę, a na domiar swojego prozelityzmu zaprowadziła mnie w rocznicę śmierci nieszczęśliwego monarchy do kaplicy pokutnéj (Chapelle expiatoire) na nabożeństwo żałobne. Modliłem się na kolanach i wylewałem potoki łez, tak że wróciwszy do domu szlochałem jeszcze i rodzice utulić mnie nie mogli. Dowiedziawszy się o przyczynie tego zmartwienia, złajali mocno bonę za tę zbyteczną czułość royalistowską, którą we mnie wpajała, lecz ziarno rzucone w młodziutką duszę puściło w niéj kiełki i kiedy w przeszło ćwierć wieku późniéj przyjechałem znowu do Francyi, miałem jeszcze cześć niemal religijną dla męczenników królewskich, nienawiść dla rewolucyonistów 1792 i 1793 r. i jakieś platoniczne przywiązanie do dawnéj monarchii francuskiéj — mówię platoniczne, bo kto tylko nie jest legitymistą ze krwi, widzi jasno, że Francya zerwała stanowczo i na wieki ze wszystkiemi tradycyami dawnéj monarchii. Prąd dziejowy uniósł ją daleko od tego portu i niesie coraz daléj bądź ku jakiejś szczęśliwéj atlantydzie dotąd nieodkrytéj, bądź na skały o które się rozbije.

Tymczasem wpadła była na mieliznę z różnemi ukrytemi skałami, wyborem księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitéj. Fakt ten zdumiał całą Europę i rozczarował ostatecznie tych, którzy w rewolucyi lutowéj i wywołanym przez nią ruchu ludów od

Oceanu aż do Sprewy i Karpat siedmiogrodzkich, widzieli zapowiednię nowéj ery dla Europy. W takiem rozczarowaniu przyjechałem i ja do Paryża ale niebawem widok téj zachwycającéj stolicy, ruch odurzający, jaki w niéj panuje, wspomnienia lat dziecinnych, które mnie obległy, oderwały mnie od wszelkich zimnych rozwag.

Przez parę dni oswoić się nie mogłem z tą myślą, że jestem w Paryżu, a następnie, gdym się zetknął z Emigracyą, odetchnąłem jakby polskiem powietrzem z 1831 roku. Zdawało mi się, że ta epoka przedłuża się dla nas nad Sekwanną, aż póki nie wybije godzina wyzwolenia ojczyzny naznaczona przez Opatrzność.

W rzeczy saméj w 1848 r. emigracya przedstawiała jeszcze w streszczeniu Polskę z 1831 roku, lubo śmierć wiele już wyłomów poczyniła była w jéj zastępie. Na czele jéj byli przedniejsi członkowie rządu, ministrowie, posłowie, jenerałowie z téj epoki. Plejada naszych wielkich poetów wyszłych na tułactwo była jeszcze w swoim komplecie a w wielkiéj masie emigracyi liczączéj około pięciu tysięcy wojowników z pod Grochowa, Ostrołęki, Warszawy, wszystkie pułki stare i nowe ówczesnéj armii naszéj i wszystkie prowincye polskie były chlubnie reprezentowane. Emigracya miała swoich kapłanów i swoje Siostry miłosierdzia, miała swoje instytucye wtenczas w pełnym rozwoju, bibliotekę polską, Towarzystwo historyczne, szkoły i pensyonaty dla młódego pokolenia, miała swoje dzienniki i kluby a nawet restauracye, gdzie Litwini znajdowali kołduny a Koroniarze barszcz i zrazy z kaszą. Zgoła miała wszyskie warunki potrzebne do podtrzymania narodowego życia na obczyźnie a we wszystkich jéj kołach panował ruch ogromny

wywołany wypadkami, które na tylu punktach Europy poruszyły byłą kwestyę polską.

Nimem się jednak zbliżył do emigracyi miałem sobie za powinność być u posła Węgierskiego i z nim się porozumieć względem postępowania mojego w powierzonéj mi misyi. Nazajutrz też po przybyciu mojem do Paryża wybrałem się do niego i gdym rozpatrywał szyldy na ulicy Rivoli, ażeby wynaleść hotel Meurice, gdzie poseł mieszkał, słyszę głos wołający mnie po nazwisku; odwróciłem się i postrzegłem Wł. Jordana. To nowe spotkanie i w tak ogromnem mieście jak Paryż, za pierwszem wyjściem mojem z hotelu gdziem stanął, było tak nadzwyczajnym i zarazem tak komicznym trafem, że podając sobie rękę nawzajem śmialiśmy się serdecznie.

Jordan zaprowadził mnie do hr. Telekiego, z którym poprzednio już się był zaznajomił, przybywszy na kilka dni przedemną do Paryża.

Hr. Władysław Teleki uchodził w kraju swoim za znakomitego męża stanu i gorliwego patryotę; nawet śmierć jego samobójcza poczytana mu została za akt heroizmu patryotycznego w katońskim rodzaju.

Widziany zbliska trochę inaczéj się wydawał. Był jeszcze w sile wieku, lecz twarz jego wychudła, wywiędła, poorana, oczy wygasłe, wargi zwieszone oznajmiały człowieka zupełnie zużytego. Jeżeli płonął w nim kiedyś ogień święty to już chyba tylko trochę dymu pozostało było po nim.

Dałem mu do przeczytania list Pulskiego. Przebiegł go oczami dosyć obojętnie. Opowiadałem mu następnie co się dzieje w jego ojczyźnie — usiłowania Kossutha ażeby wydobyć wszystkie siły narodowe do walki z Austryą —

zapał jakim przejęte są dla niego masy, ruch panujący w całym kraju — starałem się rzeczy nieco ubarwić, ażeby poruszyć w nim strunę patryotyczną, ale odezwał się tylko sceptycyzm. „Pan jesteś młody i jeszcze ufasz nadziejom“, rzekł mi głosem kwękającym i lekką ironią zaprawnym, który mi dał poznać, że trzeba z nim z innéj beczki, jak to mówią, zacząć. Przybrałem ton więcéj stanowczy, opierając się na poleceniach Kossutha; wnet rozmowa nasza poszła płynniéj, a w toku jéj postrzegłem, że Teleki ma wielkie poważanie dla księcią Adama Czartoryskiego i że ten użytecznie wpłynąć na niego może jeżeli zechce.

Tegoż samego dnia jeszcze byłem w hotelu Lambert. Książe Czartoryski przyjął mnie w salonie, w którym zgromadzone były księżna Adamowa, księżna Wirtemberska, księżna Anna Sapieżyna i księżniczka Iza wysmukła, biała i piękna pięknością Dianny z Luwru, nieprzystępną dla śmiertelnych.

Znałem starsze panie od lat moich najmłodszych. Samego księcia prawie nie znałem; widziałem go wprawdzie i nieraz, ale byłem wtenczas małem dzieckiem. Miał on w r. 1848 lat 78, które jednak lekko na barkach swoich nosił, bo u Czartoryskich starość zaczyna się dopiero ku dziewięćdziesiątce. Zdrowie jego było nienadwerężone, jeździł jeszcze konno i umysł jego był rześki. Był to prawdziwy patryarcha emigracyi. Wiek jego sędziwy, wielkie imie które nosił, znaczenie jakie od pół wieku miał w Europie, zasługi ogromne, które położył w ojczyźnie i charakter jego jeden z najszlachetniejszych w naszéj historyi, dawały mu do tego tytułu nie zaprzeczone prawo. Wprawdzie nie było w tym charakterze

wielkiéj sprężystości i wielkiéj siły, jakiéj potrzeba do kierowania ludźmi w epokach burzliwych. Książę Adam przez zbytnią dobroć, delikatność i pewną nieufność w siebie odstępował częstokroć od swojego zdrowego zdania pod naciskiem przyjaciół i przechylał się do ich życzeń nie zawsze dobrze rozważonych. Tak było mianowicie w téj kwestyi niewcześnie podniesionéj przez Janusza Woronicza, kasztelana Narcyza Olizara, a głównie Władysława Zamoyskiego, ażeby w rodzinie Księcia uosobić zasadę monarchiczną i przeciwstawić ją dążnościom anarchicznym demokracyi. Bronisław Zaleski tak się w tym względzie wyraża: „Że sam książę Adam Czartoryski długo się przeciw wystąpieniu z ideą monarchii bronił, tylko niechętnie uległ, gdy najbliżsi doradcy i przyjaciele zbawienie w tem dla ojczyzny upatrywali, jest rzeczą niezawodną, stwierdzoną i publicznemi jego oświadczeniami i listami prywatnemi *)“ a Bronisław Zaleski ma wielką powagę we wszystkiem, co się odnosi do księcia Adama Czartoryskiego, bo pisze jego życie z umysłem niepodległym i podług mnóstwa różnorodnych pamiętników, listów i innych dokumentów autentycznych. Zresztą w roku 1848 idea dynastyi Czartoryskich była już pogrzebana i bardzo niemiło było księciu, gdy ktokolwiek dotknął jéj przy nim choćby z daleka.

Wielką też niesłusznością byłoby zarzucać mu w sposób ogólny słabość charakteru dla tego, że się okazał miękkim w téj okoliczności i kilku innych małéj wagi. W patryotyzmie swoim był on niezachwiany. Przez

*) Monografia Ludwika Orpiszewskiego przez Bronisława Zaleskiego w Przeglądzie Polskim na miesiąc wrzesień 1875 r.

cały ciąg długiego życia swojego miał jeden tylko cel przed sobą, wyratować ojczyznę z przepaści, w którą wpadła i postawić ją na bezpiecznym gruncie zasad, które sejm czteroletni przekazał testamentem swoim przyszłym pokoleniom polskim z rozszerzeniem tych zasad do stosunków włościańskich.

Od tego celu nic go odwrócić nie mogło, ani najświetniejsze widoki osobiste, które mu się przedstawiały, gdyby zboczył ze swojéj drogi, ani przyjaźń Alexandra, którą na ciężką próbę wystawiał i którą w końcu utracił, ani nareszcie perspektywa srogiéj zemsty Mikołaja. Wszystko to niknęło przed jego oczami w obec wielkiéj misyi, którą wypełniał jako przekaz święty dwóch poprzednich pokoleń w swoim rodzie.

Wiadomo powszechnie, że jemu Polska w różnych dzielnicach swoich zagarniętych przez Rosyę winna była wszyskie korzyści, jakie osiągnęła była pod panowaniem Aleksandra I: autonomię w prowincyach zabranych, świetność Uniwersytetu wileńskiego, opiekę nad szkołą krzemieniecką, nakoniec konstytucyę w Kongresówce.*) Wiadomo także, co go wyprowadziło na wygnanie, wyzutego z majątku**) i skazanego na śmierć.

Na tem nie skończyło się jego działanie. W emigracyi, w pałacu księcia, gościnnie otwartym dla wszystkich

*) Konstytucya Kongresówki była w znaczniejszéj części jego dziełem. Alexander podpisując ją, powiedział mu: „Pamiętaj, że pierwszy żałować będziesz, żem ci ustąpił“. Ile to ustępstwo go kosztowało, tego dowodem była niełaska, w jaką odtąd książę Adam popadł u niego.

*) Majątek księcia na emigracyi pochodził od matki żony jego księżnéj Sapieżyny, z wyjątkiem niewielkich kapitałów, które mu pozostały były w Anglii.

współziomków emigrantów i przyjezdnych, było jakby wielkie bióro wychodźtwa do jego spraw wewnętrznych i zagranicznych. Tam się tłumnie cisnęli biedacy, którzy nieumiejąc żadnego rzemiosła, mogącego im dać sposób do życia we Francyi, nieznając nawet języka francuskiego, byliby powymierali z głodu, gdyby nie zasiłki, jakie dla nich zbierała księżna Czartoryska ciągłem kwestowaniem, balami, wentami, urządzanemi na ich korzyść i zachodami wszelkiego rodzaju. Ztamtąd rozchodziły się do wszystkich dzienników francuskich artykuły, wiadomości i sprostowania tyczące się Polski, ażeby utrzymać dla niéj sympatyę ludów. Książę sam większą część dnia trawił na korespondencyach z agentami swoimi w różnych krajach i wpływowemi ludźmi w parlamencie angielskim, których zjednać potrafił dla sprawy polskiéj. Zajmował się przytem gorliwie wszytkiemi instytucyami polskiemi, z których jedne sam był pozakładał a drugie czynnie podpierał. Zgoła w kraju i na wychódźtwie żył tylko dla ojczyzny i dla współziomków.

Moja pierwsza wizyta w hotelu Lambert była tylko hołdem złożonym staremu księciu i księżnom składającym starszą część rodziny zamieszkującéj przy nim. O celu przybycia mojego do Paryża zaledwie kilka słów nadmieniłem, prosząc księcia o poufną w tym względzie rozmowę. Naznaczył mi dzień następny i tego dnia przyjął mnie w swoim gabinecie, gdzie z nim był tylko młodszy syn jego książę Władysław, wówczas młodzieniec dwudziestoletni. Opowiedziałem rzecz moją, książe Władysław mi odpodział. Ojciec przygotowując go do prowadzenia daléj misyi Czartoryskich, gdy jego już nie będzie, rad był kiedy zabierał głos w sprawach roztrząsanych w jego ga-

binecie, zachowując sobie ostateczne ich rozstrzygnięcie. Młody książę nie był za łączeniem się Polaków z Węgrami z podwójnego względu, raz że Węgrom nie bardzo ufał, drugi raz, że podług niego zniweczyłoby to wieloletnią pracę hotelu Lambert, aby ustrzedz od wpływu Rosyi a zjednać dla Polski Słowian południowych.

Przytoczyłem mu w odpowiedzi fakta, które w owéj chwili czyniły los Polski zawisłym od sprawy węgierskiéj. Dyskusya nasza przedłużała się i obawiałem się, że do żadnego rezultatu praktycznego nie dojdzie, bo stary książe słuchał uważnie, ale milczał. Nakoniec wziął mnie na stronę i rzekł półgłosem: „Idź odemnie do jenerała Dembińskiego i pogadaj z nim a ja się późniéj z nim naradzę“.

Wyszedłszy z gabinetu księcia udałem się do pułkownika Zamoyskiego, który mieszkał naówczas w hotelu Lambert. Zastałem go na wychodnem i nie miał czasu zatrzymać się dla mnie, lecz dowiedziawszy się, że mieszkam na ulicy de Provence zaofiarował mi odwieść mnie do mojego hotelu, gdyż jechał w tamtę stronę a przez drogę mieliśmy czaś pogadać.

Pamiętałem pułkownika Zamoyskiego młodym oficerem, a ostatni raz widziałem go w towarzystwie w Warszawie w początku lata 1831 roku gdy byłem z pułkiem na garnizonie w stolicy. Nosił on rękę na temblaku w skutku rany odniesionéj w szarży na czele pułku Zamoyskich, zdaje mi się w bitwie pod Kuflewem, a na piersiach jego błyszczał, krwią nabyty, krzyż Virtuti militari. Był to nader przystojny mężczyzna, wybujały i wysmukły jak palma, z kruczemi i nieco kręcącemi się

włosami; wyraz twarzy miał męski, oczy myślące, obejście się uprzejme i pełne godności. Téj powierzchowności odpowiadał charakter jego rycerski i umysł poważny. Obrawszy sobie zawód wojskowy pokochał go całem sercem i starał się nabyć wszystkich wiadomości, które niemniéj potrzebne są, jak męstwo, aby się dobić sławy na téj drodze. Będąc już oficerem i adjutantem W. Księcia nie miał sobie za ujmę uczęszczać na kursa nauk wojskowych w szkole aplikacyjnéj. Z téj epoki jego życia przytoczę jeden epizodek, który go charakteryzuje.

Szkoła aplikacyjna była najwyższą szkołą wojskową w Polsce kongresowéj, do któréj prowadził jako niższy szczebel tejże saméj edukacyi korpus kadetów w Kaliszu. Na trzydziestu jednak mniéj więcéj uczniów wychodzących co rocznie z tego ostatniego zakładu, zaledwo 4—5 lub najwięcéj 8 wybranych dostawało się do szkoły aplikacyjnéj, gdzie liczba elewów*) ograniczona była na 24-ch. Wpływ arystokracyi potrafił był jednak przełamać tę regułę i kilku młodych potomków historycznych rodów: jeden Zamoyski, jeden Potocki, jeden Czetwertyński, przyjętych zostało do owéj akademii wojskowéj nie przeszedłszy przez korpus kadetów i niezdawszy nawet egzaminów z potrzebnego przysposobienia. Panicze ci zawiązali między sobą koteryę, która się odosobniała od reszty elewów, dając im czuć, że między jednymi a drugimi zachodzi wielki przedział. W odwet ci drudzy postanowili dać paniczom przy pierwszéj sposobności koleżeńską naukę i tę ściągnął na siebie, najmniéj dumny ze

*) Uczniów szkoły aplikacyjnéj nazywano elewami.

wszystkich w gruncie duszy, Zdzisław Zamoyski. Obraził on jednego z kolegów nie karmazynowych, za tym ujęli się wszyscy inni należący do tejże saméj kategoryi i wieczorem w sypialni wymierzyli mu nie tyle bolesną ile upakarzającą dla jego miłości własnéj karę, przeprosiwszy go, że nie na kobiercu bo takowego nie było.

Zdzisław Zamoyski pośpieszył pożalić się przed bratem lecz Wł. Zamoyskiemu nie przyszło nawet na myśl odwołać się do przełożonych w szkole i owszem nazajutrz po lekcyi odwróciwszy się do elewów, którzy byli tak srogimi dla jego brata, powiedział im, że dobrze zrobili i przeprosił ich za Zdzisława; dołożył tylko: „Ta jedna nauka, zechciejcie mi wierzyć, wystarczy, Zdzisław będzie odtąd dobrym kolegą i nie zasłuży na ponowienie kary“. W rzeczy saméj odtąd Zdzisław Zamoyski stał się wzorem koleżeństwa i pozyskał szczerą przyjaźń wszystkich współuczniów a przykład jego oddziałał korzystnie na całą koteryę arystokratyczną.

W powstaniu aż do nieszczęsnego wejścia do Galicyi korpusu Romaryny, w którym był szefem sztabu, Władysław Zamoyski pozyskiwał sobie coraz większą sławę. Postąpienie jego z W. Księciem Konstantym było pełne delikatności, godności i taktu. Wymógłszy na nim, pomimo sprzeciwianie się księżnéj Łowickiéj, że odprawił gwardye przy nim będące i upoważnił je, aby się połączyły z narodem, sam odprowadził go aż do granicy Kongresówki.

Dopełniwszy tego obowiązku honoru, bił się walecznie, krwi swojéj nie szczędził, krzyż i rangę pułkownika zdobył sobie na polach bitew i byłby może został wodzem naczelnym po Skrzyneckim, gdyby to zależało było od

głosowania oficerów, których wielka część odzywała się głośno w obozie pod Bolimowem, że gdyby jemu powierzono dowództwo wojska, wyprowadziłby sprawę naszą na lepszą drogę a przynajmniéj honor narodu ocalił. Na tę piękną reputacyę padł cień przy końcu wojny.

Po obrzydłych scenach 15 sierpnia, następnie wyniesieniu intryganta Krukowieckiego, posądzonego, że temu roznamiętnieniu demagogii potakiwał, na naczelnika wojska i rządu, a w końcu upadku Warszawy, Władysław Zamoyski zrozpaczył o sprawie narodowéj i przyjął odpowiedzialność za wejście korpusu Romaryny do Galicyi, gdyśmy mieli jeszcze 70 tysięcy wojska i powinni byli raczéj trzymać się do upadłego, niż iść na tułaczkę. Za tę chwilę rozpaczy pokutował on przez resztę życia.

Gdym szedł do jenerała Zamoyskiego, miałem żywo w pamięci jego postać wyniosłą, pełną dystynkcyi i w całym jeszcze blasku młodości, jaką miał przed 17tu laty. Ale jakież zmiany znalazłem w całéj jego osobie. Krucze jego niegdyś włosy posiwiały były przedwcześnie, oko jedno występowało nieruchomie ze swojéj oprawy w skutku rany, jaką odniósł na samem wejściu do Galicyi. Na twarzy jego wyrobił się był wyraz nieugiętéj energii, ale zarazem ciężkie choroby jakie przebył i które zostawiły w jego organiźmie śmiertelne nasienie wybiły na niéj swoje smutne piętno. Niemniéj jak powierzchowność i charakter jego był zmieniony. Nie był to już ów koleżeński pułkownik z roku 1831, był to człowiek zgryziony, rozdraźniony, zakwaszony cierpieniami fizycznemi, zawodami szlachetnéj ambicyi, którą żył od lat najmłodszych, działalnością gorączkową w próżni a wreszcie kłótniami emigracyjnemi.

To rozdrażnienie jego charakteru uderzyło mnie już mocno w ciągu półgodzinnéj z nim rozmowy w przejeździe z hotelu Lambert na ulicę de Provence. Mówił cierpko o rzecach i ludziach, nieoszczędzając nawet osób w których stary książę, wuj jego, pokładał zupełne zaufanie. Słuchał on opowiadania mojego o działaniach polskich w Węgrzech uważnie nie okazując jednak, ani sympatycznego zajęcia się niemi, ani też nieprzychylnego usposobienia. Widziałem, że dla niego związek między sprawą węgierską, a sprawą polską był kwestyą, nad którą potrzebował się bliżéj zastanowić, ale gdym mu szczerze powiedział, że zamierzam zetknąć się ze wszystkiemi stronnictwami w emigracyi, ażeby wszystkie pociągnąć pod jedną chorągiew polsko-węgierską, przybrał natychmiast ton lodowaty i od całéj téj sprawy zdawał się ręce umywać. Było to jednak przemijające tylko wrażenie. W kilka miesięcy późniéj zdecydował się sam jechać do Węgier. Uczucie patryotyczne przeważyło w nim wszelkie względy uboczne, i tak było zawsze. Gdziekolwiek się pokazała chorągiew polska, jak w 1849 roku w Węgrzech, w 1854 roku na Wschodzie, on tam stawić się musiał, jak żołnierz na apel . . . nie pytając się, czy ten ruch polski jest dobrze obrachowany i kto nim kieruje, niezważając nawet na okropne cierpienia fizyczne, którym ciągle ulegał, a gdy już sam nie mógł być wśród walczących, to im posyłał posiłki w ludziach i zapomogi jakie mógł uzbierać, jak w powstaniu 1863 roku.

Po rozmowach jakie miałem z posłem węgierskim, z księciem A. Czartoryskim i epizodyczne z Wł. Zamoyskim należało mi, nie ociągając się daléj, zaatakować jenerała Dembińskiego. Jenerał mieszkał bardzo

skromnie, niemal ubogo, gdym przyszedł do niego siedział nad jakiemiś szpargałami, w małéj izdebce, w któréj nie było ognia na kominku, lubo to było w grudniu. Był on już pozyskany dla sprawy węgierskiéj przez Władysława Jordana, który mu przyniósł list od Bema i uprzedził go, że ja przyjdę do niego w formalnem poselstwie od Kossutha. Nie potrzebowałem więc szeroko rzeczy mojéj przedstawiać. Po kilku słowach, które poparłem listem Pulskiego, odpowiedział mi, że gotów jest wybrać się do Węgier i że niezwłocznie pójdzie do księcia Adama pomówić z nim o tem. Zresztą słuchał jednem uchem tylko, com mu o sytuacyi Węgier mówił, jakby mu to było rzeczą obojętną i miał coś innego na sercu, czego mi powiedzieć nie chciał. Był widocznie zakłopotany. Dowiedziałem się wkrótce z jednéj strony od Jordana, z drugiéj strony od Telekiego o co mu chodziło. Poczciwy jenerał był jak wielu bardzo emigrantów zadłużony. Nie wiedział już jak wybrnąć ze swoich kłopotów, gdy jak Deus ex machina pojawił się u niego Jordan z propozycyami węgierskiemi. Bardzo je też mile przyjął i dał do zrozumienia Jordanowi, że jeżeli Węgrzy chcą, ażeby swojéj staréj szabli dobył dla oswobodzenia ich kraju, to muszą naprzód jegoż samego oswobodzić od trapiących go wierzycieli. Przedemną, którego pierwszy raz widział, nie chciał z tym występować, lubo mu to żadnéj ujmy nie czyniło, ale księciu Czartoryskiemu wyjawił otwarcie sekret swojéj sytuacyi. Książe podjął się negociować z Telekim w jego interesie. Nie szło to jednak bardzo gładko. Teleki, był sceptykiem,

wierzył w to tylko, czego się dotykał i nie lubił rozstawać się z jakiemikolwiek pieniędzmi, czy to własnemi, czy powierzonemi mu przez swój rząd. Gdyby był miał matematyczną pewność, że za kilka tysięcy franków okupi tryumf Węgrom, byłby się jeszcze może targował, a téj pewności nie miał. Zwlekał też kilka tygodni ze swoją ostateczną decyzyą. Dopiero gdy wiadomości przyszły, że Austryacy wkroczyli do Węgier, że prą Węgrów i zbliżają się do Pesztu, uląkł się odpowiedzialności jakąby ściągnął na siebie, gdyby nie przysłał jenerała, na którego talenta wojskowe liczyli i zgodził się na warunki Dembińskiego.

Biedny stary jenerał! Puszczać się na największe niebezpieczeństwa, przedzierać się przez kordony pruskie i austryackie i iść walczyć za sprawę, która zdawała się upadać, dla tego, aby mieć czem zaspokoić swoich wierzycieli, co za los dla człowieka zasłużonego i obywatela niegdyś możnego! Bez wątpienia w owéj chwili nie miałbym był odwagi namawiać go do takiéj awantury, ale on był już na wszystko zdecydowany, nie przewidywał tylko, że ta suma, którą mu Teleki z góry wypłaci, będzie ciężkim dla niego łańcuchem. Tak bowiem w rzeczy saméj stało się. Ona to krępowała jego wolę, gdy zmienność Kossutha, nieposłuszeństwo jawne Görgeja i intrygi podrzędnych dowódzców czyniły mu służbę węgierską nieznośną.

VII.

Ściągnięcie Mierosławskiego do Węgier było zadaniem więcéj nierównie skomplikowanem niż nakłonienie Dembińskiego, ażeby przyjął dowództwo armii węgierskiéj. Wiedziałem dobrze, że Mierosławski miał się za wielkiego człowieka, a Kossuth chciał go wypróbować na stanowisku drugorzędnem w sztabie głównym, lecz przypuściwszy, żeby się na to zgodził, zostawało jeszcze pytanie, czy Dembiński zechce przyjąć za współdziałacza improwizowanego hetmana demokratów? Nie śmiałem sam go badać w tym względzie, wolałem się uciec do pośrednictwa jego przyjaciela, czcigodnego Barzykowskiego, którego codzień prawie spotykałem na obiedzie w klubie polskim na ulicy St. Honoré. Barzykowski był człowiekiem umiarkowanym, rozważnym, wytrawnym i nieposzlakowanéj uczciwości. Prosiłem go nietylko, ażeby wysondował Dembińskiego, ale żeby wpłynął ile będzie mógł na niego i nakłonił go do zapomnienia uraz, jakie mieć może tak

do Mierosławskiego jak i do innych zwolenników demokracyi, którzyby służyć chcieli w wojnie węgierskiéj pod jego dowództwem. Barzykowski przyrzekł mi to i w parę dni późniéj przyniósł mi do klubu odpowiedź Dembińskiego. Jenerał mu powiedział, że opinie polityczne Mierosławskiego wcale go nie obchodzą, że w Węgrzech ma on być oficerem a nie trybunem, że pisarzowi historyi wojny 1831 roku przebaczyłby najostrzejszą krytykę jego działań wojennych i politycznych, ale że Mierosławski przeszedł wszelką granicę uczciwéj krytyki względem niego. Napisał bowiem w swojéj skróconéj historyi kampanij 1831 r. w języku francuskim, te słowa „Dembiński wszedł do Warszawy jako zbawca, a wyszedł z niéj jako zdrajca“ i tego mu nigdy nie przebaczy. Wyraz „zdrajca“ wystósowany do Dembińskiego zrobił na mnie wrażenie tak bolesne, jakby do mnie samego był wymierzony. Pewny jednak byłem, że nie wyszedł z przekonania Mierosławskiego, że go rzucił tylko w swój frazes dla antytezy. Powiedziałem to Barzykowskiemu i dołożyłem, że Mierosławski, jeżeli zechce iść do Węgier, to musi napisać list do jenerała Dembińskiego i wyrazić mu żal za oszczerstwo, jakiego się dopuścił na niego tak nierozważnie. To mu honor nakazuje. W takim razie, rzekł Barzykowski, nie wątpię, że jenerał Dembiński rękę mu poda.

Mierosławskiego nie było w owéj chwili we Francyi. Ukrywał się jeszcze w Sycylii po upadku powstania, którym tak nieszczęśliwie dowodził, ale spodziewano się go z powrotem w Paryżu w niedługim czasie. W nieobecności jego ciekawy byłem wybadać usposobienie centralizacyi, któréj on był członkiem i od któréj przeto

zależał; przytem centralizacya stała na czele bardzo licznego stronnictwa, za obrębem którego trudno by było znaleść dostatecznéj liczby oficerów do legionów Polskich w Węgrzech, gdyby okoliczności dozwoliły rozwinąć na wielką skalę będący już w tym kraju zaród polskiéj siły.

Poszedłem więc do Józefa Ordęgi, jednego z centralizatorów, do którego miałem list polecający, od Wysockiego. Ordęga był bardzo rad, że sie do centralizacyi zgłaszam, i niebawem oddając mi wizytę zaprosił mnie w imieniu swoich kolegów na ich zebranie. Czterech tylko członków centralizacyi było obecnych w Paryżu: Darasz prezydujący, Worcel, Ordęga i Chrystowski. Przed tymi panami więc stawiłem się jakby na jakie posłuchanie solenne i wyłożyłem im cel mojéj misyi w ogólności a w szczególności zlecenie jakie mi dał Kossuth odnośnie do Mierosławskiego. Tu pokazały się nowe trudności. Darasz mi powiedział, że Mierosławski jest moralnie związany z rządem tymczasowym Badeńskim, który mu zaofiarował za pośrednictwem centralizacyi dowództwo naczelne wojska a on takowe listownie przyjął.

Wypadki Badeńskie ówczesne są już dziś zapomniane i nie od rzeczy będzie zapewne dać czytelnikom krótkie o nich objaśnienie.

Na kilka tygodni przed przyjazdem moim do Paryża, wojsko Badeńskie zbuntowało się było. Jeden pułk dał przykład, za ktorym poszły niemal wszystkie inne i porozpędzały swoich oficerów, z wyjątkiem jednego porucznika Sybla, którego opinie demokratyczne i entuzyazm dla idei wolności i jedności wszech-niemieckiéj były znane. Wnet potem wybuchnął i lud rzemieślniczy po miasteczkach. W. Książe uszedł ze swojego księstwa z całą swoją ro-

dziną; za jego przykładem dwór jego, możniejsze rodziny i wszyscy oficerowie wydalili się z kraju a w Karlsruhe ustanowiony został rząd tymczasowy złożony z adwokatów i dziennikarzy. Sybel objął dowództwo wojska wraz z ministerstwem wojny i zajął się gorliwie organizacyą ruchawki ale rząd tymczasowy chcąc owéj rewolucyi w małym kątku Niemiec nadać cechę wszechniemiecką nie przestawał na cichych lubo rzeczywistych zdolnościach wojskowych Sybla, pragnął postawić na czele sił badeńskich wielkiego człowieka z głośną w Niemczech sławą i odwołał się do Mierosławskiego, który od czasu obrony swojéj przed sądem berlińskim uchodził w istocie między demokracyą niemiecką za wielkiego człowieka, za apostoła ogromnych idei. Nie szło za tem, ażeby go na seryo wziąść mieli gdy ze swojem polskiem nazwiskiem i nie umiejąc ani słówka po niemiecku stawi im się jako patryota niemiecki i obrońca ich mrzonek.

Zdziwiło mnie to niemało, że podejmuje się téj roli Condottiere rewolucyjnego i że mu centralizacya potakuje. Starałem się wytłumaczyć panom centralizatorom, że on niema co robić w téj awanturze, która bynajmniéj nas nie obchodzi i zresztą już jest spóźniona, że nic nie zdziała i okryje się śmiesznością. Miejsce jego, mówiłem im, jest w Węgrzech, gdzie wywieszona już jest chorągiew polska, a parę tysięcy dzielnéj młodzieży czeka na znak, aby połączyć się pod nią w jedną falangę, gdyż dziś Węgry walczą z Austryą, jutro zetrą się z Moskwą.

Centralizatorowie w odpowiedziach swoich sprowadzili dyskusyę na ciasne pole interesów stronniczych. Upierali się przytem, że Mierosławski związany już z Badeńczy-

·kami, że ci liczą na niego i że zawieść ich zaufanie byłoby niegodnem; głównie jednak chodziło im, a mianowicie Daraszowi o to, że w Węgrzech rola Mierosławskiego obok Dembińskiego byłaby podrzędną, bez wpływu na los sprawy polskiéj, gdyż przez Dembińskiego hotel Lambert będzie wszystkiem kierował; zwłaszcza, że poseł węgierski w Paryżu jest raczéj reprezentantem arystokracyi niż demokracyi i żyje w ścisłych stosunkach z księciem Czartoryskim, z niemi zaś bez wątpienia znosić się nie zechce. Te ostatnie kilka słów dały mi poznać, że kwestya miłości własnéj ma niemałą wagę dla centralizacyi w tych rokowaniach i dla tego wziąłem na swoją odpowiedzialność powiedzieć im, że i owszem, Teleki życzy sobie zapoznać się z niemi i spytałem ich, czy chcą, żeby przyszedł sam do nich, czy też raczą pofatygować się ze mną do niego. Oświadczyli mi skromnie, że pójdą chętnie ze mną do niego, gdy im wyznaczy dzień i godzinę na to widzenie się.

Teraz może czytelnik rad będzie zaznajomić się bliżéj z ludźmi, których demokracya emigracyjna wybrała na swoich przewodników. Nie znałem ich dostatecznie, ażebym mógł skreślić ich wizerunki dokładne, ale oto są choć sylwetki tych, z którymi miałem w owym czasie do czynienia.

Darasz był jeszcze dosyć młodym; mógł mieć 36 lat najwięcéj. Na twarzy jego okrągłéj, świeżéj nieco chłopkowatéj malowała się pewna dobroduszność, z którą w sprzeczności były jego oczy żywe, latające, badawcze. Mało mówił i zawsze tonem spokojnym, nigdy się nie unosząc, a wśród swoich kolegów wyglądał jak sfinks, którego myśl każdy z nich chciał odgadnąć, żeby się

podług niéj kierować i to niezawsze im się udawało gdy on tymczasem wszystkich znając do gruntu, łatwo każdego z nich przenikał.

Co więcéj znał doskonale wszystkich niemal członków stronictwa demokratycznego i umiał wyzyskać na cele stronnictwa co tylko użytecznego pod tym względem wyciągnąć z nich mógł; talenta lub odwagę jednych, pieniądze drugich, stosunki towarzyskie innych. Nie jeden się zżymał, lecz w końcu każdy wpływowi jego ulegał, bo wpływ ten opierał się na wyższości rzeczywistéj, jaką nad pospolitemi charakterami mają przekonania stałe, silna wola, panowanie nad sobą i umiejętność trafiania w słabe strony drugich. Przeszłości Darasza dobrze nie znam; był podobno synem odźwiernego pałacu Potockich w Warszawie, co mu ujmy nie przynosi, ale tłómaczy zaciekłość jego opinij demokratycznych. Z władzą w ręku byłby on polskim Robespierem, tak nieprzejednaną nienawiść żywił do arystokracyi i szlachty; lecz z tym ultrademokratyzmem, czyli jakby dziś powiedziano radykalizmem łączyły się w nim republikańskie cnoty: żył skromnie, żadnych rozrywek nie szukał i z zupełnem zrzeczeniem siebie oddany był sprawom swojego stronnictwa, które uważał za jedyną dźwignię mogącą podnieść ojczyznę.

Stanisław Worcel możny niegdyś obywatel i marszałek swojego powiatu na Wołyniu, następnie poseł na sejm 1831 r., był już w r. 1848 w wieku dosyć podeszłym. Włosy jego siwiejące i rzadkie rozrzucone były w nieładzie na głowie, twarz jego łagodna zwykle zamyślona, nosiła piętno wielkiego znużenia i nieukojonéj tęsknoty za krajem, za dziećmi, które w nim pozostawił

i może za idealnem dobrem, którego urzeczywistwienia pragnął nadaremnie na ziemi. Był to bowiem filantrop od lat najmłodszych. Przeszed przez najrozmaitsze stowarzyszenia, mające na celu wyzwolenie Polski lub polepszenie bytu ludzkości wogóle i w końcu zabłąkał się na bezdroża socyalizmu. Należał do szkoły Fourriera, zmodyfikowanéj przez Consideranta. Pomimo tego zachował był przyjazne stosunki i szacunek ogólny w obozie konserwatywnym. Była też to najpoczciwsza dusza pod słońcem. Nigdy biedny współwygnaniec nie zgłosił się napróżno do niego. Radził, pomagał, wspierał jak mógł, częstokroć ostatnim groszem dzielił się z drugimi, a do skrajnéj demokracyi i do socyalizmu zawiodło go jedynie wygórowane nad wszelką praktyczną miarę uczucie ludzkości.

Józef Ordęga szlachcic kaliski, żywy wesoły, uprzejmy, gościnny, z tą cechą lekko gaskońską właściwą kaliszanom ówczesnym, godził w swoim umyśle Robespiera z Chrystusem Panem. Sądził bowiem, że terroryzm był zbawiennym dla Francyi, ale demokracyę polską chciał ufundować na przykazaniach Ewangelij a nawet na obietnicach Chrystusowych tak jak je rozumiał. Wykładał mi to w ten sposób: Zbawiciel powiedział wprawdzie „królestwo moje nie jest z tego świata“, ale stosował to tylko do chwili, w któréj to mówił, bo natychmiast dodał nunc autem regnum meum non est hinc. A zatem królestwo jego nie było wtenczas z tego świata i nie jest dziś jeszcze, ale przyjdzie kiedyś i dla tego w pacierzu ułożonym przez samego Chrystusa, modlimy się ażeby przyszło. Teologowie tylko rozstrzygnąć mogą, czy miał szłuszność czy nie. W każdym razie nie wielu

znalazł stronników do swojéj tak zwanéj Demokracyi chrystusowéj*), bodaj czy nie jednego tylko poczciwego Januszewicza ex-prezesa komisyi Województwa Sandomierskiego a swojego wiernego przyjaciela. Ordęga był wielce użytecznym centralizacyi przez swoje dosyć rozległe stosunki między Francuzami, którzy lubili jego żwawość, jego entuzyazm dla sprawy demokratycznéj a nawet i ten akcent z nad Prosny z jakim śmiało rąbał po francusku. Był mianowicie w zażyłości z ludźmi politycznemi z partyi Nationala jak Bastide, Carnot, Bois le Comte, a nawet Cavaignac, których rewolucya wyniosła była do steru republiki.

Chrystowski najmłodszy między centralizatorami był sobie mały człowieczek cichy, potulny, którego nie wiem dlaczego postawiono tak wysoko w demokracyi emigracyjnéj, chyba że się nim koledzy jego posługiwać mogli na wszelkie sposoby.

Z podanéj tu próbki mógł się czytelnik przekonać, że centralizacya w składzie swoim nie była bynajmniéj jednolita, jeden ciągnął ją ku socyalizmowi bezwyznaniowemu, drugi ku Ewangelii zastosowanéj pewną metodą do polityki. Sam zaś prezes był dosyć dalekim od socyalizmu jak mnie o tem w cztery oczy upewniał, ale też i na prawidłach Ewangelii wcale nie poprzestawał. Podstawą, na któréj się głównie opierał były „prawa człowieka“ sformułowane na czele konstytucyi francuskiéj 1789 r. i konsekwencye, jakie z tych praw wyciągał.

*) Nie należy mięszać demokracyi chrystusowéj Ordęgi z Polską Chrystusową Ludwika Królikowskiego, która była nazwą systematu filozoficznego dosyć zbliżonego do konkluzyi Cieszkowskiego.

Centralizacya nie miała już od wypadków 1846 r. żadnego stałego planu działania dla oswobodzenia Polski. Była ona wykolejona. Przez lat kilkanaście zmierzała tak pismami swojemi jak pracą podziemną, prowadzoną przez swoich emisariuszów, do wywołania ogólnego powstania mas we wszystkich dzielnicach Polski. Hasłem, które rozsyłała wszędzie, gdzie tylko biją serca polskie, było, że demokracya jedna dając ludowi równouprawnienie zupełne z innemi klasami społeczeństwa i wszystkie warunki dobrobytu, może Polskę ocalić, ale kogóż poruszyła? Szlachtę zawsze gotową do najwyższych poświęceń dla ojczyzny, lud zaś wiejski w Królestwie głuchym był na całą tę propagandę, a w Galicyi przerzucił się na stronę nożów i rabunku. Była to gorzka nauka. Wnosząc, że nie poszła w las, pracowałem nad centralizacyą, ażeby ją przeciągnąć ku projektowi sojuszu naszego z Węgrami, któren nie wykluczał ani monarchicznych ani demokratycznych zasad. Książę Czartoryski nie miał mi wcale za złe mojéj roboty. Muszę i demokratom tę sprawiedliwość oddać, że mi nie naganiali moich wizyt w hotelu Lambert.

Wracam do porządku chronologicznego w mojem opowiadaniu. Nakłoniłem Telekiego — nie bez biedy wprawdzie — że zdecydował się przyjąć centralizatorów i dzień mi po temu naznaczył. Przyprowadziłem ich do niego. Był nader grzecznym, powiedział im nawet kilka komplementów, lecz w ogóle cedził swoje słowa i widocznem było, że siedział jak na szpilkach. Gdyśmy wyszli od niego, centralizatorowie zgodnie osądzili, że odegrał z niemi komedyę. Musiała jednak pochlebić ich miłości własnéj, bo przy rozstaniu oświadczyli mi, że nie

mają nic przeciw temu, abym szukał w szeregach demokracyi oficerów do służby węgierskiéj, że nawet Mierosławskiego od tego odwodzić nie będą, jeżeli sam się do moich propozycyi nakłoni, ale że nie mają jeszcze dosyć przekonania, ażeby na współdziałanie demokratów polskich z Węgrami uroczyście bębnili.

Nie żądałem też tego od nich. W początku ograniczyć mi się trzeba było na pozyskaniu dla Węgrów kilku tylko oficerów. Wysyłka wielkiéj liczby emigrantów zależała od tego, czy rząd Karóla Alberta zechce użyczyć im wojennego statku, lub przynajmniéj jakiego parowca na przeprawę do portu Fiume? bo innemi drogami niezmiernie trudno było dostać się do Węgier i każdy emigrant, który się tam udawał, narażał się na większe niebezpieczeństwo w przeprawie niż w walnéj bitwie. Kwestya przesyłki emigrantów łączyła się tym sposobem z ważniejszym jeszcze dla Węgrów zadaniem sprowadzenia im broni, do czego innéj drogi nie było, jak morzem na Riekę (Fiume), lecz Teleki z zwykłą swoją opieszałością i swoim sceptycyzmem żadnego kroku w tem nie czynił, odkładając go z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Chcąc mu bodźca dodać i czynność mu ułatwić, skorzystałem z listu jaki mi dał jenerał Kruszewski do Aleksandra Walewskiego i udałem się do téj osobistości głośnéj w świecie eleganckim, gdzie za nic innego uchodzić nie chciała, jak za szlachcica polskiego. Był to człowiek słusznego wzrostu, dosyć mocnéj tuszy, z głową Napoleońską, tylko twarz miał pełną, podług polskiego typu, a w oczach jego zamiast płomienia geniuszu, którym błyszczało wejrzenie Napoleona, był wyraz uprzejmości, słodyczy charakteru i intelligencyi otwartéj, lecz biernéj.

Mówił z razu z pewnem wahaniem się, które w toku rozmowy znikało, zresztą wszystko w nim cechowało prawdziwego gentlemana. Był on w owéj chwili luźnym dyplomatą, ale ze świetną przyszłością, którą mu wybór księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitéj otwierał. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, na co zapewne wpłynęla była pamięć mojego ojca, wielkiego przyjaciela jego matki. Gdym mu opowiedział mój interes, rzekł mi: „Szczęśliwie pan trafiłeś. Jest właśnie w Paryżu adjutant i najpoufniejszy powiernik króla Karóla Alberta a mój zażyły przyjaciel, pułkownik Cipriani. Ma on, między nami mówiąc, różne tajne zlecenia od swojego monarchy, odnoszące się do wojny która w tych dniach rozpocznie się na nowo między Sardynią a Austryą, ma przytem rozległe pełnomocnictwo do działania i pewny jestem, że wszystkich starań dołoży, aby wam dopomódz w waszym projekcie, który może przyczynić się bardzo skutecznie do rozerwania sił austryackich na korzyść Sardynii. Przyjdź pan do mnie jutro na obiad, zastaniesz go tutaj i będziecie mogli szeroko się rozprawić.“ Nazajutrz stawiłem się z wielką przyjemnością na zaproszenie Walewskiego. Zaprezentował mnie on swojéj żonie, małéj, szczupłéj, zgrabnéj i nader miłéj Florentce, z domu hrabiance Ricci z kilku kroplami krwi polskiéj, a nawet królewsko-polskiéj w żyłach. Była bowiem wnuczką, jeżeli nie w zupełnie prostéj, to przynajmniéj w urzędowo sprostowanéj linii, Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego Litewskiego. Był już w salonie państwa Walewskich pułkownik Cipriani, jeszcze dosyć młody, nader przystojny, z fizyognomią wojskową, lecz czysto-włoską i z układnością człowieka żyjącego oddawna w sferze

dworskiéj. Po obiedzie gastronomicnym lubo hotelowym, bo Walewski nie wiem dlaczego mieszkał nie w prywatnym domu ale w hotelu Mirabeau na ulicy de la Paix, rozmówiłem się z adjutantem Karóla Alberta. Był on już uprzedzony przez Walewskiego o co mi chodzi i konferencya nasza nie długo trwała. Cipriani mi powiedział, że nie ulega żadnéj wątpliwości, iż Rząd Sardyński dostarczy nam statku parowego na przewóz broni i emigrantów polskich do portu Fiume; co więcéj, ponieważ wojna między Sardynią i Austryą już będzie rozpoczęta zanim ten transport przygotujemy, Rząd Sardyński każe jednéj fregacie eskortować go, ażeby mógł bezpiecznie dopłynąć do Fiume i tam być wyładowanym. Trzeba tylko, żeby poseł węgierski zrobił podanie w tym względzie na jego ręce do hr. d'Azeglio, prezesa Rady ministrów, a on za skutek pomyślny ręczy.

Rezultat ten bardzo mnie ucieszył, lecz obawiałem się, że Telekiego nie pociągnę na drogę, którą nam pułk. Ciprani otwierał. Zaczynałem bowiem wielce powątpiewać o zamówionéj broni przez niego w warsztatach angielskich i belgijskich, jak mu to był Kossuth polecił. Zbyt mało miał wiary w sprawę węgierską, ażeby się tak wielkim interesem chciał był zająć. Wiele razy mu o téj broni wspominałem, odpowiadał mi ogólnikowo, z pewnem zakłopotaniem, i sprowadzał rozmowę na inny przedmiot zwykle błahy; najmiléj bowiem było mu rozmawiać o kobietach, o gastronomii, o fraszkach światowych. Wtenczas ożywiał się i dowcipkował a polityka go zasępiała.

W ważnéj okoliczności, która się teraz przedstawiała, nieczując się na siłach, ażeby przemódz stanowczo tę

jego polityczną apatyę, udałem się do księcia Czartoryskiego, opowiedziałem mu rzecz całą i prosiłem go, ażeby zechciał nakłonić Telekiego do korzystania ze sposobności, która mu pozwalała zaopatrzyć Węgry w broń, oficerów i ochotników. Książe interesował się coraz więcéj sprawą węgierską*) i chętnie mi przyrzekł wpłynąć ile będzie mógł na Telekiego. Rzeczywiście też, gdym w parę dni potem był u posła węgierskiego nie opierał się, jak się obawiałem, iść ze mną do Walewskiego i Ciprianego; lecz Walewski, którego uprzedziłem o téj chęci jego złożenia mu wizyty, nie bardzo temu był rad. Powiedział mi szczerze, że w położeniu wyczekującem w jakiem się znajduje, wszelkie mieszanie się jego do kwestyj politycznych bieżących, mogłoby być wzięte za intrygowanie, za wyrywanie się z jakąś rolą samodzielną, i zaszkodzić mu w opinii Prezydenta Rzeczypospolitéj. Ledwo się dał uprosić, że raz jeden przyjmie Telekiego, ażeby mu dodać zaufania do Ciprianego. „Potem, rzekł, będziecie mieli drogę otwartą do działania, a mnie zostawcie na boku“. Przyprowadziłem więc do niego węgierskiego dyplomatę. Walewski wypytywał się go ciekawie o różne szczegóły sprawy węgierskiéj, czem zachęcony Teleki,

*) Gdy Moskale już byli wkroczyli do Węgier, pisał stary książe do Orpiszewskiego: „Nigdy w życiu nie pamiętam aby smutniéj było. Węgrzy podobno potrafili wstrzymać niezmierne siły koalicyi, ale trzeba znaczniejszych zwycięztw, aby w Europie skutkowały. Niewiem dla czego wiadomości zwycięztw nie zostawiają po sobie pociechy. W każdym przypuszczeniu przyszłość jest pomięszana, niepewna, bez światła. Jeżeli zaś Moskale przemogą, to Polska poniesie ostatni cios, trzeba będzie zwinąć naszą budowę polityczną, bo nie będzie czem i po co ją utrzymać“. Br. Zaleski. Żywot Orpiszewskiego w Przeglądzie Polskim na Wrzesień.

dawszy mu wszystkie objaśnienia jakich żądał, chciał zakończyć opowiadanie swoje wielkim efektem wymowy i tonem płaczliwym polecił jego opiece nieszczęśliwe Węgry. Lekki uśmiech przebiegł po twarzy Walewskiego; odpowiedział mu, że on w téj chwili jest niczem i do sprawy węgierskiéj mięszać się nie może; prosił go o zachowanie w tajemnicy pogadanki jaką z nim miał, i odesłał go do Ciprianego, lecz ostrzegł nas, że on wyjechał do Turynu i nie wróci jak za ośm dni najprędzéj.

Nieszczęściem, w ciągu tych ośmiu dni zmieniła się postać rzeczy w Węgrzech.

Już w drugiéj połowie grudnia zaczęły przychodzić wiadomości niepomyślne z teatru wojny nad Dunajem. Austryacy wkroczyli do Węgier dnia 15 czy 16 grudnia, jak już nadmieniłem wyżéj, i parli przed sobą porozrzucane po obu stronach Dunaju korpusy węgierskie. Wprawdzie Görgej stawił im mężny opór pod Wieselburgiem, a Perczel pod Moorem, ale jeden i drugi zamiast podpierać się nawzajem, cofnęli się dwoma drogami do Pesztu. Wojsko austryackie zbliżyło się pod to miasto, i dnia 4 stycznia zajęło go, a główna armia węgierska cofnęła się za Cissę, gdzie wraz z nią przeniosły się władze krajowe. Drugiego dnia po nadejściu tych wiadomości poszedłem do Telekiego. Zasób jego nadziei w sprawie swojego narodu, którą miał wrzekomo podtrzymywać we Francyi, był zawsze nader słaby a w téj chwili zastałem go zupełnie zrozpaczonego. „Widzisz pan — rzekł do mnie — iż miałem słuszność niezajmować się tak nagle wysyłką broni i emigrantów do Fiume. Nie przyjdzie już tam teraz Perczel, ażeby ją przeprowadzić

pod zasloną bagnetów do Debreczyna, a fundusze jakie miałem na ten cel, dobrze jest zachować dla emigracyi węgierskiéj, która niebawem pojawi się na francuskiéj ziemi". Nie miałem argumentów dosyć silnych na podniesienie w nim ducha. Okoliczności zdawały się rzeczywiście dawać słuszność jego pesymizmowi i nie było już mowy między nami ani o rokowaniach z pułkownikiem Ciprianim, ani o wyprawieniu oficerów polskich do Węgier. Cały werbunek ograniczył się na Dembińskim, który miał sobie za obowiązek honoru przedrzeć się do tego kraju i już był w drodze, oraz kilku oficerach wskazanych przez niego Telekiemu z poparciem księcia Adama. Za nimi wyruszył i Wł. Jordan, który dopełniwszy danego mu pojedynczego zlecenia, winien był wrócić na teatr walki jako oficer węgierski. Tego obowiązku ja nie miałem, a lubo poseł węgierski jakby na znak że zwinął swoją misyę, przeniósł się z okazałych apartamentów do dwóch skromnych emigranckich pokoików, i oddalił nawet swojego sekretarza Szarwadiego, nie utraciłem był nadzei, że się rzeczy polepszyć mogą w Węgrzech, i że może być jeszcze coś do działania we Francyi na korzyść téj sprawy. Wszakże i w naszéj wojnie r. 1831, w pierwszym peryodzie cofnęliśmy się aż pod Grochów, a z Grochowa do Warszawy i na lewy brzeg Wisły. Sprawa nasza zdawała się już straconą, a jednak późniéj zwycięztwa pod Wawrem i Dębem mogły były dać zupełnie inny obrót naszéj sprawie, gdybyśmy byli mieli człowieka z geniuszem na czele wojska. Zostałem więc w Paryżu, zasmucony ale nie zrospaczony.

VIII.

Przez parę miesięcy następnych, to jest dopóki sprawa węgierska znowu się na chwilę nie podniosła, ograniczyć się musiałem na biernéj roli obserwatora wśród emigracyi. Ale jakiż to ciekawy przedmiot do studyów był ten świat emigracyjny, którego ruchliwe stronnictwa, sekty gubiące się w mgłach mistycyzmu, typy osobliwe wytworzone pod wpływem okoliczności wyjątkowych z daleka od rodzinnéj atmosfery, można było porównać do wysilonéj roślinności w cieplarni — bujnéj, żywo ubarwionéj lecz nietrwałéj i niepłodnéj. Dzięki tytułowi mojemu wysłańca z Węgier przynoszącego, jak sądzono, ważne nowiny, trochę otuchy patryotycznéj i rangi wojskowe dla emigrantów gotowych udać się do Węgier, miałem nietylko łatwy przystęp do wszystkich, ale byłem nawet dosyć poszukiwaną osobą i w krótkim czasie mogłem poznać, jeżeli nie całą emigracyę, to przynajmniéj tych, którzy jéj żywioły składowe najwybitniéj reprezentowali. Niektóre postacie odskicowałem już pobieżnie, teraz dopełnię obrazu, o ile to jest

w możności mojéj, poczem idąc za chronologią moich wspomnień, wrócę do sprawy węgierskiéj.

Prócz stronnictw arystokratycznego i demokratycznego było jeszcze w emigracyi trzecie stronnictwo tak zwane wojskowe, nieliczne wprawdzie i bez wpływu, ale którego pominąć mi nie należy. Naczelnikiem jego nominalnym był jenerał Rybiński, a duszą J. B. Ostrowski. O istnieniu tego stronnictwa dowiedziałem się dopiero w parę tygodni po przybyciu mojem do Paryża, będąc w odwiedzinach na dalekiem przedmieściu u dawnego kolegi mojego z 13go pułku, Kisielewskiego. Wyrzucał on mi, że nie byłem jeszcze u ostatniego naczelnego wodza naszéj armii, który podług niego był rzeczywistym naczelnikiem emigracyi, trzymającym chorągiew polską na francuskiéj ziemi. Dowodził, że nawet rząd francuski za takiego go uznaje, gdyż mu płaci odpowiednie temu stanowisku subsydya (400 franków na miesiąc) i uważa za legalne stany służby i wogóle wszelkie świadectwa podpisem jego opatrzone, a do których on nie zaniedbuje nigdy przyłożyć pieczęci z orłem i pogonią. Lubo argumentowanie to nie przekonało mnie ażeby wódz armii od 18 lat nieistniejącéj był z prawa naczelnikiem emigracyi, przypomniało mi jednak, że z innych miar powinienem złożyć mu hołd mojego uszanowania i przyrzekłem to uczynić. Kisielewski zaofiarował sie zaprowadzić mnie do niego i kilka dni późniéj poszedłem z nim odbyć tę wizytę. Jenerał Rybiński przyjął mnie otoczony całym swoim dworem. Byli przy nim J. B. Ostrowski, jego alter ego, pułkownik Święcicki jego szef sztabu i kilku innych dawnych oficerów z różnych pułków. Między nimi jeden z 4 pułku liniowego, podobno naówczas już unikat

z Olszyny Grochowskiéj i z pod Dębego, którego nazwisko jednak wyszło mi z pamięci.

Jenerał Rybiński w 1848. r. już starzec sześćdziesięciokilkoletni, ale który miał przeżyć lat 90, był małego wzrostu, niepokaźny, małomowny, trochę zakłopotany przyjmując obcych i zupełnie pod wpływem J. B. Ostrowskiego. Ten za niego mówił, pisał i krzątał się gdzie było tego potrzeba i niepotrzeba. On zaś, wyłącznie żołnierz, żadnéj innéj roli odegrać nie umiał. Odbył zaszczytnie kampanie napoleońskie i wszystkie stopnie swoje z kolei zdobył na polach bitew. Za czasów W. X. Konstantego był pułkownikiem dowódzcą Igo pułku piechoty liniowéj i gdy w małem jakimś miasteczku na garnizonie przebywał, myśl ambitna mu przyszła przetłumaczyć na język polski świeżo wydaną strategię Arcyksięcia Karola, która w świecie wojskowym ogromny pozyskała była rozgłos. Potrzeba mu było biedzić się okropnie nad tem tłumaczeniem, bo języka francuskiego, z którego przekładał, dokładnie nie znał i musiał się ciągle słownikiem posługiwać. Języka swego także nie wyuczył się był na dobrych wzorach i żadnéj wprawy nie miał w pisaniu. Łamał się więc z trudnościami dwóch języków i nie potrafił ich przezwyciężyć. Ciężko jest czytać jego tłumaczenie. Miał jednak to szczęście, że W. Książę, który niecierpiał wojskowych bawiących się w autorstwo, odstąpił tym razem od swojéj reguły, zapewne dla uczczenia austryackiego wodza, i wydał rozkaz wszystkim pułkownikom, ażeby przekład jego Strategij swoim oficerom narzucili, potrącając każdemu z nich z żołdu cenę jednego egzemplarza. Praca Rybińskiego rozpowszechniła się tym sposobem w wojsku, a on uchodził za uczonego oficera...

mianowicie między tymi, którzy przekładu jego nie czytali. Lepszą sławę zjednały mu umiejętne obroty jego pod Dębem Wielkim gdzie już był jenerałem dywizyi i przyczynił się głównie do owego zwycięstwa, które tyle nadziei, zbyt prędko niestety zniweczonych, wzbudziło w sercach polskich. Odtąd Rybiński uważany był za jednego z najlepszych naszych jenerałów i po wzięciu Warszawy wybrany został wodzem naczelnym. Trudno mu zarzucić, że wyprowadził szczątki wojska naszego do Prus. Były one już zupełnie rozprzężone i nikt rozkazów jego słuchać nie chciał.

Rybiński nie był wszakże stworzony na hetmana. Nie miał potemu ani potrzebnéj inicyatywy ani energii, lecz był niezaprzeczenie mężnym oficerem, dobrym Polakiem i uczciwym człowiekiem.

Będąc pułkownikiem, ozdobionym kilkoma orderami nie wstydził się odwiedzać ojca, który był starym sługą w domu książąt Sanguszków w Sławucie i okazywać mu publicznie synowskie uszanowanie. W emigracyi żył dosyć długo w zapomnieniu, zamknięty w kółku rodziny, która dzieliła jego wygnanie. Zajął dopiero trochę wybitniejsze stanowisko gdy spadł na niego legat 200,000 franków po hr. Leonowéj Małachowskiéj, z domu Księżniczce Sanguszkównie. Byłżeto rzeczywisty legat? Cała sprawa sukcessyi po p. Małachowshiéj jest tajemnicą — i zdaje się straszliwą tajemnicą — w jéj grobie zamkniętą. To jest tylko pewnem, że jenerał przyjął ofiarowaną mu sumę w dobréj wierze, iż była mu przekazaną przez tę zacną Polkę jako hołd oddany jego zasłudze i pamiątkę od siostry Ks. Eustachego Sanguszki, w domu którego był wyrósł. Część téj sumy obrócił na wspomożenie biedniejszych oficerów i na urządzenie skromnego archiwum,

w którem złożone zostały akta sztabu głównego z r. 1831, oraz wiele dokumentów z ministerstwa wojny z epoki W. Ks. Konstantego, które uprowadził do Francyi. Oddał to archiwum pod dozór pułkownika Święcickiego. Ten sporządzał stany służby z drukowanemi nagłówkami i inne świadectwa po jakie emigranci się zgłaszali, a na których jenerał przykładał swój podpis. Była to czynność użyteczna bo niewielu emigrantów potrafiło zachować swoje papiery wojskowe, ale Rybiński nie miał wysokiego poczucia swojéj godności, dostępny był intrygom, wydawał świadectwa jakie kto chciał; rozdawał nawet awanse wojskowe w emigracyi i podpis jego niebawem całą wagę swoją stracił, w dodatku poddał się pod kierunek J. B. Ostrowskiego i skompromitował się tem do reszty.

Kto był J. B. Ostrowski o tem zapewne dziś mało kto wie po za szczupłem kółkiem pozostałych jeszcze starych emigrantów. W swoim czasie był jednak znanym... jak zły szeląg. Redaktor Nowéj Polski w 1831 roku odznaczył się on już wtenczas swoim ostrem piórem. W emigracyi cały talent jego, niezdolny wznieść się nad poziom artykułów gazeciarskich, a co najwięcéj broszur, w żółć się obrócił. Była to zawiść chodząca, która nikomu nie przebaczała; zawiść w jaką wyradza się wielka ambicya, nie mogąca wyrobić sobie żadnéj drogi na świecie i trawiąca wewnątrz człowieka. Nienawidził on arystokracyi, dla tego, że się nim posługiwać nie chciała; demokracyi, że się na nim nie poznała; mężów zasłużonych, że go ćmili lub lekceważyli; pisarzy zdolniejszych, że im nie dorównał; ludzi bogatszych, że nie miał tyle co oni. Opowiadania jego i sądy o drugich piekły uszy tych co go bezstronnie słuchali, tak były pełne żółci

jadowitéj, wylewającéj się w oszczertswa, do ktorych lada pożór mu służył. Odepchnięty od wszystkich, przyczepił się nakoniec do Rybińskiego, opanował jego słaby umysł, potrafił mu wytłumaczyć, że nie przestał być wodzem naczelnym wojska z 1831 roku w emigracyi i w kraju, a gromadzące się przy nim kółko usiłował zmienić w stronnictwo, aby je przeciwstawić arystokracyi z jednéj strony, demokracyi z drugiéj. Nie szczędził po temu zachodów i intryg; redagował Rybińskiemu podania do ministrów, późniéj adresy do Napoleona w okolicznościach sposobnych a stronników jego ujmował sobie pochlebiając miłości własnéj wszystkich a potrzebującym wyrabiając powiększenie subsydyów lub gratyfikacye; miał bowiem wpływ dosyć znaczny w biurze wychodźców w policyi, nie wiem z jakiego tytułu. Pomimo tego wszystkiego J. B. Ostrowski budował na piasku. Stronnictwo, które stworzył, nie oparte na żadnéj idei politycznéj, było tylko koteryą, w któréj on uchodził dosyć długo za luminarza, ale w końcu wszyscy się na nim poznali i odwrócili się od niego. W epoce kiedym przyszedł pierwszy raz złożyć moje uszanowanie Rybińskiemu, J. B. Ostrowski, czyli jak go powszechnie zwano Ibuś, jeszcze réj wodził w najlepsze w owem stronnictwie wojskowem. On był jego oratorem i skreślił mi obraz emigracyi, który mnie przejął odrazą . . . ku malarzowi. Na nikim on jednéj poczciwéj nitki nie zostawił, wszystkich zbrukał, błotem obrzucił, prócz przyjaciół Rybińskiego, których na tem tle ciemnem w najpiękniejszem świetle wystawił. Między nimi tylko, podług niego, była prawość, czysty patryotyzm, prawdziwe braterstwo. Byli to rzeczywiście poczciwi ludzie, których jedynym błędem było, że się dali

otumanić Ostrowskiemu. Większa część ich oświadczyła mi gotowość udania się do Węgier, ale trudności takiéj wysyłki codzień się zwiększały i nie pozwalały mi żadnych przyrzeczeń im czynić.

W ogóle perspektywa wystąpienia w wyższych lub przynajmniéj dawnych stopniach pod polską chorągwią w Węgrzech była nader ponętną dla emigrantów wojskowych z przed 1830 r. tych zwłaszcza, którzy żadnych posad nie mieli i żyli z szczupłych subsydyów, jakie im płaciła Francya. Weterani nasi nawet garnęli się do tego. Jenerał Sierawski, legionista polski, z białą głową, chciał koniecznie jechać za przykładem Dembińskiego do Węgier. Przyszedł do mnie parę razy z pod Neuilly, gdzie mieszkał, żeby mnie przekonywać, że może być Węgrom bardzo użytecznym. „Dembiński, mówił on mi, jest jenerałem kawaleryi, ale ja jestem jenerałem piechoty i jenerałem doświadczonym, przyznasz to, a takich Węgrom potrzeba“. Napróżno mu napomykałem, iż ciężkoby mu było puszczać się w tak dalekie strony i przedzierać się jak młodzik przez kordony austryackie. „Ależ, skoro Dembiński jedzie, odpowiedział mi, dla czegóż ja nie mógłbym to samo uczynić“. Była to emulacya trochę komiczna, ale która miała swoją stronę rozrzewniającą. Stary legionista zapomniał, że Dembiński lubo już nie młody, był jednak o kilkanaście lat młodszy od niego, i że miał w swoim stanie służby chlubny odwrót z Litwy, gdy tymczasem on uchodził zawsze za wojownika bez szczęścia, tak że Chłopicki i Skrzynecki wahali się powierzyć mu ważniejszéj komendy. Ostatni dał mu nakoniec dowództwo korpusu po Pacu i w bitwie pod Kaźmierzem, pomimo, iż poczynił dobre rozporządzenia

i w ogniu walecznie osobę swoją nadstawiał, został pobity. Ale i poza obrębem wojskowości nie miał szczęścia. Los zdawał się zawsze naigrywać z niego. Sierawski dwa razy się żenił niemając majątku i biorąc żony bez posagu — miał snać powołanie do stanu małżeńskiego — a w jednem i drugiem małżeństwie dzieci mu się sypały, jak z rogu obfitości i nie wiedział jak sobie z niemi dać radę. W emigracyi skazany żyć z nową familią, którą się otoczył, ze skromnych subsydyów, stu franków na miesiąc, i nie wielkim dodatkiem z innych stron, cierpiał w starych latach swoich biedę tem sroższą, że miał apetyt Gargantui, a bardzo rzadko sposobność zaspokojenia go zupełnego. Krążyły o tem zabawne anegdoty między emigrantami. Opowiadano mi między innemi, że wychodząc raz z restauracyi w Palais royal, spotkał znajomego Polaka idącego do tejże saméj restauracyi. „Jaka szkoda, rzekł ten, że jenerał już po obiedzie, bylibyśmy zjedli razem“. „Ba, jeżeli mnie zapraszasz, odrzekł jenerał, to ja gotów jestem powtórzyć“. Bis repetita placet i zjadł bardzo smacznie drugi obiad począwszy od zupy.

Ostatniem zapewne jego marzeniem, bo niedługo potem umarł, była owa wojaczka w Węgrzech, w któréj widział wyjście z biedy emigracyjnéj — i może, godny żołnierza koniec dla siebie na polu bitwy. — Nie mogłem mu też myśli téj z głowy wybić, aż dopiero zajęcie Pesztu przez Austryaków poddało mi argument stanowczy przed którym uległ, pewny, że go do końca ściga jakaś fatalność, któréj zrezygnował się oddać życie swoje za wygranę. Innym weteranem, który miał podobnież i może po części z takichże samych pobudek wielką ochotę

dobyć jeszcze swojéj zardzewiałéj szabli, był jenerał Jerzmanowski; ale ten dał się łatwiéj przekonać, że straszliwa trudność przeprawy do Węgier i powrotu ztamtąd do Francyi w razie pobicia Węgrów, były nad siły jego sędziwego wieku. „Ano masz słuszność, rzekł mi, nakładając krótką fajeczkę wyobrażająca głową Napoleona I w trójrożnym kapeluszu, diabelska to ta przeprawa do Węgier, ale jeżeli gdzieś bliżéj Renu pokażą się nasze chorągiewki ułańskie, to niezawodnie wsiądę na koń“. Jerzmanowski miał jeszcze czarne włosy i czarne wąsy, zaledwie przypruszone poczynającą się siwizną, a jednak był także legionistą, lecz z legiów Kniaziewicza i chrzest ognia otrzymał pod Hohenlinden. Odbywszy kampanie Napoleońskie miał zaszczyt dowodzić temi stoma ułanami polskiemi na wyspie Elbie, na które zredukowaną została armia zwycięzcy Europy i przeprowadził go z niemi szczęśliwie w 1814 r. aż do Grenobli. Służył następnie parę lat pod W. ks. Konstantym, który go wielce polubił, ale . . . . nie pozyskał wzajemności z jego strony. Wziął w 1818 r. demisyę w stopniu jenerała, gdyż w służbie był tylko pułkownikiem i wróćił do Francyi. Tam od trzydziestu lat przebywał, gdym mu się przedstawił jako syn dawnego kolegi, i sam niezupełnie mu nawet nieznany, bo mnie widział przed laty w Paryżu, gdym był małem dzieckiem. Był to miły typ wojaka z czasów księcia Józefa, do którego był trochę z twarzy podobnym. Zachował był dawne uczucia, dawne wyobrażenia, dawną cześć niemal bałwochwalczą dla Napoleona i dawną szczerą prostotę wiarusa, a po polsku mówił, jak gdyby wczoraj dopiero z kraju wyjechał. Snać miał silniejszą polską naturę, niż rówiennik jego pułkownik

Komierowski, dawny adjutant Marmonta, który zostawszy we Francyi po upadku Napoleona, zapomniał był zupełnie rodzinnego języka, tak że dwóch słów w nim skleić nie umiał. Po francusku jednak mówił najgrubszym polskim akcentem.

Jenerał Jerzmanowski żył we Francyi z dosyć chudéj emerytury, którą mu rząd francuski wypłacał. Miał kłopotów nie mało, bo zaciągnął był ciężkie obowiązki — sercowe niestety! Wyniesienie synowca Napoleona na prezydenta Rzeczypolitéj nie polepszyło jego sytuacyi. Książe Ludwik Napoleon nie raczył go sobie przypomnieć i odmówił mu posłuchania, tak jak go odmówił jenerałowi Wąsowiczowi, który Cesarza Napoleona przywiózł na swoich sankach ze Smorgoni do Warszawy. Ale to wszystko nie zasępiało dziarskiego humoru Jerzmanowskiego; przechadzał się po ulicach, paląc swoją krótką fajeczkę, zawsze pogodny, rad, gdy spotkał znajomego rodaka, z którym mógł pogadać, a gdy miał świeżą jeszcze kwartalną swoją pensyę w kieszeni, zaprosić go na obiadek do Palais royal.

Obok tych wszystkich znajomości świeżych lub odnowionych, które mi nastręczyła moja misya węgierska, nie zbyt jednak pomyślnie idąca, miałem szczęście poznać olimpijską osobistość Mićkiewicza. Trzeciego czy czwartego dnia po przyjeździe moim do Paryża przyszedł do mnie emigrant z miną ascetyczną prosić mnie od naszego wieszcza, ażebym do niego przyszedł. Redagował on wtenczas dziennik La Tribune des Peuples („Mównica ludów“) i chciał mieć odemnie świeże i dokładne wiadomości z Węgier. Pospieszyłem do niego i jadąc na Batignole, gdzie wtenczas mieszkał, serce mi biło mocniéj

może, niż gdybym szedł na schadzkę miłosną. Zdawało mi się, że mówić będę nie ze zwyczajnym śmiertelnikiem, ale z wyższą jakąś istotą. Frasowało mnie też ogromnie jak mu mówić: „Panie“ po prostu lub „Panie Dobrodzieju“, to zbyt pospolite, „Wieszczu“ to zbyt pompatyczne na ciągły użytek, „Mistrzu“ to pretensyonalne i w moich ustach, niebędąc ani poetą ani zwolennnikiem towianizmu, wcale niewłaściwe. Prożnom przemyśliwał, niemógłem natrafić na stosowny tytuł i z tem nierozwiązanem w głowie zadaniem wszedłem do jego skromnego mieszkania. Zajmował dół małego domku. Wchodziło się do niego przez małą sionkę ciemną, oświeconą tylko z kuchni będącéj na prost drzwi. W niéj pani Mićkiewiczowa gospodarowała; — wyszła ona wnet do mnie i z wielką uprzejmością zaprowadziła do pokoju męża. Gdy otworzyła drzwi ujrzałem przez obłok tytuniowego dymu wielkiego Wieszcza siedzącego w szlafroku, z długim cybuchem w ręku, przy stoliku zarzuconym papierami i książkami. Światło lampki palącéj się na tym stoliku — bo już był wieczór — padało na twarz jego, na któréj objawiała się taka potęga myśli, że kto raz tę twarz widział już mu zawsze przytomna była w pamięci. U nóg jego tarzało się po ziemi parę najmłodszych jego dzieci, ładnych jak aniołki, a po różnych kątach siedziało kilku mężczyzn z cygarąmi lub papierosami w ustach. Byli to dwaj bracia Chodźkowie Aleksander i Michał, Służalski faworyt poety, postać ogromna i typowa przypominająca najzabawniejsze figury z pamiętników Paska lub pamiątek Soplicy i dwóch lub trzech innych z fizyonomiami gminnemi.

Mićkiewicz nie dał mi czasu wypowiedzieć ile się czuję zaszczyconym i szczęśliwym, że mnie wezwał do

siebie; pierwszy odezwał się do mnie przeciągłym litewskim akcentem. „No i cóż tam słychać w Węgrzech szanowny ziomku; siadajże tu i opowiadaj nam“. Tytuł „szanowny ziomku“ wybawił mnie z kłopotu; wiedziałem już jak do niego mówić idąc za przykładem jaki mi dał i opowiedziałem mu stan rzeczy w Węgrzech. Słuchał mnie z ciekawością, bo sprawy Węgierskie były mu zupełnie nie znane; o kraju węgierskim nawet miał bardzo ogólne tylko i trochę mgliste wyobrażenie.

Prosił mnie, żebym napisał choćby po polsku artykuł o sytuacyi Węgier do jego dziennika. Przyrzekłem mu chętnie nietylko jeden artykuł ale kilka i po francusku nawet, bo to dawało mi sposobność zawiązania z nim bliższych stosunków. Jako też w parę dni późniéj przyniósłem mu pierwszy artykuł, z którego był zadowolniony, i umieścił go na wstępie wyszłego nazajutrz numeru de la Tribune des peuples. Następnie co kilka dni przynosiłem mu artykuły długie lub krótkie w tymże samym przedmiocie, które on mile przyjmował. To mnie zachęciło odwiedzać go i bez pretekstu. Stosunki moje z nim przetrwały aż do nieszczęsnego wyjazdu jego na wschód, zkąd już tylko zwłoki jego przywieziono na powrót do Francyi, aby je złożyć obok żony na cmentarzu w Montmorency.

Jakkolwiek wiele już pisano o tym uwielbionym naszym poecie, którego każdy wiersz poruszał serca i zapalał wyobraźnie współczesnego mu pokolenia, przedmiot nie jest bynajmniéj wyczerpany, bo Mićkiewicz był pod względem psychologicznym zagadkową istotą, łączącą w sobie najdziwniejsze sprzeczności a ztąd fizyonomia jego moralna, z różnego na nią zapatrując się stanowiska,

przedstawiała się coraz odmiennie. W życiu też jego są pewne chwile nie wyjaśnione, tak jak w poezyach jego są ustępy — są nawet postacie — tajemnicze. Można więc nie jednę jeszcze rzecz nową o nim powiedzieć, przydatną do rozwiązania tych zagadek — i w tej myśli podaje tu niektóre wspomnienia moje odnoszące się do nieśmiertelnego autora Wallenroda, Dziadów, Pana Tadeusza.

Mićkiewicz miał w 1848 r. zaledwie lat 50, cała postać jego dosyć słuszna i kształtnéj budowy, nosiła jeszcze cechę siły i zdrowia, ale głowa już była starca; włosy miał prawie białe na tył głowy niedbale zarzucone, czoło głęboko pomarszczone, oczy zmęczone. Gdy był pod wpływem jakiejś myśli, która go silnie zajmowała, wszystkie muszkuły jego twarzy ściągały się ku oczom jak gdyby wzrok wytężał, ażeby dostrzedz coś niewidzialnego, ale wejrzenie jego nie miało blasku i że użyje własnego jego wyrażenia, było jakby na wewnątrz zwrócone*), lecz jeżeli wyższa część jego twarzy oznajmiała umysł nadzwyczajnéj potęgi, usta naprzód wysunięte i nieco wydęte na których wdzięczny uśmiech rzadko bardzo postał, zdradzały naturę pyszną, zwykle zamkniętą w sobie, przytem trochę szorstką. Trzeba było długo obcować z Mićkiewiczem, ażeby doczekać się jednéj z tych chwil, w których się wewnętrzny człowiek w nim wyjawiał, szlachetny, szczery, prostoduszny aż do naiwności, jakim się okazuje w swoich poufałych listach, a jednak górujący nad wszystkiemi polotem myśli. W życiu codziennym

*) Mówił to o Kancie.

był to Litwin z Nowogródka; zakuty Litwin ze wszystkiemi upodobaniami i nawyknieniami z czasów swojéj młodości. Form wyższego towarzystwa i wszystkiego, co tchnęło wykwintnością światową nienawidził aż do rękawiczek włącznie. Raz gdym wszedł do niego, przy powitaniu spojrzał na moje ręce, które były w rękawiczkach: „Panie! rzekł mi, rękawiczkamiśmy Polskę zgubili — tak, rękawiczkami, bo tem odróżniliśmy się jako pyszni próżniacy od ludu, który nie wstydzi się pokazywać swoich rąk zapracowanych. Trzeba przejąć się zupełnie ludem a wtenczas dopiero Polskę zbawimy“.

W innéj okoliczności słyszałem go opowiadającego zdumienie, w jakie go wprawił Józef Potocki, gdy na pewnym wieczorze, ufryzowany, wyfrakowany i w białych rękawiczkach, wspominał o jakiejś szarży, w któréj był ranny. Męstwo i poświęcenie dla ojczyzny nie godziły się w jego umyśle z ufryzowaną głową, frakiem i białemi rękawiczkami; widział je tylko tam, gdzie miały za rękojmię prostotę, choćby rubaszną, byle polską. W prostocie się kochał, prostocie wierzył, prostota jedna trafiała do jego duszy i gdy była złączona z naturalnym dowcipem, rozweselała mu umysł więcéj, niż najzabawniejsza książka. Służalski był typem, który sobie upodobał. Był to jak już nadmieniłem ogromny mężczyzna, którego cała postać wyrażała siłę, odwagę i spryt. Słówek on nie cedził, fraka zapewne nigdy nie wdział, przynajmniéj w emigracyi. Przy sposobności wina za kołnierz nie wylewał, lubo i on także z duchami przestawał; ale mu to Mićkiewicz wybaczał, bo mial ton szczery, humor jowialny i niewyczerpany zapas dykteryek staropolskich, w rodzaju Pamiętników Soplicy, a opowiadając je dopo-

magał sobie wyrazistemi gestami; czasem nawet cała sól jego dykteryjki była w jednym gieście. Pamiętam, jak raz opowiadając jakąś przygodę swojego dziadka, świeżo wymyśloną, wspomniał, że ten miał szablę prawdziwą turecką z Damaszku, z wizerunkiem Matki Boskiéj Częstochowskiéj na klindze. Jakto, odezwano się z różnych stron, szabla turecka z wizerunkiem Matki Boskiéj i zaczęto drwinkować sobie z niego kto lepiéj — na wyścigi. Służalski nie zmięszał się bynajmniéj i chcąc rzecz zagadać, wymyślił na prędce komentarz do swojéj historyi. „No i cóż w tem tak dziwnego, rzekł — wizerunek dorobiono w Warszawie; był na to majster — wymienił jego nazwisko i ulicę na któréj mieszkał. Bo to widzicie, mówił daléj, kiedy starzy Polacy wyciągali na wpół z pochew szable przy Ewangielii, to nie było tylko dla pokazania, że gotowi są zawsze bronić wiary orężem, lecz każdy prawie miał na klindze, jak mój dziadek, wizerunek Matki Boskiej i dobywając szabli cmoknął ją po drodze. Tu uczynił giest, jakby wyciągał szablę i cmokał ją, który wywołał śmiech ogólny w całem kółku Mićkiewicza dosyć licznem tego wieczora i sam wieszcz się śmiał serdecznie, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

Można stąd pojąć urok, jaki wywarł na niego Henryk Rzewuski, mistrz niezrówmany w podobnych opowiadankach. Udało mi się jednego wieczora naprowadzić rozmowę na tego tak oryginalnego pisarza i przytoczyłem, co mówił o nim Kraszewski w pewnem towarzystwie w Warszawie, w którem i ja się znajdowałem. Genialny nasz powieściopisarz opowiadał, że gościł raz kilka dni z Michałem Grabowskim na wsi u Rzewuskiego.

Pzez pierwsze trzy dni czarował ich obudwu swojemi opowiadaniami, które płynęły z jego ust ciągłym potokiem; ale czwartego dnia przyjechał gość nowy i Rzewuski rozpoczął ab ovo tenże sam szereg dykteryjek w nowéj edycyi, co go przekonało, że repertoar jego w trzech dniach już był wyczerpany. „Myli się Kraszewski, przerwał mi Mićkiewicz, ja przebywałem dosyć długo w towarzystwie Rzewuskiego i mogę poświadczyć, że jest niewyczerpany. Przy mnie nigdy się nie powtórzył.“ Przyzna jednak szanowny ziomek, odrzekłem, że talent jego obudził się dopiero pod wpływem Pana Tadeusza, którego koloryt przejął i to jest główną jego zasługą. „Otóż to jest sąd świata, odezwał się Mićkiewicz, bo zapewne niejeden tak myśli, a rzeczy się miały wprost przeciwnie. To ja wziąłem z opowiadań Rzewuskiego myśl pierwszą Pana Tadeusza i cały koloryt historyczny tego poematu nawet i nazwisko Soplicy“. Przy téj okoliczności opowiedział mi całą historykę stosunków swoich z Rzewuskim. „Znałem go już, mówił, z Petersburga i Odessy. Spotkałem go w Rzymie 1831 r. i przebywaliśmy tam kilka miesięcy razem. Rzewuski rozpocząwszy swoje opowiadania, już nie ustawał; wysnuwały się one jedne z drugich nieskończonem pasmem. Słuchałem go z rosnącem zajęciem i ze zdumieniem. Pytam go się raz, czy pisał co kiedy? Odpowiedział mi, że nigdy do druku nie pisał, a był już w wieku dojrzałym. Wykrzyknąłem na to: Ależ człowiecze, Pan Bóg cię stworzył na pisarza i zostawiłeś odłogiem najpiękniejszy talent pisarski w Polsce dzisiejszéj. Nie traćże już więcéj czasu, bierz pióro i pisz. Te słowa zrobiły na nim snać wielkie wrażenie, bo w trzy dni potem przyniósł

mi kilka ćwiartek zapisanego papieru. Rzuciłem okiem, były to wiersze — przeczytałem, pretensyonalna lichota — ale że to był człowiek wytrawny, nie zawahałem się powiedzieć mu wręcz: „Nie zrozumiałeś mnie, kochany panie. Nie zachęcałem cię bynajmniéj do pisania wierszy, nie wiedząc, czy masz do tego dar, a widzę teraz że go nie masz. Pisz prozą, nie sadź się na frazesy, nie puszczaj myśli w górne loty. Pisz jak opowiadasz, a napiszesz rzecz oryginalną i bardzo piękną“. Rzewuski nie obraził się za moją szczerość i owszem usłuchał mnie i w niedługim czasie przyniósł mi parę obrazków z Pamiątek Soplicy, a jednocześnie w głowie mojéj rozwinął się z jego dykteryjek plan Pana Tadeusza“.

W lat ośm, czy dziewięć po téj rozmowie z Mićkiewiczem wszystkie szczegóły jego opowiadania potwierdził mi Henryk Rzewuski, którego spotkałem w Paryżu u siostry jego pani Lacroix. Dowiedziałem się zarazem jak sądził autor „Pamiątek Soplicy“ autora „Pana Tadeusza“, uczeń mistrza. Było w salonie dwóch literatów francuskich, Juliusz Lacroix mąż pani domu, poeta dosyć ceniony, autor kilku dramatów i brat jego starszy Paweł znany pod pseudonimem le Bibliophile Jacob. Spytali oni Henryka Rzewuskiego, co myśli szczerze i rzetelnie o Mićkiewiczu. „Można mieć różne o nim zdania, odpowiedział, ale niezaprzeczenie banalnym nigdy niebył, nawet wtenczas kiedy szalał“, a siostra jego rzekła mi po cichu: Tak, był to wielki poeta, ale jakże źle wychowany, jak nieokrzesany. Słówko to wyrzeczone przez jedną z tych dam, które uosabiają w sobie wszystkie wykwintności wyższego towarzystwa, było jakby odwetem salonów za wzgardę, jaką okazywał Mićkiewicz dla elagancyi i form

salonowych, ceniąc tylko naturalność i prostotę. Można było sądzić, że cała jego estetyka na naturalności i prostocie polegała. Rady, jakie dawał Rzewuskiemu zastosował on niemal dosłownie do Wincentego Pola, który towarzysząc Mićkiewiczowi w 1832 r. w wycieczce z Drezna do Szwajcaryi saskiéj, opowiadał mu po drodze — jak mówi Dębicki w życiorysie Pola — z gorącem uczuciem i nader żywym kolorytem wrażenia swoje z podróży po kraju ojczystym. Mićkiewicz długo milczący schwycił go w końcu za rękę i rzekł: napisz to wszystko wierszem, ale napisz tak po prostu jak opowiadasz, jak się to rysuje w twojéj pamięci, a utworzysz poemat, jakiego jeszcze nie mamy, przed którym wkąt pójdą „Ogrody“ Delilla i „Ziemiaństwo“ Koźmiana. Pol usłuchał i napisał na ton wskazany mu przez mistrza „Pieśń o Ziemi naszéj.“ Sam Mićkiewicz jednak nie trzymał się wyłącznie prostoty ani w sonetach krymskich, ani w śpiewie do Wilii, ani w niektórych wspaniałych obrazach litewskiéj natury w Panu Tadeuszu. Tam poeta śpiewał hymny górom, rzekom, puszczom, stepom, porankom wiosennym, nocom letnim.

Najdaléj zapewne posunął Mićkiewicz swoją miłość prostoty w myśli, którą poddawał A. Oleszczyńskiemu, późniéj autorowi jego posągu w Poznaniu. Snycerz ten opowiadał mi, że gdy wyrobił był model z gliny do nagrobku Niemcewicza i Kniaziewicza, autor „Pana Tadeusza“ przyszedł do jego pracowni, obejrzał model, który wyobrażał dwie leżące postacie zmarłych, a u główych klęczącego aniołka i długo myślał nic nie mówiąc. Oleszczyński czekał niecierpliwie jego sądu. „Ot wiesz panie, rzekł nakoniec: lepiej byłbyś zrobił, gdybyś zamiast tego

nic nie znaczącego aniołka wyobraził był wózek chłopski z chłopską szkapką i polskiego chłopka. Toby był symbol polskiéj ziemi, któryby każdego Polaka rozrzewnił.“ Oleszczyński zdumiał na taką herezyę w pojęciach sztuki snycerskiéj, któréj zadaniem jest idealizować wszystko czego się dotknie. Wytłumaczyłem sobie to uczucie poety, gdym przeczytał list jego pisany z Konstantynopola do pani de Klustine, w którym opisuje z jaką przyjemnością zatrzymuje się w najbiedniejszéj części téj stolicy, na placu jednym błotnistym, gnojem i śmieciami zawalonym, piórami popruszonym i po którym przechodzą się spokojnie kury, indyki i różnego rodzaju zwierzęta, bo ten widok przypominał mu jak powiada jego rodzinny Nowogródek. W takich chwilach najpowszedniejszych w jego życiu, Mićkiewicz był prostodusznym Litwinem, w którym przemawiało tylko serce jego wolne od wszelkich próżności, szczere, gorące, napełnione miłością ziemi rodzinnéj. Aż do łez rozrzewniało go wszystko, co mu ją przypominało, ale natura Mićkiewicza była bardzo skomplikowana. Tenże sam Litwin prostoduszny, gdy wyobraźnia jego była żywo podbudzoną, stawał się najśmielszym, najzuchwalszym z poetów, dla którego przyroda cała nie miała dosyć farb, dosyć światła, dosyć życia, a świat widomy był za ciasny — który wszystko ożywiał swoim tchnieniem płonącem i myślą rozkiełznaną wzbijał się ponad gwiazdy, aby kłócić się ze Stwórcą.

Różnica między tymi dwoma ludźmi w jednéj jego osobie była tak uderzającą, że kto go znał tylko w ostatniéj epoce jego życia, kiedy już przestał był pisać, nie przypuszczał, żeby mógł wtenczas wydobyć z siebie jeszcze jakiś poemat nowy, podobny do dawnych. Każdy niemal

sądził, że poeta już w nim umarł. Tak jednak nie było, na kilka miesięcy przed śmiercią, ta arfa czarodziejska odezwała się raz jeszcze pełnym akordem w łacińskiéj odzie na wzięcie Bomarsundu, jakby na pokazanie, że żadna jéj struna jeszcze nie zerwana, ale że milczy bo na milczenie dobrowolnie się skazała.

Że Mićkiewicz był poetą w pewnych tylko i coraz rzadszych chwilach życia, to łatwo jeszcze psychologicznie i fizyologicznie wytłumaczyć, jakkolwiek wielka różnica była w nim między poetą a człowiekiem codziennym, ale były w naturze jego sprzeczności nie równie trudniejsze do wytłumaczenia.

Miał on serce złote, nikt nie był wierniejszym w przyjaźni od niego, przyjaciele jego w młodości byli przyjaciółmi jego do zgonu, z którymi się dzielił wzajemnie wszystkiemi radościami i wszystkiemi smutkami życia. Żonę i dzieci kochał najtkliwszem uczuciem, dowodzą tego jego listy, a sam widziałem go płaczącego jak dziecko na pogrzebie żony. Skory do uczynności, posuwał ją często aż do abnegacyi; narażał się z familią swoją na biedę, ażeby pomódz biedniejszemu. Ufność jego, prostoduszność, graniczyły z naiwnością jak już wspomniałem. Ambicya jego była w nader skromnych szrankach zamkniętą. Wyznał mi raz, że w młodości marzeniem jego było zostać sekretarzem jakiego wielkiego pana, miłośnika nauk i literatury, mianowicie księcia Adama Czartoryskiego, „ale, dodał z giestem zniechęcenia jak gdyby to miał jeszcze na sercu, przekonałem się, że to było niepodobieństwem.“ W emigracyi gdy powołany został na profesora w Collège de France znalazł się na szczycie do jakiego ambicia jego nigdy nie

sięgała. O dzielach swoich bardzo rzadko mówił, a gdy mówił, to bez żadnéj zarozumiałości, częstokroć bardzo mało przykładając ceny do tego, co publiczność zachwycało, a wogóle nie uważał się za jedynego wielkiego poetę polskiego. Bohdana Zaleskiego i nawet Stefana Garczyńskiego, uznawał za zupełnie równych sobie, co było przesadzoną skromnością.

Jednak obok tego wszystkiego Mićkiewicz miał ogromną wrodzoną pychę, nigdy on nie szedł torem ubitym, sam sobie we wszystkich kierunkach nowe drogi torował. Żadnego przeciwieństwa nie znosił, czego dał pierwszy dowód w pamiętnéj odpowiedzi swojéj krytykom i recenzentom warszawskim, i nigdy nawet bezkarnie nie pozwalał choćby najlżéj potrącić o głębsze jego uczucia lub dogmaty jego osobistéj wiary, jak tego parę razy doświadczyłem na sobie, wyrwawszy się niebacznie ze słówkiem sceptycznem, za co mnie nielitościwie zgromił. Ale nowa sprzeczność; cała ta pycha upadała przed tym, który potrafił wniknąć w sferę jego idei i dorzucić do nich nową, a jeżeli nie ideę, to przynajmniéj jakieś porównanie, jakiś frazes, który do jego własnych idei dobrze przystawał.

Raz udało mi się takim frazesem pozyskać na cały wieczór zupełną jego łaskę. Mowa była jak zwykle prawie o emigracyi i o Polsce. Nie wiem pod jakiem natchnieniem odezwałem się, że dla ocalenia Polski trzebaby chyba nowego Mojżesza, któryby całe stare pokolenie pogrzebał, a nowe, wychowane przez siebie na pustyni, wprowadził na próg ziemi obiecanéj. „Ot toś prawdę powiedział,“ wykrzyknął Mićkiewicz i pochwyciwszy ten temat, rozwijał go z całą swoją treściwą wy-

mową, obracając się najczęściéj ku mnie, a przy pożegnaniu serdecznie mi rękę uścisnął.

Nierównie większéj sztuki dokazał Dzierzkowski w mojej obecności. Opowiem te scenę ze szczegółami, bo daje ona słowo zagadki jak Mićkiewicz dał się nie jednemu zupełnie podbić, mianowicie też Towiańskiemu. Dzierzkowski przyjechał do Paryża w krótkim czasie po mnie. Wypłoszyła go z Galicyi reakcya, która się rozpoczęła bombardowaniem Lwowa w czasie pobytu naszego w Węgrzech, a następnie rozwielmożniła się w całéj Galicyi. Dzierzkowski, gdyby był został schwytany, byłby ciężko przypłacił swoje posłowanie w Węgrzech. W Paryżu widywałem go niemal codzień. Byłto człowiek, którego nie można było szacować, ale niepodobna było nie lubić. Gotów złupić bez skrupułu przyjaciela kiedy go bieda przyparła, był równie gotów zbawić go nie cofając się przed żadną ofiarą, gdy go widział w nieszczęściu. Nie jestem pewny, czyby nie sprzedał djablu duszy, gdyby go mocno kusił, ale jestem przekonany, żeby mu nie sprzedał ojczyzny. Żył patryotyzmem, a pomimo całéj jego demoralizacyi, gorąco sercowe buchało z niego; przytem rozmowa jego zawsze ożywiona, dowcipna, sympatyczna czyniła towarzystwo jego nader miłem. Nie taję się też, że miałem słabość do niego. Nalegał on na mnie, żebym go zaprowadził do Mićkiewicza i wprawił mnie tem żądaniem w wielki kłopot. Krótko bowiem przedtem w towarzystwie Mićkiewicza nadmienił ktoś, że spotkał Dzierzkowskiego. Ztąd wszczęła się rozmowa o nim i jego sprawkach i nikt go nie bronił. Było zapewne w tych opowiadaniach wiele przesady, niektóre może nie miały ani cząstki prawdy, ale to samo, że krążyły bez

żadnego protestu w emigracyi, świadczyło, że w jéj rozległem kole miał ustaloną fatalną reputacyą, z którą trudno mi było wziąść go pod moje skrzydła i wprowadzić do domu Mićkiewicza.

Wymawiałem się od tego dosyć długo pod różnemi pozorami, nareszcie przyparł mnie do muru: „Chceszże, rzekł mi, czy nie chcesz zaprowadzić mnie do Mićkiewicza? Powiedz wręcz, bo widzę, że ciągle tylko szukasz wybiegów". Trzeba było rozwiązać ostatecznie w jakikolwiek sposób to zadanie. Odpowiedziałem mu, że zbyt mało znany jestem Mićkiewiczowi, żebym mógł bez jego upoważnienia wprowadzić kogogolwiek do jego domu, ale że natychmiast napiszę do niego z zapytaniem, czy zechce nas przyjąć. I w rzeczy saméj napisałem, nie do Mićkiewicza, ale do jednego z jego poufników, prosząc żeby wybadał dyskretnie pod tym względem mistrza. Pewny byłem, że odpowiedź będzie grzecznie odmowna i że nią się przed Dzierzkowskim zasłonię. Z wielkiem zdziwieniem mojem otrzymałem zaproszenie w imieniu Mićkiewicza, ażebyśmy przyśli obydwaj do niego nazajutrz wieczór na herbatę. Był w tem zapewne interes jego dziennika, do którego chciał mieć wiadomości od Dzierzkowskiego o stanie rzeczy w Galicyi. Przyszliśmy więc nazajutrz do poety, zastaliśmy go czekającego na nas w saloniku z dziećmi; nikogo obcego nie było. Rozmowa rozpoczęła się od spraw galicyjskich, które mu Dierzkowski bardzo jasno wyłuszczył, sięgając w przeszłość do rzezi chłopskiéj, do administracyi Stadiona, do systematu Metternichowskiego. Mićkiewicz bardzo zaciekawiony wypytywał go o różne szczegóły i idąc od skutków do przyczyn, rozszerzył zakres rozmowy. Dierzkowski był tego dnia w szczęśliwem

usposobieniu, może także trochę przygotowany i wszedł wstępnym bojem w sferę idei Mićkiewicza. Mówił dowodnie o błędach, głupstwach, niesprawiedliwości szlachty. Wystawiał patryarchalną prostotę naszego chłopstwa, jego poczciwość wrodzoną, jego wiarę czystą i głęboką, która użyta za dźwignię, podniosłaby dwadzieścia milionów ludzi na wyswobodzenie Polski i ztąd wyprowadzał, że warunkiem pierwszym tryumfu naszéj sprawy jest pojednianie się szczere szlachty z ludem na gruncie Ewangelii, ale że, aby taki skutek sprowadzić, trzeba nowego apostolstwa. Mówił bez deklamacyi, skromnie, jak gdyby to wszystko płynęło z jego serca, a może i płynęło rzeczywiście w téj chwili.

Przez cały czas jego perory nie spuszczałem oka z Mićkiewicza, którego fizyonómia, giesta, tony głosu objawiały jakiś szczególny odbywający się w nim proces duchowy.

Słuchał najprzód z coraz bardziéj natężoną uwagą. W pewnéj chwili zawołał córkę swoją Maryę, wówczas 13 letnią dziewczynkę, która siedziala opodal i wskazał jéj miejsce obok siebie z giestem nakazującym, ażeby słuchała. Skinął także na najstarszego chłopczyka i posadził go z drugiéj strony obok siebie. Żona jego weszła, dał jéj znak, żeby nie przeszkadzała. Żona ze zwykłą powolnością swoją zbliżyła się do krzesła cichym krokiem i usiadła nieruchoma. Dzierzkowski prawił wtenczas o poczciwości i czystéj wierze ludu. Na twarzy wieszcza malowało się nieopisane wzruszenie. „Tak Panie! wykrzyknął przerywając mu, i wierz mi, niema czyściejszego ludu jak nasze kołtuniaste Białorusiny.“ Wkrótce potem pobudzony znowu jakimsiś frasesem Dzierzkowskiego, odezwał się głosem tak już rozrzewnionym, iż zdawało się,

że szlocha. „Bo to widzisz Bóg prowadzi lud prosty jak dzieci na pasku“, i giestem udawał prowadzenie trzódki dzieci razem na jednym pasku. Nakoniec po konkluzyi Dzierzkowskiego powstał, cały drzący z wyrazem niemal ekstazy na twarzy, podszedł ku niemu rozciągając ramiona; „Panie — zawołał gdyby tak wszyscy myśleli jużby Polska dawno była wyswobodzona“ i począł go ściskać jakby swojego największego dobrodzieja. Stałem za jego plecami, a Dierzkowski w objęciach jego zerknął na mnie po nad jego ramieniem z uśmiechem ironicznym, który zdawał się mówić: „Ot widzisz jak łatwo poradziłem temu półbożkowi.“

Scena ta uczyniła na umyśle moim głębokie wrażenie. Autor Ody do młodości, Walenroda, Dziadów, Pana Tadeusza, pyszny zwiastun nowych idei i nowéj niby wiary, oczarowany przez Dzierzkowskiego, był to w rzeczy saméj fakt wielce pouczający — dowodzący, że nie trudno jest i najpyszniejszy umysł opanować, kto się do tego zręcznie wziąść umie.

IX.

Dotąd raz tylko wspomniałem pobieżnie o żonie Mićkiewicza. Była jednak to postać nader sympatyczna, naznaczona piętnem fatalności i która służyć mogła za przedmiot do ciekawych psychologicznych zgłębiań. Pomówię też trochę o niéj.

Pani Mićkiewiczowa mogła mieć natenczas 34 lub 35 lat, to jest była na schyłku młodości, która świeciła jeszcze swoim zachodzącym blaskiem na jéj twarzy białéj, okraszonéj niekiedy świeżym rumieńcem. Była średniego wzrostu, rysy miała wybitne, ale bardzo regularne, rzecby można posągowe, oczy i włosy ciemne, brwi pięknie nakreślone; lecz nie była to już owa Celina wesoła, ciągle śmiejąca się i świegocąca, jak ją maluje mąż w swoich listach z miodowego miesiąca — lubiąca świat, stroje, zabawy, jak dodają drudzy. Od tych dni szczęśliwych oddzielało ją dwukrotne zaćmienie jéj rozumu, które już od dawna przeszło było zupełnie, ale którego wspomnienie ścigało ją jak cień nieodstępny. Świat, stroje, zabawy nie miały już dla niéj najmniejszego powabu. W towa-

rzystwach żadnych nie bywała. Odwiedzała tylko krewnych swoich Wołowskich. Zawsze jak najskromniéj była ubrana i wątpię, żeby nawet spoglądała kiedy w źwierciadło. Gospodarstwo domowe i dzieci wszystek jéj czas zajmowały. Wieczorem przyrządzała herbatę i pokazywała się chwilowo w kółku zwyczajnem swojego męża, ale przesuwała się tylko z wejrzeniem nieśmiałem lub siadała na stronie, nie mieszając się do rozmowy ogólnéj i niebawem znikała. Kilka razy jednak udało mi się zawiązać z nią gawędkę; miałem do tego przedmiot gotowy, bo jedna z kuzynek moich była w dawniejszych czasach jéj przyjaciółką serdeczną. Raz przyszedłem prosić ją o bilecik wstępny do Ludwika Wołowskiego, którego pragnąłem poznać; udzieliła mi go nader uprzejmie i miałem sposobność dłużéj z nią pomówić. Mąż nieobecny wszedł na to i bardzo był rad, a nawet wdzięczny mi, żem się pod protekcyę jéj udał. Przekonałem się, że rozmowa nie była dla niéj wstrętna. Owszem we dwie osoby rozgadywała się chętnie i dosyć wesoło, w większych tylko towarzystwach była skrępowana nieśmiałością, któréj przezwyciężyć niemogła, bo straciła była ufność w swoim rozumie, który ją po dwakroć tak zdradliwie opuścił; natomiast ufność jéj w mężu i cześć dla niego podniosły się na wysokość wiary religijnéj. Największą przyjemność miała usługiwać mu, przyrządzać mu ulubione jego kołduny i inne przysmaki litewskie, bo Mićkiewicz był smakoszem w swoim rodzaju*), lub nakładać mu fajkę, gdy

*) On sam częstokroć przechodząc niedaleko targowisk zachodził tam i kupował owoce i jarzyny, chował je do kieszeni a potem zapominał się niekiedy i siadał na tem wszystkiem.

postrzegła, że jej nie pali i w całem obejściu się z jéj mężem widać było, że czeka na jego rozkazy, że rządzi się jego wolą, jego rozumem, jego myślą. I nic dziwnego. Wszelka dusza niewieścia uległaby przed tą ogromną potęgą moralną, jaką posiadał Mićkiewicz w swoim płomiennym geniuszu i w swoim charakterze czystym, szlachetnym a zarazem pysznym i niezłomnym. Jakże nie miała poddać mu się zupełnie kobieta, która przestała wierzyć w własny swój rozum a w nim widziała opatrzność swoją na ziemi. Nie mogła bowiem zataić przed sobą, że ją pojął za żonę bez posagu*), co więcéj, nie wiedząc nawet, czy zasługuje, żeby ją kochał — i że uczynił wtenczas wielką ofiarę pod wpływem wspaniałomyślnego jakiegoś natchnienia.

W rzeczy saméj Celina Szymanowska była jeszcze prawie dzieckiem, kiedy Mićkiewicz ją znał w Petersburgu i to nie dzieckiem anielskiem — jak ta dziewczynka zgasła w 12 roku życia; owa Beatricza, którą Dante wystawił jako przewodniczkę swoją w najwyższéj sferze nieba wśród błogosławionych, ale dzieckiem upornem, z którą wieszcz nasz ustawnie się kłócił, jak o tem wspomina w liście do jéj matki po wyjeździe swoim z Rosyi. Dodaje on jeszcze w tymże liście: „panna Celina niech mi daruje wszystkie dawniejsze urazy, a o przestrogach pamiętać może, bo zawsze pochodziły ze szczeréj przyjaźni“ **). Te przestrogi nie wróżyły, że w lat pięć późniéj oświadczy się o jéj rękę. Ale

*) Posażek, jaki wniosła mężowi zaledwo wystarczył na zaprowadzenie bardzo skromnego gospodarstwa w ich domu.

**) Kor. Mićk. T. 1. str. 31.

Mićkiewicz zachował był najtkliwszą przyjaźń i wdzięczność dla Maryi Szymanowskiéj, w domu któréj przepędził najszczęśliwsze chwile swego życia. Dowiedziawszy się, że ta wielka artystka umarła i zostawiła Celinę sierotą, uczuł jakby obowiązek serca, odpłacić się matce, dzieląc los swój z jéj córką*). Napisal w tym celu natychmiast do Celiny, przebywającéj natenczas w Warszawie przy krewnych i do jéj opiekuna i szwagra Małeckiego, kolegi swojego z Wileńskiego uniwersytetu. Celina była tém uszczęśliwiona równie jak cała jéj rodzina i wkrótce przyjechała do Paryża, ale gdy zbliżała się chwila, w któréj poeta miał związać się nierozerwalnym węzłem, obraz Marylli przesuwał się zapewne przed jego myślą i smutno mu się zrobiło na sercu. Krył przed wszystkiemi swoje postanowione małżeństwo. Przyparty pytaniami listownemi Odyńca odpowiedział mu: „Oto krótko i węzłowato, żenię się z Celiną. Wiele byłoby pisać jak w tych czasach byłem smutny i ciężar życia bardzo mnie dusił. Obaczymy, czy będzie lżéj, czy jeszcze cięższéj".**) Domejkę swojego Achatesa i Pylada w przeddzień ślubu dopiero na tę ceremonię zaprosił, dodając: „Nie mów nic o tem nikomu".***)

---

*) W felietonie Czasu, gdzie niniejsze „Wspomnienia" były pierwszy raz wydrukowane, mówiąc o małżeństwie Mićkiewicza przytoczyłem okoliczność opowiedzianą mi przez poufnych przyjaciół poety, lecz któréj Bohdan Zaleski dał formalne i solenne zaprzeczenie a w epoce, do któréj się opowiadanie moje odnosiło był on świadkiem życia Mićkiewicza, mieszkając w jego sąsiedztwie w Sèvres i widując go codziennie. Miałem więc sobie za obowiązek wyrzucić ten szczegół z mojego opowiadania, tem bardziéj, że familia poety widziała w nim ujmę dla jego pamięci. Zostawiłem tylko fakta nieulegające zaprzeczeniu.

**) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 104.

***) tamże tom I. str. 105.

Dopiero po ślubie Mićkiewicz pogodził się z rzeczywistością i uczuł się szczęśliwym, — pisze do Odyńca: „Owóż kochany Edwardzie, trzeci już tydzień jak żyjemy z Celiną na własnem gospodarstwie. Pojmiesz jako stary mąż, że nie miałem wiele czasu pisać do Ciebie. Rozwodzić się nad teraźniejszem szczęściem jeszcze zawcześnie tyle ci tylko powiem, że od trzech tygodni nie byłem ani razu w kwaśnym humorze, a często czułem się wesoły i pusty, jakim od dawna nie byłem. Życz mnie tylko, żeby tak zawsze było. Celina też powiada, że jest zupełnie szczęśliwa i cieszy się jak dziecko. Trzy tygodnie szczęśliwe, dobre i to na świecie! .. Musisz też wiedzieć o naszem gospodarstwie. Mieszkamy daleko od środka miasta w zaciszy, jak na wsi. Mamy tylko trzy pokoje, własne meble, wkrótce będziemy mieli fortepiano. Od rana Celina robi kawę, potem niby to gospodaruje, kręci się, świegoce i śmieje się aż do wieczora*)“.

Do brata swojego Franciszka pisze na poważniéjszy ton: „Szukałem pociechy w domowem szczęściu, póki można żyć w domu. Chociaż oboje nie mamy majątku, póki żyjąc będziem mieli kawał chleba. O przyszłości wiesz, że mało myślę i wcale mi to nie truje szczęścia, że nie wiem jak długo to szczęście potrwa. Celina jest żoną, jakiéj szukałem, śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małem, zawsze wesoła“ **).

Niestety o przyszłości nie myślał, aż bieda emigrancka zapukała do jego drzwi. „My na drodze wzbo-

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 104

**) tamże tom I. str. 105.

gacenia — pisał do Domejki do Chili we Wrześniu 1837. Rząd dał mi pensyi na miesiąc 80 fr. i jednorazowéj gratyfikacyi 1000 fr.“*). Jakiż to smutny obraz materyalnego położenia wielkiego wieszcza w tych kilku prostych słowach. Autor Wallenroda, Pana Tadeusza, Dziadów zeszedł był na stopę biednego emigranta żyjącego z jałmużny rządu francuskiego i z tą ciężką biedą pasował się lat kilka. „Wyrdzewiła ona duszę jego więcéj niż się tego po sobie spodziewał“, jak to wyznał temuż samemu wiernemu przyjacielowi**). Myślał, że ją przełamie, jeżeli stworzy dramat jaki dla sceny francuskiéj i napisał Konfederatów dla teatru Porte St. Martin. Oddał go pod sąd pani Sand, która pochwalila i przedmiot i styl, ale nie zapewniała, ażeby się publiczności francuskiéj podobał, bardziéj jeszcze powątpiewał o tem Dyrektor teatru Porte St. Martin i sztuki nie przedstawił. Gust publiczności francuskiéj w rzeczy saméj tak się różni od gustu polskiego, jak cała historya Francyi od naszéj. Mićkiewicz pisał do Domejki, że liczył na ten dramat jak na Chili t. j. uważał go za kopalnią jeżeli nie złota to przynajmniéj miedzi dla siebie i ta nadzieja się rozchwiała. Nakoniec w r. 1838 otrzymał, bez długich zachodów posadę profesora literatury łacińskiéj w Akademii Lauzańskiéj, ale zły los jego nie był jeszcze zażegnany. Gdy już najął był mieszkanie dla siebie i familii swojéj w Lauzannie, dowiedział się, że żona jego po drugim połogu w skutek uderzenia pokarmu do głowy dostała obłąkania umysłu. Niepodobna mu więc już było

---

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 109.

**) tamże tom I. str. 120.

objąć katedry. Wrócił nieszczęsny do Paryża na ciężkie zmartwienia i dalsze walki z niedostatkiem. W rok potem dopiero z uzdrowioną już żoną mógł przyjechać do Lauzanny i zająć katedrę, która czekała jeszcze na niego.

Niestety nie skończyło się na tem jednem smutnem przejściu tego rodzaju w życiu Mićkiewiczów. W dwa lata późniéj zamieniwszy skromną posadę profesora w Akadamii Lauzańskiéj na katedrę w Collège de France w Paryżu, Mićkiewicz przemawiał nie do saméj już tylko młodzieży chciwéj nauki, ale do oświeconéj publiczności Paryskiéj i powiedzieć można do Europy całéj i gdy potęgą słowa swojego zaczynał budzić uśpione współczucie ludów dla sprawy Polskiéj, żona jego popadła powtórnie w obłąkanie z takiejże saméj przyczyny co poprzednim razem i w tym stanie stała się bezwiednem narzędziem w ręku wizyonera, pod którego fatalnym wpływem wielki wieszcz, przechylający się już do mistycyzmu, zeszedł ze swojego poważnego i tak wpływowego stanowiska na drogę chimerycznego apostolstwa i na niéj pozostał do śmierci. Sposób jakiego użył Towiański, nie był nigdy jeszcze, o ile mi wiadomo, dostatecznie wyjaśniony. Sam Mićkiewicz nie zdawał sobie z tego dokładnie sprawy, przekonany, że Towiański słowem swojem samem nawrócił go na swoją wiarę. W liście do jenerała Skrzyneckiego przyznaje on wprawdzie, że Towiański żonę jego uzdrowił, że temu uzdrowieniu towarzyszyły okoliczności, jak się wyraża, cudowne, ale okoliczności te przemilcza „opowiadać je, pisze, byłoby za długo“ *). Mogę pod tym

*) Korespondencya Mićkiewicza T. I. str. 187.

względem dopełnić jego opisu. Szczegóły tego pseudocudu wiem od przyjaciółki Mićkiewicza i jego żony, z którą mnie łączą także związki dawnéj przyjaźni i pokrewieństwa, a która je z ust ich obojga słyszała. Przedtem jednak nie od rzeczy będzie dać czytelnikom kilka objaśnień, bez których czarodziejstwo Towiańskiego byłoby trudnem do zrozumienia.

Nie posądzam Towiańskiego o szarlatanizm. Niegdyś wioskowy czy dwuwioskowy obywatel litewski, wybrany przez swoich współobywateli na sędziego głównego sądu w Wilnie, opłacił on swoją rolę proroka między emigracyą utratą majątku, który mu Rząd rosyjski skonfiskował*). Był więc niewątpliwie wizyonerem w dobréj wierze. Podobno przez lat kilka miał ślepotę i wtenczas to uroił sobie, że z duchami obcuje i powołanym jest do podniesienia chrystianizmu na wyższy stopień, tak jak chrystianizm jest wyższym stopniem wiary Mojżeszowéj.

Wszyscy co widzieli Towiańskiego zgadzają się, że miał postać wyniosłą, poważną, organ miły, wymowę naturalnie płynną, przekonywającą, podnoszącą się niekiedy do tonu natchnienia; zgoła najpotężniejsze środki do działania na swoich słuchaczy. Lelewel, który był stary sceptyk skłonniejszy do szyderstwa niż do entuzyazmu, wyznał mi, że go Towiański o mało co nieobałamucił. Skrzynecki pisze o nim do Mićkiewicza. „Nie sądzę ja lekko Andrzeja i Gutta; wiele mi głębokich udzielili rzeczy, wiele odkryli, które albo słabo czułem, albo jak przez zasłonę widziałem w czasie walki naszéj, a największą

*) Ukaz tyczący się konfiskaty jego majątku; w korespondencyi Mićkiewicza, Tom I. na końcu.

mają w tem zasługę, że wszystko mają u siebie; (?) oni mi odkryli siłę i skuteczność modlitwy".

Daléj zaś powiada: „Andrzeja zasady religii są bardzo łatwe do pojęcia; lekkie umysły przystaną do nich, bo są jasne jak na dłoni. Kościół ma głębsze, mniéj zrozumiałe dla nas poziomych, ale nie przeto fałszywe i przez najgłębsze umysły potwierdzone, obalić z nich jednę tylko jest obalić wszystko."

Towiański jak widzimy z tego listu miał pomocnika nazwiskiem Gutta... Byłto jego szwagier i pierwszy zwolennik. Mistrz mało miał nauki. Gutt go pod tym względem uzupełniał. Był on doktorem medycyny z uniwersytetu Wileńskiego, podobno dosyć wziętym na Litwie, a fakt sam, że tak łatwo przylgnął do nowéj religii wymarzonéj przez swojego szwagra, każe się domyślać, że miał naturalny pociąg do mistycyzmu — rzadki bardzo u lekarzy — i że musiał się zajmować kwestyami fizyologicznemi, które z mistycyzmem mają styczność; to jest z tajemnicami ekstazy, magnetyzmu zwierzęcego i tak zwanych cudownych uzdrowień, tem bardziéj, że w owéj epoce fenomena magnetyzmu zwracały na siebie uwagę powszechną. Świat medyczny podzielony był na dwa obozy, jedni wierzyli w nie i badali je pilnie, drudzy ani słyszeć o nich chcieli i ogłaszali je z góry za wierutne bajki. We Francyi szkoła medyczna w Montpellier walczyła za magnetyzmem przeciw szkole paryzkiéj, podobnaż walka toczyła się w Niemczech i w pewnéj chwili magnetyzm tam tryumfował, gdy najzażartszy dawniéj przeciwnik jego, sławny doktor Hufland przeszedł z wielkim rozgłosem na jego stronę i uzyskał od Rządu pruskiego pozwolenie na założenie w Berlinie kliniki magnetycznéj.

Przytem i uzdrowienia wrzekomo cudowne były w tym czasie nie rzadkie. Dr. Guepin, pierwszy lekarz w mieście Nantes, parę razy wybrany na mera tego miasta opowiada w swojem znakomitem dziele: Philosophie du XIX siècle, uderzające w tym rodzaju fakta, których był naocznym świadkiem, mianowicie w Nantes, gdzie pobożna jakaś dama, ale należąca do sekty Swedemborgistów, pod przybranem zapewne nazwiskiem pani de Sainte Amour, leczyła rozmaite choroby wiarą połączoną z pewnym wpływem magnetycznym i w Pau, gdzie nierównie większe jeszcze skutki osiągał stary wojskowy, komendant Laforgue. U niego zbierały się codziennie przez długi ciąg lat procesye chorych, a tak silnie na nich działał słowem powiedzianem w imieniu Boga, wejrzeniem, dotknięciem ręki, że cała izba jedna w jego domu zawalona była kulami, na których przychodzili do niego kulawi a które zostawiali mu na pamiątkę wychodząc, uzdrowieni*). Z tych

---

*) Dr. Guepin powiada o pani de Sainte Amour: „Sposób w jaki badała chorego, akcent przenikający jéj mowy, solenność (l'onction) z jaką przykładała ręce na jego czoło, działając nań zarazem religijnie i magnetycznie, sprowadzały jakieś wewnętrzne w nim wstrząśnienie, i czuł się wnet uzdrowionym, lub przynajmniéj zdawało mu się, że tak jest.“ Autor dodaje na końcu: „Byłoby to wcale nie filozoficznie zaprzeczać a priori, jak to wielu uczonych czyniło, rzeczom, które tak łatwo było mi sprawdzić, przekonałem się więc naocznie, że były uzdrowienia, wprawdzie nie wiele było radykalnych i trwałych“. O komendancie Laforgue,. opowiedziawszy rozliczne jego uzdrowienia w ciągu trzech tygodni w r. 1849 dokonane i protokularnie spisane, powiada: „Wie on dobrze, że magnetyzuje chorych, ale przekonany jest, że żadnego skutku by nie osiągnął, gdyby nie był położył sobie za cel jedyny działać na chwałę Boga, uważając się za pośrednika jego łask dla cierpiących“. Dodać należy, że autor znany mi osobiście był kompletny sceptyk. (Philosophie du XIX siècle.) Paris, Gustave Sandré, 1834, str. 539 ut passim.

i wielu tym podobnych przykładów wyprowadzić można wniosek, że pewne choroby nie nadwerężające głównych organów żywotnych, wynikające tylko z jakiegoś zakłócenia w ich funkcyonowaniu, ustępują pod silnem wrażeniem moralnem, popartem działaniem magnetycznem. Wiedział o tem bez wątpienia Dr. Gutt i przysposobił Towiańskiego do wywierania podobnych skutków na przypadek, gdyby koniecznem mu było popróbować cudu, bo w każdem przedsiębierstwie nawet mistycznem Qui veut la fin veut les moyens.

Dwaj prorocy nie od razu zwrócili oczy na emigracyę. Udali się naprzód do Petersburga, gdzie nie wiodła ich zapewne myśl patryotyczna, — wallenrodowska, — lecz jedynie chęć wystąpienia na wielkiéj scenie, ale niebawem generał ober-policmajster wyprosił obu z carskiéj stolicy. Wróciwszy jak niepyszni na Litwę pomiarkowali dopiero, że emigracya jest najlepszym gruntem na ich siejbę. Nie był jednak Towiański dosyć pewnym skutku, ażeby majątek swój wyprzedać i przenieść się między emigrantów jak misyonarz. Wyjechał tylko wraz z Guttem jak na wojaż, za paszportem jednorocznym. Po drodze, w Poznaniu, chcieli oni obydwaj arcybiskupa Dunina na swoją wiarę nawrócić i narazili się na drugą ostrą odprawę. W Brukselli natarli na Skrzyneckiego, licząc na jego dewocyę i miękkość charakteru, ale zapomnieli, że żołnierz nie odstępuje swojéj chorągwi, a Skrzynecki pod chorągwią katolicyzmu walczył w całym ciągu swojego wojskowego zawodu. Odesłał ich też do prawéj władzy w kościele. Nie lepiéj się im udało z innymi emigrantami w Brukselli. Nie pozostało im już jak na Mićkiewicza uderzyć z całą siłą i taktyką na jaką zdobyć się

mogli, skoro chcieli działać na emigracyę przykładem i wpływem z góry.

Mićkiewicz z natury umysłu i serca swojego przechylał się od lat młodych do mistycyzmu. Daremnie w r. 1830 w Rzymie wyspowiadał się z największą skruchą i przystąpił do św. Komunii*), daremnie przez pierwszych lat 10 w emigracyi starał się utrzymać na gruncie katolicyzmu i na nim opierać całą swoją działalność, mistycyzm kiełkował w nim ciągle. Jego poetą najulubieńszym był mistyk Garczyński. Autorowie, których czytał najmiléj byli mistycy St. Martin i Baader**). Sam nawet gdy zarzucał cugle na kark myśli swojéj, to zapuszczał się w prorokowanie jak w IV części Dziadów i w niektórych numerach Pielgrzyma, wydawanym przez niego przez 6 miesięcy, a po powrocie z Lausanny do Paryża już się nie tail ze swojemi ideami, które nie wchodziły bynajmniéj w zakres katolicyzmu. Jeszcze z Lausanny na początku 1848 pisał do Bohdana Zaleskiego list temi ideami już przejęty. „Twój wiersz senny, pisze, dziwna to, arcy dziwna rzecz". Bo uważ, że ja kiedyś,

*) X. Kajsiewicz opowiada, że gdy poczuwszy powołanie do stanu duchownego zwierzył się z tem Mićkiewiczowi, którego radami się rządził, poeta rozrzewniony rzucił mu się na szyję i zawołał: niechże Bogu będą dzięki! i ja miałem powołanie, alem je zmarnował, może ty mnie zastąpisz. To powołanie dodaje X. Kajsiewicz otrzymał był Mićkiewicz w Rzymie roku 1830 po odbytéj spowiedzi z całego życia podczas gdy się modlił w kapliczce Matki Boskiéj w kościele del Gesu. (Pism X. Kajsiewicza tom III. str. 410). Nie zmarnował on swego powołania bo rzeczywiście nigdy go nie miał. Umysł jego nie był zdolnym poddać się pod karność kościelną i zamknąć się w nieprzekraczalnych granicach jakiemi są dogmata katolickie; dla tego to, uczyniwszy rachunek ze swojem sumieniem, odstąpił od zamiaru.

**) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 74.

w auguście czy septembrze, napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszéj części Dziadów. Owoż rzecz taż sama. Chłopiec się tuła między mogiłami, tylko u mnie fantastyczniéj, bo śpi a chórem nad nim nucą piołuny siwe i lebioda i ślimaki etc. etc. Inspiracya mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie przestraszył taki ładny. Kto wie czy ty teraz nas (używał nas w znaczeniu mnie) nie okradasz przez sen z wszelkiéj poezyi? Kto wie czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego światła i ciepła poetycznego"*). Tęż samą tezę rozwija w innym liście jeszcze do Bohdana z okoliczności pamiętnéj swojéj improwizacyi u Eust. Januszkiewicza. „Wyzwany przez Słowackiego improwizacyę, są jego słowa — odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyj rozpłakali się i bardzo nas pokochali i na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną. Chciałbym wiedzieć coś ty wczoraj robił i co myślał? bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możem być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem kiedy się w nas wcieli**)".

Tu już zarysowuje się jakaś doktryna mistyczna, któréj bezwątpienia brak było jeszcze syntezy. Z tego to względu wyglądał mistrza, który całą prawdę miał objawić i zapowiedział go w owéj wyżéj wspomnianéj improwizacyi, jak to poświadcza w liście do Skrzyneckiego:

---

*) Korespondencya Mickiewicza tom I. str. 154.
**) tamże tom I. str. 165.

„W roku przeszłym — powiada on — kilkudziesięciu Polaków dawało mi ucztę, czułem się w wielkiem podniesieniu ducha i powiedziałem im, że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeżeli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle nam proroka, który będzie dla nas prawem żywem, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami (wiary). Nie pamiętam słów poezyi ale ta była ich treść. Zaklinałem, żeby ją pamiętali; wielu już zapomniało. Zan Stefan kiedy przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem mu ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił, ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do téj wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówię o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani*)“. Było to widziadło, które go ścigało nie tylko od ostatnich Dziadów, ale jeszcze z przed 1830 roku, kiedy zaczynał już prorokować, tylko przybierało coraz inną postać. Owa improwizacya obudziła raz jeszcze to widziadło drzemiące od lat sześciu lub siedmiu w jego duszy, i zdaje się, że odtąd często musiał w domu o niem wspominać, bo żona jego tak miała niem głowę nabitą, że w swoim obłąkaniu ciągle o zapowiedzianym mistrzu gadała.

*) Kor. Mićk. T. I. str. 186. „Lat siedm wprzód Mićkiewicz patrząc na gorączkowe i niepłodne zabiegi i robótki emigracyjne — pisze X. Kajsiewicz — powiedział na nic się to wszystko nie zdało, trzeba dla Polski zakonu (Pisma X. Kajsiewicza, T. III str. 167). W 1840 r. nie dosyć mu było na zakonie, który już istniał pod formą zmartwychwstańców; oczekiwał nowego messyasza.

Towiański może nie wiedział do jakiego stopnia Mićkiewicz był przysposobionym dla niego zwolennikiem, ale znał niezawodnie jego proroctwo w Dziadach, i chodziło mu o to, iżby go przekonać, że tym przepowiadanym przez niego mistrzem, prawem żyjącem, jest on — Towiański. Na to wymowa sama niewystarczała, trzeba było faktu, to jest cudu; a jak już nadmieniłem, rady doktora Gutta zapewne pokierowały nim w téj okoliczności. Żona Mićkiewicza nie była w obłąkaniu nieuleczalnem; przyczyna jego była przemijającą (uderzenie pokarmu na mózg), i raz już z podobnego stanu wyprowadzoną została środkami zwyczajnemi w medycynie. Można więc było z niejaką nadzieją skutku uciec się także do środków moralnych i magnetycznych, zdolnych wstrząsnąć w niéj system mózgowo-nerwowy i jakby cudem sprowadzić zbawienną reakcyę. Wszekże już podług Szekspira, urok pięknéj muzyki dostatecznym był, aby wyprowadzić z obłąkania starego króla Leara.

Snać Towiański liczył na podobny skutek, gdy się wybierał do Mićkiewicza. Zastał go zajętym wypisywaniem not z różnych książek, które przytoczyć miał w swojéj przyszłéj prelekcyi. Spostrzegłszy postać nieznajomą, przychodzącą przerywać mu jego prace, odezwał się on dosyć sucho, że niema czasu do żadnéj rozmowy i prosi, ażeby mu dać pokój. „Ale ja przychodzę od Pana Boga do ciebie Adamie, rzekł Towiański tonem uroczystym, ażeby ci żonę uzdrowić“. Te słowa zelektryzowały Mićkiewicza. Zaczął mu zadawać różne pytania, na które odpowiadając, Towiański wyłożył mu w głównych zarysach swoją doktrynę, która spoczywała na takichże samych ideach o wpływie świata niewidomego na świat widomy i wcielaniu się

ducha wyższego w człowieka, które sobie wieszcz był wyrobił, ale które zdaje się Towiański w jeden system ujął i jasno, przynajmniéj jak dla niego, tłumaczył. Co mu więcéj powiedział, to można wnioskować ze słów listu jego pisanego do Mićkiewicza w lat kilka późniéj, gdy mu przebaczał jakiś zamach buntowniczy na jego władzę. „Bracie Adamie, pisał do niego. Tyś pierwszy zwiastował Polsce sprawę bożą i sługę bożego; coś niezwyczajnego a pocieszającego widziała Polska w Tobie, a był to pierwszy promień nowéj epoki, który naprzód zabłysnął w Proroku Polski, a ten promień boży uznając i miłując w Tobie, Polska gotowała się do przyjęcia słowa wyższéj epoki, słowa Bożego. W kolei czasu budziłeś w twych natchnieniach tułaczów Polski zapowiadając im zbliżającą się epokę i sługę jéj“.*)

Mićkiewicz był podbity oczarowany i oczarowanie to maluje z szczerością w liście do Skrzyneckiego. „Moja wiara w słowa Andrzeja, powiada on, jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchownych“. Tu przypomina wszystkie swoje przepowiednie, kończąc na téj, którą wypowiedział u Januszkiewicza. Potem opowiada następującą okoliczność: „Około owego czasu, w miesiącu grudniu, kiedy oglądałem przygotowania do egzekwyi Napoleona. miałem w biały dzień widzenie; widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie po błocie i w mgle i uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość, wielkie rzeczy“. Było to niby widzenie Hegiry Towiańskiego, jadącego z Litwy ku Francyi.

*) Kor. Mićkiewicza T. I. str. 187.

Mićkiewicz powiada, że się o tem przekonał z opowiadania mistrza, ale że się przekonał nie prędko, więc widzenie to nie wpłynęło na pierwsze wrażenie, jakie on na nim sprawił — zwłaszcza, że ten sam wózek Litewski długo potem kręcił się jeszcze luźny po głowie poety, skoro chciał, ażeby go Oleszczyński na grobie Kniaziewicza i Niemczewicza wyobraził. Nakoniec przystępuje Mićkiewicz w cytowanym liście do faktu uzdrowienia żony. „Jeszcze żona moja, powiada on, była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja, (który jéj nie widział był), ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnem pomięszaniu w kanikułę, w gorąco, w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość". Tu dodaje, że okoliczności cudowne towarzyszyły jéj uzdrowieniu, które jednak, zdaniem jego nie przyczyniły się do jego wiary, bo ta już bez nich była zupełną. Pytanie jednak zachodzi, czyby ta wiara długo potrwała, gdyby jéj Towiański nie był pseudocudem poparł? i czyby nie upadła zaraz, gdyby zapowiedziawszy cud, ów cud się nie udał. Teraz opowiem całą tę ciekawą scenę.

Mićkiewicz jak widzieliśmy z listu jego sprowadził żonę do domu. Przejazd w pośród burzy, zmiana miejsca, widok męża, pokoju swojego i wszystkich przedmiotów, do których była nawykła, poruszyły już były silnie biedną obłąkaną. Burza z grzmotem, błyskawicami, piorunami, dosyć częsta w Paryżu w miesiącu sierpniu w którym się to działo, trwała jeszcze czas jakiś po jéj przyjeździe

i wśród téj burzy zjawił się Towiański. Zbliżył się do niéj powolnym krokiem, wlepiając w nią wzrok swój magnetyczny; chciała uciekać, przestraszona. On pochwycił jéj dłoń jedną ręką, drugą rękę przyłożył do jéj czoła, jakby dla namaszczenia i głosem solennym zawołał: „Kobieto w imie Chrystusa uzdrawiam cię — jesteś uleczona“. Grzmoty i błyskawice towarzyszyły téj scenie, jakby się niebo i ziemia spiknęły dla obałamucenia poety. Pani Mićkiewiczowa jakby zbierała swoje zbłąkane myśli patrzała jakąś chwilę na tę postać nieznajomą, imponującą jéj z tak potężną władzą. Następnie spojrzała na męża, krzyknęła i rzuciła się w jego objęcia — poznała go — była uzdrowioną — cud był dokonany, a Mićkiewicz ukorzył się przed zbawcą, uznając w nim posłannika Bożego. Stan zachwytu w jaki popadł i w którym kilka tygodni przebył, odmalował on żywemi farbami w liście do Bohdana Zaleskiego, dosyć znanym, ale który przytoczę dla dopełnienia obrazu:

„Bohdanie! skoro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielke tu dzieją się rzeczy. Emigracya połączona. Spiesz zaraz, zaraz do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił. U mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu. Od kilku dni piszę do ciebie na wszystkie strony, nie wiedząc gdzie się obracasz. Józefa wołaj natychiast do Paryża. Więcéj pisać nie wolno.

Słowiczku mój! a leć a piéj
Na pożegnanie piéj —
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonéj piosnce twéj.
Słowiczku mój, twe pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź

I w ostrzu szpon zołoto-stron
Dawidzki hymn tu nieś.
Bo wyszedł głos i padł już los:
Tajne brzemie lat
Wydało płód i stał się cud
I rozraduje świat *).“

Zajął się też natychmiast Mićkiewicz apostołowaniem nauki Towiańskiego i 3 maja następnego roku (1842) sprowadził Towiańskiemu 44 zwolenników**), cały żywioł najbardziéj egzaltowany w emigracyi: poetów Słowackiego, Goszczyńskiego, Aleks. Chodźkę; starych wojskowych: jenerała Różyckiego, pułkownika Mikołaja Kamieńskiego, którego ścigało wspomnienie młodzieńca, padłego od jego strzału w pojedynku, Belwederczyka Retla i. t. p.

Nie mógł jednak Mićkiewicz zostać długo ślepem narzędziem Towiańskiego. Była między nimi zasadnicza różnica. Patryotyzm Towiańskiego był bardzo wątpliwym i to już zraziło było od niego Skrzyneckiego: „Modlić się, pisze on do Mićkiewicza, cicho siedzieć i z założonemi rękami wyglądać zmiłowania boskiego, to cała nauka i rozkazy ztamtąd, kiedy szatan Mikołaj walczy nas, i pomału zabija“. Przyjechawszy do Paryża i wyrozumiawszy trochę emigracyę, postrzegł ów prorok, że mu na inny ton trzeba śpiewać. Z początku też zapowiadał stęsknionym tułaczom powrót tryumfalny do Polski; mianował nawet poczciwego jenerała Różyckiego (Karola) naczelnym wodzem, mającym im przewodniczyć na siwym koniu jak ongi swojemu hufcowi wołyńskiemu, ale z czasem wrócił do naturalnego mu kosmopolityzmu i znowu

*) Kor. Mićk. T. I. str. 179.
**) Pisma ks. Kajsiewicza T. III. str. 427.

zalecał swoim zwolennikom, żeby się tylko modlili i wyglądali zmiłowania boskiego, a co gorsza nakłaniał ich do podpisania jakiegoś adresu do Mikołaja, który bardzo im zarzucano.

Mistycyzm Mićkiewicza był pod tym względem zupełnie odmiennym, bo na tle jego był patryotyzm namiętny, przed którym wszystko ustępowało w sercu poety. Mićkiewicz mniéj myślał o zbawieniu duszy, jak o zbawieniu ojczyzny i czego szukał w mistycyzmie, to przedewszystkiem upewnienia, którego mu ani rozumowania filozoficzne, ani nawet wiara katolicka dać nie mogły, że ojczyzna zbawiona będzie. Miałem sposobność dotrzeć do tego gruntu jego duszy w sposób dotkliwy dla siebie. Raz, w małem bardzo kółku u niego, rozmowa toczyła się o wypadkach ówczesnych; to jest o reakcyi biorącéj wszędzie górę. Głównym mówcą był jakiś Francuz, który utrzymywał, że ta reakcya nie jest w stanie zwichnąć przyszłości ludów, a tą przyszłością podług niego miała być ogólna republika demokratyczna — stany zjednoczone Europy. „Eh, przyszłość — wyrwałem się pod wpływem jakiegoś zniechęcenia, jakichsiś błękitnych diabełków angielskich (blue devils), które mnie tego dnia opanowały, a których bardziéj jeszcze podżegały komunały Francuza. — Eh przyszłość nie będzie czem innem, jak przedłużeniem przeszłości, dalszym ciągiem jednego i tegoż samego łańcucha przyczyn i skutków.“ Powiedziawszy to, spojrzałem na Mićkiewicza. Twarz jego była straszliwie gniewna. „Jakto! fuknął na mnie, jakże śmiesz takie herezye bredzić. Dalibóg nie wiem, gdzie ta młodzież dzisiejsza czerpie swoje idee, bo to nawet nie jest filozofia niemiecka. I cóż dla ojczyzny wypro-

wadzisz z takiego rozumowania.“ Umilkłem i lubo mnie Francuz wyciągał na dyskusyę, nie odezwałem się już więcej; byłem zawstydzony ostatnim wyrzutem Mićkiewicza, lecz poznałem przy téj okoliczności, że dla niego kamieniem próbierczym wszelkiéj doktryny jest to, czy może dać Polakowi dobrą otuchę czy nie? Tę otuchę dawała mu snać doktryna Towiańskiego, bez względu jak ją mistrz sam zastosowywał w praktyce; świadczy to list pełen wynurzeń, jaki pisał do brata swojego Franciszka, gdy już i katedrę stracił i przeciwo sobie poburzył Polaków i Francuzów.

„Bracie, pisał, jużeśmy podstarzeli, życie przeszło jak chwilka a zdamy tylko rachunek z tego jakeśmy go użyli dla dobra bliźnich i ojczyzny. Mam nadzieję, że z tobą jeszcze obaczę się na ziemi i w lepszych czasach a radbym, żebyś ty miał ufność w Bogu, że jeszcze i Litwę obaczymy. Litwę naszą już a nie moskiewską. Tem żyję, dla tego żyję i tego da Bóg dożyję . . . Widywałem tu różnych rodaków z naszych stron, ale oni na innych drogach kręcą się; czas pokaże czyja lepsza . . . Posyłam tobie mowę Quineta, żebyś widział, że tu Francuzi muszą mnie bronić od rodaków, którzy mnie ogłaszają za odszczepieńca (pobożni!) za Moskala, ale przyjdzie czas i niedługo, że i rodakom oczy otworzą się“ *).

Z takim uczuciem w sercu, Mićkiewicz chciał działać jak dawni zakonni rycerze, a nie zakładać rąk jak to polecał Towiański; powstawał też nie raz przeciw niemu, lecz potem tknięty skruchą przepraszał go; nakoniec gdy

*) Kopia autografu w kor. Mićkiewicza.

wybuchła wojna we Włoszech, pojechał tam tworzyć jakąś falangę polską i poróżniwszy się o to znowu z Towiańskim przestał mu odtąd ulegać. Szedł swoją oddzielną drogą, która go w końcu zawiodła na Wschód w chwili, gdy okoliczności zdawały się odpowiadać wszystkim jego marzeniom, widzeniom i proroctwom. Cesarstwo francuskie było przywrócone, Francya znowu jak w 1812 roku ścierała się z Moskwą a polskie hufce formowały się na wschodzie. Poeta sądził, że zbliża się przepowiedziana przez niego godzina. Nastroił znowu lutnię, która spoczywała już tak długo. Zaśpiewał hymn na wzięcie Bomarsundu i sam wyjechał do Turcyi, gdzie bez wątpienia spodziewał się kozaków polskich Czajkowskiego natchnąć swoją wiarą, — gdy cholera położyła koniec jego pieśniom, marzeniom, widzeniom i życiu.

Osobistość Mićkiewicza jest w pośród wspomnień, które opowiadam, jakby góra wysoka, u stóp którėj droga moja przeszła. Wdrapywać się na jėj szczyt w obłokach ginący, lub przenikać jėj wnętrze wulkaniczne, nie było mojem zadaniem. Patrzałem tylko z dołu na nią i z tego też punktu starałem się odszkicować jėj profil. Muszę jednak dołożyć jedną uwagę ogólną, którą mi nasunął F. Sarcey, znany krytyk i publicysta francuski. „Dziwna to rzecz, mówił mi on, że cokolwiek wychodzi z pod polskiego pióra, jest zawsze obwinięte w jakąś mgłę mistycyzmu. Czy wy się mistykami rodzicie?“ Zaprotestowałem żywo przeciw takowemu zapatrywaniu się na naszą literaturę współczesną. Sarcey nic nie mówiąc poszedł do swojėj biblioteki i przyniósł kurs Mićkiewicza. Gdym spojrzał na tytuł dzieła uczułem wnet, żem się trochę zaawanturował z moją protestacyą.

W rzeczy saméj nie trudno było krytykowi francuskiemu dowieść mi podług rozbiorów i cytacyi Mićkiewicza, że po upadku powstania 1830 r., zaczęła się w poezyi naszéj faza mistycyzmu i ascetyzmu, która nieco i po za obręb poezyi się rozciągnęła. Wieszcze nasi, którzy wyszli na tułactwo uciekali myślą w światy nadziemskie, żeby tam czerpać otuchę dla serc zrozpaczonych. Tam spotkali się z autorem „Dziadów“, Stefan Garczyński, który wyśpiewał swojego Wacława nad brzegiem grobu; Gosczyński, Słowacki, Zygmunt Krasiński, który lubo nie emigrant, żył powietrzem emigracyi. Nawet pobożny Bohdan Zaleski miał chwile, kiedy jak w „Duchu od stepu“, przypominał sobie na wiarę Platona swój żywot przedziemski:

Luby, dziwny gdzieś przed laty . .
Żywot czysty i skrzydlaty.

Z myśliciel zaś naszych ci, którzy nowe drogi dla myśli polskiéj torować chcieli, niemal wszyscy, z jakiegokolwiek wychodzili punktu, biegli za ideałem bardzo dalekim od rzeczywistości ówczesnéj, a dalszym jeszcze niestety od dzisiejszéj, to jest od ery Bismarka z godłem swojem: „siła przed prawem“. Cieszkowski zatwierdziwszy przeciw filozofom niemieckim istnienie nieśmiertelnego ducha w człowieku, otwierał perspektywę na zrealizowanie się w społeczeństwie ludzkiem w pełności tego boskiego pierwiastku i dla tego też znane pismo swoje do berlińskiego Micheleta zaczął i skończył wezwaniem Veni creator spiritus. Królikowski idąc daléj jeszcze zwiastował nowy kościół chrześciański ufundowany na braterstwie tak harmonijnem, że każdy w nim będzie królem, każdy kapłanem. W podobnymże prawie świetle widział przyszłość przez rzewne łzy swoje zacny Brodziński, gdy w posłaniu do braci wy-

gnańców powiedział: „Wyświecajmy tyranów, ale oświecajmy narody, a oświecenie to rozgoreje w ogień spólnéj miłości, w którym spłonie potęga ciemięzców. Miłością uczniów Chrystusa pomiędzy sobą wszystkie ludy wzajemną miłością natchniecie. Sprawa nasza tak jest boska i ludzka, iż na całéj kuli ziemskiéj wyznawców dla niéj znaleść możemy, a przywrócenie szlachetnéj Polski będzie kwiatem prawdziwéj cywilizacyi wieku, który ludzi i aniołów rozradować potrafi.“

Mógł więc Mićkiewicz z katedry swojéj podawać rękę licznemu gronu poetów i myślicieli naszych, bo jego mistycyzm nie był pojedynczym fenomenem, ale objawem najwybitniejszym dążności, która opanowała była najbardziéj egzaltowane dusze polskie po upadku sprawy narodowéj mianowicie w emigracyi i która przygotowała pole dla Towiańskiego. Pozwalam sobie zwrócić na to uwagę przyszłych historyków naszéj ery męczeńskiéj. Sam zaś wracam do moich wspomnień trochę bezładnych.

X.

Ciekawe typy, jakie się wytworzyły w emigracyi straciłyby swoje znaczenie, gdyby je oderwać od tła wspólnego i od tych warunków zupełnie wyjątkowych, wśród których żyła cała emigracya. Wszystko to się wiąże w jeden obraz i dla tego idąc daléj w mojem opowiadaniu będę musiał przechodzić z ogółu do jednostek lub odnosić się od jednostek do ogółu.

Czem była owa stara emigracya z 1831 roku o tem świadczyło najlepiéj współczucie i szacunek powszechny, jaki jéj okazywano we Francyi przez lat więcéj niż czterdzieści, to jest póki nie pozostała z niéj tylko garstka złamanych starców obcych dzisiejszemu pokoleniu. Nikt jéj tam nie zazdrościł ani subsydyów jakie jéj rząd przez tyle lat wypłacał, ani licznych posad jakie zajmowała w różnych gałęziach służby publicznéj lub w kompaniach i zakładach prywatnych, nikt nie czynił ogółu odpowiedzialnym za usterki, nadużycia, długi pojedyńczych jego członków. Przez lat czterdzieści imię starego emigranta było w poszanowaniu. Bo też emigracya ta była kością z kości narodu polskiego. Nie każdy wprawdzie do niéj należący był rycerzem bez zmazy lub mężem nieposzlako-

wanéj cnoty obywatelskiéj. Wielu się przymieszało do niéj którzy nie zasługiwali na szacunek, ale można powiedzieć, że ile było tylko w Polsce pod panowaniem rosyjskiem serc prawdziwie rycerskich, ile było ludzi miłujących nadewszystko Ojczyznę i jéj honor, jak je Polacy kochać umieją, wszyscy wyszli z chorągwiami narodowemi na obcą ziemię, ażeby zaświadczyć przed światem, że Polska uległa jedynie pod barbarzyńską przemocą a praw i nadziei swoich się nie zrzeka. Ci tylko pozostali w kraju, których wstrzymały choroby, rany, lub ciężkie obowiązki rodzinne. Wielu rannych nawet zawlekło się za wojskiem, jak Franciszek Mićkiewicz brat poety, Zdzisław Zamoyski i wielu innych. Widziałem sam w szpitalu w szkole applikacyjnéj, gdzie leżałem ciężko ranny i jeszcze prawie dzieckiem, gromadkę oficerów o kulach, z rękami na temblakach, z podwiązanemi głowami wychodzących za wojskiem w téj fatalnéj nocy, która poprzedziła wejście Moskali do Warszawy. Była to rozdzierająca scena; ocknąłem się był z gorączki i spostrzegłem w sypialni przy świetle świeczki łojowéj ojca Benjamina kapucyna*) otoczonego temi rannymi wojakami. Rozdawał im co prędzéj trochę bielizny i pieniędzy, które złożone były u niego dla szpitala i błogosławił ich z płaczem, a z nim płakali ci co wychodzili w drogę — płakali nad krajem i nad sobą, przewidując, że trzeba im będzie szukać przytułku na obcéj ziemi**).

*) Późniéj biskupa.

**) Leżał w tejże sali niedaleko odemnie ex-akademik Suchodolski, autor wesołych piosneczek śpiewanych u Honoratki.

Moskalu wygnany
Zgryzotą nękany!

Przechód wychództwa do Francyi trwał ze dwa lata. Wielu bowiem z młodszych wojskowych z r. 1831, którzy zostali byli w kraju, uciekało następnie za granicę wszystkiemi drożynami przed srogim poborem moskiewskim w 1832 roku*). Było także niemało takich, których pędziła za wychodźcami nieprzezwyciężona jakaś tęsknota, jakieś heroiczne pragnienie dzielenia z nimi tułaczego życia, jakby na dopełnienie ofiary dla Ojczyzny, w nadziei, że Bóg miłosierny sprowadzi kiedyś wszystkich w tryumfie do Polski. Było w tem uczuciu coś podobnego do tego pragnienia męczeństwa nazwanego przez sceptyków francuskich la folie de la croix, które opanowało chrześcian pierwszych wieków. Takim wychódźcą był między innymi Stefan Witwicki, którego spotkałem w r. 1832 w Dreznie, idącego dobrowolnie na wygnanie. Brodziński przez długie lata o tem także marzył tylko, żeby kraj zajęty przez Moskali opuścić i iść dzielić los emigrantów. „Tęsknię — pisał do Bohdana Zaleskiego — jakby u was była Ojczyzna“ **). Miał jednak słodkie pociechy domowe; miłą, dobrą żonę i małą córeczkę piękną jak aniołek, ale to niemogło ukoić jego tęsknoty; zbierał powoli fundusik, nakoniec zabrał żonę i córkę, wybrał się do Francyi i w pół drogi, w Dreznie, umarł.

Nie mogąc podnieść się z łóżka, ażeby iść za drugimi, oderwał bandaże od ran a rozpacz była tak ogólna, że nikt nie śmiał go powstrzymać i krew go uszła.

*) Ukazem z 26 lutego 1832 r. Car Mikołaj nakazał brać do wojska Moskiewskiego jako żołnierzy wszystkich młodych ludzi, którzy walczyli za sprawę narodową w 1831 roku pomimo amnestyi, którą był ogłosił.

**) Posłanie do Braci wygnańców, Paryż 1850 roku. Przedmowa Bohdana Zaleskiego, str. IX.

Atrakcya emigracyi działała nawet na charaktery zahartowane i zwykle dalekie od wszelkiéj sentymentalności poetycznéj. Stary Kniaziewicz, współzawodnik Dąbrowskiego, porzucił ulubione Drezno, w którem żył spokojnie lat kilkanaście i pojechał umrzeć wśród emigracyi. Chrzanowski, suchego i zgryźliwego charakteru, niepopularny w wojsku przy końcu wojny do tego stopnia, że go posądzano o brak patryotyzmu, zostawszy w kraju po upadku powstania, wysoko ceniony przez Moskali, zaproszony w sposób najpochlebniejszy, ażeby wszedł do służby carskiéj, wzgardził temi ofiarami i pojechał połączyć się z wychodźcami, lubo wiedział, że się naraża na najgorsze z ich strony przyjęcie, na niesłuszne wyrzuty, na podejrzenia obelżywe. Przemogło w nim silniejsze nad wszystko poczucie, że między nimi tylko jest godne miejsce dla jenerała polskiego.

Emigracya r. 1831 tem się różniła od wszelkich innych emigracyj znanych w historyi, że nie miała żadnéj cechy rewolucyjnéj, sekciarskiéj lub kastowéj. Wyszła na obcą ziemię, ażeby nie uchylić czoła przed zaborcą Ojczyzny, i przedstawiała wszystkie stany składające naród polski, równie jak wszystkie prowincye naszego kraju i wszystkie pułki naszego wojska, jak już wspomniałem wyżéj.

Arystokracya historyczna była w niéj znakomicie reprezentowana, poświęciwszy ogromne majątki. Kto przejeżdżał w lat kilka po powstaniu przez te żyzne krainy Podola, Wołynia, Ukrainy, Litwy, gdzie były po większéj części jéj wielkie posiadłości, widział ze ścisniętem sercem te obszary ziemi mlekiem i miodem płynącéj, należące przed powstaniem do ks. Adama Czartoryskiego, do książąt

Eustachego i Leona Sapiehów, do hr. Aleksandra Potockiego, do Ludwika Steckiego i tylu innych możnych panów, skonfiskowane przez rząd moskiewski. Naznaczone już one były jego piętnem; to jest zmienione w jakieś osady symetrycznie uszykowane jak bataliony carskie. W Królestwie ks. Czartoryski zostawił jeszcze na łup Moskalom owe wspaniałe Puławy, gdzie książe jenerał ziem podolskich ugaszczał całe ówczesne pokolenie szlachty polskiéj, a ostatni z Paców swój majątek dwudziesto-millionowy i pomniki swojego okazałego artystycznego gustu, któren ród Paców przyniósł z sobą z Florencyi do Polski i wiernie z pokolenia w pokolenie przez cztery wieki przechował *).

*) Pałace niezupełnie jeszcze ukończone, które jenerał Ludwik Pac, senator wojewoda, zostawił po sobie w Warszawie i w majątku swoim w Dospudzie, w dawnem województwie Augustowskim, mało miały równych sobie w Europie pod względem wspaniałości w wewnętrznem swojem urządzeniu. W jednym i drugim były sale z arkadami okryte sufitami z grubego szkła, na których miały być urządzone aquaria. Na ścianach rozpoczęte były freski historyczne odnoszące się do rodziny Paców, począwszy od ich antenatów florenckich, którzy odbyli wojny krzyżowe, a jeden z nich pasowany był na rycerza przez św. Ludwika. W bocznych salonach miały być wodotryski a wszędzie nisze czekały na posągi. Dziś pałac w Dospudzie w ruinie, a pałac w Warszawie mieści w sobie sądy rosyjskie. Koniec zaś twórcy, tych przepychów miał w sobie coś fatalnego. Wyszedłszy do Francyi zniknął nagle i nie wiedziano gdzie się podział, aż w r. 1835 przyszła wiadomość ze Smyrny, że do jednéj austeryi w tem mieście przybył podróżny znużony i chory, i w nocy umarł, a z papierów jego dowiedziano się, że to był hrabia Ludwik Pac, jenerał polski. Pac odbył wojny hispańskie jako jenerał, następnie kampanię 1812 r., gdzie pod Mało-Jarosławcem odbił Napoleona i Murata, otoczonych przez Moskali; w r. 1831 dowodził korpusem, który pilnował mostu na Wiśle pod Potyczą; potem bił się pod Ostrołęką i przy szturmie Warszawy.
Nagrobek jego w Smyrnie w przedsionku kościoła św. Antoniego z białego marmuru przedstawia kocioł z urną. Napis na nagrobku,

Wielcy panowie emigracyjni znosili stoicznie — trzeba im oddać tę sprawiedliwość — stratę owych majątków. Mając po większéj części okruchy z nich wystarczające im jeszcze do swobodnego życia, wolnego od trosk, nie czuli się nieszczęśliwymi bez milionów. Jeden z nich nie należący wprawdzie do staréj emigracyi — emigrant z fantazyi — namawiany usilnie przez krewnych i przyjaciół, żeby się pogodził z rządem carskim, przeciw

---

zdjęty przez p. A. Müldnera, oficera c. k. austr. marynarki wojskowéj, jest następujacy:

D. O. M.

LUDOVICUS MICHAEL PAC,

Polonus.

Haeres in Dospuda, Rozanka etc. etc. antique stirpis ultimus.

Dux militum, senator palatinus regni Poloniae

In ordine militari polonico nec non gallica honori legione commendator.

Eques polonici S. Stanislai, bavaricique melitensisque ordinis.

Natus Argentorati 19. Maii A. MDCCLXXX

Patriam

Nefanda conspiratione a vicinis tyrannis oppressam

armis repetens, signaque Napoleonis secutus: in Hispania, Germania, Rossia Annis MDCCCVII-IX-XII-XIII-XIV

Stipendia meruit

Mox anno MDCCCXXXI Poloniae pro aris et focis in Moschos ruens

totum se fortunasque suas nil cunctatus devovit

ad Medina di Rio Secco, ad Burgos ad Laudunum, ad Ostrolencam vulnera passus

vir fortis, strenuus, pius, providus, artium bonarum fautor

Patriae rebus etiam afflictis ac desperatis ad mortem usque deditissimus

Polonis desideratissimus

Smyrnae diem supremum obiit exul

Totque heroum cristianorum ossibus hic ossa sua miscuit

D. XXXI Augusti anno MDCCCXXXV.

Requiescat in pace.

któremu nie zbyt ciężko był przewinił i nie narażał na konfiskatę trzydziesto-milionowego działu majątkowego, jaki na niego przypadał, odpowiadał: „czegóż mam tak bardzo prosić o łaskę Mikołaja, kiedy bez tego mogę żyć wygodnie, a dwóch obiadów na dzień jeść nie będę, choćbym takiem upokorzeniem ocalił majątek“. Była to prawdziwa filozofia praktyczna, którą jednak los wystawił na próbę. Rząd rosyjski zniecierpliwił się i zabrał mu dobra jego, ale natomiast pieniądze szczodrze płynące mu ze szkatuły macierzyńskiéj, przytem nader szczęśliwe i rozumne spekulacye odbudowywały mu we Francyi straconą w kraju fortunę i po niewielu latach nowa ta fortuna przerosła niemal dawną. Lecz w miarę jak rosła, arystokratyczny emigrant coraz silniéj się do niéj przywiązywał, filozofia pierwszych dni jego wychódźtwa ustępowała przed urokiem coraz pomyślniejszych rachunków rocznych, a w końcu z hojnego dla biednych i szczodrze ofiarnego dla patryotycznyeh celów pana, zrobił się typowy milioner, wielki pan finansista, bardzo lubiący obracać pieniędzmi i który już nigdy nie powtórzył, że mu miliony nie potrzebne, bo dwóch obiadów na dzień jeść nie będzie, z czego ten sens moralny wyciągnąć można, że człowiek do tego tylko szczerze się przywiązuje, co jest jego dziełem, co sobie tylko a nie losowi winien.

Inny typ wprost przeciwny, wielkiego niegdyś pana wyzutego ze swojéj fortuny przedstawiał hr. Aleksander Potocki, syn Szczęsnego najstarszy z pięciorga dzieci urodzonych z Greczynki — przed wojną dziedzic Humańszczyzny i najpiękniejszego na kuli ziemskiéj ogrodu Zofijówki.

Aleksander Potocki wzrósł i młodość spędził w atmosferze rosyjskiego świata, był pułkownikiem carskim,

odbył kampanię na Kaukazie, przeżył lat wiele w Petersburgu, mile widziany na dworze i w zażyłych stosunkach z wielkiemi figurami, otaczającemi Jowiszową postać Mikołaja. Pod takim wpływem uczucia polskie zeszły u niego gdzieś aż na dno duszy. Ledwie sobie przypominał, że był Polakiem, że jego przodkowie hetmanili w Polsce i zasiadali przez kilka wieków na mnogich krzesłach senatorskich. W r. 1831 podróżował sobie spokojnie za granicą i zajechał do Wiednia w epoce, kiedy powstanie nasze chyliło się już ku upadkowi. W Wiedniu mieszkała siostra jego pani Kisielewowa, niegdyś ambassadorowa rosyjska, rozłączona z mężem i w ciągu wojny nawrócona z gorącem sercem na stronę sprawy narodowéj. Postanowiła ona i brata nawrócić i pracowała nad nim nieustannie: „Wstydź się, mówiła mu nieraz. Gdybym ja była mężczyzną, toby mnie pewno tu nie było; walczyłabym w szeregach polskich.“ Pan Aleksander słuchał ze zdumieniem tego nowego dla siebie języka, ale każde słowo przenikało aż do głębi jego duszy i jednym razem patryotyzm wybuchnął w niéj pełnym płomieniem. Nie zważając, że już mało było nadziei podźwignienia powstania, pojechał do Warszawy i trafił na rzeź 15 sierpnia. Zmartwiło go to niezmiernie ale nie odwróciło od powziętego raz już zamiaru. Poszedł do Krukowieckiego, nowego naczelnika rządu i oświadczył mu swoje życzenie uformowania pułku na swój koszt. „A z jakich pan Potockich? spytał go Krukiewicki.“ „Jestem bratem Włodzimierza, odpowiedział pan Aleksander.“ Mniéj szczęśliwy jednak niż Włodzimierz Potocki, który uformował w r. 1809 baterye artyleryi, nie mógł on swojego zamiaru do skutku doprowadzić.

Zapadł na tyfus pod wpływem wrażenia, jakie na nim sceny 15 sierpnia uczyniły i leżał jeszcze w zupełnéj niemocy, a pułk jego ledwie był w zawiązku, gdy Moskale przypuścili szturm do Warszawy. Zaraz po kapitulacyi kazał się wywieść za wojskiem i wieść aż do Prus, zkąd udał się do Drezna.

Nadaremnie J. Witt, mianowany gubernatorem Warszawy a brat jego przyrodni (urodzony z tejże saméj matki Greczynki z pierwszego jéj małżeństwa) usiłował wszelkiemi sposobami nakłonić go, ażeby napisał na jego ręce prośbę o amnestyę, zaręczając solennie za jéj skutek. „Ani myślę o tem odpowiadał A. Potocki. Odkąd tak barbarzyńsko obszedł się rząd Mikołajewski z Romanem Sanguszką nie uwierzył bym najświętszym nawet przyrzeczeniom z jego strony. Zresztą złączyłem już los mój z Polską emigracyą i nie odłączę się od niéj“*).

W parę miesięcy po przybyciu jego do Drezna plenipotent, którego wysłał był do dóbr swoich na Ukrainę, ażeby uzbierał co można pieniędzy na formacyę pułku, przywiózł mu 2 miliony złotych polskich. Było to nie wiele więcéj niż przychód jednoroczny z Humańszczyzny i na tem ograniczyć mu się trzeba było na resztę jego życia. Nie jeden zapewne z czytelników uważałby się za dosyć bogatego jeszcze w takich granicach. On się miał szczerze

*) W kilka lat późniéj na dworze Mikołają księżna Leonowa Radziwiłłowa (z domu księżnicka Urusów) spostrzegłszy hr. Jarosława Potockiego spytała go, czy dawno miał wiadomość od brata Aleksandra, Mikołaj stał niedaleko, hr. Jarosław musiał dyplomatycznie odpowiedzieć i rzekł: „Nie mam z nim żadnych styczności od owego głupstwa jakie popełnił!“ „Dites donc depuis le crime qu'il a commis“ odezwał się grzmiącym głosem Mikołaj.

za biednego, nie mogąc pojąć, jak można żyć za mniéj, niż za takie nędzne sto tysięcy złotych polskich, czyli jak po rosyjsku obrachowywał 15 tysięcy rubli sr. rocznie, na jakie zredukowany został ulokowawszy swoje fundusze w papierach publicznych — i tu zaczyna się originalność tego typu. Poznałem go w samym początku jego emigranckiego życia w roku 1832 w Dreznie w kółku arystokracyi emigracyjnéj, które się gromadziło około siostry Henr. Rzewuskiego, wówczas pani Hieronimowéj Sobańskiéj. Wszyscy go poważali i kochali, ale wszyscy żartowali sobie z jego mniemanéj biedy. „A cóżbym ja o sobie powiedział?“ rzekł mu raz ks. Eustachy Sapieha, któremu rząd Moskiewski skonfiskował co do grosza majątek, bodaj czy nie większy jeszcze od Humańszczyzny, tak że nawet dochodu jednorocznego nie mógł z sobą zabrać na wygnanie. „Możesz powiedzieć, odrzekł pan Aleksander, że jesteś biedak jeszcze większy odemnie: tylko masz matkę, która ci z głodu umrzeć nie dozwoli.“ Jedni się na to głośno roześmiali, drudzy się melancholicznie uśmiechnęli, ale pan Aleksander nie zważając na żadne żarciki trzymał się najściślejszéj ekonomii, żeby mu nie zabrakło pieniędzy przed terminem wypłaty kuponów od swoich akcyj i obligacyj. Miał mieszkanko złożone z dwóch pokoi dosyć ubogich, jednego sługę ukraińca, stołował się w bardzo skromnéj restauracyi, ubierał się podług mody wojskowéj — kołnierzyków nawet nie nosił, co uwydatniało jego fizyonomią śniadą z greckiemi rysy — i żadnych sobie zbytków nie pozwalał. Był jednak jeszcze młody i z temperamentem silnie skierowanym ku płci nadobnéj. W ciągu dwumięsięcznéj bytności mojéj w Dreznie dwa razy się serce jego zapalilo. Raz do słynnéj ber-

lińskiéj aktorki pani Schröder-Devrient, wielkiéj artystki i bardzo pięknéj kobiety*), drugi raz czyściejszym płomieniem do panny Iz. M. (dziś hr. I. Ł.) piękności warszawskiéj, pod któréj wejrzeniem i uśmiechem najtwardsze lody w duszach topniały, a jednak jednym i drugim razem wewnętrzny ten pożar siłą woli przytłumił — zawsze w téj myśli, że jest biednym i że mu przeto w żaden sposób kochać się nie wolno. Słyszałem jego wyznanie w tym względzie. Przyjaciele mówili mu: „kochasz się w pannie Iz., gonisz za nią, usychasz dla niéj, czemuż więc nie żenisz się z nią.“ „Ot słuchajcie, odpowiedział: Daję wam słowo honoru, że gdybym miał jeszcze Humańszczyznę i gdyby mnie panna Iz. chciała, to bym się dziś z nią ożenił, ale brać żonę, żeby ją skazać na emigranckie życie i być zmuszonym wszystkich przyjemności jéj odmawiać, a dzieciom w spadku biedę przekazać, to byłoby szaleństwem, którego nie popełnię.“

Po wypróbowaniu tego systematu przez rok pierwszy, rachunek ogólny pokazał mu w końcu, że ze 100 tysięcy złp. dochodu zostało mu przynajmniéj z 80 tysięcy, ale zarazem przekonał się, że 20 tysięcy na rok, trochę mniéj lub więcéj, wystarczało zupełnie na jego potrzeby bardzo umiarkowane; że zatem przestając na takiéj aurea mediocritas, nie będzie mu źle, a potrafi wiele do-

*) Miał za współzawodnika przy téj bogini teatralnéj swojego brata Bolesława, który był tak różnym od niego, jak dzień od nocy, biały, delikatny jak panienka i rozmiłowany w pięknych fraszkach, a mianowicie w różnych częściach ubrania, których miał prawdziwe muzeum u siebie. Pani Schröder-Devrient nigdy uwierzyć nie chciała, żeby to byli dwaj bracia i sądziła, że ci, którzy to mówią, żartują sobie z niéj.

brego świadczyć drugim. Postanowił więc żyć daléj tak jak zaczął; skromnie, oszczędnie, odmawiając sobie wszelkich zbytków, a oszczędzoną część dochodu swojego obracać na wsparcie emigrantów i jałmużny dla ubogich, gdziekolwiek mu przebywać wypadnie. Temu prawidłu został wiernym aż do końca życia, to jest przez lat blizko czterdzieści. Dobroczynność stała się dla niego większą uciechą niż wszystkie parady i festyny petersburskie, któremi się w młodości przesycił. I tak w Baden-Baden, gdzie przez długi ciąg lat przepędzał piękną porę, największa jego przyjemność była, że raniutko szedł do piekarza, zakupował sto lub więcéj świeżych bułeczek, potem chodził po kramikach i wybierał mnóstwo wstążeczek, fartuszków, chusteczek, małych czepeczków, materyj na sukienki etc. Wszystko to kazał nieść za sobą i wracając do domu, dawał znak dzieciom z klasy pracującéj, które go już dobrze znały, żeby się u niego zgromadziły. Niebawem też horda dzieciaków oblegała drzwi jego mieszkania, a on jak patryarcha między niemi rozdawał dziewczynkom kupione dla nich prezenta; chłopczykom po parę sztuk monety a w dodatku dziewczynkom i chłopczykom każdemu po jednéj lub dwie bułeczek na śniadanie. Wykrzyki radosne i podziękowania naiwne w szwabskim dyalekcie całéj téj dziatwy były mu milsze niż chóry opery w Paryżu lub Dreznie. Ludność badeńska tak też go pokochała, że dowiedziawszy się o jego śmierci wyprawiła solenne nabożeństwo za jego duszę i wystawiła mu ze składek ogólnych pomniczek między cienistemi lipami tego ślicznego kąpielnego miasteczka. Również kochanym był i w Dreznie, gdzie ostatnie lata życia spędził w srogich cierpieniach. Dla

emigrantów, gdziekolwiek ich spotkał, był prawdziwą opatrznością. Nie czekał, żeby się zgłaszali do niego; gdy się dowiedział o rzeczywistéj nędzy, lub gdy ją odgadł pod porządnem nieraz ubraniem, szedł naprzeciw niéj z serdeczną ofiarą, a lewica jego nie wiedziała nigdy, podług przepisów ewangelii, co dawała prawica.

Innym przykładem spokojnéj abnegacyi — przestawania na małem bez żalu i bez przechwałek, skromnie i cicho, będąc obdartym z jednego z największych majątków na obszarze dawnéj Polski, szacowanego na półtora miliona złotych polskich dochodu — przytem wzorem wszystkich cnót domowych był książe Eustachy Sapieha. Przebywał on długo w Anglii w swojéj młodości i przejął się był trochę angielskim duchem, który się w nim sharmonizował z duchem wielkiego pana Polskiego, potomka W. książąt Litewskich. W Anglii ożenił się z młodą miss z finansowego świata, nadzwyczajnéj piękności. Wywiózł ją na Litwę — ubóstwiał ją i dla niéj przeistoczył swój pałac, ogród i park w Dereczynie w rajskie jakieś mieszkanie, w gniazdko szczęśliwości, gdzie wszystko się uśmiechało, wszystko było wdzięczne, miękkie, woniejące młodością, nacechowane piętnem najwytworniejszéj sztuki; ale niedługo tego szczęścia używał. Po paru zaledwie latach pożycia z nim zgasła ta lilija Albionu, nie zostawiwszy mężowi żadnego dziecięcia i pałac Dereczyński ze swojemi przepychami został pusty.

Z krwawiącą się jeszcze raną w sercu Eustachy Sapieha na głos powstającéj Ojczyzny pobiegł do Warszawy, wstąpił w szeregi, nieszczędził osoby swojéj w boju podobnie jak Roman Sanguszko, który także walczył w 1831 roku z żałobą w duszy po śmierci żony najpiękniejszéj

z współczesnych niewiast Polskich, ale gdy Romana Sanguszkę, zabranego do niewoli pędzono na Sybir, Eustachy Sapieha wychodził z wojskiem do Prus, zostawiając na łup despotyzmowi carskiemu ogromne swoje dobra, swój wspaniały pałac w Dereczynie i nagromadzone w nim dzieła sztuki i zbytkowne cacka — pamiątki ubiegłego szczęścia — a nawet tytuły kapitałów ulokowanych w bankach angielskich. Rząd moskiewski wszystko zagrabił. Łupami pałacu Sapiehy ozdobiły się salony i buduary carskiego sioła. Niektóre poszły na dary dla ukoronowanych przyjaciół Cara. Między innemi król Pruski (Frydryk Wilhelm III) otrzymał w prezencie jakiś posąg wysokiéj wartości artystycznéj. Dowiedziawszy się o pochodzeniu tego daru, chciał go zwrócić Sapieże, lecz ten restytucyi takowéj zbyt podobnéj do daru nie przyjął.

Gdym poznał księcia Eustachego Sapiehę w Dreźnie w 1832 r. był to człowiek w średnim wieku, przystojny jeszcze ale już osiwiały; zmartwienie po śmierci żony było zapewne tego przyczyną. Pan ten niedawno tak możny, szczęśliwym był, że znalazł przytułek u swojego ojczyma, zarazem stryja ks. Pawła Sapiehy. W następnych czasach bank angielski wypłacił mu kapitały ulokowane w papierach angielskich jako prawemu właścicielowi ale wtenczas nie liczył on na odzyskanie tych nawet okruchów swojéj fortuny i mówił o tem bardzo spokojnie. W ogóle humor jego miły i uprzejmy, nigdy nie zafrasowany i odnawiająca się jego czułość na wejrzenia pięknych oczów nie objawiały zbytniego żalu za straconemi milionami. Nierównie więcéj bezwątpięnia żałował żony, póki czas, ten sceptyczny lekarz serc, i téj rany nie za-

bliźnił. Z Drezna Eustachy Sapieha przeniósł się do Paryża. Ożenił się w powtórnem małżeństwie z hrabianką Różą Mostowską, córką znanego ministra urodzoną z Potockiéj, starościanki Kaniowskiéj i znalazł prawdziwe szczęście domowe. Gdym przyjechał do Paryża dom księztwa Sapiehów przedstawiał obraz patryarchalnego życia; nie bywało tam balów, tłumnych przyjmowań — zbierało się tylko kółko przyjaciół, w którym panowała szczerość serdeczna, a jedyne festyny, jakie wyprawiano w tym domu odbywały się w momentach solennych w edukacyi dzieci księztwa. Oboje byli dzieciom oddani. Książę oszczędnością, cierpliwością i umiejętnemi obrotami swoich kapitałów potrafił odtworzyć dla nich cząstkę zagrabionéj swojéj fortuny. Z resztą lubo do ostatniéj chwili życia był najlepszym Polakiem, nie mięszał się ani do robot, ani do kłótni emigracyjnych. Księżna żyła dla dzieci, lecz przytem była jednym z aniołów opiekuńczych emigracyi i może najwięcéj z nich miała słodkiéj, sercowéj dobroci która się nie zużyła do końca w śród ciężkich bied emigracyjnych, jakiemi była otoczona. Każda niedola, zwłaszcza przygniatająca rodzinę emigrancką poruszała ją do łez i słuchając tylko żywego swego uczucia, dzieliła się czem miała w swojéj kasie gosposi; częstokroć wszystko wysypywała byle ulżyć nieszczęśliwym.

Imię Sapiehów przywodzi zapewne nie jednemu czytelnikowi na myśl swieżą jeszcze mogiłę, którą Galicya cała wieńcami obsypuje*). Leon Sapieha był nie tylko związkami krwi, lecz i pewnym pokrewieństwem moralnem

*) Pisane we Wrześniu 1878 r.

złączony z Eustachym. Obydwaj z równym patryotyzmem pochwycili za broń w 1831 r. i walczyli do końca mężnie i chlubnie za sprawę narodową. Obydwaj rzucili kilkunastomilionowe majątki na pastwę moskiewskiemu rządowi, nie chcąc się przed nim ukorzyć — obydwaj nakoniec mieli jednakowe umiarkowanie w charakterze, jednaką uprzejmość, słodycz, prostotę w obejściu i jednaki praktyczny umysł, który im pozwolił, jednemu i drugiemu odtworzyć cierpliwie w mniejszéj lub większéj części zabraną im przez wroga fortunę, ale Leon Sapieha nie zaszedł do Francyi, zwrócił swoją drogę z Prus do Galicyi i dobrze uczynił — przyniósł pierwiastek nowego życia do téj zmartwiałéj części Polski. — Był tam prawdziwym misionarzem postępu jak Andrzéj Zamoyski w Kongresówce. — Lubo więc nie należał faktycznie do emigracyi, duchem się z nią jednoczył i z tego względu niech mi wolno będzie zamieścić w ramkach niniejszego obrazu, wizerunek jego skroślony przez najkompetentniejszych ludzi w Galicyi, bo osobiście nie miałem szczęścia go znać. „Książę Sapieha — powiedział nad grobem jego Ludwik Wodzicki, dzisiejszy marszałek sejmu Galicyjskiego — Książę Sapieha upatrzył tę cząstkę ziemi polskiéj, gdzie mu wolno było zamieszkać, przyszedł bez programów żadnych z góry narzuconych nie stawiając się jako prorok, ani jako zbawca, ale stanął znowu jako szeregowiec w téj pracy codziennéj, w któréj miał już nie ustać do ostatniéj życia godziny. A nie były to czasy takie jak dzisiaj, gdzie wolno swobodnie myśleć i mówić, wiele, bardzo wiele zrobić, byle tylko siły starczyły. Była to chwila w któréj z góry odmawiano wszystkiego, a z dołu był upadek na duchu zupełny. Księcia to nie

zniechęciło. Straciwszy milionową fortunę, — a tu niech mi będzie wolno nawiasem wspomnieć, że za życia księciu Sapieże zbytnią oszczędność zarzucano. Prawda, był oszczędnym, dla siebie był prawie skąpym — ale taka oszczędność i takie skąpstwo, które pozwalają rzucać milionami, ażeby tylko nie ugiąć głowy przed wrogiem kraju, które dozwalają nie pożałować na cel krajowy miłosierny lub dobroczynny . . . wszak zdaje mi się jednym z ostatnich podpisów księcia był podpis dwunastu tysięcy złotych na liście składek do budowy szpitala św. Zofii, — takiéj oszczędności i takiego skąpstwa, kiedy idzie o zaspokojenie własnych potrzeb, oby było jak najwięcéj, byle towarzyszyła im taka hojność i ofiarność na rzecz publiczną.“

„Zaczął więc od małego, ze zdaniem swojem nikomu się nie narzucał, rady nie dawał, chyba tylko o nią proszony, rozgłosu około niego nie było żadnego; rozgłosu nigdy nie szukał: a jednakowoż po pewnym czasie spostrzeżono w kraju, że się coś zmieniło, że się coś robi, że powstają instytucye dla kraju pożyteczne, że staje się możebnem to, o czem pierwéj nawet myśleć nie próbowano, że jest jakiś łącznik, jakiś duch opiekuńczy, który do zgody i pracy pobudza, zanim można było wiedzieć, kiedy i jaki sposób, stało się, że Galicya miała swojego przewodnika, który wyrósł sam tylko, własną zasługą wyrósł, a nie wyniósł się, bo on nigdy się nie wynosił. W nim te duchy, które zaczęły pokutować w niektórych panach polskich w czasach, kiedy psuć się zaczynało w naszéj rzeczypospolitéj, ten duch pychy i zarozumiałości téj to niby miłości ojczyzny, która w ojczyźnie widzi tylko siebie i losy własnéj rodziny, te złe duchy nigdy w nim

nie pokutowały. On kochał kraj prawdziwie z prostotą, nic dla siebie nie szukając i dla tego został sam z siebie kraju tego przewodnikiem.“

„Natur tak zdrowych, powiada Stanisław Tarnowski, umysłów tak jasnych i trzeźwych, charakterów wynikłych z tak doskonałéj równowagi uznania i rozumu, jak był książę Leon Sapieha, mało się znajdzie między jego pokoleniem, mało między Polakami w ogólności. Miał on cały patryotyzm gorący roku 1830 i przechował go do śmierci w téj saméj sile, w tym samym stopniu zapału, jakim tchnie porewolucyjna poezya, albo emigracyjne prace Zamoyskiego, albo kazania Kajsiewicza; tylko w téj duszy rozważnéj i beznamiętnéj zapał przybrał inny kształt, objawiał, wyrażał się inaczéj. Zmysłem rzeczywistości opatrzony lepiéj niż którykolwiek z współczesnych, (?) wiedział, że jak człowiek nie jest duchem tylko ale i ciałem, tak ojczyzna nie jest ideą samą, abstrakcyą, uczuciem, miłością, ale musi mieć i swoją część materyalną i materyalne życie i życia tego warunki. Ztąd poszło, że nie spuszczając z oka i z myśli tego, co być ma, przedewszystkiem miał na oku i na myśli to, co jest“. . . . .
„Czcić i kochać ideał, marzyć o nim, żyć w jego nadziei, umierać jego ofiarą, to łatwiéj: ale znając i kochając go, znać rzeczywistość także i nie odtrącać jéj, nie gardzić nią, ale wziąć ją tak zaniedbaną i brzydką jak jest, i taką jak jest, kochać w nadziei, że z czasem stanie się piękniejszą, jéj się poświęcić i chodować ją jak dziecko pełne złych skłonności i narowów, aż się z niéj coś lepszego wykształci, to większa sztuka i większy trud. A jednak ten trud podjąć musi, kto chce „świat swój stwarzać z niczego . . . powoli.“

Kiedy książę Leon osiedlił się w Galicyi, jako emigrant wyzuty z ogromnego ojczystego majątku, był właśnie stan taki, że Polska musiała świat swój stworzyć z niczego powoli". „Z księciem Leonem przybył i zamieszkał duch warszawski, warszawska tradycya w kraju i w mieście, które najdawniéj od Rzeczypospolitéj oderwane a za niéj jeszcze od ogniska życia odległe, nie z własnéj winy, ale pędziły żywot w sobie zamknięty, a z konieczności otwarty niepożądanym wcale wpływom i przykładom. Jak pomiędzy młodzieżą spiski, które miały się skończyć nieszczęściem roku 1846, tak między starszymi a zwłaszcza bogatszymi grasowała pewna uległość nie zawsze godna, pewne uszanowanie zbyteczne dla tytułów i dostojeństw, jakaś dworskość tem dziwniejsza, że platoniczna, bez dworu. Wśród takich żywiołów człowiek z politycznym rozumem i doświadczeniem, który ani rządu nie wyzywał, ani mu prawdy nie taił, dom świetny i dawnością i dostatkiem i zwyczajem wielkiego świata, a nie ubiegający się za niczem, niehołdujący niczemu, pełen dla swoich staropolskiéj tradycyi i polskiego ducha, dla obcych wykwintnéj uprzejmości ale i najściśléj przestrzeganéj godności, to był nabytek wielki i w braku politycznego życia jeden ze śpichlerzy, w którym się jego ziarna przechowywały, przybytek czysto polskich uczuć i wyobrażeń, które tu i owdzie zaczęły ulegać skażeniu."

Dla czytelników nieobeznanych z historyą wewnętrznego rozwoju Galicyi w okresie poczynającym się od upadku powstania Listopadowego nie od rzeczy będzie dać krótkie wyjaśnienie o działalności Leona Sapiehy. — Wyrobiony w szkole Lubeckiego poświęcił się głównie w Galicyi zadaniom ekomicznym jak hrabia Scezeni

(Sceseny) w Węgrzech lecz zgromadziwszy około siebie kółko gorliwych współpracowników i używając większéj dyplomacyi względem rządu Austryackiego więcéj zdziałać potrafił niż Scezeni. Jemu Galicya winna założenie towarzystwa kredytowego ziemskiego, pierwszéj kasy oszczędności we Lwowie, pierwszego zawiązku towarzystwa rolniczego, szkoły rolniczéj w Dublanach i wielkiéj drogi żelaznéj, ochrzczonéj imieniem przyjaznego Polakom arcyksięcia Karola Ludwika, przerzynającéj wszerz całą Galicyę. Gdy Galicya została powołana do życia konstytucyjnego, wybrany na posła do pierwszego sejmu przez sześć okręgów wyborczych i wielce popularny w całéj téj prowincyi Polskiéj był wskazany monarsze głosem opinij publicznéj na marszałka sejmu krajowego i takowym też mianowany został przez Franciszka Józefa. Piastował lat 15 laskę marszałkowską i można powiedzieć, że on zaprawił Galicyę do życia parlamentarnego.

Oto jest teraz portrecik dla oka, tego pierwszego marszałka Galicyjskiego, skreślony wytwornem piórem Stanisława Tarnowskiego.

„A jak wyglądał! Może to rzecz błaha, o tem mówić, ale jakże się wstrzymać od wspomnienia, że kto z jakiem takiem uczuciem patrzeć na niego umiał, jak siedział na swojem krześle, ten widział i najpiękniejszy obraz głowy starca poważnéj siwizną, szlachetnéj rysami, pociągającéj wyrazem dobroci, imponującéj wyrazem rozumu, doświadczenia, głębokiéj myśli, ciężkiéj pracy ducha, a czasem ciężkiego smutku, a prócz tego widział taką prawdziwą, wrodzoną, nie wiedzącą o sobie „senatorską wspaniałość,“ że żaden z dawnych Marszałków w złocie i szkarłacie nie mógł robić większego wrażenia, jak on

w swojéj czarnéj zawsze jednakiéj czamarze, z tą gładką czarną laską, z któréj sam żartował, że kosztowała trzy złote. „Kto Polskę taką jak była zobaczy“, pyta ze smutkiem poeta, i ma słuszność. Rzeczypospolitéj jaką była nie zobaczy nikt, ale Marszałka takiego, że i żaden z tych dawnych bardziéj marszałkiem być nie mógł, tośmy widzieli.“

Niestety na schyłku życia poznał Leon Sapieha jak wątłą rzeczą jest popularność. Nadarzył się umysłom złośliwym i zawistnym, jakich wszędzie pełno, pozor do czernienia poczciwéj jego sławy, nabytéj blisko pięćdziesięcioletnią pracą około publicznego dobra i pochwyciły go z upragnieniem, a znaczna część publiczności uwierzyła tym oszczerstwom nie zadając sobie trudu sprawdzić, czy mają jakąśkolwiek rzeczywistą podstawę. Tknęło to aż do głębi serca zasłużonego w ojczyznie starca i bolało go jeszcze na łożu śmierci. Rozporządzenie jego ostatnie, ażeby na zaproszeniach na pogrzeb i na grobie jego napisano to tylko, ze był żołnierzem z 1831 roku, ozdobionym krzyżem virtuti militari, pomijając piętnaście lat pracowitego i tak płodnego w pożyteczne skutki marszałkowania jego na sejmach Galicyjskich nosi piętno bolesnego rozczarowania w jakiem umarł. Wymieniwszy zasługi Leona Sapiehy, należy mi oddać także hołd pamięci innych magnatów Polskich, wychodzców z pod Moskiewskiego panowania jak Władysław Sanguszko, Leon Rzewuski, Zdzisław Zamoyski i inni, którzy znalazłszy przytułek w Galicyi przyczynili się każdy w swoim zakresie do obudzenia polskiego ducha i polskich obyczajów a zarazem i politycznego życia w téj tak hojno od natury uposażonéj Polskiéj prowincyi, ale która w r. 1831

była w stanie moralnego rozkładu. Wracam do arystokracyi emigracyjnéj, którą spotykałem na drogach mojéj tułaczki.

Jednym jeszcze z najzacniejszych emigrantów téj kategoryi pochodzącym w prawdzie z rodziny, która nie należała do możnowładczych, lecz dopiero przez związki z ostatnim nieszczęsnym królem naszym, podniosla się do arystokracyi był Józef Sobolewski, syn prezesa Rady administracyjnéj Królestwa Polskiego. Nie zdarzyło mi się, w ciągu dosyć już długiego życia mojego, spotkać równie sympatycznéj osobistości. Złote serce, nie pojmujące życia bez poświęceń, umysł wysoko wykształcony i pełen wdzięku, sposób obejścia się z ludźmi szczery, serdeczny, bez najmniejszego cienia próżności, przytem nacechowany najdelikatniejszym taktem i godnością, która go na chwilę nie opuszczała utrzymując łagodnym swoim wpływem dobry ton w około niego w jakimkolwiek towarzystwie się znajdował; oto w kilku rysach charakterystyka tego miłego wygnańca, który godnie reprezentował naród polski we Włoszech. Przed powstaniem Józef Sobolewski był w biurze ministra sekretarza stanu do spraw polskich w Petersburgu. Po wybuchu powstania wymknął się ztamtąd wraz z Linowskim kolegą swoim, odbył całą kampanię w szeregach naszych i wyszedłszy z wojskiem za granicę, udał się wprost do Genui połączyć się z ojcem, który tam przed końcem wojny przyjechał znękany wypadkami i chory. Dnie zasłużonego męża stanu były policzone. Coraz bardziéj zapadał i wkrótce z łóżka podnieść się nie mógł. Syn go nie odstępował na chwilę. Przychodziła także codziennie do chorego starca i dnie całe przy nim przepędzała, pielęgnując go jak siostra milosierdzia, pani pałacu w którym mieszkał,

młoda i piękna patrycyuszka genueńska, opuszczona od męża, margrabina S.. Naturalnie młody wygnaniec powziął dla niéj żywą wdzięczność i naturalnie także wdzięczność ta przeistoczyła się niebawem w miłość, ale co rzadziéj bywa, miłości téj został on wiernym, jak rycerz średniowieczny aż do ostatniéj chwili życia, gdy już obojgu przybył ciężar trzydziestu kilku lat więcéj na barki. Owa to nić złota zatrzymała go po śmierci ojca w pysznéj Genui — Genua la superba — wśród marmurowych pałaców i ogrodów zawieszonych na spadkach Apeninów, w około których wysokie zęby gór tworzą jakby olbrzymią, złamaną koronę. Tam on wypełniał misyę opiekuńczą względem Polaków, których zawieruchy polityczne przerzucały z Francyi do Włoch lub przez Włochy na Wschód. Wszystkim pomagał funduszami swojemi lub wpływem. Nie jednemu, który we Włoszech pozostał, potrafił przyzwoity byt zapewnić, bo rekomendacya jego była w tym kraju jakby list kredytowy bogacza. Żył w ścisłéj przyjaźni z mężami stanu, którzy przygotowywali jedność włoską, z d'Azeglio, Cavourem, Riccasolim, Ratazzim. Ile razy był w Turynie, widziano go towarzyszącego na konnych przejażdżkach królowi, czy nim był Karól Albert, czy Wiktor Emanuel, gdyż jeden po drugim przypuszczali go do poufnych z sobą stosunków. W Genui, imie Jl conte Sobolewski było w większem poszanowaniu niż imiona patrycyuszów téj dawnéj Rzeczypospolitéj, panów na marmurowych pałacach. On jeden był uznany za prawdziwego Galantuomo. Nie tylko bowiem był uczynny i ofiarny, tak, że w końcu nie wiele mu pozostało z ocalonego przez ojca majątku, ale miał przytem dar ujmowania sobie ludzi. Nikogo

nie upokorzył. Każdego nawet, którego widział zbyt pokornym starał się w własnych jego oczach podnieść, z każdem cierpieniem sympatyzował, każdą myśl szlachetną rozumiał. Przedewszystkiem jednak był Polakiem, gotowym wszystko poświęcić dla ojczyzny a żadne zawody nie zdołały zachwiać jego wiary w jéj przyszłość. „Spotkamy się jeszcze na wielkiéj drodze ku Polsce'', pisał do mnie w ostatnim liście swoim. Niestety! niedługo potem droga jego skończyła się w Genui, a moja się przedłużyła ..... aż do cmentarza w grodzie, któren jest cały jednym wielkim polskim grobowcem.

Były i umysły lżejsze w arystokracyi emigracyjnéj, ludzie gotowi w potrzebie ostatek krwi swojéj przelać, ale którym ani kataklizmy polityczne ani własne ich klęski majątkowe, nie zdołały odjąć dobrego humoru i chęci do zabaw, których widywano w zimie na balach wielkiego świata w Paryżu, lub przy stolikach gry w klubach, a w lecie u wód nad Renem i w kąpielach morskich w pośród szczęśliwców tego świata. Jeden z typów tego rodzaju, bardzo lubionym pomimo swéj motylowéj lekkości, był Józef Potocki, czyli Żużu, jak go nazywano poufale w świecie, w którym żył, tancerz zawołany, niezrównany mazurzysta na wieczorach w hotelu Lambert, i wielbiciel wszystkich słynnych piękności, za któremi nieraz gonił daleko po świecie.

Wyszedł on z kraju młodym i bardzo pięknym mężczyzną. W r. 1848 jesień życia zwiastowała się już dosyć wyraźnie na jego twarzy, ale włosy zawsze utrefione w wspaniałe pukle, niestraciły były swojéj kruczej barwy, kształty zachował niemal młodzieńcze i miewał pozy klasyczne, mianowicie gdy oparłszy się o kominek zakładał

gruby palec ręki za kamizelkę pod ramieniem. Żył nierozłącznie ze starszym bratem Hermanem, najlepszym z ludzi; jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Śmierć nawet nie rozdzieliła ich na długo, bo gdy jeden umarł, drugi jakby na zawołanie poszedł za nim, a jednak przez całe życię kłócili się — bez złości wprawdzie, często nawet śmiejąc się — lecz nie obwijali słów w bawełnę, tak że przytomni tym komicznym zajściom familijnym śmieli się do rozpuku.

Również lekko jak Żużu, lubo nie w ten sam sposób, przebywał ciernie życia emigracyjnego Bernard Potocki, póki był w emigracyi. Powiedziała o nim dosyć wzięta w owym czasie powieściopisarka pani Ancelot, że „gdyby można Polskę zbawić słówkiem dowcipnem (par un bon mot) to by ją niewątpliwie Bernard Potocki zbawił“. Rzeczywiście Bernard Potocki wielki lubownik wesołych piosneczek w Cafés Chantants na polach Elizejskich, i co dziwniejsza widowisk maryonetek, choćby u Giugnol'a w braku innych*), brał świat z komicznéj jego strony i wszystko w żart obracał, nigdy jednak drugich nie raniąc, a przynajmniéj nie bardzo boleśnie. Źle było atoli zaczepić go, bo żarcikiem sprawę wygrywał. Tak było w zajściu jakie miał z demokracyą poznańską w 1848 roku. W téj epoce gorączki demokratycznéj

*) W czasie jednéj bytności jego w Paryżu, widywałem go codziennie więcéj niż przez miesiąc w lecie i codzień niemal towarzyszyłem mu i drugiéj osobie z nim będacéj, która podzielała jego gusta, do Café chantants na jego usilne żądania. Zapraszał mnie i do maryonetek w Pré Catelan, ale mu tam już placu dotrzymać nie miałem cierpliwości.

w Księstwie, chciano go wykluczyć jako arystokratę z jakiegoś zgromadzenia, i tylko pamięć zmarłéj jego żony, uwielbianéj Klaudyny, osłoniła go przed tym ostracyzmem. Nazajutrz po tych rosprawach, Ber. Potocki przechodząc przez Fr. Wilhelmstrasse, widzi idącego naprzeciw sobie jednego z przywódców demokracyi, a swojego głównego przeciwnika; zarazem spostrzega dwóch chłopców ulicznych, siedzących na brzegu chodnika i grających w kamyki. Powitał grzecznie demokratę, i pokazując mu tych chłopców rzekł: „Posądzasz mnie pan o arystokracyę, otóż ja pójdę zagrać z temi ulicznikami partyjkę w kamyki, a pan zechcezeszże do nas należyć?“ Poważny demokrata ruszył ramionami, a Potocki przysiadł się do chłopców i zaczął grać z niemi brat za brat, jakby to było jego zwykłą zabawką. Wkrótce publiczność zgromadziła się w koło nich, kilka osób poznało Bernarda Potockiego i sądziło że chyba zwaryował. W tem on odwracając się do demokraty, który stał ciągle na jednem miejscu i przypatrywał się téj scenie. „No, któż z nas — rzekł do niego — jest większym demokratą, czy ja, który bez ceremonii zasiadłem grać z temi dziećmi ludu w kamyki, czy pan który się tego wstydzisz?“ Śmiech ogólny powstał, a demokrata na taki argument ad hominem ani słówka odpowiedzieć nie umiał.

Bernard Potocki był nadzwyczaj miłym człowiekiem w towarzystwie, ale przygniatała go w oczach świata pamięć jego żony. Od dawna ona już spoczywała pod swoim skromnym kamieniem grobowym w Genewie, kiedym przyjechał do Paryża; lecz widziałem ją w roku 1832 w Dreznie, i to wspomnienie z najgłębszą czcią przechowuję w sercu.

Klaudyna Potocka była aniołem przewodnikiem emigracyi. Bez niéj największa część tak tych, co wyszli z bronią za granicę, jak i tych, co późniéj tłumami uciekali z Polski przed poborem moskiewskim, nie byłaby w możności dostać się do Francyi... Przez cały rok 1832 przybywało ich po stu i więcéj dziennie do Drezna. Wszyscy z małym wyjątkiem byli bez grosza, zgłodniali, obdarci, ale wiedzieli, że w Dreznie znajdą przytułek, opiekę i pomoc. Pani Klaudyna obracała na ten cel wszystko, co sama miała i co uzbierać mogła niezmordowanem kwestowaniem. Za jéj staraniem najęta była cała gospoda na przedmieściu, gdzie każdy przybywający wychodziec znaleść mógł mieszkanie i stół na dni kilka, i w tem przeciągu czasu zgłosić się do niéj lub do damy, która ją zastępowała — jeżeli sama była w podróży za kwestą — a otrzymywał fundusz i paszport na dalszą drogę. Na chorych i rannych rozciągała szczególną opiekę. Dla nich otwierała całą skarbnicę swojego serca. Mićkiewicz wyjeżdzając z Drezna, polecił jéj swojego ukochanego Stefana Garczyńskiego i ona przywiozła go do Bex w Szwajcaryi, gdzie go wyprawili byli doktorzy w lipcu 1833 r., gdy już przechód emigrantów przez Drezno był skończony. Przy jego łożu czekała, póki Mićkiewicz nie przyjechał jéj zastąpić. Nie wypuściła go jednak i potem ze swojéj opieki. Pojechała za nim do Avignonu i na jéj ręku skonał. Pani Klaudyna miała już natenczas w piersiach zaród téj saméj nieubłaganéj choroby, na którą umierał w jéj oczach młody wieszcz. Nie zbyt długo też po jego zgonie, skończywszy swoją świętą misyę na ziemi, rozpostarła skrzydła i uleciała napowrót między anioły nieba.

Wiele było dam polskich, które zbliska lub zdaleka szły za przykładem pani Klaudyny. Księżna Czartoryska zbierała corocznie swojemi kwestami i wentami po kilkadziesiąt tysięcy franków, które się rozpływały wprawdzie jak mały strumyk w Saharze biedy emigracyjnéj, zwłaszcza, gdy do dawnéj emigracyi przybyła nowa w roku 1848 i 1849. Księżna utrzymywała przytem pensyonat dla panienek polskich w hotelu Lambert pod swoim dozorem, po większéj części ze swoich funduszów i była na czele Towarzystwa Dam, które się opiekowało głównie biednemi rodzinami emigracyjnemi. Zaopatrywało je w sprzęty gospodarskie, w środki lecznicze w chorobie i ratowało w każdéj toni.

Obok księżnéj Adamowéj Opatrznością emigracyi była księżna Marcelina Czartoryska, lubo nie emigrantka, ale najczęściéj przebywająca w owym czasie w Paryżu, wielka artystka pod podwójną mitrą książęcą. Wieleż to widziałem rodzin w emigracyi, które ją błogosławiły! wielu z dzielnych pracowników, którzy jéj byt swój zawdzięczali!

Do opiekunek emigracyi, których imiona wypisaćby należało złotemi literami nad bramą cmentarza w Montmorency, gdzie spoczywa w największéj części bodaj czy nie ostatnie rycerstwo polskie i ostatnie rycerstwo staréj Europy, doliczyć winienem hr. Różę z Potockich Branicką, która ze sto tysięcy franków rocznie jeżeli nie dwa razy tyle rozdawała między nieszczęśliwych emigrantów własnemi rękami po macierzyńsku w swoim pałacu na ulicy de Penthiévre, dla żadnego z nich nigdy nie zamkniętym, Hr. Ksawerę Grocholską, la bourrue bienfaisante, słodką i serdeczną księżnę Różę (Eustachową)

Sapieżynę i panią Kunegundę Białopiotrowiczową znaną powszechnie w emigracyi pod nazwiskiem księżnéj Giedroić. Było to bowiem jéj rodowe nazwisko, które przybrała napowrót po rozłączeniu się z mężem.

Księżna Giedroić przedstawiała typ nader oryginalny. Znałem ją od moich lat dziecinnych, kiedy była jeszcze młodą i bardzo przystojną, ale już wtenczas wszystkie damy jéj się bały. Niektóre nienawidziły ją otwarcie a zapewne przyjaciółki szczeréj nie miała ani jednéj. Tak było przez cały ciąg jéj życia. Przyczyną tego była jéj prawdomówność niepowściągniona, nieubłagana. Nikogo ona nie oszczędzała, każdemu przy sposobności verba veritatis bez ogródki paliła, spokojnie, ze śmiechem i z pewnym tryumfem jak gdyby nader słodkie rzeczy prawiła. Panie zżymały się pod takiemi pociskami, ale miłość własna mężczyzn mniéj drażliwa znosiła je bez wielkiego bólu; niejeden śmiał się nawet wraz z nią, uznając wewnętrznie, że go dobrze odgadła i że choć go kłuje to bez złości „li tylko z nałogu“. Wiedziano zresztą, że to była tylko odwrotna strona charakteru gorącego we wszystkich swoich uczuciach, męzkiego w działaniu i wielce uczynnego zarówno z zasad jak i z temperamentu. Pani Kunegunda była zapaloną patryotką i nie mniéj prawie zapaloną Bonapartystką od chwili, gdy książę Napoleon wystąpił jako pretendent. W czasie uwięzienia jego w fortecy Ham spiskowała z jego stronnikami, żeby mu ucieczkę ułatwić. Przywiązanie do najbliższych swojego serca posuwała niemal do fanatyzmu. Dla pamięci ojca — zasłużonego jenerała Romualda Giedroicia — zachowywała cześć religijną; dla matki staruszki zgrzybiałéj która przy niéj żyła, była prawdziwą

chrześcijańską Antygoną, a córkę swoją jedynaczkę ubóstwiała. Wykradzono ją z jéj domu przy pomocy jéj ojca i ma się rozumieć z cichem wspólnictwem zakochanéj panienki. Poruszyła niebo i ziemię żeby się dowiedzieć, gdzie ją wywieziono; trzeciego dnia była na miejscu, ale już zapóźno, zastała pannę z wieńcem ślubnym przy stole godowym. Płakała, krzyczała krzykiem zranionéj lwicy, lecz w końcu otworzyła objęcia jedynaczce i przycisnęła ją do serca. W rok potem straciła ją. Wystawiła sobie grób obok niéj z napisem na którym brak tylko daty jéj śmierci, przywdziała żałobę na resztę życia i odtąd poświęciła się na usługi emigracyi. Zbyt ograniczone miała fundusze, aby mogła z nich wspierać biednych rodaków, chyba w razach ostatecznych; zwłaszcza, że została jéj wnuczka, o przyszłości któréj należało jéj pamiętać. Ale więcéj ona czyniła dobrego niestrudzonemi zachodami swemi, niż gdyby tysiące sypała.

Ktokolwiek z emigrantów potrzebował silnego poparcia dla uzyskania subsydyów, czy innéj jakiéj łaski od rządu francuskiego, lub też miejsca w jakiéj kompanii, zakładzie przemysłowym, fabryce, warsztacie, do niéj się udawał. Ona za nim pisała, biegała, wojowała, póki nie uzyskał, czego sobie życzył. Nie lękała się żadnych zachodów, żadnych trudów, żadnych przeszkód. Walczyła za każdym protegowanym swoim, jakby za własnym synem: co jéj nie przeszkadzało zadrasnąć go swoim pazurkiem, ile razy się po temu sposobność nadarzyła. W téj działalności niezmiernie jéj dopomagał tytuł księżnéj, dawnéj damy dworu cesarzowéj Jozefiny. Tytuł ten był od chwili wyniesienia księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitéj talizmanem, przed którym wszystkie drzwi się

otwierały i bardzo często znaczne nawet przeszkody się usuwały. Mówiła mi też: „śmieją się ze mnie w pewnym świecie, że się tytułuję księżną Giedroić, ale gdybym nosiła publiczne nazwisko pani Białopiotrowiczowéj, cóżbym mogła zrobić dla emigracyi? Nic.“ I miała słuszność. Trudno zliczyć, wielu to emigrantom potrafiła ona byt zapewnić lub przynajmniéj znakomite usługi wyświadczyć, czego dowodził skromny ale serdeczny i wymowny upominek złożony jéj w hołdzie w dzień jéj imienin i zawieszony na ścianie w jéj gabinecie; to jest portret jéj ojca ryty na miedzi przez Lewickiego i opatrzony podpisami kilkuset wdzięcznych emigrantów, na czele których był podpis Mićkiewicza.

Nie mogę zakończyć tego krótkiego przeglądu arystokracyi emigracyjnéj nie zwróciwszy się raz jeszcze do hotelu Lambert i dostojnéj rodziny, która w nim zamieszkiwała, i w 1849 r. była jeszcze w całym swoim komplecie. W tym czasie hotel Lambert był w Paryżu jedynem domem polskim otwartym, przypominającym dawne dwory wojewodzińskie. Zewnątrz pałac ten nie jest wcale pokaźnym; położony na małéj wysepce wśród Sekwany, która w epoce, kiedy był zbudowany, to jest za Ludwika XIV, należała do środkowéj części miasta, dziś jest daleko od środka ruchu paryskiego i podróż tam jest równie dla emigrantów jak dla przyjezdnych Polaków i całego wyższego towarzystwa paryskiego prawdziwą pielgrzymką. Wchodzi się przez podwórko nie wielkie, nie okazałe i sądzićby można z pierwszego wejrzenia, że pałac nie bardzo obszerny, gdy przeciwnie, mieści w sobie ogromną liczbę mieszkań, a schodów i schodków bez liku, bo się rozciąga wielkim łukiem od strony Sekwany.

Wewnętrzne urządzenie jest wspaniałe a portrety historyczne polskie wzdłuż wschodów i we wszystkich pokojach nawet w mieszkaniach urzędników kancelaryi księcia tudzież nieocenione pamiątki narodowe, które w wielkich apartamentach wszędzie oko napotykało, oznajmiały, że w tym pałacu reprezentowaną była Polska ze swoją wielką przeszłością. Na drugiem piętrze jest sławna galerya balowa z freskami Lessueur'a, która służyła na bale i rauty w okolicznościach solennych, a w przyległych salonach zamieszkałych dziś przez hrabiego i hrabinę Działyńskich, było za życia księcia Adama muzeum prywatne Czartoryskich ze wszystkiemi skarbami pamiątek ocalonych z Puław, które dziś są w znaczniejszéj części w Krakowie.

Pierwsze piętro było mieszkaniem starego księcia i księżnéj, z oknami i wyjściem na ogrodek zasadzony na naturalnym czy sztucznym tarasie na wysokości tego piętra. W tych apartamentach gromadziła się cała rodzina. Tam odbywały się wszystkie przyjęcia, a w zimie bywały wieczory peryodyczne, na których w r. 1848 i 1849 młodsi z eleganckiéj emigracyi wywijali jeszcze mazura jak za dobrych czasów.

Na Wielkanoc hotel Lambert otwarty bywał na roścież dla wszystkich emigrantów, którzy z Księciem i jego rodziną podzielić się chcieli jajkiem święconem, a że nie było potrzeby do tego przywdziewać fraka, gdyż emigracya stosowała się do zwyczaju francuskiego, który zwalnia wszystkich bezwzględnie od fraka aż do godziny obiadowéj*), tłumy emigrantów zbierały się po staro-

*) Nawet na posłuchanie ministrów przychodzono w paletotach a ministrowie nieinaczéj ubrani szli na Radę do Cesarza pomimo, że po radzie zwykle proszeni byli na śniadanie.

polsku u swojego patryarchy w koło stołu hojnie zastawionego święconem. Spotkałem na takiéj fecie w hotelu Lambert w r. 1849 Mićkiewicza — i on, nieprzyjaciel fraka i rękawiczek ale zapewne nie obeznany jeszcze ze zwyczajami emigracyi, bo mało się udzielał, był sam jeden we fraku i białych rękawiczkach. Zakłopotało go to snać trochę, bo schronił się do pobocznego pokoju, ale tam przybiegły do niego panie z pałacu z jajkami, babami, plackami i różnemi przysmakami ze stołu; za niemi przybyły także inne damy i wieszcz musiał się ukazać wszystkim w przyborze światowca, z czego mogłem tryumfować wewnętrznie, pomnąc na burę, jaką otrzymałem za moje rękawiczki, ale miałem zbyt wiele czci dla Mićkiewicza, ażebym podobnemu uczuciu dał przystęp do mojego serca.

Milszemi niż wszystkie wielkie zgromadzenia i zabawy były poufne wieczorki w małem kółku w hotelu Lambert. Stary książe nie był gawędą, nie lubił się wdawać w długie opowiadania a mniéj jeszcze w długie dyskusye, którychby zresztą nikt nie śmiał z nim wszczynać, ale każde słówko jakie powiedział miało wielką wagę, bo umysł jego był wysoko i wszechstronnie wykształcony. Nic mu nie było obcem w dziedzinie wiedzy, nawet filozofia niemiecka współczesna a zdanie jego spokojne, wytrawne, do żadnych przesądów, do żadnych egzageracyj się nie przechylało. Nieraz z dobrodusznym uśmiechem żartował sobie z teoryi zbyt demaistrowskich Wł. Zamoyskiego. Pamięć jego była żywem źródłem historycznem do ostatnich lat Stanisława Augusta. Są ludzie z téj epoki, o których historyk z żadnych dokumentów dokładnego zdania wyrobić sobie nie potrafi, a na których on

słowem jednem rzucał wielkie światło, i tak np. raz rozmowa była nawiasowo o panu Szczęsnym Potockim, przytoczyłem zdanie jednéj damy, bliskiéj bardzo krewnéj mojéj, która często i długo przebywała w Tulczynie za jego życia i która go w ten sposób charakteryzowała: „Wiele pychy, wiele napuszyszystości a mało rozumu.“ Książę potrząsł głową. „Sądziła go z pozoru, rzekł, jak zwykle młoda panienka. Ja go znałem dobrze i mogę poświadczyć, że wprawdzie był pysznym i napuszonym, ale miał wiele inteligencyi i wiele sprytu. Dla tego też nikt na niego nie wpływał; on sam swojem stronnictwem po myśli swojéj kierował i lubo się ciężko zawiódł, na niego spada cała odpowiedzialność za działania tego stronnictwa.“

Jakże cenne będą pamiętniki księcia uporządkowane już i przygotowane do druku przez Br. Zaleskiego, tylko nieszczęściem kończące się na roku 1800.*)

Księżna Adamowa była niegdyś bardzo piękna i taką widzę ją jeszcze trochę w pamięci przez gęstą mgłę czasu. Świetna jéj piękność wcześnie przygasła w skutku ciężkiéj choroby, jaką przebyła, ale został jéj urok który nie przechodzi, słodyczy charakteru, uprzejmości niezmiennéj, naturalności bez najlżejszéj cechy dumy, i miłego zawsze humoru.

Księżnę Annę Sapieżynę znają czytelnicy moich „Obrazów“ z listów jéj z czasów jéj młodości. W r. 1848 była to już sędziwa Matrona w czepeczku staropolskim;

---

*) Br. Zaleski prowadzi daléj historyę życia księcia podług jego korespondencyi i dokumentów rozmaitych bardzo obfitych, jak to już wspomniałem wyżéj.

skrzętna gosposia, która wielce się przyczyniała do utrzymania ładu w gospodarstwie hotelu Lambert i z tąd nazywaną była ministrem finansów całéj rodziny. Wielki jéj rozum praktyczny jaśniał jeszcze w całéj swojéj pełni a serce jéj było gorące jak przed półwiekiem, ale zahartowane w doświadczeniach życia. Do rysów jéj charakteru jakie przebijają w jéj tylko co wspomianéj korespondencyi dołożyć mogę jeden szczegół z osobistych moich wspomnień, mało znaczący na pozór a rzeczywiście dosyć charakterystyczny. Muszę nadmienić najprzód, że w r. 1821, gdy ojciec mój umierał, księżna Sapieżyna zabrała mnie z domu rodzicielskiego do siebie, ażebym nie był przytomnym téj boleśnéj scenie. W 10 lat późniéj po wzięciu Warszawy przeniesiony ze szpitala w szkole aplikacyjnéj do matki mojéj, widywałem często księżnę, która mieszkała w naszem sąsiedztwie. Raz patrząc ze współczuciem na mnie, rzekła do matki mojéj: „Nieborak musi się nudzić w swojem łóżku, przyszlę mu książek dla rozrywki“ i przysłała mi . . . Plutarcha.

Księżna Wirtemberska więcéj niż ośmdziesięcioletnia staruszka, malutka, wielce podobna do portretów księcia jenerała ziem Podolskich była najrozmowniejszą osobą w hotelu Lambert. Pamięć jéj, jak to bywa w tym wieku, słabe tylko zachowywała odbitki niedawnych czasów, nawet chwil tylko co minionych; czasem w godzinę po obiedzie pytała się „kiedyż będzie obiad“? Za to epoka jéj młodości była jéj przytomna z tak żywym i świeżym kolorytem, jak gdyby wśród niéj jeszcze żyła i lubiła o niéj mowić, tylko, niekiedy zapominała naznaczyć daty, do któréj się odnosiło jéj opowiadanie, a jakiż to długi szereg dat obejmowała ona w swoich wspomnieniach!

Jednego wieczora mówiła o obyczajach dworu pruskiego; słuchałem uważnie, lecz myślałem, że mowa jest o dworze Fryderyka Wilhelma III. Księżna Adamowa spostrzegłszy zapewne iż nie widzę nic nadzwyczajnego w tem opowiadaniu, odezwała się do mnie: „Niech się pan nie myli w dacie, Księżna mówi o dworze Fryderyka Wielkiego“. O dworze Fryderyka Wielkiego, który od sześćdziesięciu lat już nie żył! W jednym tylko hotelu Lambert w całéj Europie słyszeć można było opowiadania o tym twórcy pruskiéj potęgi, tudzież o Stanisławie Auguście, o Katarzynie II, i innych współczesnych monarchach lub głośnych figurach XVIII wieku od osób które w téj epoce już znaczyły na świecie, a przed kilkoma zaledwie laty było jeszcze dwóch ważnych świadków tychże samych czasów, zwykłych gości w hotelu Lambert: Niemcewicz i Kniaziewicz, którym już tylko w ich mogile cześć oddać mogłem.

Księżna Wirtembergska najżywiéj także z całéj rodziny czuła w sercu swojem pociski, jakie rzucano na hotel Lambert z demokratycznego obozu. „Piszą ciągle na nas des paszkwile“ mówiła mi tak rzewnym głosem, jak gdyby łzy były tuż za słowami — po tym sercowym akcencie poznać można było autorkę Malwiny. Tak tkliwa, miała ona w przeznaczeniu swojem stronę jedną niezmiernie boleśną, od któréj starała się oczy odwracać. Nie wymawiała nigdy i nie wolno było przy niéj wymawiać dwóch imion, w zwyczajnym trybie życia najdroższych sercu kobiety, imion męża i jedynego syna — dwóch zdrajców.

Mąż jéj książe Ludwik Wirtembergski otrzymawszy Indygenat Polski, zamianowany został przez Stanisława Augusta jenerałem w nowo formującem się wojsku polskiem

w skutek uchwał czteroletniego sejmu, i w wojnie 1792 r. powierzono mu znaczne dowództwo, ale niebawem dwuznacznem postępowaniem swojem ściągnął on na siebie podejrzenie naczelnego wodza ks. Józefa Poniatowskiego, który kazał jednemu z jenerałów mieć pilną baczność na niego. Pokazało się niebawem, że podejrzenia wodza były najzupełniéj sprawiedliwe. Schwytano kuryera, którego Ludwik Wirtembergski wysyłał do Berlina cichaczem, a kuryer wiózł list od niego do króla Pruskiego objaśniający tego monarchę sprzymierzonego z Rosyą, o sile — rozkładzie wojska polskiego i planach ks. Józefa. Książę Wirtembergski uciekł do Niemiec — Żona jego natychmiast rozłączyła się z nim na wieki, a książę Józef w pamiętniku swoim o téj kampanij napiętnował go nazwą zdrajcy.

Z mocy wyroku rozwodowego ten zbezcześciony Niemiec odebrał matce syna i wychował go przy sobie. Syn też wstąpił w ślady ojca — zaszedł nawet daléj od niego na drodze nikczemności. Wrócił on do Polski po śmierci ojca i został przez W. K. Konstantego mianowany od razu jenerałem polskim, dowódzcą brygady ułanów; ale nie pomny, że urodzony był w Polsce — z matki Polki i ojca naturalizowanego Polaka — że w Polsce szukał karyery i nosił mundur polskiego jenerała, że przeto ze wszech miar powinien był uważać Polskę za swoją jedyną ojczyznę, zdradził ją a co więcéj posunął się do matkobójczego zamachu. Wiadomo bowiem, że porzuciwszy po wypadkach listopadowych służbę w naszem wojsku, książę Adam Wirtembergski obrócił oręż przeciw Polsce i oblegał Puławy na czele moskiewskiego korpusiku, że działa jego ciskały na pałac granaty, których odłamki padały w salonie gdzie były jego matka

i jego babka — i że dopiero oddział polski z korpusu Paca odpędził go z téj pozycyi i ocalił te matrony a z niemi pamiątkowe skarby Puław*). Cesarz Mikołaj okazywał mu największą pogardę, ale go zapłacił. Dał mu majątek jego matki z warunkiem wszakże, żeby jéj wypłacał w dożywociu dochody z tego majątku. Wyrodny syn oznajmił to matce listem, którego dosłownie przytoczyć nie jestem w stanie, lecz który zaczynał się od tych słów:

„Madame!

„L'émpereur mon maitre etc."

Księżna odpowiedziała mu na to:

Monsieur!

L'empereur votre maitre n'est pas le mien. Puisqu'il lui a plu de me ravir ma fortune et de vous la donner, gardez la, j'en refuse les revenus de vos mains. Je ne vous connais plus. Je n'ai pas de fils.

Panie!

(Cesarz Pan twój — nie jest moim Panem. Kiedy mu się podobało zagrabić mój majatek i dać ci go — trzymaj go. Wszelkich przychodów z ręki twojéj odmawiam. Nie znam Waćpana. Nie mam syna).

---

*) Spotkałem tego nikczemnika w 1832 r. w Wrocławiu w księgarni Szletera warszawianina. Wypierał się przy mnie solennie jakoby miał osobiście oblegać Puławy, ale czy je oblegał osobiście, czy kazał swojemu korpusikowi oblegać, to na jedno zupełnie wychodzi. Wszakże Neron matki sam nie zabił tylko kazał ją zabić.

List ten przypomina poniekąd słowa Agripiny — Ventrem feri, ale te tak bolesne wspomnienia zacnéj staruszki słodziło najczulsze przywiązanie brata i całéj rodziny. Pielęgnowano ją, dogadzano jéj we wszystkiem i opłakiwano serdecznie jéj zgon. Stary książe zwłaszcza płakał rzewnemi łzami, jak to na własne oczy widziałem.

XI.

Że sfery arystokracyi emigracyjnéj wolnéj przynajmniéj od dolegliwych trosk materyalnych, przejdźmy do czyśca pracujących, biedujących, walczących o życie codzienne wygnańców: I między niemi największa część posiadała przed wojną jakieś mienie; nie były to milionowe dobra i wspaniałe pałace, ale ten miał parę wiosek, tamten jedną, ów kawałek ziemi lub trochę dobytku jako dzierżawca, inny kamienicę, inny kapitalik na hipotece, a wszystko to rząd moskiewski zagrabił nie przebaczając ani jednéj sztuce bydła, ani najmniejszéj wierzytelności emigranta jeżeli ją wytropił. Przez lat kilka szpalty dzienników polskich i rosyjskich zapełnione były listami takich konfiskat coraz nowych. Była to smutna illustracya rządów rosyjskich, z któréj pokazuje się, że ogromna większość emigrantów przybyła do Francyi bez żadnego funduszu i byłaby umarła z głodu, gdyby Francya nie była ich przyjęła jak braci, poświęcając parę millionów franków rocznie na ich utrzymanie.

Podług statystyki podanéj w Vade Mecum K. A. Hoffmana, a czerpanéj w źródłach urzędowych, ogólna

liczba emigrantów polskich będących we Francyi 1 stycznia 1838 r. to jest na dziesięć lat przed epoką, do któréj odnoszą się moje opowiadania wynosiła 5,472 (?), zapisanych zaś w kontroli jako pobierających żołd było 4,974. Z tych oznaczonych jako pracujących 3,004; jako niepracujących 1,970. Ci ostatni dzielili się na trzy kategorye: 1) Starców, niedołężnych, nie umiejących po francusku, obarczonych liczną familią 823; 2) zdrowych mogących pracować a nie mających roboty 874; 3) kobiet i dzieci (zapewne wdów i sierót) 223; niepobierających żołdu miało być 498, a z tych mających dostateczny fundusz do utrzymania tylko 59. Te dwie ostatnie cyfry nie zdają mi się dokładne, gdyż trzebaby przypuścić, że było 439 emigrantów zmuszonych żyć we Francyi z żebraniny, co się nie zgadza ani z ludzkością rządów Ludwika Filipa ani z sympatyą, jaką okazywały Polakom obie Izby prawodawcze. Prawdopodobnie cyfry te są wynikiem wyrachowań opartych na ogólnéj liczbie emigrantów podanéj na 5,472, a która zapewne zachowaną była z pierwszego obliczenia w roku 1832, lecz od tego czasu wymarło było podług Vadea Mecum 344, a 1 stycznia 1838 roku liczba ogólna emigrantów polskich we Francyi wynosiła nie więcéj jak 5,128, nie pobierających zaś żołdu 154*). Ci albo mieli od rodzin swoich dostateczny fundusz na utrzymanie, albo też wyrobili sobie byli sytuacye dosyć pomyślne w Francyi, ażeby się obejść bez sub-

*) Uważać należy, że prócz emigracyi będącéj we Francyi; było jeszcze w 1848 roku około tysiąca w Anglii, tyleż zapewne w Ameryce i kilkuset rozrzuconych po reszcie świata, w Algierze, w Belgii, w Hiszpanii, we Włoszech i na Wschodzie.

sydyów. Godną uwagi jest statystyka śmiertelności w Vade Mecum. Liczba zmarłych rośnie z roku na rok w sposób przerażający, i tak w 1832 zmarło 11, w r. 1833 19, w r. 1834 39, w r. 1835 59, w r. 1836 53, w r. 1837 62, w r. 1838 74. Niewiadomo kiedy jeszcze 26. I nie są to starzy, którzy wymierają najpierwsi; śmiertelność pada głównie na najmłodszych, na żołnierzy, podoficerów, podporuczników, którzy w ogóle byli bardzo młodzi w wojnie 1831, i których część uczęszczała do szkół francuskich. Tych wszystkich w ciągu lat 7 zmarło było 298 na ogólną liczbę 344, a reszta składała się z 32 kapitanów, między któremi było jeszcze bardzo wielu młodych i 16-tu wyższych oficerów. Ten stosunek młodych do starych w śmiertelności utrzymywał się jeszcze przez lat kilka. Był to żywioł najlżejszy w emigracyi, który tak marnie wymierał. Można powiedzieć, że wszyscy młodzi ludzie niezdolni do pracy wytrwałéj, do surowéj oszczędności, do odmawiania sobie wszystkich przyjemności życia, nawykli do zabaw, hulatyk, kart, powymierali przed staremi z tęsknoty, z suchot, z nędzy, lub skończyli samobójstwem; choć wielu z nich otrzymywało zasiłki od rodziny. O nich to pisze Mićkiewicz pod datą 1834. „Nasza emigracya bardzo choruje i umiera. Wielu już ubyło, Bóg wie co z resztą się stanie“ a w r. 1841 pisze: „Jest wielu, którzyby ledwo do piekła nie poszli, aby tylko z emigracyi wydobyć się“*). Po tym ubytku zostały w emigracyi tylko trzy kategorye ludzi. Charaktery pracowite, które potrafiły sobie wysłać jakie takie gniazdko na wygnaniu, dusze z hartem żelaznym wśród starych wiarusów nie

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 100 i 177

usposobionych do żadnego innego zajęcia jak swoje dawne wojskowe rzemiosło i którzy zrezygnowali się ożenić z biedą; nakoniec małe serca, które się zgodziły na życie żebrackie, ale śpieszę dołożyć, że tych liczba była stosunkowo nie wielka i do niéj nie należał żaden z dawnych oficerów, żaden z ludzi więcéj wykształconych. Był to sam mętny spód emigracyi.

Pracujących była ogromnie przeważna liczba. Wzięli się oni powoli do wszystkich profesyj, do wszystkich rzemiosł po całéj Francyi. Nie było miasta, miasteczka, zakątka w tym rozległym kraju, gdzieby losy nie zagnały tu gromady, tam garstki, owdzie choć jednego Polaka. Francuzi w pierwszych kilkunastu latach przyjmowali ich z otwartemi rękami do wszelkich zakładów, fabryk, stowarzyszeń. Wszędzie obchodzono się z nimi z wielkiemi względami i powierzano im miejsca wymagające zaufania. Tytuł Polaka, un brave Polonais, był dostateczną do tego rękojmią.

Ci, którzy potrafili sobie zjednać przyjaźń ludzi mających znaczenie i wpływ w miejscu gdzie przebywali, znajdowali w nich szczere poparcie, czasem nawet bez proszenia. Dopomagali im oni w przedsiębiorstwach, swatali ich i popychali naprzód we wszystkich karyerach. Przytoczę jeden przykład opowiedziany mi przez emigranta którego się on tyczy i potwierdzony przez wszystkich jego znajomych. W Lyonie czyli po dawnemu mówiąc w Lugdunie mieszkał Kisielewski, bliski kuzyn mojego kolegi z wojska. Żył on przez lat kilkanaście z bardzo szczupłego przychodu, jako agent jakiegoś domu handlowego w Paryżu, czy też jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń, lecz skromna sytuacya jego nie przeszkodziła

mu zaznajomić się z całem niemal wyższem mieszczaństwem lyońskim, w którem znalazł kilku nawet szczerych przyjaciół. Podobał się on bardzo Francuzom, bo łączył w sobie to, co jest najmilszego w typie polskim, męzkość, serdeczność, żywość, koleżeńskość, z grzecznością, rozmownością i wesołością francuską. Nazywali go powszechnie jego znajomi Francuzi notre ami Kisielewski, ale żadnego z nich o nic nigdy nie prosił.

Raz był na obiedzie u pisarza trybunału (Greffier), a nie lada to figura w Lyonie, bo posada jego przynosiła już wówczas około 80,000 franków rocznie. Tego dnia miał on prócz Kisielewskiego jednego tylko gościa u stołu swojego: mera (burmistrza) miasta. Przy deserze, czyli jak Francuzi mówią, między gruszką a serem, pan gospodarz popatrzywszy chwilę na Kisielewskiego odezwał się nagle zwracając się do naczelnika miasta: „Panie merze, wartoby przecież wynaleść jaką porządną posadę dla naszego przyjaciela Kisielewskiego, un brave polonais, un excellent garçon, który tu wegetuje od tylu lat na lichym zarobku“.

„Pragnąłbym szczerze mu dopomódz, odpowiedział mer, ale nie widzę sposobu. Niezmiernie trudno o dobre jakieś miejsce“.

„No, pomyśl pan o tem na seryo, rzekł pisarz, a miejsce się znajdzie“.

Mer uśmiechnął się, bo w tejże chwili odkrył w swojéj głowie, że może Kisielewskiemu nastręczyć bez wielkich zachodów bardzo korzystną podług niego sytuacyę. Za trzy miésiące skończyć się miała dzierzawa trzech teatrów Lyońskich, należących do miasta i zwykle wypuszczanych jednemu tylko przedsiębiorcy. Kandydaci,

którzy się wtenczas przedstawiali nie dawali dostatecznéj rękojmy i Mer zaproponował Kisielewskiemu, ażeby się z niemi współubiegał, zapewniając, że uzyska pierwszeństwo. Pisarz uznał tę myśl za bardzo szczęśliwą, Kisielewski zaś osądził, że obydwaj panowie nie znają zapewne jego sytuacyi. „Panowie chyba żartujecie sobie ze mnie — wykrzyknął. — Na dyrektora teatrów Lyońskich trzeba kapitalisty, a ja jestem chudym pachołkiem, emigrantem i omnia mea mecum porto“. Nie frasuj się o to — odrzekli ze śmiechem jeden i drugi. — Napisz tylko stosowną deklaracyę — rzekł Mer — i mnie ją wręcz. A napisz ją tu zaraz po kawie — dołożył pisarz.

Kisielewski przyparty przez nich napisał, co żądali, ale wrócił do domu z przekonaniem, że to była czcza obietnica, blaga francuska i nic więcéj. Aliści po upływie trzech miesięcy odbiera od Mera urzędowe zawiadomienie, że został dyrektorem trzech teatrów i tegoż samego dnia otrzymuje od pisarza zaproszenie na obiad na dzień następny. Nie pojmywał on jeszcze wcale, jaką kombinacyę mogli byli wymyślić, ażeby tę dyrekcyę teatrów uczynić możebną dla niego, lecz poszedł na obiad do pisarza i zastał u niego liczne zgromadzenie kapitalistów i przemysłowców Lyońskich, którzy go z wielkim odznaczeniem powitali. Położenie jego było dziwne i dosyć komiczne. Postawiony prawie mimowolnie na czele ogromnego przedsiębiorstwa wymagającego parę kroć sto tysięcy franków nakładu, przyjęty przez finansistów Lyońskich jakoby należący już do ich bractwa, nie wiedział, czy rolę tę będzie mógł 24 godzin utrzymać, bo miał w kieszeni 5 franków wszystkiego i to bodaj, czy nie

pożyczonych. Nadrabiał też miną tylko, ale był jak na torturach.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, Kisielewski postrzega, że serweta na jego talerzu ogromnie nabrzękła; rozwija ją i wypada z niéj gruby pakiet banknotów 1000 frankowych. Zmieszał się niezmiernie i chciał się bronić przed tą paktolową powodzią. Śmiech ogólny powstał w około stołu. Daremnie Kisielewski wołał, że tych pieniędzy nie chce, że ich nie przyjmie, bo nie może przedstawić żadnéj odpowiedzialności. Śmiech się ciągle wzmagał pobudzany rotowym ogniem francuskich konceptów. „No, no — odezwał się pisarz, przerywając mu ostatecznie jego wykrzykniki — potem o tem; przy stole o interesach się nie mówi“. — Obiad przyrządzony z wyrafinowną gastronomią, jak zwykle proszone obiady francuskie, przeszedł wesoło i nową dyrekcyę Kisielewskiego oblano wszystkiemi winami Saony, Garony i Marny. Po obiedzie wziął go gospodarz na stronę: „Nie dziwże się tak bardzo hojności tych panów — rzekł mu — i nie dróż się więcéj, bo to są po prostu spekulanci, którzy wkładają pieniądze w twoje przedsiębiorstwo, ażeby się z tobą zyskiem dzielić. Liczą oni na sympatyę publiczności, która za Polakami idzie i pewno ciebie nie opuści. Zrobicie więc może wszyscy dobre interesa, a za pół godziny przyjdzie tu notaryusz i podpiszecie akt, który im da wszelkie możebne zapewnienia“.

W rzeczy saméj akt uczestnictwa tych panów w przedsiębiorstwie Kisielewskiego został po kawie podpisany. Kisielewski objął dyrekcyę teatrów lyońskich, obsadził Polakami wszystkie miejsca w administracyi jakie im przypaść mogły. Sprowadził z Paryża dekoracye

i kostiumy dla wystawienia w wielkim teatrze lyońskim sztuki feerycznéj Le diable boiteux, która w stolicy ogromne miała powodzenie, wystawił w dwóch innych teatrach sztuki trafnie wybrane, zastosowane do smaku Lyonczyków i zaczął swoje przedsiębiorstwo pod nader pomyślną wróżbą. — Cieszył się powodzeniem już blisko od pół roku, gdy spotkał na ulicy pana pisarza trybunału. Pogawędzili trochę i już się rozchodzili każdy w swoją stronę, gdy pisarz odwróciwszy się nagle rzekł: à propos słuchajno mój przyjacielu, teraz ożenić ci się trzeba; mówię ci to na seryo, bo żona i dzieci, to firma prawie niezbędna dla człowieka będącego na czele wielkiego przedsiębiorstwa; dodaje mu powagi, wzbudza zaufanie do niego i kredyt jego podnosi, gdy tymczasem od bezżeńca zaufanie i kredyt stronią.

Kisielewski odpowiedział mu, że nie wyrzeka się bynajmniéj małżeństwa, ale nieśmie o niem myśleć będąc cudzoziemcem, wychodzcą i bez majątku.

„Cóż to znaczy, wykrzyknął pisarz, że nie masz majątku, kiedy masz w ręku sposób zrobienia go i robotę pomyślnie rozpocząłeś, a co się tyczy twojéj narodowości, to chyba sobie żartujesz wskazując to jako przeszkodę do małżeństwa. Wiesz przecie, że my tu nie czynimy różnicy między Polakiem a Francuzem“ . . . „Wszakże, dołożył po chwili, jesteś w zażyłych stosunkach z panem X.“ — Był to dawny fabrykant poważany w Lyonie i który piastował niegdyś różne obywatelskie urzędy, ale wtenczas już był się wycofał z przemysłu i z urzędowań. — „On ma dorastającą córkę, jeżeli się nie mylę, czemuż do niéj nie uderzysz?“

Oh! ona zbyt posażna, odrzekł Kisielewski, a przytem zbyt młoda, ażeby mi ją rodzice dali; jeszcze jest na pensyi.

Eh! brak ci odwagi, powiedział Mer, oto cała rzecz. Przyjdź do mnie na obiad — naznaczył mu dzień — to zagajemy ten nowy interes.

I powtórzyła się z małą odmianą scena, w której się ukleiło dyrektorstwo teatrów dla Kisielewskiego. Na obiadku u pisarza trybunału zeszedł się on z panem X. i znowu między gruszką a serem pan pisarz zaczął krążyć koło projektu, o którym Kisielewskiemu napomknął. Mówił o pożyteczności małżeństwa dla swojego protegowanego i odwoływał się do zdania pana X. Ten mu potakiwał ale ostrożnie.

Po tych wstępnych manewrach p. pisarz wystrzelił wprost do niego tę propozycyę: „Pan masz córkę 18-letnią, to mu ją daj“. Pan X. namyśliwszy się chwilę, odpowiedział: „Ja osobiście nic przeciw panu Kisielewskiemu nie mam, owszem wielce go szacuję i uważam za przyjaciela, lecz wziąłem sobie za zasadę córkom moim zostawić zupełną wolność w kwestyi małżeństwa. Wszystko więc co dla naszego przyjaciela uczynić mogę i uczynię, jest to, że sprowadzę córkę moją z pensyi do domu. Niech się stara jéj przypodobać, a jeżeli pozyska jéj serce, to z mojéj strony, — a mogę toż samo powiedzieć o żonie mojéj, — żadnéj przeszkody nie spotka.“

Pół roku znowu upłynęło i Kisielewski był na zenicie swojéj pomyślności. Panna X., któréj się przypodobać potrafił, była jego żoną i przyniosła mu około 150,000 franków posagu. Była to przytem osóbka

bardzo miła, przystojna, zgrabna, naiwna i szczerze go kochająca a teatry były ciągle jeszcze napełnione.

Gdyby ta pomyślność była potrwała, przeszłaby w legendę wskazującą jak daleko na drodze fortuny mógł zajść emigrant mający trochę sprytu i zaskarbiwszy sobie przyjaźń Francuzów, którzy byli w możności skutecznie mu dopomagać. Na nieszczęście na drodze, po któréj szedł, powodzenie lub niepowodzenie zależało głównie od zmiennego losu i niemniéj zmiennego gustu publiczności. Przyszła chwila, że pomimo usilnych starań i zabiegów naszego ziomka, teatry jego zaczęły świecić pustkami. Rewolucya lutowa (w r. 1848) odjęła im i tę resztę publiczności, która jeszcze do nich uczęszczała. Na domiar nieszczęścia wielki teatr Lyoński stał się pastwą płomieni, a nie był ubezpieczony, nie z winy Kisielewskiego, lecz z winy miasta, które było właścicielem gmachu i ociągało się z zabezpieczeniem, lubo Kisielewski ciągle o to nalegał. Widziałem w 1848 r. ten teatr jeszcze w ruinach. W tych klęskach utonął cały kapitał zakładowy, a nawet i posag żony Kisielewskiego, bo wierny polskiéj maxymie, „nie dam się bądź co bądź“, nie chciał się ogłosić jako będący w stanie upadłości, a teść go w tem postanowieniu utrzymywał i funduszami swemi wspomagał. Wyraz „upadłość“ brzmiał jak śmierć dla tego starego i zacnego przemysłowca. Chcąc się ratować, jeździł Kisielewski z swoją trupą teatralną, dekoracyami i kostiumami, jakie ocalić zdołał od pożaru, po mniejszych miastach prowincyalnych i dawał przedstawienia, na których ciągle tylko tracił, aż przyszło do tego, że w kasie jego nie było ani grosza. Trzeba mu było chwycić się jakiegoś rozpacznego środka.

Zabrawszy żonę i dzieci — już miał ich dwoje czy troje — wyjechał z pożyczonemi dwustu frankami do Genewy. Teść jego ze zmartwienia umarł, on zaś mężniejszy, rozpatrzywszy się dobrze w Szwajcaryi, wpadł na myśl zaprowadzenia w tym kraju ubezpieczeń od zarazy bydła, stanowiącego, jak wiadomo, główne bogactwo tego kraju. Myśl tę należycie obrobioną i na rachunkach opartą, poddał jednemu towarzystwu ubezpieczeń w Paryżu, które ją bez wahania się przyjęło i mianowało go swoim agentem ogólnym w Szwajcaryi, tak do ubezpieczeń bydła jak wszelkich innych. Kisielewski wziął się nader czynnie do tego nowego przedsiębiorstwa, umiał przypodobać się Szwajcarom, podobnie jak dawniéj Francuzom, i zaczął odtwarzać swoją fortunę. W lat kilkanaście już był długi swoje spłacił i miał pewien kapitalik, gdy padł ofiarą fatalnego wypadku, któremu gazety dały wielki rozgłos w Europie.

Płynął statkiem parowym z Genewy do Lauzanny. W tymże samym kierunku dążył drugi statek, należący do innéj kompanii i myśl nieszczęsna przyszła do głowy obu kapitanom iść w zawody. Statek, na którym był Kisielewski, pierwszy dobiegał do mety i chcąc wpłynąć do portu Lauzanny, skręcił nieoględnie. Drugi statek zbyt rozpędzony, nie mógł być od razu wstrzymany i przebił na wskroś swojego współzawodnika. W mgnieniu oka statek ten zatonął, a z nim utonęła większa część podróżnych, Kisielewski w ich liczbie, lubo był doskonałym pływakiem. Gdy ciało jego na wierzch wody wypłynęło, do nóg jego przyczepiona była jeszcze stara baba, która chcąc się ratować, spowodowała jego śmierć, pociągnąwszy go za sobą na dno jeziora.

Nie wielu zapewne było emigrantów, których fortuna takiem kołem się toczyła jak Kisielewskiego, była jednak dostateczna na pokaz liczba między niemi którzy pracą, przemyślnością i przy pomocy Francuzów, doszli w zawodzie przemysłowym lub handlowym, do bardzo przyzwoitego a nawet dostatniego bytu. Było takich po kilku w każdem większem mieście. W Nantes dwóch emigrantów należało do spółki najznaczniejszego domu, trudniącego się fabrykacyą owych sławnych konserwów w puszkach cynkowych, które się rozchodzą po świecie całym. Kilku innych dorobiło się majątków w handlu win w Bordeaux, Dijon, Reims, Epernay. W Paryżu Łabęcki i Okęcki mieli dosyć pokaźne fabryki lamp. Inni w Lyonie, w Marsylii i niektórych innych miastach, wyrobili sobie po kilka lub nawet kilkanaście tysięcy franków dochodu, jako komisyonerzy handlowi.

W ogóle jednak, na kilkunastu lub kilkudziesięciu Polaków, którym się powiodło w przemyśle i handlu było więcéj niż 2,500 takich, którzy niebyliby wyżyli z tego chleba, gdyby rząd subsydyami ich nie wspomagał. Nie przysposobieni od lat dziecinnych do rzemiosł lub kupiectwa, nie zdołali nigdy nabrać w nich potrzebnéj wprawy i biegłości; do czego zresztą natura sama nie bardzo usposobiła Polaków. Szczęśliwym był emigrant, który w jakimkolwiek rzemiośle zarabiał 5 franków dziennie, licząc nawet w to subsydia, a niemając tego nawet, najczęściéj żenił się, nie pytając o posag, pragnąc tylko mieć swoje ognisko domowe, aby się do niego uciekał przed tęsknotą. Wkrótce przybywały dzieci i życie codzienne stawało się dla tak skromnie zarabiającego pracownika, codzień odnawiającym się problematem.

Najszczęśliwsi byli ci, którzy przyszli do Francyi dosyć młodzi i dosyć intelligentni, ażeby wrócić do nauk w tym kraju i ukończyć edukacyę na uniwersytetach lub w szkołach specyalnych, do czego rząd im dawał wszelkie ułatwienia, a nawet pewne premia, bo ci co uczęszczali do szkół brali wyższe subsydia.

Z uniwersytetów francuskich wyszła znaczna liczba lekarzy Polaków. Niema miasta we Francyi, gdzieby przed trzydziestu laty nie było ich kilku a przynajmniéj jednego, a Francuzi chętniéj się do nich udawali niż do doktorów rodaków swoich, bo jeżeli Francuzi są niezrównanemi chirurgami, w praktyce czysto medycznéj mniéj mają cierpliwości, wyrozumiałości, troskliwości około chorych, a więcéj są interesowni niż doktorzy Polacy, mianowicie ci, którzy praktykowali we Francyi i którzy czuli instyktowo, że klientelę zjednać sobie tylko potrafią zaletami, na których doktorom francuzkim zbywa. Kilku lekarzy Polaków pozyskało sobie wziętość w całéj Francyi, jak Kijewski w Cette, słynny doktór kobiet, które zewsząd do niego po ratunek się zjeżdżały; Landowski założyciel hydroterapii w Lyonie; Raciborski w Paryżu. Było w téj stolicy kilkunastu innych doktorów Polaków, z których każdy miał dosyć liczną klientelę, a jeden zostawił po sobie w dzielnicy ogrodu botanicznego legendową reputacyę. Przypominam sobie z rozrzewnieniem, że po śmierci synka mojego pięcioletniego, kobiety z ludu, które zeszły się na pogrzeb, mówiły mi: „O panie! chłopczyk pański nie byłby umarł, gdyby żył jeszcze doktór Polak, którego wszystkie matki w téj części miasta błogosławią, bo on nie pozwalał małym dzieciom umierać — il ne laissait pas mourir les petits enfants“; ale żadna nie

nieśmiertelnéj w naszym organiźmie i przestał w nią wierzyć. Wtenczas i cała pochodnia wiary chrześciańskiéj zagasła przed nim — a człowiek zmalał w jego oczach — schodził nawet na zero jako jednostka, jeżeli nie potrafił odznaczającym się talentem wznieść się nad poziom ogólny. Sceptycyzm ten zawiewał jak wiatr jesienny, strząsający kwiaty i liście, z pod jego nader układnéj powierzchowności i gdy znikał z jego twarzy grzeczny uśmiech, który naturalny jéj wyraz osłaniał, na ustach jego zdawały się zawieszone słowa Hamleta „The man ravished me not and the woman no more“ (mężczyzna nie zachwyca mnie bynajmniéj i niewiasta nie więcéj).

Takim był Gałęzowski widziany z jednéj strony, lecz z drugiéj strony przedstawiał się mąż wysokich cnót obywatelskich, kochający Ojczyznę miłością namiętną, górującą nad wszystkiem, tak jak ją kochali ludzie z 1830 roku i była to podobno jedyna namiętność, jaką znał w całym ciągu swojego życia, a z nią łączyła się jakaś wzniosła filozofia moralna podobna do moralności Zenona, lub raczéj Spinozy, która w duszy jego zajęła miejsce straconéj wiary. Nie mogła ona zastąpić tego żywego zdroju miłości blizniego i miłosierdzia, który płynie z serc na wskroś przejętych ewangelią, ale przywiązywała go przynajmniéj do wszystkich szlachetnych idei.

Samotny na świecie, wolny od wszelkiéj próżności i żądz kosztownych, stworzywszy sobie majątek więcéj niż wystarczający na własne swoje potrzeby, powiedział sobie na progu starości, że nie może lepiéj użyć reszty życia jak poświęcając go na spełnienie jakiejś misyi pożytecznéj dla emigracyi i dla przyszłéj Polski. Nie miał zapewne

żadnego wyrobionego w tym względzie planu opuszczając Meksyk. Biegł tylko za błędnym ognikiem patryotycznych nadziei, które za przybyciem jego do Paryża znikały już w mrocznéj dali, ale w téj stolicy świata i zarazem stolicy emigracyi, upatrzył dla siebie cel odpowiadający usposobieniom jego umysłu i charakteru. Szkoła Polska w Batignolles była w stanie opłakanym — bez opieki — bez funduszów — z 30tu lub 40tu najwięcéj uczniami internami których utrzymać nie było za co i profesorami, którzy tych uczniów niczego nauczyć nie byli zdolni. Ażeby zakład ten wydźwignąć z upadku trzeba było poświęcenia i wytrwałości takiego ks. Baudouina a założyciela domu podrzutków, lub takiego księdza Jakoba Falkowskiego, założyciela instytutu głuchoniemych w Warszawie i Gałęzowski się tego podjął. Sądził on, że szkoła Batignolska, gdyby się udało podnieść ją, opatrzyć funduszami, i zreorganizować jak się należy, wyrobiłaby nowe pokolenie polskie na ziemi wygnania, wierne tradycyi ojców swoich i które by użytecznie służyć mogło sprawie narodowéj. Przejęty tą myślą potrafił wymową swoją pozyskać dla niéj najmożniejszych rodaków między emigrantami lub bawiącemi czasowo w Paryżu jako zwykli goście zimowi. Demokrata z przekonania, szukał jednak i w krótkim czasie znalazł w tym kółku arystokratycznem dosyć serc ofiarnych, ażeby założyć towarzystwo na akcye — nic posiadaczom swoim przynosić nie mające — dla zbudowania obszernego i dogodnego domu na Batignolach na pomieszczenie szkoły Polskiéj. Było takich akcyi 20, każda po 10,000 franków. To był pierwszy owoc zachodów Gałęzowskiego. Gdy dom stanął wprowadził do szkoły, jako prezes jéj zarządu, program liceów francuskich,

a z nim wszystkie ulepszenia potrzebne; lepszych nauczycieli, ściślejszy dozór, większą karność, zdrowsze i obfitsze pożywienie i większe wygody. Odtąd liczba uczniów wzrastała od roku do roku i w kilku latach z 30tu czy 40tu podniosła się do dwustu kilkudziesięciu, a coroczne egzamina w obec urzędników uniwersyteckich francuzkich, nagrody i odznaczenia przysądzane uczniom, świadczyły o ciągłym i ogólnym ich postępie we wszystkich gałęziach wiedzy; ale w miarę jak wzrastała szkoła, rosły i jéj potrzeby, budżet jéj wydatków wynosił średnio około 180,000 franków rocznie a dochody z opłaty od uczniów nie przenosiły 30 tysięcy franków; największa część bowiem pobierała nauki i utrzymywana była bezpłatnie. Gałęzowski poparty przez ks. Czartoryskiego uzyskał od rządu francuskiego 70,000 franków rocznego wsparcia dla swojéj szkoły a w ostatnich latach cesarstwa wyrobił jeszcze, że ją policzono do instytucyów publicznéj użyteczności, co zdawało się zabezpieczeniem dla niéj rządowéj opieki na zawsze, ale około 80,000 franków trzeba było jeszcze co rok znaleść dla wyrównania budżetu i Gałęzowski był niezmordowany w zabiegach, ażeby ten ciągle powtarzający się niedobór zapełniać. Zrósł się on był ze szkołą Batignolską, był jéj duszą, jéj opatrznością przez lat więcéj niż dwadzieścia a wziętość, jaką pozyskał w klasie możnych rodaków, których spotykał w zimie w Paryżu, w lecie w miejscach kąpielowych, dokąd co rok umyślnie za nimi jeździł, była taka, że nikt żądanego datku odmówić mu nie śmiał; kilka źródeł nawet miał stale zapewnionych. Słyszałem niektóre damy nazywające go nowym św. Wincentym à Paulo, a najdobroczynniejsze z nich wzięły były sobie za regułę, odwoływać się ogólnie do jego zdania,

wiele razy chodziło o wsparcie jakiejś cięźkiéj niedoli w emigracyi. Jedno słowo jego wystarczało, aby biednego emigranta ocalić od rozpaczy, ale Gałęzowski słówek takich skąpił. Uczucia jego zmierzone były ku celom ogólnym i jak napomknąłem wyżéj, nie rozdzielał ich na drobną monetę litości dla jednostek. To mu narobiło wielu nieprzyjaciół, a było parę smutnych wypadków, w których sam wyrzucać sobie musiał, że nie miał natchnień litościwszych.

W ostatnich latach życia doczekał się tego zmartwienia, iż widział ów zakład Batignolski podźwigniony, odtworzony, wypielęgnowany przez siebie, chylący się znowu ku upadkowi. Klęski poniesione przez Francyą w 1870 roku i haracz 5 miliardów nałożony na nią, oddziałały i na szkolę Batignolską. Rząd francuski odmówił nadal stałéj subwencyi na jéj utrzymanie. Był to cios dotkliwy, ale którego skutkom zaradzić jeszcze potrafił Gałęzowski. Sprzedano korzystnie Radzie municypalnéj Paryża obszerny dom szkoły, wybudowany przed dwudziestu laty i już obciążony długami i zbudowano nowy, w skromniejszych rozmiarach, a Gałęzowski puścił się w pielgrzymkę do W. Ks. Poznańskiego i Galicyi, aby pukać do serc polskich o wsparcie dla zubożałéj szkoły. Odbył dwa kroć tę podróż i zebrał wiecéj niż dostateczny fundusz dla prowadzenia daléj swojego dzieła, ale jest inna jeszcze przyczyna chylenia się do upadku zakładu Batignolskiego, któréj ani Gałęzowski, ani nikt po nim nie zaradzi, tą jest gaśnięcie emigracyi Polskiéj a z nią i pierwiastku Polskiego na ziemi francuskiéj. Gałęzowski oddawał znakomite przysługi emigrantom, dając im sposób wychowania synów za niewielką opłatą, a w wielkiéj

części bezpłatnie; był dobrodziejem dla tych biednych dzieci, z których zrobił ludzi wykształconych, mogących poradzić sobie na świecie — ale zawiódł się w nadziei, że wyrobi nowe pokolenie Polskie na ziemi wygnania. To było niepodobnem. Ci synowie Polaków zrodzeni w największéj części z matek francuzek, wzrośli w atmosferze francuskiéj nie odetchnąwszy nigdy Polskiem powietrzem, nie są już Polakami; w ogóle nawet bardzo licho po polsku mówią. Wytworzyła się z nich jakaś klasa ludzi bez narodowości wybitnéj, bez tradycyi, bez innéj przyszłości jak ta, że się z czasem zleją zupełnie z żywiolem francuskim. Gałęzowski postrzegał to ze smutkiem, a za pierwszéj bytności swojéj w Krakowie, widząc w téj stolicy Piastów i Jagiellonów, tak szybko rozkwitające, za pierwszym brzaskiem pomyślniejszych czasów, instytucye naukowe z polskim językiem wykładowym i młodzież ze wszystkich części Polski garnącą się tłumnie do tych ognisk narodowéj edukacyi, powiedzieć sobie musiał, że pokolenia polskie wyrabiać się tylko mogą na ziemi ojczystéj, gdzie narodowość nasza z nieprzeliczonych i niewyczerpanych zdrojów płynie; gdzie ją wszystko podtrzymuje i podsyca — pomniki przeszłości — groby ojców — opieka, jaką jéj dziś udziela rząd Austryacki, niemniéj jak ucisk, którym ją gniecie krwawa ręka cara — nakoniec sama natura polskich krain, spojona z polską duszą, gdy przeciwnie na obczyźnie wszystko jest dla niéj zabójczem. Dla tego to zapewne myśl sędziwego opiekuna dzieci wygnańców zwróciła się ku staréj naszéj alma mater i zaczął na schyłku życia zbierać fundusze już nie na szkołę Batignolską, ale na ufundowanie stypendyów dla najzdolniejszych kandydatów

do katedr profesorskich na uniwersytecie Krakowskim, ażeby mogli wydoskonalić się ostatecznie w swoim zawodzie za granicą — pomniał że takiemu stypendyum zawdzięczał sam podróż swoją naukową za granicą. Na parę miesięcy przed zgonem mógł ustanowić jedno wspaniałe stypendium 5,000 franków rocznie i nadał mu imię Jana i Andrzeja Śniadeckich. Marzył o szeregu innych stypendyów temu podobnych, jak się to pokazuje z ostatniego listu jego już nad brzegiem grobu pisanego do prezesa akademii umiejętności w Krakowie, doktora Mayer'a „... Szerokie rozwinięcie téj myśli, pisze on, było mogę śmiało powiedzieć z niezapomnianym poetą

Ostatniem mojem ziemskiem uczuciem na świecie,
Którem tulił, chodował, jak najmilsze dziecię."

Prawdopodobnie pierwszym początkiem funduszu na nowe Stypendium była suma 12,000 fr., którą na dwa dni przed śmiercią polecił słownie swojemu synowcowi przesłać temuż samemu uczonemu mężowi, ażeby jéj użył według swojego uznania. Dowód to rozczulający, że do ostatniéj chwili życia, celem myśli jego było przysposobienie, użytecznych Ojczyźnie, przyszłych pokoleń.

Miło mi naznaczyć jeszcze szczęśliwy zwrot w jego umyśle na kilka tygodni przed śmiercią. Pogodził się szczerze z Bogiem, i umarł po chrześciańsku.

XII.

Nie sama medycyna wydała w emigracyi ludzi użytecznych. Ze szkół specyalnych wyszedł liczny zastęp Polaków, konduktorów dróg i mostów i Agents-Voyers czyli konduktorów ulic w miastach i dróg prowincyalnych. W pewnéj epoce było jednych i drugich razem kilkuset*). O konduktorach dał najchlubniejsze świadectwo w ostatnich latach drugiego cesarstwa minister robót publicznych. Znany z ekcentryczności margrabia de Boissy**) zarzucał w Senacie rządowi, że napchał Polakami służbę dróg i mostów. Na to minister odpowiedział, że konduktorowie Polacy, odznaczają się wielką zdolnością, pracowitością, uczciwością nieskazitelną i oddają krajowi rzetelne usługi. Mógłby to samo był

---

*) Licząc w to i Agents secondaires, ktorzy po zdaniu egzaminu zostawali konduktorami. Dołożyć tu trzeba mi, że bardzo wielu z pomiędzy konduktorów i Agents-Voyers nie potrzebowali całego kursu odbyć w szkołach specyalnych, ale tylko douczyli się, ażeby módz zdać egzamin.

**) Mąż dawnéj hr. Gulccoili ostatniéj kochanki Lorda Byrona.

powiedzieć o Agents-Voyers, lecz nie od niego zależeli, tylko od ministra spraw wewnętrznych a bezpośrednio od prefektów.

Stopień konduktora dróg i mostów pierwszéj klasy był dla Polaków najwyższym szczeblem do jakiego sięgać mogli w zawodzie inżynierskim. Inżynierem rządowym żaden zostać nie mógł, bo do tego trzeba było mieć dyplomy, jeden ze szkoły polytechnicznéj, drugi ze szkoły dróg i mostów, do których to szkół cudzoziemcy nie mają przystępu, chyba tylko jako wolni uczniowie wyłączeni od przywilejów służących uczniom zwyczajnym. Z tejże saméj przyczyny niepodobna było także Polakowi, lub prawie niepodobna, otrzymać posadę inżyniera w kompaniach prywatnych, bo o takie posady wysoko płatne ubiegali się najzdolniejsi inżynierowie rządowi. Jednemu tylko Chobrzyńskiemu inżynierowi cywilnemu ze szkoły Centralnéj udało się zostać inżynierem naczelnym ruchu przy drodze północnéj, a winien to był głównie powinowactwu z bankierami Perreir'ami, których kuzynkę miał za żonę *). Zacytować mogę jednak jednego inżyniera cywilnego Polaka, który piękną reputacyę i piękny majątek zyskał pracami swojemi jeszcze przed rokiem 1848, to jest przed zbudowaniem wielkich linii kolei żelaznych. Był to Wędrychowski, który zbudował większą część mostów na Saonie i Rodanie, a przyszedł do Francyi już ze swoją umiejętnością. Był bowiem przed 1830 r. profesorem w nowo zaprowadzonéj szkole politechnicznéj w Warszawie.

---

*) Jest jeszcze drugi inżynier Polak, uczeń szkoły centralnéj w drodze żelaźnéj północnéj, Mirecki.

Medycyna i inżynierstwo były to jak widzimy dwa zawody, w których Polakom we Francyi dosyć się poszczęściło. W innych, nie mówiąc już o przemyśle i handlu, mała bardzo liczba tylko dobiła się pewnéj wziętości lub korzystnego pod względem materyalnym stanowiska. Najdaléj zaszedł Ludwik Wołowski, bo aż do Akademii umiejętności moralnych i politycznych i do Senatu, przeszedłszy przez Izbę deputowanych. Drogę mu utorowały nauki uniwersyteckie odbyte we Francyi, obywatelstwo francuskie, doskonała znajomość języka francuskiego, obszerna wiedza w zakresie prawodawstwa i ekonomii politycznéj, pisma które wydawał, wykłady jakie miewał, głównie dla klasy rzemieślniczéj w konserwatoryum sztuk i rzemiósł, przytem niezaprzeczenie tytuł Polaka. Zdolności jego były wielce we Francyi cenione, choć w teoryi ekonomicznéj, nic nowego nie napisał ani powiedział, ale miał zdrowy rozsądek, opinie umiarkowane i niezachwiane, wielki takt i ogromną pracowitość. Temi zaletami, które nie są wcale powszechne, stał się użytecznym swojéj nowéj ojczyźnie, niezapominając nigdy o dawnéj. Największa przysługa, jaką oddał Francyi była niewątpliwie ta, że zdrowym rozsądkiem swoim i uporną walką za swoim przekonaniem ustrzegł Izbę deputowanych w r. 1868 i 1869 od zaprowadzenia we Francyi jednometalowéj — to jest wyłącznie złotéj waluty jak tego chciało liczne a w pewnéj chwili przeważniejsze stronnictwo pod kierunkiem utalentowanego, ale trochę fantastycznego ekonomisty, niegdyś St. Simonisty, Michała Chevalier, którego popierał ogromnym wpływem swoim Journal des Debats. Będąc profanem w téj materyi muszę się powołać na

opinię kompetentnego w téj mierze pisarza, który zasługę Wołowskiego w Czasie a następnie w oddzielnéj broszurze*) w pełnem świetle wystawił.

Głównym argumentem stronników jedno metalowéj waluty były oscylacye zachodzące zbyt często w stosunku wartości złota do srebra. Wołowski bardzo logicznie argument ten zbijał. Dowodził — jak powiada ów bezimienny pisarz — „że gdzie dwumetalowa moneta jest zaprowadzona z ulegalizowaniem uskutecznienia wypłat jedną lub drugą podług wyboru płacącego, tam przewaga chwilowego kursu jednéj monety nad drugą utrzymać się nie może, bo jeśliby np. z jakichkolwiek przyczyn złoto nabrało chwilowo większéj wartości, wszyscy zaczną uskuteczniać wypłaty swe w srebrze jako tańszym środku uiszczenia się z swych zobowiązań, co wywołać musi większe poszukiwanie tego metalu, a tem samem zwyżkę jego kursu. Wyrównanie więc zachwianego na chwilę stosunku wartościowego obu metali zostanie niebawem przywrocone, uważał więc Wołowski wszelkie obawy wynikajace z zaprowadzania lub zatrzymywania dwumetalowéj waluty za płonne i niemające żadnéj podstawy ekonomicznéj, zwracał zaś uwagę na to, że do powszechnego zaprowadzenia waluty złotéj, jest jeszcze zamało złota w świecie, że potrzebom cyrkulacyjnym tylko oba metale mogą zadość uczynić, utrzymując nadto, że tylko szczególny zbieg okoliczności, któryby wielką ilość monety metalowej chwilowo w jednem państwie zgromadził, mógłby je uzdolnić do zaprowadzenia nagle u siebie wyłącznie

*) Ludwik Wołowski, w Krakowie, czionkami drukarni Czasu 1878.

złotéj monety, a i w takim nawet razie nie obyło by się bez chwilowych przesileń na targach pieniężnych.“

„Zaprowadzenie jednometalowéj waluty, mogło by też zdaniem jego, dla zbyt małéj ilości tego metalu zostającéj w obiegu, sprowadzić najokropniejsze finansowe katastrofy, w chwili, gdyby nadzwyczajne jakie wypadki, wymagały nagłego zlikwidowania niezwykle wielkich sum w brzęczącéj monecie.“

„Przekonywując wszystkich w ten sposób Wołowski przemawiał jakby wieszczym duchem. Ankiety, w których zdanie jego przeważyło, odbywały się we Francyi w latach 1868 i 1869, a w dwa lata potem operacye finansowe połączone z wypłatą kontrybucyi francuskiéj, stały się praktycznym dowodem, jakich katastrof finansowych unikła Francya przez to, że w chwili nałożenia kontrybucyi miała dwumetalową walutę i mogła się przez to dowolnie posługiwać tak targami, które miały złotą walutę jak i temi które miały mieszaną, lub wyłącznie srebrną.“

„Francya zapłaciła pięcio-miliardową kontrybucyę, używając na to podług raportu p. Leona Say, złożonego Izbie deputowanych, tylko 273 milionów złota, a 239 milionów srebra francuskiego, resztę złożyła w wexlach, których p r z e w a ż n ą część nabyła na targach walutę s r e b r n ą posiadających. Uiszczanie się w dwu metalach dozwoliło jéj rozdziału wypłaty na wszystkie główne targi pieniężne europejskie, ułatwiając przez to operacyę, która mimo poruszania tak znacznych sum, nie sprawiła żadnych wstrząśnień gwałtownych w zwyczajnéj cyrkulacyi pieniężnéj.“

W początkach cesarstwa Wołowski, usunąwszy się z politycznéj sceny, lecz chcąc być użytecznym Fran-

cyi stworzył instytucyę kredytu ziemskiego (Credit foncier) trochę na wzór towarzystwa kredytowego Polskiego. Możni emigranci, jak hr. Ksawery Branicki, książę Eustachy Sapieha i parę innych, wzięli w tem przedsiębiorstwie znaczny udział jako akcyonarjusze i dobrze na tem wyszli. Wołowski umieścił w biórach wielu emigrantów — ale zakład nie odpowiedział zupełnie celowi — kwestya kredytu ziemskiego nie trudna była do rozwiązania w Polsce Kongresowéj, gdzie ziemia podzielona na wioski, hypoteki bardzo porządnie urządzone a przychód z gospodarswa rolnego za czasów Lubeckiego wynosił najmniéj 6 %, ale we Francyi jest nierównie trudniejsza. Tam ziemia podzielona na przeszło 5 milionów parcelek, system hypoteczny zagmatwany a przychód w mniejszych tylko parcelkach dochodzi do 5 lub 6 %, większe własności nie przynoszą jak 3 %. Nic więc dziwnego, że system kredytowy ziemski na zasadach Lubeckiego przyjąć się dobrze we Francyi nie mógł. Kreacya Wołowskiego została znacznie zmieniona, dyrekcya przeszła w inne ręce, lecz i to nie wiele pomogło. Kredyt ziemski francuski utrzymuje się dziś raczéj z pożyczek na domy, niż na grunta, które lichwa ciągle uciska.

Jeżeli dobre chęci Wołowskiego odwrócenia téj plagi od gospodarstwa rolnego we Francyi nie otrzymały zupełnego skutku, to nie licząc owéj wielkiéj przysługi, o któréj tylko co mówiłem, tyle ile innych pomniejszych oddał on swojéj przybranéj Ojczyźnie jako członek izb prawodawczych, jako profesor, jako pisarz, że akademia umiejętności moralnych i politycznych, ogłosiła konkurs za najlepsze ocenienie, w rozprawie lub dziele oddzielnem, jego pism i jego działalności.

Obok Wołowskiego wymienić jeszcze można kilku innych emigrantów, którzy pracą także użyteczną dla Francyi wyrobili sobie mniéj świetne, ale niemniéj zaszczytne sytuacye. Było i jest jeszcze w emigracyi trzech oryentalistów pierwszorzędnych. Kazimierski najlepszy tłumacz Alkoranu na język francuski i tłumacz Sadiego na język polski; Aleksander Chodźko, dawniéj poeta pełen wdzięku, któremu Mićkiewicz wróżył świetną przyszłość, gdy był jeszcze Olesiem, późniéj badacz wschodnich literatur mianowicie perskiéj, dziś profesór literatury słowiańskiéj w „College de France“ i Kleczkowski synolog. W piśmiennictwie francuskiem Leonard Chodźko położył wielkie zasługi rozpowszechniając we Francyi znajomość historyi polskiéj, Krystyn Ostrowski zajął niepoślednie miejsce między poetami francuskiemi a Julian Klaczko między publicystami. Nakoniec dwóch emigrantów o ile mi wiadomo, dwóch Ostrowskich doszło do posad wysokich; jeden był naczelnikiem biura statystycznego w kompanii drogi żelaznéj z Paryża do Lyonu i Marsylii i pomieścił w tym biurze ile tylko mógł Polaków, drugi Ostrowski, Stanisław syn wojewody, miał znakomity urząd w ministeryum spraw wewnętrznych (dziś jest w Polsce).

Doszliśmy do najwyższych szczytów, do jakich dosięgli emigranci pracujący. Teraz zejdźmy na padół między tych, którzy nie pracowali i przeto nic nie zarabiali lub przemijające tylko mieli zarobki. Takich było w roku 1838 przeszło 1900, a w roku 1848 zapewne jeszcze z 1500.

Serce się kraje, myśląć o téj ogromnéj liczbie Polaków rzuconych losem na obcą ziemię bez innego sposobu do życia, jak te szczupłe subsydya, które Francya poczuła się w obowiązku im wypłacać, a które chroniły

ich tylko od głodowéj śmierci. Były one zastósowane do stopni wojskowych, jakie mieli w 1831 r. Żołnierze i podoficerowie pobierali w r. 1848 15 fr. na miesiąc, oficerowie niżsi od 25 do 30 fr. wyżsi od 30 do 50 fr. Jenerałowie 100 franków. Płaca niewojskowych była dosyć dowolnie ustanowioną. Posłowie byli porównani z jenerałami, to jest pobierali 100 franków miesięcznie. Mićkiewiczowi przysądzono jak widzieliśmy, w epoce gdy nie miał żadnéj posady, 80 fr., inni mieli daleko mniéj, po większéj części od 25 do 40 fr. miesięcznie. Do tego dodawał czasem rząd francuski na podania emigrantów i przekonawszy się dowodnie o ich rzeczywistéj potrzebie, jednorazowe wsparcia.

Zważyć należy, że w téj liczbie 1500 niepracujących, była niemal połowa starców niedołężnych lub nieumiejących wcale po francusku, a między nimi niektórzy mieli żony i dzieci. Druga połowa większa niepracujących emigrantów składała się podług statystyki policyjnéj z ludzi zdrowych, mogących pracować, lecz niemających roboty. Sądzićby można, że się lenili do pracy, a tak nie było. Wieluż to oficerów konstantynowskich, którzy jeszcze mieli siły, pracowało w różnych rzemiosłach, jakie zdołano im wynaleść. Byli zecerami w drukarniach, mianowicie u Martineta w Paryżu, drukującego polskie książki, rzemieślnikami w rozmaitych warsztatach, dozorcami w różnych zakładach i t. d. Pamiętam jednego starego wiarusa, niegdyś żołnierza w pułku lekkokonnym gwardyi Napoleona, późniéj wachmistrza w gwardyi Szaserów, a nakoniec kapitana, czy nawet majora w wojnie 1831 r., który ozdobiony krzyżami legii honorowéj i virtuti militari, był odźwiernym w dworcu drogi żelaznéj

w Amiens w bramie, przez którą wchodzili i wychodzili rzemieślnicy a obowiązkiem jego było zapisywać ich i pilnować, żeby nie wychodzili bez pozwolenia przełożonych. Nazywał się Miłodrowski, z czego Francuzi zrobili Milordowski, a przez skrócenie Milord. Raz przyjechał Napoleon III z żoną do Amiens i kawalerowie legii honorowéj przedstawiali mu się, to jest przeciągali rzędem przed nim w sali audyencyalnéj. W ich liczbie był Miłodrowski, wystrojony na tę okoliczność w dawną jakąś czamarkę, czapkę rogatą i z dwoma krzyżami swojemi na piersiach. Gdy przechodził przed Napoleonem, ten rzekł do żony dosyć głośno: Voilà un polonais. Miłodrowski usłyszał to, zrobił pół obrotu w lewo, stanął frontem przed Cesarzem, podniósł rękę do czoła i odezwał się śmiało: Oui, mon sire, (?) polonais. Napoleon uśmiechnął się, a lubo Miłodrowski wracając między legionistów, wykrzyknął jeszcze w dodatku na całe gardło: Vive l'empereur! nowy cesarz francuski ani pomyślał ulżyć ciężkiego losu osiwiałemu wojakowi z pod Samosierry, który podobnie jak wielu innych nie zważając na swoją biedę, obarczył się był liczną familią.

Wszystkie sposoby zarobkowania, które tylko co wymieniłem, były bardzo mizerne, a jednak nieżmiernie trudno było ich dostać. Do innych zaś trzeba było przysposobienia, na którem starym naszym wiarusom zbywało. Nie wielu ich, po kilkunastu latach pobytu we Francyi, lepiéj mówiło po francusku od Miłodrowskiego, większa część gorzéj jeszcze. Przytem edukacya w Polsce tak mało się liczyła z warunkami praktycznego życia, że rzadkim był Polak mający dobre pismo lub umiejący władać cyrklem, reisgrafem i piórkiem rysowniczem, czem

by mógł już był zarabiać sobie jako tako na życie we Francyi. Nic więc dziwnego, że na liczbę przeszło 5,000 emigrantów polskich we Francyi w r. 1838, było 870, a w r. 1848 ze 600 przynajmniéj, którzy nienależąc do kategoryi starców lub niedołężnych nie mogli jednak żadnego wyrobić sobie stałego sposobu do życia. Miewali niektórzy przemijające zarobki i to były chwile szczęśliwe w ich życiu, ale potem trzeba było wracać do biedy z ciężkim żalem w sercu. Większa część i takich chwil nie miała, bo za przemijającym nawet zarobkiem trzeba było czynić wiele zachodów, prosić, przypominać się, kłaniać, a stary wiarus wolał najczęściéj poprzestać na suchym kawałku chleba, niż podobnemi upokorzeniami okupywać sobie niedługo trwałą ulgę w biedzie.

Ludzie ci z hardą duszą, o to tylko dbali, żeby się nikt nad nimi nie litował, żeby nikt nie domyślił się, że cierpią głód, że nie mają ognia w zimie, że w chorobie niestaje im na lekarstwo. Przez 10, 20, 30 lat grali oni tę straszliwą komedye nadrabiania miną, aby sądzono, że im na niczem nie zbywa, gdy tymczasem życie ich było powolnem konaniem.

Znałem dobrze jeden egzemplarz tego rodzaju. Był to pułkownik czy podpułkownik saperów z r. 1831, Franciszek Gawroński. W końcu r. 1849 przebywając dla prywatnych interesów kilka tygodni w Lyonie, gdzie on mieszkał, byłem świadkiem jego życia i odmaluję go wiernie ze wszystkiemi szczegółami.

Pułkownik Gawroński mały, szczupły staruszek z białą głową i dobrotliwą fizyonomią, żył z 45 franków miesięcznego żołdu; ziomkowie chcieli mu dać sposób powiększenia sobie dochodu i nastręczyli mu komis do

sprzedawania jakiegoś mydełka marsylskiego, nowo wynalezionego, i któremu przypisywano wysokie zalety. Na usilne ich namowy zgodził się stary pułkownik spróbować tego chleba; główny komisant do sprzedarzy owego mydełka, dobrze go wyuczył jak ma towar zachwalać, i pułkownik nasz zrobiwszy znak krzyża świętego, puścił się w wędrówkę po Lyonie. Zaszedł do jakiegoś kupca zamożnego, ktory między innemi rzeczami sprzedawał także i mydełka. Ten widząc człowieka poważnego, dekorowanego, z białą głową przyjął go z największą grzecznością i poprosił do swojego gabinetu, ale gdy mu pułkownik zaczął prawić swój boniment, poznawszy, że to nie jest klient, tylko komisyoner, zmienił nagle ton i przerywając mu odezwał się: Qu'est ce que vous me chantez là? (Co mi tam pan śpiewasz?) Stary wojak zarumienił się jak panienka, ręce mu opadły i wszelka odwaga go odeszła. Daremnie Francuz chciał naprawić swoje trochę rubaszne słowa, wziąść nawet mydełek na próbę, pułkownik tak był zrażony, że skłoniwszy się wyszedł czemprędzéj, mówiąc sobie, że go już drugi raz nikt nie złapie na prawieniu wyuczonych bonimentów. Postanowił poprzestać na swoich 45 frankach na miesiąc i żadnych innych zysków nie szukać. Tego postanowienia trzymał się aż do końca życia z niezłomną wolą. Budżet jego rozkładał się w następujący sposób: 10 franków płacił za mieszkanie, uważał to za zbytek, ale usprawiedliwał się, że w ciasnéj, dusznéj i ciemnéj izdebce niepodobnaby mu było mieszkać, że mu świeże powietrze, światło i widok na świat są niezbędnie potrzebne do życia; stancyjka też jego była porządna, dosyć obszerna na drugiem piętrze, z oknem na wybrzeże Saony. Miał przyzwoite mebelki,

a podobnie jak u wszystkich starych żołnierzy w emigracyi, nad łóżkiem jego wisiały różne pamiątki z dawnych czasów, jego szpada, ryndgraf, para pistoletów, portrety Kościuszki, księcia Józefa, Chłopickiego i obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj; 15 franków odkładał na ubranie, pranie, opał w zimie i różne drobne, tudzież niespodziewane wydatki, ubierał się bardzo przyzwoicie a nawet trzymał się mody, ale ubranie kupował na tandecie, a bieliznę na wyprzedażach zbytecznéj bielizny żołnierskiéj w koszarach. Zostawało mu na życie i fajeczkę 15 franków. Miał za to śniadanie, zupę z rzepy, którą mu udzielała ze śniadania swojéj rodziny pani szewcowa sąsiadka przez ścianę i przy tem bułeczkę świeżą; na drugie śniadanie kawałek chleba z masłem, na obiad idem, czasem z małym dodatkiem wędlinki; wieczór kiedy był w domu jeszcze toż samo, niekiedy pił herbatkę przyrządzoną na spirytusie a fajeczek pozwalał sobie pięć na cały dzień, ani jednéj więcéj. Dołożyć należy, że czynił jeszcze oszczędności w tym biednym budżecie, ażeby mieć 5 franków zawsze w kieszeni na wsparcie biedniéjszych jeszcze emigrantów, którzy się zgłaszali do niego. Dwa razy na tydzień jadał obiad u przyjaciół emigrantów mających familie i będących w położeniu pomyślnem, którzy, jeden i drugi usilnie go prosili, ażeby się u nich stołował, ale nigdy się na to zgodzić nie chciał i zaledwo otrzymali od niego te koncesyę, że u każdego raz na tydzień gościł. Skrupulatność posuwał do tego stopnia, że odemnie, który u niego niegdyś przesiadywałem, nie chciał przyjąć nigdy ani śniadania, ani obiadu. Parę tylko razy wciągnąłem go prawie gwałtem na filiżankę kawy lub szklankę piwa do kawiarni. Dopiero gdy w zupełną popadł niemoc, dał się

nakoniec uprosić, żeby się przeniósł do domu jednego z owych najściślejszych przyjaciół swoich, do Urbanowskiego, wzbogaconego wynalazcy, u którego umarł.

Pułkownik Gawroński był to człowiek nader dobrotliwy, cichy, słodkiego charakteru, z młodszymi emigrantami obchodził się po ojcowsku, z biedniejszymi dzielił się czem miał. Wierzył święcie w odrodzenie przyszłe Polski, wierzył nawet w jakiś przyszły wiek złoty i pod tym względem zbliżał się trochę do utopistów. System Cabeta go zachwycał. Czytał i odczytywał jego Voyage en Jcarie i wymógł na mnie, żem tę dziecinną elukubracyę, nad którą można zasnąć stojący, jak mówią Francuzi, przeczytał od deski do deski.

Bywały jednak chwile czarne w jego życiu, kiedy natura w nim protestowała przeciw istnieniu, jakie prowadził, samotnie, na obcéj ziemi, o głodzie i bez żadnéj pociechy i wtenczas wspomnienia czasów szczęśliwszych oblegały go i szarpały mu serce, bo, jak mówi wieszcz „Boskiéj komedyi“:

......Nessun magior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria..........

W takich chwilach poczciwy pułkownik był cierpki, zgryźliwy, gorzki; trzeba było uciekać od niego, lecz chwile te były bardzo rzadkie. W towarzystwie rodaków czoło jego było zawsze pogodne i nikt domyśleć się nie mógł, ile ten starzec czasami zmęczony był życiem.

Było może niewielu wśród starych wiarusów w emigracyi, którzy zachowali w ciężkiéj biedzie podobną słodycz charakteru jak Gawroński, ale nie małoby można naliczyć takich, którzy przynajmniéj nieskażoną godność

charakteru utrzymać potrafili, żyjąc z mniejszego nawet jeszcze żołdu, z 30 i z 25 franków na miesiąc. Jak żyli? O tem trzeba się było od nich samych wywiadywać lub od tych, co byli świadkami ich życia; inaczéj niktby słowa takiéj zagadki nie dociekł. Mogę zapewnić, że nie jeden chodził na targowisko i zbierał ukradkiem leżące na ziemi listki kapusty, nadpsute marchewki, rzepki i kartofle, o które przekupki nie dbały, i oczyściwszy je, okroiwszy, dołożywszy do nich chleba, gotował sobie z tego zupę na przenośnym glinianym piecyku (fourneau) a na drugą potrawę kawałek chleba i czasem wędliny. Wiem także o jednym emigrancie, że się żywił głównie rzodkwią czarną, gotowaną i posypaną miałkim cukrem, przekonawszy się, z doświadczenia, że to jest pożywienie dosyć posilne. Ludzie ci byli po większéj części uparci w swojéj biedzie i trudno ich było namówić, żeby przyjęli lepszy obiad, bo i pycha ich na tem cierpiała i żołądek ich już nie znosił posilniejszej strawy. Mićkiewiczowi udało się, w czasach swojéj pomyślności, jednego z tych stoików ściągnąć na obiad do siebie pod jakimś pretekstem, ażeby go raz dobrze pokrzepić. Kilka osób było na tym obiedzie dosyć wytwornym, lecz stoik, o którym mowa, skosztował tylko potraw najprostszych, lepszych nie tknął; nalano mu wina, zbliżył go do ust, poczuł, że dobre Bordeaux i kieliszek odsunął z giestem tak stanowczéj woli, że nie śmiano bardzo nań nalegać, aby go wychylił. Postać ta wychudła i pyszna w swojéj nędzy starannie ukrytéj, wzbudziła u wieszcza najwyższy szacunek dla siebie i lubił o niéj wspominać.

Do téj kategoryi emigrantów przyłączał się pod pewnym względem Lelewel, to jest przyłączał się na pozór,

bo w rzeczywistości stanowił on typ oddzielny, sui generis. Jadąc do Francyi, zatrzymałem się umyślnie dzień jeden w Brukseli, ażeby go poznać i złożyć mu hołd mój, jak to już wspomniałem na właściwem miejscu. Miałem tytuł do podobnéj natrętności. Byłem bowiem trochę spowinowaconym ze słynnym badaczem. Jedna siostra jego była za dalekim kuzynem moim Józefem Nosarzewskim. Znałem przytem bardzo dobrze jego brata Prota, pułkownika inżynieryi polskiéj w 1831 r., który ze swoją dosyć liczną familią mieszkał w sąsiedztwie moich bliskich krewnych i przynosiłem od nich panu Joachimowi interesujące dla niego nowiny, ale przystęp do niego był zupełnie wolnym dla każdego, kto tylko chciał z nim mówić. Nie potrzeba było żadnego pretekstu. Nie lubił nawet, żeby pukano do jego drzwi, chciał żeby wchodzono bez żadnéj ceremonii, uważając wszelkie ceremonie za przeciwne duchowi demokracyi.

Od przybycia swojego do Brukseli w roku 1833 aż do wyjazdu w r. 1871, kiedy doktor Gałęzowski i Eust. Januszkiewicz gwałtem go prawie wywieźli umierającego do Paryża do domu zdrowia doktora Dubois, mieszkał Lelewel w jednem i temże samem miejscu, przy ulicy Des Eperoniers Nr. 18. Miał na pierwszem piętrze nad szynkownią (Estaminet) dwa pokoiki i mały alkierzyk, ale w jednym tylko pokoiku pracował, sypiał i zwykle przyjmował przychodzących; drugi, niby trochę lepiéj umeblowany, służył na nadzwyczajne okoliczności.

Zastałem go nad stolikiem obładowanym książkami i papierami i koloryzującego mapy do swojego francuskiego dzieła, wydanego w r. 1851, Géographie des Arabes. Lubo nie był jeszcze bardzo starym, miał wten-

czas 62 lat, wyglądał jak dziadek kościany, wychudły, wyżółkły, z rzadkiemi, siwemi i dosyć długiemi włosami, które snać nie często z grzebieniem się spotykały. Miał na sobie wyszarzany płaszcz granatowy z krótką pelerynką podług mody 1822 r. W lecie chodził nietylko w domu, ale nawet na ulicy, w bluzie rzemieślniczéj i chodakach drewnianych.

Zacząłem z nim rozmowę, opowiadając mu owe nowiny od familii, na które liczyłem, że go żywo zajmą, ale słuchał mnie w milczeniu z jakimś idiotycznym uśmiechem, jak gdyby nie bardzo rozumiał, co mu mówię. Smutno mi się zrobiło na sercu; myślałem, że wielki ten pracownik już zdziecinniał. Gdym atoli zwrócił rozmowę do prac, które miał przed sobą, wnet inteligencya zabłysła w jego oczach i całéj jego fizyonomii. Uśmiech idiotyczny zmienił się w lekko szyderczy, do jakiego usta jego zdawały się naturalnie przykrojone i od téj chwili rozgadał się szczerze.

Opowiadał mi odkrycie geograficzne, jakie świeżo uczynił i wskazał mi go na mapie. Było to jakieś, znikłe już podobno, miasteczko w Arabii nadeufrackiéj, wspomniane przez pisarzy starożytnych, a o którego położenie spierali się badacze nowożytni. Dawszy mi to objaśnienie, rzekł tonem, w którym przebijał jakby wewnętrzny tryumf: „Otóż ja znając troszkę język arabski, wniósłem z etymologii nazwy owego miasteczka, że zbudowane być musiało w pobliżu jednéj z tych dolin solnych tak obfitych w tych stronach, i idąc za tą skazówką oznaczyłem z łatwością jego położenie dokładne tak, że opisy starożytnych pogodzić się dały.“ Był z tego uradowany, jak gdyby odkrył Altantydę, albo źródła Nilu. Gotów był niemal wołać na

ulicach Eureka! jak Archimedes. Ta radość naiwna wtajemniczyła mnie nieco w życie owych cierpliwych szperaczy, oderwanych od rzeczywistości obecnéj i spędzających dnie od rana do nocy nad spleśniałemi foliałami, nie dbając o żadne przyjemności świata, o zaspokojenie nawet głodu lub pragnienia. Rozwiązanie jednéj jakiéjś zagadki z zamierzchłéj przeszłości jest dla nich rozkoszą, która im wynagradza długie lata mozolnéj pracy i abnegacyi; gonią też za nią równie namiętnie jak chciwcy za złotem, ambitni za władzą, Lowelasy za miłosnemi tryumfami.

Żałowałem, żeśmy następnie zeszli do polityki i do wypadków 1831 r., bo uczony nasz ziomek ukazał mi się mniéj sympatycznym. Żyjąc w książkach a nie znając ludzi, wyrobił on sobie pewne wyobrażenia polityczne i pewne prawidła życia zupełnie abstrakcyjne, zbliżające się z jednéj strony do teoryi Russa, z drugiéj strony do filozoficznego cynizmu Diogenesa. Przykład urzeczywistnionéj teoryi Russa widział w Słowiańszczyźnie przedchrześciańskiéj i już Chrobremu darować nie mógł, że na tym gruncie, tak doskonale przygotowanym do demokratycznéj uprawy, zbudował monarchię szlachecką — na obronę któréj to jednak powiedzieć można przynajmniéj, że ośm wieków trwała i nie bez sławy.

Lelewel oderwany od swoich foliałów i z takiemi wyobrażeniami o władzy, odgrywał w powstaniu 1830 r. dziwną rolę; był członkiem rządu narodowego a zarazem prezesem nominalnym tak zwanego Towarzystwa patryotycznego i patronem jawnym najskrajniejszych dzienników, które wraz z owem towarzystwem podkopywały Rząd Narodowy i w końcu go obaliły, ażeby zostawić wolne pole

krwawéj anarchii w chwili gdy nieprzyjaciel już zagrażał stolicy.

Nikt jednak Lelewelowi postępowania jego politycznego nie wyrzucał. Żył na wygnaniu otoczony czcią swoich i obcych. Ci nawet, którzy najwięcéj żalić się na niego mogli, widzieli w nim już tylko uczonego badacza, którego ogromne i użyteczne prace przeważyły szalę jego win politycznych. Ale Lelewel nie miał ze swojéj strony podobnéjże wyrozumiałości dla nich. Przeciwnie, czas rozszerzył był przepaść, jaka go od nich dzieliła. Wbił on sobie w głowę, że to byli zdrajcy przekupieni i nie zdając sobie sprawy z moralnego i materyalnego niepodobieństwa, o które się podobne oszczerstwa rozbijały, rozpowiadał mi ze szczegółami jak i kiedy, za jaką cenę nawet byli przekupieni i jakie miał kiedyś na to w ręku swoim dowody. Mówił spokojnie z owym uśmiechem szyderczym, który z ust jego nie schodził, jak gdyby był najpewniejszym tego, co mi rozpowiadał. Przeraził mnie ten ton. Nie przypuszczałem nigdy, ażeby człowiek, poświęcony pracy naukowéj, wyszedłszy z teoretycznych zasad mógł dojść do tak ślepéj, tak zapamiętałéj nienawiści ku pewnym rodakom, dla tego jedynie, że postępują podług innych przekonań. Możnaby, przekręcając lekko znany wiersz francuskiego poety, wykrzyknąć: „Boże! wieleż to może być żółci w duszy uczonego.“

Co do sposobu życia Lelewela, który przypominał Diogenesa, jak to nadmieniłem, ten nie czyni mu zapewne ujmy, ale trudno też w nim widzieć wielką zasługę z jego strony. Lelewel żył w nędzy, bo tak mu się podobało. Gdyby był chciał, miałby był bardzo przyzwoite utrzymanie ze swoich prac, bo pracował ogromnie, a na każde

dzieło, zaledwie skończone, znajdował wnet wydawców. Oto spis chronologiczny tych, które dokonał w Brukseli, tak w polskim jak we francuskim języku:

1835. Polska odradzająca się: Numismatique du moyen âge.

1836. Pytheas de Márseille et la géographie de son temps.

1837. Dzieje Polski potocznie opowiadane.

1839. Dzieje Litwy i Mało-Rusi aż do Unii z Polską.

1840. Etudes Numismatiques et Archéologiques.

W 1841 roku miasto Bruksela zbywając swój zbiór numizmatyczny rządowi, wezwało Lelewela, ażeby go skatalogował i ocenił. Nasz uczony zajął się tą pracą gorliwie i rok cały nad nią strawił.

1844. Wydał w tłumaczeniu francuskiem: Polska odradzająca się, z dodatkiem obszernéj rozprawy pod tytułem: Considération sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de son peuple, 2 tomy. Od tego roku zaczyna Żupański wydawnictwo jego dawniejszych rozpraw, rozbiorów, tudzież dzieł nowych, jak „Polska średnich wieków" i inne.

Jednocześnie z temi dziełami większych rozmiarów pisał artykuły i rozprawy to po polsku, to po francusku do różnych przeglądów uczonych i encyklopedyj. Na żądanie ś. p. Bobrowicza napisał trzy wielkie rozprawy do nowego wydania Niesieckiego.

W r. 1848 zastałem go nad dwiema pracami w języku francuskim: Géographie des Arabes, która już była ukończona i mapy tylko do niéj koloryzował; wyszła w r. 1851 w dwóch tomach i Géographie du Moyen

âge, którą powolnie od kilkunastu lat już układał, lecz dopiero w r. 1857 wydaną została w 4 tomach.

Jakimże sposobem przy takich pracach, wychodzących na świat jedna po drugiéj, i z których każda rzucała żywe światło na jakąś ciemną stronę ubiegłych wieków, jakimże sposobem zarabiał tyle tylko, żeby z głodu nie umrzeć? Na to odpowiem jednym przykładem cen, jakie sam naznaczał za swoje prace. Gdy skatalogował, opisał i ocenił zbiór numizmatyczny miasta Brukseli, prosił go magistrat, ażeby sam oznaczył cyfrę honoraryów, jakie mu się należą. Otóż Lelewel policzył sobie 1 franka za dzień; więcéj pomimo nalegań magistratu przyjąć nie chciał, i za cały rok pracy wziął wszystkiego około 300 franków, bo święta nie wchodziły oczywiście w jego rachunek.

W podobnymże stosunku kazał sobie płacić wydawcom za swoje dzieła, z czego wynikło, że oni zarabiali po kilka lub może kilkanaście tysięcy franków na każdem wydaniu, a on żył jak nędzarz, obywał się bez ognia w zimie i żywił się głównie mlekiem, serem i chlebem, których zapasik na cały dzień kładł na półce swojéj biblioteki między książkami, czasem dodawal do tego jakąś mięsną potrawę, lub kawałek ryby, zawsze na zimno. Raz na tydzień pozwalał sobie filiżankę kawy, którą brał z szynkowni na dole, a w lecie, gdy był spragniony, szedł na miasto w bluzie po butelkę piwa „faro.“

Rano obsługiwała go stara wiwandierka polska, jeszcze z czasów wojen napoleońskich. Chlubiła się ona, że książę Józef w bitwie pod Lipskiem wypił z jéj flaszy ostatni kieliszek wódki, poczem rzucił się w Elstrę. W 1831 r. wróciła do swojego dawnego rzemiosla i wy-

szła z wojskiem za granicę. Ta wysłużona wiwandierka była największym zbytkiem Lelewela. Pomimo całéj filozofii swojéj nie potrafił się wdrożyć do zamiatania samemu swojéj izby i słania swego łożka. Zresztą żył biedniéj, jak to widzieliśmy, niż najbiedniejszy wyrobnik brukselski, a że to była bieda dobrowolna, łatwo pojąć, iż żadnéj pomocy od bogatszych współziomków nie przyjmował, że ją nawet z dumą odpychał. Znana jest dość powszechnie anegdota o tym piecyku żelaznym, który jedna z dam naszych kazała w czasie nieobecności jego postawić w biednéj, nieogrzanéj izbie, gdzie pracował i sypiał, a on wróciwszy do domu natychmiast go za drzwi wyrzucił. Wiadomo także, że dopiero na wymagania usilne gospodarza domu w zmowie z tą damą, zezwolił, ażeby przeprowadzono rurę z sąsiedniego pieca przez jego izdebkę. Ta jedna rura ogrzewała go w zimie, ale ogrzewała nieźle, bo będąc u niego w grudniu nie czułem wcale zimna. Również trudno było uprosić go, żeby przyjął śniadanie lub obiadek. Czynił to tylko dla dawnych przyjaciół, których już nie podejrzywał, że go zapraszają li tylko z litości, i z którymi pragnął się nagadać. Łatwiéj go było skusić ponętą kawy, którą bardzo lubił, jak większa część ludzi pracujących umysłowo, lecz przyjąć pomoc rzeczywistą od drugich, choćby od szczerych przyjaciół, było dla niego rzeczą najwstrętniejszą, nawet gdy już był umierającym. W rzeczy saméj, w 1861 roku wielki badacz już wówczas 75cio letni starzec, zapadł na chorobę, która go w krótkim czasie porwać miała. Na wiadomość o tem, i wiedząc przytem że jest pozbawiony wszelkiéj pomocy lekarskiéj, doktor S. Gałęzowski, uczeń jego z uniwersytetu wileńskiego i Eustachy Januszkiewicz pospieszyli do

Brukseli z postanowieniem, ażeby go koniecznie wywieść do Paryża do domu zdrowia doktora Dubois, ale musieli uciec się do fortelu subtelnie obmyślonego, aby go do tego nakłonić. Powiedzieli mu, że wydawcy zrobiwszy grube pieniądze na jego dziełach, powodowani uczuciami sprawiedliwości, wdzięczności, czci dla niego, nie mniéj jak własnym swoim interesem, który każe im troszczyć się o życie i zdrowie tak użytecznego im pracownika, przysłali komitetowi polskiemu pewną sumę na jego kuracyę. Na takie zapewnienia, kilkakrotnie powtórzone, dał się nakoniec Lelewel wywieść do Paryża, lecz przyjechawszy do domu doktora Dubois, gdy zobaczył pokój przeznaczony dla niego, przyrządzony z pewnym konfortem, to jest z wszelkiemi wygodami połączonemi z elegancyą, zaczął się na nowo zżymać, nie chciał w tym pokoju zostać, wołał, że mu chcą czynić jakieś łaski, których on nie potrzebuje i nie przyjmuje; trzeba było znowu Gałęzowskiamu i Januszkiewiczowi twierdzić uparcie, że cały ten konfort jest opłacony zarobionemi przez niego pieniędzmi, które wystarczą mu przynajmniéj na dziesięć lat wygodnego życia. Uwierzył temu w końcu i został w owym pięknym pokoju, lecz nie przestał sarkać na niepotrzebny zbytek jaki mu narzucają. Niedługo niestety używał go, bo w trzy dni po przyjeździe do Paryża umarł na wygodnem łóżku doktora Dubois.

Ogromna popularność, jaką sobie pozyskał, przy końcu życia jego dopiero okazała się w pełnem świetle. Człowiek ten, który żył tak biednie, skończył, rzec można, tryumfalnie. W Brukseli cała prawie ludność rzemieślnicza odprowadziła go z domu do dworca kolei żelaznéj, uważając go za patryarchę demokracyi. W dworcu hołd mu

składały deputacye młodzieży uniwersyteckiéj z Bruxelli, Gandawy, Lowanium, Leodium. Rodacy obecni w Bruxelli byli tam wszyscy zgromadzeni i żegnali go z czcią i głębokiem rozrzewnieniem, a w Paryżu, na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili go najznakomitsi uczeni Francyi, oraz wszyscy emigranci przebywający w téj stolicy.

Nie do mnie należy oceniać w Lelewelu niespracowanego badacza przeszłości na tak rozmaitych polach, ale wolno mi streścić w kilku słowach szczerych wrażenie jakie na mnie sprawił. Lelewel był zagadką któréj słowem bodaj czy nie była wielka duma ukryta pod pozorami dobroduszności, demokracyi i abnegacyi najwyższéj.

Ale duma a próżność to nie jedno. Duma jest czasem ogromną siłą — podporą wielkich charakterów, kiedy jak u Lelewela łączy się z najczystszym patryotyzmem, najszlachetniejszą bezinteresownością, bystrym rozumem, ogromną wiedzą i niezmordowaną pracowitością. Wtenczas duma w charakterze wszystkie te przymioty spaja, potęguje i wytwarza człowieka, dla którego nie ma nic trudnego na drodze przez siebie obranéj. Lelewel zyskał sobie sławę europejską przez odkrycia, jakie poczynił na różnych polach badań historycznych i wdzięczną cześć swojego narodu za światło, jakie rzucił tak obficie na nasze dzieje ojczyste, a Bóg jeden wie, ile go to mozolnéj pracy kosztowało. — Wspomnienie tego uczonego, żyjącego na wygnaniu biedniéj niż nie jeden żebrak, wprawdzie nie rozczula mnie bynajmniéj, bo wiem, że tę biedę cierpiał dobrowolnie, aby pokazać wierność swoją zasadom demokratycznym posuniętym w życiu prywatnem, aż

do Diogenesowskiego cynizmu, ale jakże nie podziwiać potężnéj woli i żelaznéj wytrwałości tego starca, który przez trzydzieści ostatnich lat życia swojego, gdy go już siły fizyczne opuszczały, od téj roli na chwilę nie odstąpił i jakże nie żałować, że mąż taki nie pojął w r. 1831 na stanowisku ważnem, do jakiego go opinia publiczna wyniosła, iż dla polskiego narodu wszelkie zadania polityki wewnętrznéj i urządzeń społecznych były w owéj chwili na dalekim planie w obec téj jednéj, straszliwéj — trzymającéj nas wszystkich za gardło, Hamletowskiéj kwestyi — „Być albo nie być.“

XIII.

Jeżeli w emigracyi znalezli się ludzie, którzy potrafili zgodzić się z najcięższą biedą i znosić ją stoicznie przez długie lata wygnania — zrzekłszy się wszelkiéj nadziei polepszenia swojego losu jak chyba po odzyskaniu Ojczyzny — to nie mało było i takich, którzy przeciwnie gonili za widziadłem fortuny po zwodniczych drogach wynalazków i projektów różnego rodzaju. Było ich, mówię nie mało, bo nawet spytać można, kto w emigracyi, prócz owych wiarusów zupełnie na biedę zrezygnowanych, nie próbował choć raz coś wynaleść — coś wykombinować, coby mu zabezpieczyło na wygnaniu byt spokojny, nie zawisły i użyteczny współziomkom. Dembiński był wynalazcą, Mićkiewicz był wynalazcą, jak przynajmniéj twierdzi Niewarowicz, który opowiada, że mu wygotowywał rysunki dla przedstawienia na papierze jakiegoś wynalazku wyszłego z jego poetycznéj głowy. Wynalazcami byli emigranci naukowo wykształceni, którzy łamali sobie głowy nad zadaniem mechaniki lub chemij

w zastósowaniu do przemysłu, byli i prostaczkowie, którzy trzymali się poziomu i kombinowali tylko jakieś ulepszenia w rzeczach drobnych służących do powszechnego użytku; a wszyscy wychodzili z téj zasady, że w kraju tak ucywilizowanym, tak przedsiębierczym, tak bogatym jak Francya, dosyć jest rzucić między spekulantów myśl nową, — wielką czy małą — byle użyteczną, zabezpieczywszy ją sobie — ma się rozumieć — brewetem, ażeby ci ją natychmiast pochwycili i wprowadzili w życie a niedługo czekając zacznie przynosić autorowi i przedsiębiorcom złote owoce. Był to jeden z mirażów które się przedstawiały naszym wychodźcom w ich smutnéj pielgrzymce. Spekulanci bowiem ani we Francyi, ani w żadnym innym kraju nie są pochopni do chwytania wynalazków, z których jeden ledwo na tysiące pokazuje się rzeczywiście praktycznym, jak tego dowodzi sama statystyka brewetów, ale któryż wynalazca przypuszcza, że jego pomysł może być nie praktycznym póki go boleśne doświadczenie nie nauczy mniéj ufać tak zdradnéj kusicielce jaką jest miłość własna, przeważnie wpływająca na pracowników tego rodzaju.

Najrzutniejszym z takowych w emigracyi był jak sądzę jeden z kolegów moich w korpusie kadetów, którego na ławkach szkólnych nazywaliśmy Waćko. Był to wtenczas gładki i miły chłopczyk wychowany w dostatkach i który pod mundurkiem kadeta przechowywał układ panicza z wrodzonym pociągiem do światowego życia. W emigracyi, gdym go pierwszy raz widział trudno mi było poznać dawnego Waćka. Z młodzieniaszka uśmiechającego się do świata zrobił się człowiek rozgorączkowany,

roznamiętniony, prawiący tylko o swoich wynalazkach i projektach, a samo ubranie jego świadczyło, że żadnego z nich jeszcze plonu nie zebrał. Biedny Waćko! Poniósł on na wygnanie swoje nawyknienia i zachcianki paniczowskie. Nie chciał się wprządź do żadnéj obowiązkowéj pracy, nie czując w sobie dosyć cierpliwości i dosyć rezygnacyi, ażeby zaprzedać cały swój czas i postępować powoli, mozolnie i smutnie od 100 fr. na miesiąc do 120 do 150 a w najdalszéj perspektywie do 200. Liczył na swój geniusz, więcéj może jeszcze na swoją gwiazdę i obiecywał sobie, że jednym szczęśliwym pomysłem zdobędzie fortunę i sławę. W téj nadziei przestawał na subsydyach i skromnych bardzo zasiłkach od rodziny; cierpiał biedę, ale głowa jego stała się istnem laboratorium projektów, wynalazków, wymysłów wszelkiego rodzaju. Nie było kwestyi ekonomicznéj, finansowéj, przemysłowéj, wprowadzonéj na porządek dzienny w izbach prawodawczych lub w polemice dziennikarskiéj, w którejby on nie wystąpił z rozwiązaniem, rozwiniętem w broszurze lub memoryale rękopiśmiennym. Posyłał te elukubracye ludziom kompetentnym i najczęściéj odbierał od nich odpowiedzi, któremi pugilares jego był napełniony. Pokazał mi je za pierwszem zaraz widzeniem się naszem. Były to listy nader grzeczne, podchlebne nawet, tylko po komplementach następowało zawsze jakieś złowrogie ale, które całą wartość jego pomysłu podawało w wątpliwość. Po wielu latach takiéj walki, kruchym orężem który się zawsze w jego ręku łamał, Waćko uczynił wielkie wysilenie i niewątpił, że marzoną fortunę ma już ręką. Chodziło o oczyscenie portu Marsylii, który zmienił się był w brudną kałużę ziejącą niezdrowemi miazmami. Podniesiono tę ważną kwestyę

w izbie deputowanych, rząd się nią zajął, dzienniki ją roztrząsały i podawano najrozmaitsze projekta, aby złemu zaradzić. Waćko wstąpił w szranki z planem kolosalnym — proponował wykopanie sieci kanałów i zdobycie na morzu różnych zasp podwodnych a na tych zaspach zmienionych w wyspy budować doksy. Tym sposobem zmieniał nadbrzeżną część Marsylij w drugą Wenecyę. Zarazem osuszał Camargę, bagnistą deltę Rodanu i pozyskiwał na uprawę rozległą przestrzeń ziemi namułowéj. Było to wspaniałe na rysunku, tylko koszta takowego przedsięwzięcia podług własnych wyrachowań Waćka przenosiłyby 1,500 milionów i to było znowu ogromne ale które cały jego projekt przerzucało w dziedzinę tysiąca jednéj nocy. Waćko był nim jednak tak upojony, że ani słuchać chciał żadnéj uwagi pod tym względem i nigdy mi nie przebaczył, żem się poważył, gdy ten projekt rozwijał przedemną, lekko powątpiewać, ażeby go rząd zatwierdził. Od téj chwili noga jego już więcéj u mnie nie postała. W kilka miesięcy późniéj powiedziano mi, że sprawa jego wzięła pomyślny obrót, że kilku kapitalistów Marsylskich olśnionych perspektywą wspaniałą jaką otwierał dla ich ukochanego miasta, dostarczyło mu funduszów na uzupełnienie potrzebnych studyów i że szuka inżynierów — budowniczych — rysowników — przepisywaczy — do bióra które zakłada. Niebawem spotkałem Waćka samego pod arkadami ulicy Rivoli, ubranego podług najświeższéj mody z teką pełną papierów pod pachą i miną tryumfującą. Powitał mnie zimno — oznajmił mi w kilku słowach, że wykonanie jego projektu jest zapewnione — poczem skinął na przejeżdżającego fiakra — skłonił mi się protekcyonalnie

i siadając do powozu zawołał dosyć głośno, ażebym go pod arkadami mógł uszłyszeć: „Do ministerstwa robót publicznych!“

Złoty ten sen trwał kilka tygodni i skończył się jak wszystkie inne — żałosnem przebudzeniem. Ministerium robot publicznych odrzuciło projekt Waćka a zatwierdziło inny wypracowany jednocześnie przez inżynierów rządowych, który polegał na tem, ażeby po prostu wyszlamować stary port na użytek statków przybijających do Marsylij z podróżnemi i wybudować nowy w wielkich rozmiarach tak, aby mógł pomieścić wszystkie okręty handlowe krążące na środziemnem morzu. Skutek okazał, że rząd francuski miał słuszność. Zatwierdzony przez niego projekt, od wielu lat już wykonany, zostawił wprawdzie Camargę jak była i niezmienił Marsylij w drugą Wenecyę, ale podniósł ogromnie jéj pomyślność i zrobił z niéj, nie tylko największe, ale i najwspanialsze targowisko na śródziemnem morzu, za cenę o wiele razy mniéjszą od kosztorysu Waćki. Czy ta ciężka przegrana wyleczyła go z manij projektów i wynalazków? podobno że nie zupełnie. Zapewniano mnie, że zostawił sobie w odwodzie jedno wielkie zadanie, nad którym ciągle przemyśliwał i o możebności rozwiązania którego ze wszystkiemi się spierał, a było to nic innego jak p e r p e t u u m m o b i l e. Miał już jeden czynnik do takiego mechanizmu, to jest silę ciężkości n. p. ładunek na wozie — chodziło tylko o drugą siłę, którąby z ciężkością walczyła i wprowadzała koła w taniec, jak owa siła dotąd nieznana pchająca planety w przestrzeń, która walcząc z atrakcyą słoneczną urzeczywistnia p e r p e t u u m m o b i l e w systemacie świata.

Wykradłże Waćko te drugą siłę naturze? wątpić o tem można.

Waćko przedstawiał typ wynalazcy tragicznego ustroju. Każdy pomył wykwitły w jego głowie fanatyzował go — żadnego nie poddawał pod zimną i wszechstronną rozwagę — w każdy z nich z kolei wierzył jak w wyższe natchnienie — na nim budował całą przyszłość swoją — a kto wiary jego nie podzielał tego uważał za człowieka zawistnego i swojego osobistego nieprzyjaciela. Każde też rozczarowanie musiało być dla niego straszliwym ciosem. Ale były w emigracyi i typy odmienne wynalazców. Nie brakło zwłaszcza wynalazców komicznych. W pierwszym rzędzie takowych odznaczał się, w rodzaju wysokiéj komiki Fredrowskiéj, St. Ch. nieodrodny szlachcic Polski, szczery, serdeczny, gadatliwy, zawsze kontent z siebie i drugich, przekonany o wyższości naturalnéj Polaków nad Francuzami we wszystkiem — i to głównie wykierowało go na wynalazcę.

Należał on do rodziny protegowanéj przez muzy — wydała bowiem w naszych czasach całą plejadkę ludzi pełnych talentu, poetów, powieściopisarzy, historyków; lecz St. Ch. nie puścił się za ich przykładem na literackie drogi. Wolał szukać szczęścia w przemyśle i wszedł do fabryki malowanych perkalów. Zaraz na wstępie uderzyła rzutuy jego umysł jedna wielka niedogodność w téj fabrykacyi; to jest, że do odbijania różnokolorowych deseni trzeba używać tylu kamieni, ile jest farb w deseniu, gdyż na jednym nie można zapobiedz, ażeby się różne farby jedna z drugą nie mięszały. St. Ch. poszedł po rozum do głowy i powiedział sobie; otoż ja Francuzom

pokażę, że można tyle farb kłaść na kamieniu, ile się spodoba i nie będą się mięszały. Powywiercał w kamieniu różne kanaliki do prowadzenia rozmaitych farb płynnych, przeznaczonych do odwilżania i podsycania farb gęstych, a przeto nie mieszających się jedna z drugą, które kładł na deseniach do odbijania; kanaliki zaś zamykał lub otwierał kurkami stosownie do potrzeby — i zadanie było rozwiązane — tak przynajmniéj twierdził z najgłębszem przekonaniem. Wprawdzie lata mijały a żadna fabryka nie kwapiła się zastósować u siebie tego wynalazku i żaden paktol nie dążył ku kasie wynalazcy, ale nadzieja go nie opuszczała, ani dobry humor — a czekając na zarobiony wrzekomo milionik, zrobił nawiasowo nowy wynalazek z okoliczności następującéj. Minister spraw wewnętrznych zalecił był okólnikiem wszystkim prefektom, ażeby zwrócili uwagę fabrykantów na coraz naglejszą potrzebę ze względu na zdrowie publiczne, zaprowadzenia w fabrykach pieców, któreby pochłaniały w sobie dym ogniska i nie przepuszczały go na zewnątrz, czyli fumiworów. Fabrykanci odpowiadali na to, że jak najchętniéj uzyją takich fumiworów byleby były wynalezione. Snać pan minister sądził, że to nie bardzo trudne zadanie i St. Ch. był jego zdania. Dla niego nie było nic trudnego na świecie — chyba napisać dobrą tragedię, co podług Woltera jest jedyną trudną rzeczą na tym padole. Nie namyślając się też długo odkrył sekret jak można mieć ogień w piecu bez dymu. „Wyobraź sobie — mówił mi — iż te głupie Francuży nie postrzegły się na rzeczy tak prostéj, że aby dym był strawiony w piecu i nie wychodził na zewnątrz, dosyć jest zapalać węgle lub drzewo nie ze

spodu ale zwierzchu, bo wtenczas atmosfera nad ogniskiem rozgrzewa się do tego stopnia, iż pożera dym, jak atmosfera Sahary pochłania chmury i mgły, które wiatr ku niéj pędzi.“ Może jest w tem trochę prawdy, nie będę się o to spierał, ale nie mniéj prawdziwą jest rzeczą niestety! że fumiwory wymyślone przez St. Ch. zdradziły go niegodnie. Zamiast pożerać dym poszły z dymem. Szczęściem, że niebudował jak Waćko całéj przyszłości swojéj na wynalazkach — doszedł był powolną pracą i intelligencyą do dosyć zyskownéj posady w fabryce, która go przyjęła od początku emigracyi i mógł wygodnie żyć z żoną i dziećmi lubo marzone krocie mu niedopisywały.

B.. był innego jeszcze rodzaju wynalazcą — rozważnym i wyrachowanym aż do pendantyzmu. Nie zabłąkał się on nigdy goniąc za ideą, któréj by schwycić i owładnąć nie potrafił. Wynalazki jego były zawsze oparte na ścisłych rachubach i odpowiadały jakiejś potrzebie niewątpliwéj, a jednak żaden się nie upowszechnił i B.. zawsze poprzestawać musiał na tem, co Francuzi nazywają un succès d'estime, czyli na podchlebnem uznaniu ludzi kompetentnych. Wymyślił on machinę rachunkową, wielce pożyteczną dla kasyerów, bo z jéj pomocą mogli szybko, a co ważniejsza bez zmyłki, uskuteczniać wszystkie prawie rachunki potrzebne do ksiąg handlowych. Będąc sam kasyerem w jednym znakomitym domu bankowym, dowodził podług własnego doświadczenia, że zmyłki prawie nieuniknione w szybkiem rachowaniu prowadzą w końcu roku do znacznéj straty w wielkich kasach; ale B.. zapomniał obliczyć się z miłością własną wielkich firm bankowych i handlowych, które się do żadnych

zmyłek przyznać nie chciały, a każdy z panów kasyerów, słysząc o jego wynalazku wstrząsał ramionami i powiadał, że najlepszą machiną rachunkową jest jego własna głowa. Tym sposobem machina B.. zeszła na przedmiot ciekawości bez praktycznego użytku i chyba w jakiem muzeum przemysłowem znajdzie przytułek, dopóki się panowie rachmistrze zbytnéj zarozumiałości nie pozbędą.

Innym jego wynalazkiem, dosyć głośnym w swoim czasie, była machina sygnałowa dla uchronienia pociągów na kolejach żelaznych od starcia się jednego z drugim, o ile powodem do takowych starć bywa niedbałość dozorców przy tarczach sygnałowych; co najczęściéj się zdarza. Kilka nawet wypadków podobnych, zaszłych w krótkim przeciągu czasu na różnych kolejach francuskich z przyczyny pomienionéj, to jest ztąd, że dozorca nie odwrócił tarczy w potrzebnéj chwili było pobudką do wynalazku naszego ziomka. Publiczność bowiem była mocno zaniepokojona. Wszędzie mówiono o niebezpieczeństwie na jakie są narażone pociągi przez niedbalstwo służby na drogach żelaznych. — Wszystkie dzienniki o tem prawiły i kwestya zapobieżenia temu niebezpieczeństwu przedstawiała się jako niezmiernie ważna i nagła. B.. zajął się nią, sformułował ją sobie jako problemat mechaniczny i jeżeli na mechanikę bezwzględnie spuścić się można, rozwiązał ją zupełnie. W jego systemie przechodzący pociąg sam odwracał tarczę sygnałową za pomocą sprężynki położonéj na szynach; koło lokomotywy przyciskało ją a ona przez pewną kombinacyę dobrze obrachowanych środków sprowadzała obrot tarczy. Rada dróg i mostów (le conceil des ponts et chausséés) kazała ten wynalazek wypróbować i pochwaliła go. Podobał się on

i dziennikom, które mu dały wielki rozgłos. Niektóre pisma illustrowane zamieściły jego rysunek. B . . stał się na chwilę sławnym, ale tymczasem zaprowadzono na drogach żelaznych lepszy dozor nad tarczami; smutne wypadki, które tak zaniepokoiły były publiczność już się nie powtarzały; kompanie poprzestały na takowym rezultacie i wynalazku B . . nie przyjęły, fundując się na tem, że gdzie chodzi o bezpieczeństwo i życie tysiąców podróżnych, tam oka i ręki ludzkiéj najlepsza machina zastąpić zupełnie nie jest wstanie, potrzebując sama, żeby nad nią czuwano. Przykład to nowy, że i najściślejsze wyrachowania nie są jeszcze dostateczną rękojmią powodzenia dla opartego na nich wynalazku — jeżeli przy tem nie obiecuje millionów przedsiębiorcom a zostawia ludziom fachowym, zwykle hołdującym rutynie, jakiśkolwiek pretext mogący posłużyć im za broń, ażeby takowéj nowości nie dopuścić do życia.

Mówiąc o wynalazcach, nie mogę pominąć jenerała Dembińskiego — A tout seigneur tout honneur — lecz przy téj sposobności niech mi wolno będzie wspomnieć i o dawniejszych kolejach wojaka-wynalazcy.

Dembiński stworzonym był do zawodu wojskowego; miał po temu wszystkie potrzebne dary, męztwo, zimną krew wśród największych niebezpieczeństw, umysł płodny w szybkie kombinacye a nawet błyski geniuszu. Mając lat zaledwie 20, w kampanii 1812 r. w jednéj potyczce okazał tyle odwagi i przytomności umysłu pod oczami Napoleona samego, że go tenże na polu boju posunął z porucznika na kapitana i ozdobił krzyżem legii honorowéj. Powinno to było zachęcić go do wytrwania na téj drodze, na któréj mógł ojczyźnie najznakomitsze oddać usługi,

ale po upadku Napoleona wrócił do roli i wybrany posłem na sejm przeszedł na pole walk oratorskich, do których najmniejszego nie miał usposobienia. Nawyknienia jego wojskowe do karności popchnęły go ku małéj partyi konserwatystów, którzy podtrzymywali władzę i instytucye Królestwa kongresowego przeciw ogólnym popędom narodowym. Zapewne, zapatrując się na tę przeszłość z dzisiejszego stanowiska, przyznać trzeba, że owi konserwatyści z przed 1830 roku widzieli zdrowo rzeczy i mieli słuszność, ale cóż mogła usilność kilku ludzi bez wielkiego wpływu przeciw prądowi, który cały naród coraz silniéj pędził ku powstaniu. Porwał on w końcu i Dembińskiego. W 1831 r. wrócił do wojska w stopniu, w jakim przed 15 laty przerwał był swoją służbę; koledzy jego, jak Skrzynecki, Rybiński i inni byli pułkownikami znanymi w wojsku — wnet postąpili na jenerałów i mieli już znaczne dowództwa w pierwszych bitwach — on zaś dopiero przy końcu wojny znalazł sposobność okazania swoich świetnych talentów wojskowych. Odwrót jego z Litwy na czele 4000 walecznych można śmiało porównać do słynnych odwrotów jenerała Moreau i arcyksięcia Karola. Przeszedł 150 mil wywijając się między licznemi korpusami moskiewskiemi, które usiłowały okrążyć go i zabrać w niewolę tak że powiada pruski pułkownik Schmidt — świadek całéj kampanii 1831 r. przy sztabie głównym rosyjskim, w swojem dziele o téjże kampanii — gdyby Dembiński był jeden tylko fałszywy marsz uczynił lub jednę godzinę czasu bezczynnie stracił, byłby niezawodnie z całym korpusikiem swoim wpadł w ciągle zastawiane nań sidła. Dembiński przybył do Warszawy gdy sprawa narodowa była już w wielkiem niebezpieczeństwie, w które ją niepojęta opie-

szałość i chwiejność Skrzyneckiego wprowadziły. Niedawny ten tryumfator stał się był wodzem niepodobnym. Rząd widział się zmuszonym odebrać mu dowództwo a nie wiedział w czyje ręce je powierzyć, gdy Dembiński, okryty świeżą sławą, zjawił się jak zbawca i wnet też wodzem naczelnym przez Rząd zgodnie z sejmem mianowany został. Miałże on dosyć śmiałości, zręczności, biegłości w fortelach strategicznych, ażeby armię moskiewską zuchwale zaawanturowaną na lewy brzeg Wisły wpędzić w matnię i kraj ocalić? Być może; wiele nawet było za tem prawdopodobieństwa. Na nieszczęście wszystkie zalety Dembińskiego psuła w całym ciągu jego życia jedna wada: brak zupełny taktu w postępowaniu*). W dwóch dniach popełnił on dwa błędy, które mu buławę z rąk wytrąciły.

Pierwszym błędem było, że dozwolił, aby Skrzynecki zaprezentował go armii w obozie pod Bolimowem. Pamiętam dobrze tę scenę rozrzewniającą. Całe wojsko uszykowane było nad małą rzeczką w ogromne czworoboki z bokami obróconemi frontem ku środkowi. Ten, w którym się znajdowałem, był pierwszym od dworu, zajętego przez sztab główny, i do niego zajechali najprzód obaj wodzowie, jeden i drugi w pełnych mundurach, na dzielnych koniach i mając za sobą świetny orszak sztabowców i adjutantów; wszyscy wjechali przy odgłosie bębnów w środek czworoboku. Skrzynecki pierwszy raz przywdział był szlify ze znakami hetmaństwa, to jest z dwoma skrzyżowanemi buławami, i pierwszy raz także zawiesił na szyi krzyż komandorski Virtuti militari, otrzymany za zwycięztwa pod Wawrem i Dębem Wielkim. Miał on wszystko,

*) Zarzucał mu to Görgöi i w tem jednem miał słuszność.

co serca ujmuje: postać rycerską, nader sympatyczną i zarazem imponującą, organ miły, wymowę ze zdrojów duszy płynącą, a urok jakim go otoczyły świetne zwycięztwa kwietniowe, które cały naród olśniły, przetrwał był w oczach wojska późniejsze ciężkie jego winy. Była to gloriola pobladła wprawdzie, ale w chwili gdy miał składać dowództwo innemu, świeciła nad jego głową całym odblaskiem tych wspómnień tak, że go powszechnie żałowano w obozie. Znajdowano różne pozory, aby wytłómaczyć zarzucane mu winy, mianowicie ostatnią, że przepuścił Moskali na lewy brzeg Wisły. Mówiono, że to bez wątpienia wchodziło w jego plan; że chciał, ażeby armia moskiewska, odciąwszy się sama od swojéj podstawy operacyjnéj, dała mu przez to sposobność zniweczenia jéj do szczętu i użalano się, że Rząd i sejm nie pozwalają mu tego planu do skutku doprowadzić.

Ze swojéj strony Skrzynecki wysadził się, ażeby ostatnie wystąpienie jego przed frontem armii wywarło na nią głębokie, niezatarte wrażenie. Już w drobnych szczegółach: w ubiorze jego jeneralskim, zupełnie świeżym, w tych insygniach hetmańskich, które pierwszy raz błyszczały na jego szlifach, i w postawie pełnéj godności i rezygnacyi — trochę wyuczonéj — jaką przybrał na swoim dziarskim koniu była pewna kokieterya, która osiągnęła swój cel, bo wszystkich ujęła; a nigdy wymowa jego nie podniosła się do takiéj wysokości i do takich effektów dramatycznych, jak w téj uroczystéj chwili. Przemowa, jaką miał w naszym czworoboku, tchnęła najczystszym patryotyzmem, najszlachetniejszą abnegacyą i niezachwianą nadzieją w Opatrzność że Polski nie opuści; mówił, że posłuszny władzy krajowéj, składa dowództwo, ale szpady swojéj nie złamie póki

się święta walka toczy, że służyć będzie w jakiejkolwiek randze, choćby w szeregach jako prosty żołnierz, a w głosie jego czuć było łzy i łkanie tłumione; jednem słowem, żegnał się z armią jakby z kochanką, z którą zmuszony rozstać się, chciał, ażeby w głębi serca zachowała czułe i rzewne o nim wspomnienie. Nie myślał on zapewne szkodzić tem wszystkiem swojemu następcy, oddawał mu nawet zasłużone pochwały, tylko pochwały te obracały się na własną jego korzyść jako nowy dowód jego abnegacyi, i gdy skończył, zabrzmiał jednogłośny okrzyk we wszystkich batalionach: „Niech żyje Skrzynecki,“ a wiele głosów dodawało: „nasz wódz naczelny; innego nie chcemy!“ Nikt, powiedzieć można, nie widział natenczas w Skrzyneckim owego miękkiego, ciągle wahającego się wodza, który najprzyjaźniejsze sposobności wyparcia Moskali z naszéj ziemi z rąk wypuścił, i na wygnaniu w chwilach szczerości sam powiadał: „Miałem Polskę na dłoni i nie umiałem jéj schwycić!“ Wszyscy widzieli w nim tylko bohatera z pod Dobrego, Olszynki grochowskiéj, Wawru i Dębego.

Dembiński czekać musiał dopóki się ten entuzyazm nie uspokoił, ażeby przemówić z kolei. Nie miał on żadnego z ujmujących lubo powierzchownych darów Skrzyneckiego, przeciwnie, fizyonomia jego, nie znana w wojsku, nie uprzedzała bynajmniéj na jego korzyść; była — mówiąc bez ogródki — trochę barbarzyńską, w sprzeczności z jego znakomitą choć mało uprawioną inteligencyą. Na wymowie zbywało mu zupełnie, a odwrót jego z Litwy, któremu zawdzięczał swoją buławę, był zasługą, którą tylko uczeni wojskowi należycie ocenić mogli lecz nie miał tego blasku co działa na wyobraźnię ogółu w wojskach —

w oczach ich najmniejsze zwycięztwo więcéj warte, niż najumiejętniejszy odwrót.

Dembiński poznał snać, że się w fałszywem położeniu postawił i jak to zwykle bywa w takich razach, popsuł je jeszcze bardziéj swojem zachowaniem się niezręcznem. Przez cały czas przemowy Skrzyneckiego był zasępiony, głowę miał zwieszoną tak, że nie widać było rysów jego twarzy, tylko długie zawiesiste jego wąsy. W dodatku wystąpił na pięknym koniu, ale czarnym jak kruk i który także głowę spuścił smutnie jak jego pan, jakby na dopełnienie obrazu Rycerza smutnéj figury na równie smutnym rumaku.

W przemowie swojéj poczciwy jenerał nic innego powiedzieć nie umiał, coby go podniosło w opinii słuchających go oficerów i żołnierzy, jak to, że będzie szedł w ślady swojego poprzednika, ażeby zasłużyć sobie choć w części na tę miłość całego wojska, jaką on sobie zjednał — na co każdy w duchu odpowiadał: „Po cóż nam kopia, kiedy możemy mieć oryginał.“

Drugi błąd Dembińskiego był cięższym jeszcze. Okazawszy aż nadto skromności i zapomnienia o sobie przed frontem armii, nazajutrz czy trzeciego dnia oburzył na siebie Rząd, sejm i całą Warszawę krokiem zbyt ambitnym. Zażądał władzy dyktatorskiéj nie mając należytéj podstawy, na któréjby ją mógł oprzeć, to jest zupełnego zaufania narodu a przynajmniéj wojska. Trzeba mu było najprzód tę podstawę sobie stworzyć jednem świetnem zwycięztwem i zdaje się że o tem myślał, gdyż natychmiast po objęciu dowództwa zarządził odwrót wojska pod Sochaczew, gdzieśmy zajęli nader silną pozycyę, odparłszy w pięknéj bitewce pod Szymanowem korpus Witta, stanowiący przednią straż

wielkiéj armii moskiewskiéj, który nam drogę zastąpił. Była to jakby zapowiednia stanowczego zwycięztwa, ale Dembiński nierozważnym pospiechem wszystko zepsuł. Sejm bez długiego namysłu z hetmaństwa go zrzucił a wojsko przyjęło wiadomość o tem, pod Sochaczewem, bardzo obojętnie.

Na tem skończyła się Dembińskiego karyera w roku 1831. Na emigracyi skazany na nieczynne życie, z nader czynną głową, nie lubiącą spoczynku, zwłaszcza pod wpływem Paryża, który działał w sposób odmładzający na wchodzącego już w jesień życia wojaka — rozgrzewał mu wyobraźnię i serce — rzucił się w zapasy z mechaniką, chemią i oporniejszym jeszcze rutynizmem francuzkim, ażeby wstępnym bojem zdobyć sobie choć milionik na miejsce szlacheckiéj fortuny, którą mu rząd moskiewski w największéj części skonfiskował. Nie widziałem żadnego z jego wynalazków, ale przyjaciele jego a mianowicie poseł Barzykowski, na którego zdaniu polegać można, zapewniali mnie, że nie było ani jednego, któryby nie miał w sobie myśli inteligentnéj i oryginalnéj, a niektóre błyszczały myślą twórczą, tylko jedne z nich nie miały za sobą dowodnéj praktycznéj użyteczności, drugie nie były zupełnie dojrzałe, inne nie przedstawiały się w formie dostatecznie przekonywającéj. Pierwszym, zdaje się, pomysłem wynalazczym, jaki miał Dembiński, było użyć ogromnéj siły zgęszczonego powietrza, wpuszczonego w próżnię ażeby popychać pociągi pod górę na pochyłych drogach. System na takim pomyśle oparty, urzeczywistniony został na drodze z Paryża do St. Germain pod niewłaściwem nazwaniem „Drogi atmosferycznéj.“ Dembiński twierdził, że ten pomysł od niego pochodził, że go powierzył jednemu Fran-

cuzowi, a ten mu go ukradł. Jeżeli tak było, a wątpić o tem nie można, to jenerał powinien był sobie powinszować, że mu ów wynalazek ukradziono. Droga atmosferyczna ogromne sumy kosztowała a miała wielkie niedogodności i nie wiele przynosiła — była ona przez jaki dziesiątek lat zabawką Paryżanów, potem upadła, jak to z góry przewidział był ojciec drog żelaznych sławny Stephenson.

Z innych wynalazków Dembińskiego, ten, po którym on sobie najwięcéj obiecywał, był nowy sposób uprawy ziemniaków, który podobno dawał zadziwiające rezultaty.... w dóniczkach. Na nieszczęście rólnicy są zbyt zatwardziali w rutynie, ażeby rezultaty otrzymane w dóniczkach zupełnie ich przekonać mogły. Trzeba było na to doświadczeń długich, cierpliwych i w wielkich rozmiarach; inaczéj mówiąc, trzeba było Dembińskiemu nabyć spory kawał ziemi i na nim podług swojego sposobu uprawiać ziemniaki przez lat kilka; gdyby na tem ciągle dużo pieniędzy zarabiał, to powoli wynalazek jego byłby się upowszechnił — wszelkie inne środki przekonania żadnego skutku osiągnąć nie mogły.

Takież same zawody spotkały pono Dembińskiego we wszystkich zgoła jego wynalazkach. Nie wiele lepiéj na nich wyszedł jak Zabłocki, ów typ historyczny przedsiębiorcy polskiego, w swojéj spekulacyi na mydle.

Szczęśliwszym od niego i bodaj czy jedynym nawet szczęśliwym między wszystkimi wynalazcami polskimi we Francyi był człowiek, który nie miał pretensyi ani do geniuszu, ani do naukowego wykształcenia, lecz miał zdrowy, praktyczny rozsądek, wiele chłopskiéj zmyślności, przytem był pracowitym, cierpliwym, wytrwałym a przypadek wprowadził go na drożynkę, którą idąc z temi skromnemi da-

rami mógł dojść do fortuny, gdy inni z większym talentem i większą nauką gonili za nią napróżno.

Nazwisko jego wspomniałem już nawiasem mówiąc o pułkowniku Gawrońskim — był to Urbanowski, expodoficer z 1831 r. Przybywszy do Francyi, szukał on natychmiast pracy, bo z subsydyów, jakie rząd francuski wypłacał podoficerom polskim, nie był w stanie wyżyć, i znalazł pomieszczenie w fabryce pluszów na kapelusze w Lyonie. Nie rozumiał ani słówka po francuzku, ale znał język niemiecki a farbiarz w téj fabryce był Niemcem czy Alzatczykiem, i dano mu go do pomocy, poprzestając na téj rękojmi, że był dawnym żołnierzem i un brave polonais a przeto sekretów fabryki pewnoby nie zdradził, zwłaszcza że po francuzku nie umiał. Trzeba bowiem wiedzieć, że każda podobna fabryka miała w owym czasie swoje sekreta farbiarskie i dla tego do pomocy farbiarzom przydzielano tylko ludzi pewnych. Urbanowski pracował przy farbiarzu lat kilka i pozyskał zupełne jego zaufanie tak że ten wyuczył go swojéj sztuki i wtajemniczył do sekretów wyłącznie właściwych fabryce, ale słabą stroną wszystkich fabryk tego rodzaju, któréj żaden z owych farbiarskich sekretów dostatecznie nie zaradzał, było to, że ogólnie nie umiały nadać pluszowi farby doskonale czarnéj i trwałéj. Wszystkie kapelusze ówczesne po niedługim użytku przybierały odcień mniéj lub wicéj rudawy, wcale nieładny. Urbanowskiego chętka wzięła próbować, czy mu się nie uda wynaleść farby czarnéj, pięknéj i nie ulegającéj żadnéj zmianie. Zaczął pracować nad tem w wielkiéj tajemnicy, nocami, w swojéj izdebce. Mięszał pospołu najrozmaitsze kolory i ingredyencye chemiczne, jak mu to do głowy przychodziło; nie zrażał się

żadnem niepowodzeniem, pracował jak alchemik szukający kamienia filozoficznego i znajdował w swoich coraz nowych doświadczeniach coraz silniejszą podnietę, żeby doświadczać daléj, póki nie rozwiąże problematu jaki sobie założył.

Nakoniec udało mu się wytworzyć farbę prawie doskonale czarną, przytem połyskującą i trwałą. Długo jednak nie śmiał z nią wystąpić. Mówił sobie: „może to głupstwo i wystawię się tylko na śmiech Francuzów,“ aż dopiero nadarzyła mu się sposobność tak przyjazna do wyprowadzenia na jaw swojego wynalazku bez narażenia się na śmiech Francuzów, że mu przyszła odwaga. Farbiarz ciężko zachorował — fabrykant znalazł się z tego względu w wielkim kłopocie; co widząc Urbanowski, który już po francusku trochę się był poduczył, odezwał się śmiało, że może farbiarza zastąpić znając wszystkie jego sposoby. Fabrykant pozwolił mu jednę sztukę pluszu na próbę zafarbować — tego téż tylko było mu potrzeba; powiedział sobie: „teraz albo nigdy“ i zafarbował swoją farbą powierzoną mu sztukę pluszu. Zbyt długo byłoby opowiadać zdumienie fabrykanta, przyjaciół których zwołał, przełożonych w fabryce i całéj rzeszy rzemieślników, gdy pokazał swoją próbę. Był to prawdziwy coup de théatre, wszyscy postrzegli od razu, że to nie była używana zwykle farba, lecz inna, doskonalsza od wszystkich dotąd znanych, i Urbanowski nie widział potrzeby taić, że jest jéj wynalazcą. Fabrykant wszedł z nim w układy — zaproponował mu, ażeby wynalazek swój oddał na wyłączny użytek jego fabryki a za to ofiarował mu pewien udział w zysku z całéj swojéj fabrykacyi i miejsce farbiarza dosyć drogo płatne. Urbanowski zgodził się na to i obydwaj bardzo dobrze wyszli na spółce. Po kilku latach

fabrykant zyskał kilka milionów i w dodatku medale na wszystkich wystawach przemysłowych. Urbanowski musiał poprzestać na mniejszém, lecz i to przeszło wszelkie jego marzenia; zlikwidował swój udział w zyskach fabryki podobno za 1,500,000 fr. i zwolniwszy się od pracy obowiązkowéj, żyje dotąd swobodnie w zimie w swoim własnym domu w Lyonie, w lecie w swojéj villi pod Lyonem, a pomyślność, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, nie zrobiła go samolubem — łoży, kiedy tego potrzeba, na cele patryotyczne w rozumieniu demokracyi do któréj należy i nie szczędzi pomocy biedniejszym rodakom.

Na Urbanowskim zakończę księgę wynalazców i wynalazków polskich w emigracyi, bo przedłużając ją, miałbym pono same już tylko zawody do zapisania — a zawody wynalazcy są to cierpienia które Dante mógłby był śmiało w swojem Piekle umieścić. Dla emigranta mianowicie wynalazek, którym się łudził, był najczęściéj jedynym kącikiem błękitnym na jego posępnym widnokręgu i gdy ten się zasunął zostawało mu życie bez nadziei, bez wiary w siebie — czasem przed nim otchłań, któréj w myśli już nawet nie miał czem zapełnić zwłaszcza jeżeli miał rodzinę do wyżywienia.

Zapewne, największa część wynalazków emigracyjnych była albo oparta na falszywéj zasadzie, albo nie odpowiadała żadnéj potrzebie rzeczywistéj; było nawet wiele śmiesznych ale były i takie, które miały w sobie pierwiastek pożyteczny i płodny, tylko niedostatecznie obrobiony, i nie jeden jeszcze wykwitnie kiedyś na francuzkiéj ziemi, tylko nikt wiedzieć nie będzie, że go polska ręka zasiała.

XIV.

Od wynalazków i rozlicznych projektów przemysłowych emigracyi mogę — bez nadzwyczajnego skoku — przerzucić się do jéj planów politycznych i w ogóle do wspólnych nam wszystkim Polakom, przed niedawnym jeszcze czasem patryotycznych marzeń. — Owe bowiem wynalazki i wszystkie te plany, wszystkie te marzenia kwitły na jednejże niwie, a tą jest bujna i płodna polska wyobraźnia — wytwarzająca poetów nieśmiertelnych — malarzy pierwszorzędnych — twórców wszelkiego rodzaju — czasem proroków, ale zarazem wydająca ciągłe plony złudzeń, któremi się dosyć powszechnie żywimy, a zbyt często upajamy aż do szaleństwa.

Zwyczaj to nasz dawny wierzyć jakby w rzecz najpewniejszą w to czego pragniemy i ani przypuszczać — przynajmniéj na seryo — że inaczéj stać się może. Jednym przykładem tego byli wynalazcy emigracyjni z ktorych każdy prawie widział dobrą tylko stronę swojego pomysłu a na odwrotną bardzo mało zwracał uwagi i podchlebiał sobie, że jest na drodze fortuny gdy tym-

czasem brnął w coraz większą biedę; lecz podobnież i całe pokolenia polskie widziały zawsze tylko jednę stronę sprawy narodowéj, stronę słuszną, świętą, wszystkie ludy ucywilizowane obchodzącą a nie obliczały się nigdy z olbrzymiemi trudnościami, które stanowią drugą jéj stronę i zamiast pracować cicho — cierpliwie — wytrwale, aby siły nasze wzmagać, skupiać, jednoczyć i w przymierzu z czasem i z Bogiem trawić jak rdza tę przemoc żelazną, któréj wręcz złamać nie jesteśmy w stanie *) występowały po kolei w 1831, 1848, 1863 do walki otwartéj z dziesięć kroć silniejszym wrogiem i upadały jedno po drugiem w obec nieporuszonéj Europy, sprowadając na kraj coraz cięższe plagi.

Między walką 1831 r., — która jeszcze w pewnéj chwili przedstawiała możliwość tryumfu — gdybyśmy byli mieli nowego Żółkiewskiego lub Czarneckiego na czele — a walką 1863 r., w któréj zwycięztwo nie było ani na chwilę podobnem, przez te lat trzydzieści, całe nasze życie narodowe skupiało się w emigracyi; emigracya zaś zaszła była aż za Ren, aby tam znaleść archimedesowski punkt oparcia dla podźwignięcia ojczyzny, któréj niestety! zbawić nie potrafiliśmy mając blisko stotysięczną i prawdziwie bohaterską armię — 200 milionów złotych polsk. zaoszczędzonych w skarbie — zasoby wszelkiego rodzaju — i walcząc na własnéj ziemi, gdzie za każdym krokiem posuniętym ku granicy Dźwiny i Dniepru mogliśmy znaleść nowe siły i nowe zasoby. Chimeryczne to przedsię-

*) Nie mówię tu o Austryi, która jest dziś naszym naturalnym sprzymierzeńcem ale o Rosyi, na którą wpływ ducha, cywilizacyi i obyczajów polskich, był ogromny przed 1838 rokiem i po niedługiéj przerwie zaczął znowu działać aż do 1862 roku.

wzięcie było jednakże fatalnie narzucone szlachetnym rozbitkom 1831 roku, skoro dłuższéj walki prowadzić nie byli wstanie a ukorzyć się przed moskiewską przemocą i skwitować z praw narodowych niechcieli. Postawili się oni w jakiejś sferze idealnéj wśród zmateryalizowanéj Europy — założyli sobie słowem, piórem, ideami góry poruszać i od takowéj pracy honor odstąpić im nie pozwalał. „Polak emigrant — mawiał Wł. Zamoyski lubo konserwatysta z zasad i stronnik władzy — Polak emigrant nie biorący udziału w politycznem zadaniu wychodźtwa polskiego, jest dezerterem z pola, na którem toczy się walka o wszystko co jest najświętsze“*) — i mało téż było takich dezerterów w emigracyi. Każdy prawie wychodziec, czy miał zyskowne zajęcie, czy nie miał żadnego, czy stworzył sobie byt wygodny, czy żył o głodzie, czy łamał sobie głowę nad wynalazkami ażeby zwalczyć biedę, czy z tą biedą się godził, każdy przedewszystkiem zaprzątał się polityką**), dla każdego głównym celem życia było odzyskanie ojczyzny — ale jak ją odzyskać? W tem różniły się zdania i inaczéj być nie mogło wśród tylu głów polskich. Dwie drogi się przedstawiały jako mogące doprowadzić do tego celu nie licząc dróg mistycznych — droga dyplomatyczna i droga konspiracyjna. Sędziwy nie-

---

*) Bronisław Zaleski, monografia Orpiszewskiego w Przeglądzie Polskim na miesiąc Wrzesień 1875.

**) Mićkiewicz tak maluje w liście do brata swojego stan moralny emigracyi w 1841 roku: „Nie możesz wystawić sobie, co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy, dzień i noc, kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swóją stronę przemówić. Chodzą nasi na mój kurs, ale dla tego, żeby się wywiedzieć z jakiéj ja partyi? czy arystokrata? czy demokrata? i gniewają się, że ja im o polityce nie gadam.“ — Korespondencya Mićkiewicza, t. I, str. 176.

gdyś prezes Rządu narodowego wszedł na pierwszą a za nim poszli w większéj części senatorowie, posłowie, jenerałowie będący w emigracyi i wszyscy ci, którzy wierzyli w jego patryotyzm czysty i niezachwiany — w jego długie doświadczenie, w jego wysokie znaczenie w świecie politycznym. Na drugą stronę rzuciła się część gorętsza, niecierpliwsza, mniéj doświadczona emigracyi.

System księcia Czartoryskiego polegał na tem, ażeby sprawę polską utrzymywać ciągle na widoku, przekonywać wszystkie zdrowe umysły o jéj ważności europejskiéj a zarazem rozgłaszać środki chytre i zabójcze, jakich używa Moskwa na zagładę naszéj narodowości oraz jéj zabiegi ambitne, zagrażające światu całemu — innemi słowy na szerzeniu w całym ucywilizowanym świecie współczucia dla Polski a nienawiści ku Moskwie. Działał na opinią publiczną a w pewnéj mierze i na rządy przez dzienniki, które opłacał — przez ludzi wpływowych w izbach francuskich i w parlamencie angielskim, których dla Polski zjednać potrafił — nakoniec przez agentów swoich w różnych krajach, w Londynie, w Sztokholmie, w Wiedniu, w Rzymie, w Konstantynopolu. Zresztą stanowisko księcia Czartoryskiego było wyczekujące. Nauczony doświadczeniem dziejowem i swojem własnem wśród ogromnych wypadków, które przeżył, że nikt przewidzieć nie jest w stanie, co się stać ma na świecie, że najczęściéj to się staje, o czem ludzie polityczni najmniéj myślą, a nie to, na co najwięcéj liczą i na czem się ubezpieczają, nie wiązał losu Polski z żadną wyłącznie hypotezą polityczną, lecz szukał dla niéj wszędzie sprzymierzeńców i starał się być przygotowanym na wszelkie wypadki nastąpić mogące, aby z nich korzystać ile się da.

Ta polityka powolna, cierpliwa, oględna, przytem otaczająca się tajemniczością niezbędną w działaniach dyplomatycznych, nie przypadała gorętszéj części emigracyi, która nie pokładała żadnéj ufności ani w istniejące wówczas rządy i parlamenty, ani w ogóle w dyplomacyę a zbyt lekceważyła doświadczenie księcia Czartoryskiego. Natomiast wierzyła ona z najsilniejszem przekonaniem w możliwość nowego powstania w Polsce w daleko szerszych rozmiarach niż było powstanie listopadowe, byle je umiejętnie i fundamentalnie przygotować, poświęcając wszystko temu celowi. „Jest nas, mówiła, 20 milionów Polaków i Rusinów na przestrzeni dawnéj Polski — poruszmy te masy, sfanatyzujmy je i wywołajmy prawdziwe pospolite ruszenie, a obejdziemy się bez wszelkiéj obcéj pomocy — wywalczymy Polskę własnemi siłami — Polonia fara da se.“

Jeżeli porównamy teraz skutki działań jednego i drugiego stronnictwa, przekonamy się, że najwięcéj łudzili się demokraci. Cały ich plan polegał na złudzeniu, które wyprowadziło na śmierć męczeńską tylu prawdziwych bohaterów, wysłanych jako emisaryusze do kraju, ściągnęło najsroższe prześladowania i niepowetowane klęski na wiele bardzo patryotycznych rodzin, a skończyło się najsmutniejszem rozczarowaniem, nad którem rozwodzić się nie mam potrzeby, bo aż nadto pamiętne jest wszystkim.

Stronnictwo Hotelu Lambert doznało także wiele ciężkich zawodów — jeżeli bowiem demokraci poświęcali nadaremnie najdzielniejszych swoich ludzi, ażeby obudzić w chłopstwie naszem śpiącego jeszcze ducha, a po części, jak w Galicyi, znarowionego długiem i zgubnem działaniem wrogiego nam rządu — to z drugiéj strony Hotel

Lambert zużywał napróżno najlepiéj obmyślane środki aby poruszyć i wyprowadzić na drogę wielkiéj polityki krótko widzący, apatyczny, w ciasnem kółku interesów materyalnych zasklepiony egoizm rządów i klas rządzących na Zachodzie. Hotel Lambert potrafił zająć takie stanowisko w kwestyi wschodniéj, że Francya i Anglia traktowały z nim i wchodziły z nim w porozumienia, jakby z jakiem mocarstwem, we wszystkiem, co się do téj wielkiéj kwestyi odnosiło; agenci bowiem Hotelu Lambert na półwyspie bałkańskim, Czajkowski*), Kościelski i inni, lepiéj byli zawiadomieni o rzeczach, które tym rządom wiedzieć trzeba było i nierównie więcéj wpływu wywierali na ludy słowiańskie tych stron, niżeli ich konsulowie. Była chwila, kiedy Hotel Lambert sądził się już bliskim celu, do którego powolnie zmierzał; mianowicie gdy wybuchła wojna wschodnia 1854 r., wywołana głównie jego niezmordowanemi zachodami i publikacyami, począwszy od ogłoszenia sławnego Portofoglio, zawierającego, jak wiadomo, tajne korespondencye w sprawie wschodniéj, znalezione w gabinecie w. ks. Konstantego. Na nieszczęście duch kupiecki Anglii przeważył w radzie sprzymierzonych mocarstw i skrzywił całą wyprawę — zrobił z niéj chybioną epopeę. Zamiast podnieść Polskę, która przez tyle wieków była przedmurżem osłaniającem Europę przed ambicyą moskiewską i wszystkiemi dziczami Azyi, a w 1854 r. pokazała się ze swoją chorągwią tułaczą obok Francyi, Anglii, Piemontu i Turcyi, mocarstwa te po dwuletniéj wojnie, wy-

*) Przykro mi wypisać nazwisko tego zdrajcy, ale zaprzeczyć nie można, że będąc agentem Hotelu Lambert wypełniał nader czynnie i z wielkim sprytem powierzoną mu misyą i stał się popularnym między Słowianami podbałkańskimi.

rzuconych miliardach i wylanych potokach krwi poprzestały na tem, że związały Rosyą błahemi warunkami traktatu paryskiego — istnym sznureczkiem jedwabnym, ktory ona rozerwała w kawałki, gdy się nadarzyła pierwsza przyjazna sposobność, i dziś jest pod murami Konstantynopola, u celu swojéj wiekowéj polityki*).

Traktat paryski zniweczył więcéj niż dwudziestoletnią pracę księcia Czartoryskiego, lecz nie jestże rzeczą podziwienia godną, że człowiek jeden bez władzy — wygnaniec i starzec ośmdziesięcioletni — mógł tyle zdziałać w największéj i najtrudniejszéj sprawie europejskiéj; to jest odciągnąć ludy całe z pod wpływu Rosyi i przysposobić z nich sprzymierzeńców dla Zachodu. Nietylko bowiem w Serbii i w Bułgaryi sparaliżował wpływ Rosyi, ale i w Szwecyi, gdzie agenci jego ująć sobie potrafili rząd i naród — jak się to pokazało dowodnie w r. 1863 w czasie wyprawy Łabęckiego. Czego niestety stary książe dokazać nie mógł, to przekonać najbardziéj właśnie zainteresowane w téj kwestyi mocarstwa o téj prawdzie jasnéj jak dzień, że ona rozwiązaną być może na korzyść cywilizacyi li tylko nad Wisłą — a nie nad Dunajem a mniéj jeszcze nad Bosforem.

Działalność Hotelu Lambert nie ograniczała się wszakże do jednéj sprawy wschodniéj, rozciągała się ona i na inne pola, gdzie ją podobnie przykre zawody nie spotkały — w Rzymie mianowicie wydała ona zbawienne owoce. Wiadomo powszechnie, że Papież Grzegórz XVI potępił solenną encykliką nasze powstanie listopadowe; prawdziwy autor téj encykliki kardynał Lambruschini, se-

*) Pisane w Październiku 1878 r.

kretarz stanu Ojca św., patrzał na rzeczy polskie tylko przez szkiełka moskiewskie, żadnego Polaka przyjeżdżającego nawet za paszportem i choćby duchownego przypuścić do siebie nie chciał, a wychodzcom polskim przystęp do Rzymu był zupełnie wzbroniony. Uprzedzenia przeciw Polakom były zresztą prawie powszechne między kardynałami. Hotel Lambert potrafił przełamać te lody. W roku 1837 udało się Wł. Zamoyskiemu przez potężne wpływy otrzymać posłuchanie u Ojca św. i przekonał go dowodnie, że Moskwa zwodzi ohydnie Rzym — że uciska katolicyzm i szerzy gwałtem szyzmę między rusińskimi unitami — że jeżeli więc duchowieństwo polskie jest nieprzychylne Moskwie i podpiera sprawę narodową, to dla tego, że sprawa ta jest jak najściśléj złączona z interesami Kościoła, w którego obronie Polska nie od dziś, lecz od 10 wieków stoi. Papież się udobruchał, jednak kilka lat trzeba było jeszcze nad nim pracować, nim zezwolił na pobyt w Rzymie emigranta, agenta polskiego. W 1844 r. dopiero mógł książę Czartoryski wyprawić tam Ludwika Orpiszewskiego, człowieka oględnego, ostrożnego, z wielkim taktem, stworzonego niejako do podobnéj misyi i posiadającego zupełne jego zaufanie. Orpiszewski, lubo opatrzony listami polecającemi od nuncyusza papieskiego w Paryżu, został bardzo jeszcze zimno przyjęty przez kardynała Lambruschini, lecz w ciągu jednego roku tak potrafił zjednać sobie większą część kardynałów i całe wyższe towarzystwo rzymskie, nakoniec i samego kardynała Lambruschini, że przebywać mu spokojnie w Stolicy św. pozwolono nawet w ciągu pobytu tam cara Mikołaja w 1845 roku, a gdy Pius IX wstąpił na tron, nie znalazł już w swojem otoczeniu tego wrogiego nam usposobienia, które nas dawniéj

przedzielało od Głowy Kościoła. Szlachetny Pius IX dopuszczał Polaków do siebie, słuchał ich chętnie, niektórych serdecznie polubił, a w pierwszym rzędzie, wraz ze starym jenerałem Szymanowskim, Orpiszewskiego. Orpiszewski, szczęśliwem przeczuciem wiedziony, zaprzyjaźnił się był ściśle przed wyborem jeszcze Piusa IX z jego synowcem, hr. Gabryelem Mastai, i to mu dało tak silną podstawę na dworze papieskim, że mógł ciągle komunikować sekretarzowi stanu Ojca św. memoryały, które mu książę Czartoryski przesyłał. Pius IX coraz więcéj się przekonywał z jednéj strony o zgubnych dla katolicyzmu zamysłach moskiewskich, z drugiéj strony o niewzruszonem przywiązaniu polskiego narodu do Kościoła i coraz bardziéj brał do serca los Polski. W chwili gdy Moskwa najokropniéj pastwiła się nad nią, nie mogąc sam jéj osłonić przed tą dziką zemstą, nakazał powszechne modły za nią — a z jakiemże rzewnem, prawdziwie ojcowskiem uczuciem przyjął deputacye nasze, przybyłe do Watykanu złożyć mu hołdy narodu z okoliczności pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego pasterstwa nad duszami. U stóp jego tronu złączyły się wszystkie części Polski, a on jedność ich błogosławieństwem swojem utwierdził i odwagę do zniesienia wszystkich wymierzonych przeciw nim ciosów pokrzepił. Nakoniec jednym z ostatnich aktów jego pontyfikatu był zakaz uroczysty przez św. kongregacyą konsylium wydany duchowieństwu polskiemu, wprowadzania języka moskiewskiego do kościołów naszych. Przez to sprawa narodowości polskiéj została solidarnie związana ze sprawą Kościoła i solidarność tę potwierdził Leon XIII w tych słowach, które z głębokiem rozrzewnieniem powiedział Polakom: „Wszystkich was Polaków noszę tu w sercu mojem.“

Ta opieka najwyższéj władzy widoméj w Kościele przyniosła nam w zysku, prócz wzmocnienia dusz pobożnych w różnych dzielnicach Polski, czynne współczucie całego duchowieństwa katolickiego, tudzież wszystkich katolickich organów i ogółu szczerych katolików w Europie. Jest to wielka siła, którąśmy pozyskali do sojuszu z nami a do takiego rezultatu przyczyniły się głównie cierpliwe i umiejętne zachody Hotelu Lambert. Znakomita to niewątpliwie usługa, którą wyświadczył sprawie narodowéj, nie narażając kraju na żadne ofiary, na żadne nowe prześladowania ze swojéj przyczyny.

Bezstronność, którą wziąłem sobie za prawidło pisząc niniejsze wspomnienia, nakazuje mi obliczyć się jeszcze sumiennie ze stronnictwem demokratycznem. Sądzę, że głos historyi potępi je za zuchwały i nierozważny plan powstania wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności i to nie przeciw jednemu mocarstwu, ale przeciw trzem zarazem. Na krótki czas przed jego wybuchem Józef Wysocki przyszedł do Hotelu Lambert, jako delegat centralizacyi, spytać księcia Czartoryskiego, czy on i jego stronnictwo chcą przystąpić do powstania. Książę uprzedzony że centralizacya krok ten do niego zamierza uczynić, naradził się z przyjaciołmi i odpowiedź przygotowaną dał Wysockiemu w tych słowach: „Nie jesteśmy bynajmniej przeciwni w zasadzie powstaniu; przyznajemy, że Polska ma prawo powstać, ale zdaniem naszem nie ma żadnego podobieństwa, aby się to powstanie udać mogło; sprowadzi tylko okropne klęski na kraj, i z tego względu jesteśmy mu zupełnie przeciwni.“ Była to odpowiedź rozumu politycznego na głos ślepéj namiętności.

Tak, Polska miała prawo powstać przeciw obcéj ty-

ranii i konspiratorskie działanie centralizacyi nie było zdrożnem w zasadzie, lecz w tem, że nie było kierowane żadną zdrową myślą polityczną. Gdyby centralizacya ograniczyła się była na obmyśleniu i przygotowaniu środków powstania a czekała z daniem hasła na wybuch, póki się okoliczności przyjazne nie nadarzą, to w ośm lat późniéj, podczas wojny krymskiéj miałaby była jak najsposobniejszą porę po temu. Wtenczas powstanie, nie przeciw trzem mocarstwom razem ale przeciw Rosyi saméj i prowadzone z taką energią jaką rozwinęli przywódzcy powstania 1863 roku, byłoby niewątpliwie osiągnęło, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniéj w znacznéj części pożądany skutek, bo choćby Anglia nam odmówiła swojéj pomocy, to Napoleon III z żadnéj miary odmówićby nam jéj nie mógł. Zasady jakie zawsze wygłaszał, głos opinii we Francyi, potrzeba utrzymania uroku imienia swojego który był całą jego siłą, niemniéj jak i interes rzeczywisty Francyi, złączony z interesem ogólnym cywilizacyi zmusiłyby go — skoro już był w wojnie z Rosyą — ażeby poparł powstanie w Polsce*), ale niewczesny wybuch 1846 r. zużył był wszystkie środki centralizacyi, sparaliżował siły moralne kraju i Polska nie ruszyła się w téj tak ważnéj chwili z wielkiem zdziwieniem całéj Europy, a powstała w siedm lat późniéj wśród ogólnego pokoju.

Wytknąwszy ten brak przezorności i w ogóle wszelkiéj praktyczności w planach demokracyi, przyznać jéj

*) Napoleon III wysyłając flotę francuzką na Bałtyk, wezwał był ks. Czartoryskiego do Tuilleryów, ażeby się go poradzić, czyby można i w jakim punkcie wylądować korpus wojska na Litwie. Książę mu wskazał Połągę, ale pokazuje się, że projekt ten znalazł przeciwników w jego radzie ministrów.

trzeba, że podtrzymywała życie polityczne w emigracyi a przez to i godność jéj w obec kraju i cudzoziemców, a ożywiała duchem bohaterskim młode pokolenia polskie, które ze wszystkich części kraju ku niej się zwracały, oczekując od niéj i jéj hetmanów zbawienia ojczyzny — szkoda tylko, że nie umiała lepiéj niemi pokierować.

Słowa powiedziane przez księcia Czartoryskiego Wysockiemu wskazują co rzeczywiście rozdarło emigracyą na dwa stronnictwa; to była, jak już napomknąłem wyżéj, różność dróg i środków obranych przez nie dla odzyskania ojczyzny nie zaś teoretyczna sprzeczność zasad politycznych i społecznych, o które śmiesznemby było wadzić się nie mając ojczyzny. Wprawdzie stronnictwo Hotelu Lambert postawiło się na gruncie monarchicznym, ale na tym gruncie stała Polska przez dziesięć wieków i nie zeszła z niego nawet w powstaniu 1831 roku. Żadne więc stronnictwo emigracyjne nie miało prawa zerwać z tą tradycyą — zdjąć koronę z nad orła i pogoni, bo do tego uprawnionym być mógł tylko nowy sejm konstytucyjny — lecz zachowując zasadę monarchiczną, ani książę Czartoryski, ani nikt w jego stronnictwie nie myślał o wskrzeszeniu jakichbądź przywilejów, które w Królestwie kongresowem już nie istniały. Wszyscy czuli to dobrze, że w Polsce podobnie jak w każdym innym kraju należącym do cywilizacyi zachodniéj społeczeństwo nie ostałoby się na innéj podstawie, jak na równości wszystkich w obec prawa cywilnego i politycznego. Książę Czartoryski w szczególności tyle uczynił był dla rozkrzewienia jak najszerszego oświaty w Polsce, do takiego dobrobytu doprowadził włościan w swoich ogromnych dobrach puławskich, granowskich, sieniawskich, gdzie już w r. 1823 przeprowadził był

regulacyę gruntów włościańskich i oczynszowanie ich de facto — nie mogąc tego uczynić prawnie — nakoniec tak skrzętnie wyszukiwał ludzi zdolnych, w jakiéjkolwiek sferze społecznéj zrodzonych, ażeby zużytkować ich zdolności na korzyść kraju, iż rzucać mu w oczy zarzut zasadniczéj jakiéjś arystokracyi było największą niesprawiedliwością. Maurycy Mochnacki przyznał sam w swojéj historyi powstania 1831 r., że „arystokracya była raczéj w manierach księcia niż w jego sercu.“ Księżna wirtembergska, mówiąc raz o kłótnich emigracyjnych, wykrzyknęła: „Wszakże my wszyscy jesteśmy demokraci!“ i miała słuszność, zapewne nie w znaczeniu przyznawania wszechwładztwa liczbie, ale w znaczeniu zasad 1789 roku.

Stronnictwo demokratyczne ze swojéj strony nie zapędzało się ani do republikanizmu ani do socyalizmu ani nawet do powszechnego głosowania. Przed rokiem 1848 cała Europa była monarchiczną; o głosowaniu powszechnem powiedział Guizot w izbie deputowanych, że do tego nigdy a nigdy nie przyjdzie we Francyi, a zaledwie jeden lub dwa głosy mu zaprzeczyły; socyalizm zaś dopiero się wylęgał w książkach mało czytanych i tak niedotworzoną miał postać, że nawet biednych rzemieślników nie przynęcał, a duchowi polskiemu zupełnie był wstrętny. Darasz i późniéj go się wyrzekał, a w ogóle prócz jednego Worcla nie znałem nigdy Polaka emigranta socyalisty*).

---

*) Może nie jeden był marzyciel, który jak poczciwy pułkownik Gawroński czytał Cabet'a, Fourrier'a Considerant'a i znajdował pewne upodobanie w tych utopiach; ale, o ile wiem, żaden się do sekty socyalistów nie przyłączył; ci co walczyli w szeregach komunistów, czynili to, aby z głodu nie umrzeć. Dąbrowski bodaj czy nie jeden wyniósł z wojska rosyjskiego jakieś nihilistowskie idee.

Zasady, na których się opierało stronnictwo demokratyczne, nie wiele się więc różniły od tych, które i arystokraci Hotelu Lambert uważali za słuszne, tylko wygłaszane były w sposób jaskrawy, przeplatane wyrzutami czynionemi panom i szlachcie za winy ich przodków, i ilustrowane obietnicami zbyt hojnemi dla klas upośledzonych z krzywdą tych, którzy krwią swoją wszystkie niwy ojczyste zrosili, ale też programu demokracyi nie należało brać bardzo na seryo. Był on, jak wszystkie programy tego rodzaju, niczem innem, jak narzędziem do poruszenia mas, i w kraju ani w 1846 ani w 1848 roku nikt go się nie lękał. Rzeczywiście nie było między dwoma głównemi stronnictwami w emigracyi żadnéj przepaści niepodobnéj do zapełnienia — podobne im istnieją we wszystkich krajach konstytucyjnych i tolerują się — ponderują — na wzajem, ale u nas miłość własna bardzo draźliwa — próżność dosyć ogólna pod różnemi formami — skłonność do egzageracyi we wszystkiem i łatwowierność uprzedzająca z jaką przyjmujemy co tylko złego słyszymy o drugich, mięszają się do wszelkich sporów i przeradzają je w zażarte walki, a w emigracyi przyczyniło się do tego jeszcze rozdraźnienie ogólne, będące skutkiem nieszczęść wspólnych wszystkim i zmartwień prywatnych, od których żaden wychodziec nie był wolnym. To tłumaczy dla czego dwa stronnictwa emigracyjne, jednakimże patryotyzmem przejęte i zmierzające do jednegoż celu, tylko różnemi drogami, stały naprzeciw siebie przez lat kilkanaście jak dwa wrogie obozy, lecz historya ich kłótni nie wchodzi w zakres niniejszych wspomnień. Gdym przybył do Francyi kłótnie te zaczynały się już uciszać; odzywały się tylko echa dawnych zarzutów i jątrzyły się jeszcze rany

niesłusznie zadane, ale do napaści wzajemnych nie było już nietylko rzeczywistego powodu, ale nawet żadnego pretekstu. Oba stronnictwa znużone i mniéj lub więcéj rozczarowane bezskutecznością swoich zamysłów, zostały zaskoczone wypadkami, których ani one, ani nikt na świecie nie przewidywał. Była to wstępna doba téj ery zmian ogromnych tak w stosunkach międzynarodowych państw europejskich, jak i w ich organizacyi wewnętrznéj, która dotąd się jeszcze przeciąga i zapewne nie prędko się skończy. Tę to dobę, pełną najświetniejszych dla nas nadziei, zakończonych jak zwykle smutnemi zawodami, pochwyciłem w przelocie, ażeby opisać jéj wydarzenia o ile byłem ich świadkiem. Przerwałem moje opowiadania ażeby skreślić ogólny obrazek emigracyi, a dla wiernego odmalowania jéj kół, kółek, koteryi i kategoryi rozmaitych, również jak i jéj osobistości wybitnych, musiałem częstokroć czynić wycieczki w dawniejsze lub późniejsze lata i moje spostrzeżenia własne z owego czasu uzupełnić postrzeżeniami 27 lat następnych, spędzonych w emigracyi; lecz nicią moją przewodnią jest rok 1848 i 1849. Do téj nici wracam ostatecznie.

Nadzieja nasza, oparta na węgierskiéj sprawie, ostatnia z tych które nam zaświeciły gromadnie jakby promienna zorza w Marcu i Kwietniu, zdawała się już także bardzo blisko zgaśnięcia po zajęciu Pesztu przez Austryaków 4 Stycznia 1849 roku i cofnięciu się Węgrów za Cisę; ale upływały tygodnie i miesiące a nie było słychać o dalszych postępach Austryaków, co zdawało się niezłym znakiem podług francuskiego przysłowia „Point de nouvelles bonnes nouvelles.“ W rzeczy saméj armia węgierska, na któréj czele stanął Dembiński, reor-

ganizowała się i wzmacniała za Cisą i na początku Marca dowiedzieliśmy się z gazet, że ją Dembiński wyprowadził na prawy brzeg téj rzeki na spotkanie Windischgrätza i że obie armie starły się 27 Lutego pod Kapolną. Dembiński zaraz za przyjazdem swoim do Debreczyna, rozpatrzywszy się w położeniu wojsk na szachownicy wojennéj, przewidział był, że około tego punktu nastąpi walna bitwa i spodziewał się Austryaków zgnębić. Poczynił po temu najumiejętniejsze rozporządzenia i miał już prawie w ręku zwycięztwo, lecz mu je wytrąciło nieposłuszeństwo jenerałów węgierskich. Görgöi przez cały czas bitwy działał wprost na przekor jego rozkazom, a Aulich, inny jenerał węgierski, cofnął się samowolnie z naznaczonego mu stanowiska do pobliskiego lasku i schował się w nim z 9000 wojska. Adjutanci Dembińskiego, wysyłani jeden po drugim do niego, wyprowadzić go ztamtąd nie zdołali. Była to jakby cicha zmowa między tymi jenerałami, ażeby niemiłego im wodza, dla tego że był cudzoziemcem, o klęskę przyprawić. Dembiński cofnąć się musiał, lecz cofnął się w porządku i wrócił za Cisę. Wszystkie te szczegóły wykrył dopiero jenerał Bułharyn w dziele swojem o wojnie węgierskiéj*); w czasie wojny wiedzieć o nich nie mogliśmy w Paryżu. Zasmuciliśmy się z przegranéj Węgrów, zwłaszcza że ją gazety austryackie przedstawiały jako rozbicie zupełne ich wojska, lecz niebawem pokazało się, że bitwa pod Kapolną żadnéj korzyści nie przyniosła zwycięzcom, a wielce posłużyła zwyciężonym. W kilka dni bowiem późniéj przyszła wiadomość, że Węgrzy pod dowództwem Damianicza zdobyli miasto Solnok z szańcem

*) Rys wojny węgierskiéj, str. 150 i dalsze.

przedmostowym na Cisie, a jak jenerał Bułharyn opowiada zabrali Austryakom ośm dział, mnóstwo amunicyi i bagażów i znieśli kilka pułków kawaleryi. Otóż Dembiński, ściągając na siebie wszystkie siły nieprzyjacielskie pod Kapolną, osiągnął był ten przynajmniéj skutek, że ułatwił Damianiczowi zdobycie tak ważnego punktu strategicznego jakim był Solnok. Sam zaś cofnął się w takim porządku, że go Austryacy ścigać nie śmieli. Polacy odznaczyli się znakomicie w bitwie pod Solnokiem. Brygada, dowodzona przez Wysockiego, natenczas jeszcze podpułkownika, z dwoma kompaniami Polaków na czele, pierwsza rzuciła się do szturmu, wzięła miasto bagnetami przy raźnych polskich okrzykach, a szwadron ułanów polskich pod dowództwem Ponińskiego (dziś jenerała dywizyi w służbie włoskiéj) rozbił do szczętu dywizion dragonów austryackich, przyczem zginął porucznik Rzepecki*). W końcu tegoż samego miesiąca, to jest 26, 27, 28 i 29 Marca, cała armia węgierska przeszła znowu Cisę pod Tisza-füred i odtąd zaczyna się długa serya zwycięztw ze strony Węgrów. Dembiński już nie był ich wodzem; intrygi Görgöja wzięły były górę nad prostodusznością zbyt naiwną i częstokroć niezręczną polskiego wojaka; Koszuth odebrał mu dowództwo i powierzył je chytremu i ambitnemu młokosowi, który miał węgierską sprawę zabić — zaprzeczyć mu jednak nie można, że kampanię zaczepną rozpoczął w sposób świetny. 2 Kwietnia jenerał austryacki Schlik był pobity przez jenerała Gasparego pod Hatwan**). 4 Kwietnia ta-

*) Rys wojny węgierskiéj, str. 201.

**) „Jeden pluton polski, powiada Bulharyn (ib. str. 226), rozsypany w tyraliery pod dowodztwem porucznika Jagmin (który zgi-

kiż sam los spotkał Jelaczyca pod Tapio-Biczko, stracił tam 1500 ludzi i ledwie ujść potrafił z resztą — zwycięzcą był Serb z pochodzenia, ale najdzielniejszy z jenerałów węgierskich, wyżéj wymieniony Damianicz, a Polacy nie mało przyłożyli się i tym razem do zwycięztwa*). Dnia 6 Kwietnia tenże sam Damianicz poraził na głowę korpus Schlika i połączone z nim rozbitki Jelaczyca pod Isaszeg — ubił im 4000 ludzi a przeszło 2000 wziął w niewolą. Książę Windischgrätz zatrwożony temi postępami Węgrów, cofnął się z okolic nadcisańskich do Pesztu z główną armią; za nim postępował krok w krok Aulich i odciął od niego dwie brygady jenerałów Götz i księcia Jabłonowskiego, które schroniły się do Wacowa na zachód Pesztu a tam przez połączone korpusy Damianicza Klapki i Gasparego prawie do szczętu zniesione zostały; jenerał Götz zginął — Polacy weszli pierwsi szturmem do Wacowa**). Książę Windischgrätz, bojąc się żeby nie był odciętym od Wiednia, nie długo się zatrzymał w Peszcie — przeszedł z całą siłą swoją na prawy brzeg Dunaju i począł się cofać ku austryackiéj granicy; Aulich zajął opuszczoną węgierską stolicę, lecz któréj groziła z cytadeli w Budzie silna pozostawiona tam załoga austryacka z potężną artyleryą wałową.

Tak rzeczy stały w Węgrzech w środku Kwietnia 1849 r. Dzienniki austryackie osłaniały jak mogły postępy Węgrów, a przez nie tylko mieliśmy w Paryżu wia-

---

nął w ostatniéj wojnie tureckiéj) pod największym ogniem nieprzyjacielskim przez rozebrany most po belkach przeszedł i rzucając się na nieprzyjaciela walecznie, pięknie się odznaczył.“

*) Rys wojny węgierskiéj, str. 228.

**) Ib. str. 235.

domości z teatru wojny, ale przyszła chwila że już łudzić publiczności dłużéj nie mogły. Książę Windischgrätz, ów jenerał, który stłumił był rewolucyą w Pradze a następnie groźniejszą jeszcze rewolucyą w Wiedniu i przez to ocalił monarchią, złożony został z naczelnego dowództwa nad armią i zastąpionym przez jenerała Weldena. To dało miarę klęsk, poniesionych przez Austryaków w ciągu dwóch tygodni.

Zachodziło pytanie, czy te powodzenia Węgrów posłużyć mogą naszéj sprawie. Wiedząc że Dembiński już nie jest na czele wojska, miałem w tym względzie wielką wątpliwość, bo Dembiński był w oczach moich jedyną rękojmią solidarności między Węgrami a Polakami; usposobienie nieprzychylne Görgöja i innych jenerałów węgierskich było mi aż nadto dobrze znane, a obawiałem się, że oni opanują umysł Kossutha i krew polska przelewać się będzie na węgierskich polach bez użytku dla sprawy ojczystéj. Dręczyła mnie ta myśl, bo i los tylu dzielnych młodzieńców, walczących w Węgrzech, jak najżywiéj mnie obchodził i sam rzuciłem był cały byt mój na grę w téj sprawie. W tym czasie, długo oczekiwany Mierosławski przyjechał do Wersalu, co mi przyniosło, wyznaję to szczerze, wielką otuchę.

Wiadomo już czytelnikom, że Kossuth miał wysokie wyobrażenie o jego talentach wojskowych, niemniéj jak o jego politycznych ideach, i że mi polecił dołożyć wszelkich starań, aby go do Węgier ściągnąć. Wprawdzie Mierosławski był wielkim hetmanem tylko w oczach demokratów — byłem jednak świadkiem, że się nauce strategii oddawał od lat niemal dziecinnych — czytałem jego obszerne dzieło o wojnie 1831 r. i wnosiłem, że jeżeli

sam armią dowodzić nie był w stanie, to przynajmniéj dobrze radzićby potrafił mając potrzebne po temu stanowisko bądź w sztabie głównym węgierskim, bądź przy boku Kossutha; przytem przyznawano mu prawie powszechnie łatwą, płynną, przekonywającą wymowę i dar ujmowania sobie ludzi kiedy tego chciał.

Mićkiewicz pisze o nim w jednym ze swoich listów, kiedy jeszcze Mierosławski był mało znanym, że ma słabość do niego*). Podobnąż słabość do niego miał St. Marc Girardin, słynny profesor Sorbony i wielu innych ludzi wyższych, którym przypodobać się nie było łatwo. Sądziłem więc, że jeżeli zdecyduje się wybrać do Węgier, to prawdopodobnie przeważy wpływ jenerałów i ministrów węgierskich na Kossutha i potrafi dać wojnie takie rozmiary, aby sprawę polską mógł stanowczo w nią objąć. Ta idea tkwiła dosyć długo w mojéj głowie; nim opowiem na czem się skończyła, skreślę w krótkości przeszłość tego człowieka, który w chwili, do któréj zaszedłem w mojem opowiadanu, był bożyszczem naszéj młodzieży i głośnym w całéj Europie.

---

*) Oto co pisze o nim Mićkiewicz do Bohdana Zaleskiego w roku 1839 (Koresp. Mićkiewicza, t. I, str. 144):

„Ale, ale mam być u ciebie jutro we czwartek a pewniéj w piątek. Przybędę statkiem parowym; Goszczyński też pewno jedzie ze mną; biorę też z sobą Mazura Mierosławskiego, który bardzo chce ciebie poznać. Ja mam do niego słabość.... My już pokwasnieli, ten Mazur nam się przyda, bo jest okropny gawęda; tylko boję się, żebyś ty na niego nie krzywił się. Jeżeli nie zechcesz przed nim czytać, to go wyprawim won, już to sobie z góry zamówiłem. Możeby nie źle i jemu co przeczytać, ażeby na Mazura tchnąć lepszym wiatrem poetyckim; inaczéj.... (nie kończy frazesu).“

XV.

Ludwik Mierosławski, syn adjutanta Davousta, którego pamiętam przy schyłku Konstantynowskich czasów pułkownikiem weteranów czynnych, urodził się we Francyi w 1812 roku, z matki Francuzki. Po upadku Napoleona przybył z rodzicami do kraju, następnie pobierał nauki w korpusie kadetów w Kaliszu, gdzie byłem z nim razem lat cztery. W ostatnim roku, nie wiem już jaki przypadek zbliżył mnie do niego i pomimo różnicy wieku, bo on miał lat 18 gdy ja nie miałem jeszcze 15, żyliśmy w przyjaźni, to jest chodziliśmy razem, gdyż w téj szkole wojskowéj, trzymanéj w całym rygorze Konstantynowskiéj karności, jedyną rozrywką naszą, w rzadkich chwilach wolnych, było chodzić w kółko, grupami po dwóch, trzech, czterech, po dwóch smutnych dziedzińcach, pod dozorem służbowych oficerów i podoficerów wysłużonych, których nam przysyłano. Widzę jeszcze w pamięci te dziedzieńce i dreszcz mnie przejmuje, gdy sobie przypominam owe godziny młodzieńczego wieku, któreśmy w nich przedeptali. Pierwszy z nich był zupełnym prawie czworobo-

kiem, którego bok jeden stanowił kościół niegdyś Jezuitów, dany ewangelikom za pruskich czasów. Do niego przystawiony był domek dla jednego oficera, a trzy inne boki tworzył gmach nasz, niegdyś klasztor Jezuitów*), wysoki, poważny, ponury. W jednem skrzydle były arkady, pod któremi przechodziło się do kaplicy, sali fechtunku i dwóch kóz, ciemnéj i widnéj. Między tem skrzydłem a kościołem było przejście, jakby szeroka cieśnina — z owego pierwszego dziedzińca, którego słońce nigdy nie ogrzewało i którego wszystkie kamienie i cegły w bruku dziśbym jeszcze wyliczył — do drugiego dziedzińca, gdzie się odbywały nasze musztry, manewry i parady; ten był trochę weselszy; zdobił go ładny pawilon, w którym na dole było mieszkanie naszego jenerała, na piętrze zaś pokoje dla Wielkiego Księcia gdy raczył do nas zawitać a czynił nam ten zaszczyt przynajmniéj raz na rok. Daléj był ogród nasz w dole; trzeba było do niego po kilkunastu schodach zstępować; wpuszczano nas tam tylko w piękne dnie letnie, ażebyśmy patrzyli z daleka na drzewa pełne owoców, których nam nigdy prawie nie udzielano — były one dla jenerała i oficerów. Za ogrodem nad Prosną był cienisty park miasta, którego wspaniałe lipy i dęby, przenoszące ogromnie skromne jabłonie i grusze naszego ogrodu, stanowiły w téj stronie, w lecie, zieloną krawędź naszego widnokręgu.

Po tych więc dziedzińcach, czasami w tym ogrodzie, czasami także na okopanym błoniu za Prosną, który jeszcze do zakładu naszego należał i przeznaczony był głównie na wielkie manewry, przechadzałem się podczas

*) Korpus kadetów w Kaliszu ufundowany był przez rząd pruski.

rekreacyi w roku szkólnym 1829 na 1830 z Mierosławskim i Szwajcarem, bratem belwederczyka, wraz z 224 kolegami, rozdzielonymi na nie wiem wiele grup. Każdy z nas trzech miał w tych wolnych chwilach umysł w inną stronę zwrócony; żadnemu wprawdzie nie przychodziło na myśl szukać przyszłości na innéj drodze, jak w zawodzie wojskowym; byliśmy do tego zawodu nieodwołalnie przeznaczeni i z resztą wszyscy w korpusie kadetów — z małym bardzo wyjątkiem synowie żołnierzy — nawykliśmy byli od lat najmłodszych uważać go za jeden tylko na świecie zaszczytny i godzien ludzi z sercem, lecz pod tym mundurem wojskowym, z którym byliśmy skutkiem wychowania tak zrośnięci, że nie jeden byłby się powiesił, gdyby mu powiedziano, że będzie kiedyś chodził w surducie cywilusa, przebijały najrozmaitsze usposobienia naturalne. Między nami trzema Szwajcar kochał się w poezyi, czuł, rozumiał i nam dwom drugim dawał poznać piękności utworów przedwallenrodowskich Mickiewicza. Ja, po przeczytaniu 4 tomu Pism rozmaitych Jana Śniadeckiego, które wraz z dziełami Krasickiego były w kurs między nami puszczone, zasmakowałem w psychologii — gwałtem chciało mi się wiedzieć co to jest dusza ludzka. Mierosławskiego zajmowały już od lat paru same tylko dzieła wojskowe; obfitowała w nie biblioteka nasza, ale trzeba było wielkich zachodów i wielkich protekcyi, ażeby takowe do przeczytania uzyskać. Mierosławski otrzymywał przez protekcyę jednego z naszych profesorów wojskowych najważniejsze z nich, jako to: dzieło zbiorowe i klasyczne naówczas „Victoires et conquêtes de l'armée française pendant la république et l'Empire,“ Strategią arcyksięcia Karola, Opisy wojen Fryde-

ryka II i księcia Eugeniusza, a co najdziwniejsza, pożyczono mu krążące w tajemnicy między oficerami litografowane dzieło Prądzyńskiego pod tytułem Strategia, bez nazwiska autora. Był to wprost plan wyrozumowany powstania w Polsce i wojny przeciw Rosyi, któren i ja z łaski Mierosławskiego przeczytalem i wryłem je sobie w pamięć. Prądzyński nauczał w niem jak formować kadry, nowe pułki zdolne w krótkim czasie iść na linią bojową, rezerwy i magazyny; dalej w treściwych zarysach kreślił geografię militarną Polski, czyli geografię uważaną jako szachownicę wojenną. Wskazywał jako punkt, od zajęcia którego podług jego rozumowań los wojny zależał, źródła Prypeci. Mierosławski wiele z tego dzieła wyciągnął, ażeby sobie wyrobić kryterium do sądzenia działań wojennych w r. 1831.

Ale to czytanie tak chciwe dzieł, traktujących o wysokiéj strategii, odrywało go od nauk najpotrzebniejszych wojskowemu, które stanowiły podstawę edukacyi w korpusie kadetów, to jest od matematyki, fortyfikacyi polowéj i artyleryi. Był on zawsze uczniem miernym, żadnéj nagrody nigdy nie otrzymał, i po skończeniu naszych czterech klas*) w Lipcu 1830 r. nie był wybrany do szkoły aplikacyjnéj, téj pepiniery wyższych oficerów, ale wyszedł jako podoficer do liniowego pułku. Marzył on jednak już na ławkach szkólnych, że będzie kiedyś wielkim hetmanem, nowym Napoleonem, „który błędów pierwszego

*) Właściwie było ich sześć. Dla tych, którzy przychodzili niedostatecznie przysposobieni do pierwszéj, była przygotowawcza czyli podpierwsza — dla tych zaś, którzy z czwartéj nie wychodzili do szkoły aplikacyjnéj a byli zbyt młodzi żeby iść do pułków, była druga sekcya czwartéj klasy z wyższemi naukami czyli rzeczywiście szósta klasa.

nie popełni,“ jak to późniéj słyszałem go mówiącego, lecz budował gmach swojéj przyszłéj wielkości zaczynając od dachu. Chciał dowodzić armiami, a nie był w stanie dobrze dowodzić plutonem na mustrze lub manewrach; regulaminu wcale nie znał, bo go w korpusie kadetów, nie wiem dla czego, nie wykładano, a zdaje się, że nawet późniéj nie miał cierpliwości go się wyuczyć; żadnego szańca usypaćby nie potrafił, a wszystko co się odnosi do artyleryi, téj broni tak ważnéj w dzisiejszych wojnach, było mu prawie obce. Co więcéj, nie miał w sobie nic co odznacza zwykle natury wojskowe — nietylko że nie lubił nauk ścisłych, ćwiczeń ciała, szczegółów służby wojskowéj i zgoła wszystkiego w czem upodobanie znajdują wojskowi z powołania, ale czynność, karność, porządek były wprost przeciwne jego naturze. Około niego samego było zawsze dosyć nieporządnie i koledzy naśmiewali się z niego z tego względu. W charakterze jego była dziwna mieszanina — był tam pierwiastek francuski i pierwiastek polski, które się równoważyły tak że ani typ francuski ani typ polski w nim się zupełnie nie wyrobił. Płonącego patryotyzmu polskiego nigdy nie miał — przytłumiał go pociąg francuzki do lekkomyślnego szyderstwa ze wszystkiego. Umysł jego był bardzo pojętny, bystry, wyrażający się z wielką łatwością, skory do odpowiedzi dowcipnych, lecz nienawidzący pracy — lubiący tylko bujać po szczytach rzeczy na zbudowanych przez siebie balonach; przytem skłonny do przechwałek, do bonimentów, do blagi, wszakże bez żywości, lekkości, wesołości francuskiéj, która téj blageryi służy za wymówkę. Ambicyą miał kolosalną, zarozumiałość bez granic a żadnéj energii, nic nawet coby zapowiadało w nim rycerską odwagę. Nie wywierał też żadnego

wpływu na kolegów; coby trudno wytłómaczyć, gdyby to był rzeczywiście charakter wyższy, stworzony do przewodzenia drugim. My, którzyśmy najściśléj z nim żyli, lubiliśmy go dla jego łagodności, delikatności w obejściu, rozmowności i znajomości strategicznych, któremi nam imponował, opowiadając nam w sposób nader jasny i z pewnym artyzmem obroty wojenne wielkich wodzów. Pamiętam jak raz słowem jednem zbił z tropu szowinizm Szwajcara, który utrzymywał mordicus że to Kniaziewicz zwyciężył pod Hohenlinden. Mierosławski, nie mogąc go przekonać że tak nie było, zawołał w końcu: „Dobrze więc, Moreau dowodził a Kniaziewicz zwyciężył“ i tem usta zamknął swojemu przeciwnikowi. Ale i nas zrażał często zarozumiałością swoją, posuniętą aż do śmieszności, a więcéj jeszcze napadami wyuzdanego cynizmu, które zdawały się w sprzeczności z jego ustrojem zwyczajnym — były to echa z ojczyzny Rabelego, Pirona, Woltera, ale brzmiały jak fałszywy ton wśród naszych rozmów, ożywionych czystym młodzieńczym zapałem do rzeczy wzniosłych.

Zarozumiałość jego była taka, że się ośmielił raz wystąpić przed carem Mikołajem z projektem dziecinnym. Mikołaj, wracając z Berlina do Warszawy na sejm w roku 1830, raczył był wstąpić do nas. Czekali już na niego w naszym zakładzie wielcy książęta Konstanty i Michał — i wszyscy po odbytym przeglądzie zasiedli z nami do obiadu w wielkiéj sali sklepionéj, która niegdyś służyła Jezuitom za refektarz. Stołów tam było kilkanaście, car zajął miejsce przy jednym z nich w samym środku i szczególny traf zrządził, że miał za sąsiada Mierosławskiego. W czasie obiadu zadał mu kilka pytań — nie wiem już w jakim języku — między innemi spytał go co robimy w chwi-

lach wolnych. Mierosławski, który mówił po francusku jak rodowity Francuz, odpowiedział mu w tym języku, że chodzimy w kółko i nic więcéj — lecz korzystając ze sposobności rozwinął przed nim ex abrupto projekt jakiejś gry wojennéj, którą miał dawno w swojéj głowie a późniéj jeszcze i we Francyi z nią występował. Mikołaj słuchał jednem uchem, i gdy Mierosławski skończył, przed samym końcem skromnego naszego obiadu, samodzierca bąkał sobie pod nosem: „mleko;“ chciał bowiem, żebyśmy mleko jedli na śniadanie w dodatku do chleba z masłem, który nam dawano, i „gry wojenne“ — ale zapewne ani wiedział, co to za gry być miały. Po obiedzie otoczyliśmy gromadnie Mierosławskiego, ażeby się dowiedzieć, o czem tak długo prawił z carem. Rozczarowanie było wielkie, gdy nam powiedział, że chodziło tylko o gry wojenne. „Miałeś też nad czem się rozwodzić!“ odzywano się ze wszystkich stron; „kiedy ci już pozwolił gadać, to trzeba było przynajmniéj powiedzieć mu, że my jedni z kadetów świata całego wychodzimy na podoficerów a nie na oficerów.“

Dołożę jeszcze jeden szczegół, charakteryzujący przyszłego hetmana demokratów. Kadetem, młodzieniaszkiem 18letnim już spiskował, czując zapewne instynktowo, że tylko na podziemnych drogach spiskowania może dojść do téj władzy hetmańskiéj o któréj marzył, ale plan jego bardzo skomplikowany i w Wallenrodowskim rodzaju — lubo Wallenrod nie był nam jeszcze znany — wcale nam nie przypadał. Chciał on, żeby część nas jedna wyszła do moskiewskiego wojska i zawiązała na nowo nić zerwaną 1825 roku. Owoż wszyscy prawie, zacząwszy od dorosłych aż do malców, gdyby nas kto dobrze zagrzał, by-

libyśmy poszli na Belweder, ale przywdziać mundur moskiewski i wypełniać między Moskalami jakieś apostolstwo rewolucyjne — na to heroizm nasz nie mógłby się zdobyć.

Mierosławski wyszedł, jak już nadmieniłem, w końcu Lipca 1830 roku na podoficera do jednego z liniowych pułków, zdaje mi się 5go, i po wojnie 1831 r., w któréj nie dobił się i dobić nie mógł wyższéj rangi jak podporucznika czy porucznika, wyszedł za granicę z wojskiem i przybył do Francyi ze starym ojcem, bratem młodszym Adamem i z jedną z sióstr swoich. Na wychodźtwie najprzód odezwała się w nim ta struna cyniczna, która nas tak zrażała w korpusie kadetów. Napisał i wydrukował — zdaje mi się jeszcze w zakładzie w Besançon — obrzydłe wierszydła *Szuja* i *~~Czarna~~ Maryna*. Jeżeli chciał sobie tem zyskać popularność między wychodźcami, to się bardzo zawiódł. Wkrótce potem rozpoczął szereg prac o wojnie 1831 roku. W 1835 roku wydał *Tableau de la première epoque de la revolution de Pologne* — w 1836 r. obszerniejsze dzieło jeszcze we francuskim języku *Histoire de la revolution de Pologne*, a następnie nagromadziwszy ogromną masę materyałów, których część dostarczył mu podobno Prądzyński, zaczął swoją wielką pracę w ojczystym języku, która miała być wrzekomo dalszym ciągiem „*Powstania narodu polskiego* przez M. Mochnackiego" i wyszła pod tymże samym tytułem — ale autor zapowiada z góry, że nie zgadza się z zapatrywaniami Mochnackiego w 2 tomie jego dzieła. Mierosławski był już wtenczas pod sztandarem demokracyi i zmierzał do tego, ażeby ten sztandar w rękę swoją ująć a za mecenasa

miał, smutnéj pamięci, Jana Leduchowskiego, który pracę jego swoim nakładem wydał w r. 1845. — Jest to dzieło rozwlekłe, tchnące namiętnością stronniczą, nacechowane spotęgowaną już do najwyższego stopnia zarozumiałością autora. Stawia się on jak mistrz w sztuce wojennéj — z sądem nieomylnym — co krok wytyka błędy jenerałów i wskazuje co robić im należało a częstokroć między jedną a drugą stronnicą są sprzeczności takie, że co było błędem na jednéj, pokazuje się ruchem usprawiedliwionym na drugiéj. Styl jego to się podnosi do tonu epopei, to spada w trywialność. Jednak zaprzeczyć nie można, że są w temże dziele obrazy wspaniałe; takiem jest geografia militarna Polski i takiemi są niektóre opisy wielkich bitew — widać w nich wszystkie ruchy dwóch armii wrogich jak na dłoni, słychać całą wrzawę bitwy, czuć proch a zapał walczących odbija się w stylu pisarza. Nic więcéj porywającego n. p. jak opis bitwy pod Grochowem 25 Lutego, mianowicie chwili stanowczéj, gdy dzielne pułki nasze wyparły Moskali z Olszyny. Prądzyński „w uniesieniu artysty“ woła na grenadyerów: „Dzieci! jeszcze sto kroków naprzód a te działa wasze!“ a Chłopicki odpowiada: „jak doświadczenie odpowiada poezyi“ niechaj przybywają natychmiast rezerwy! — Autor przytacza dla wytłómaczenia tego rozkazu prawidło, „że w bitwach równoległych ta sama masa nie może przesięgać pewnego zamachu i iść daléj niż ją rzucił pierwotny impuls“ — i wyciąga z tego prawidła wniosek: „Trzeba było, że tak się wysłowię, ażeby siekiera dokonała tego, co klin napoczął.“ Ale w pobliżu nie było innych rezerw jak część rozstrzelonego korpusu jazdy Łubieńskiego, a adjutanci Chłopickiego daremnie przybiegają do niego jeden po dru-

gim, nakazują, proszą, błagają żeby z czem ma biegł do Olszyny — Łubieński pod różnemi pozorami odmawia — w końcu, przyparty przez adjutantów, powiada, że Chłopicki dla niego jest niczem, że nie ruszy bez rozkazu na piśmie od Radziwiłła.

Teraz niech mi wolno będzie przytoczyć dosłownie dwa ustępy z opisu Mierosławskiego prawdziwie dramatyczne. „Znowuż tedy i prędzéj niż kolumny Chłopickiego i Skrzyneckiego zdołały rozpatrzyć się w swoim gorączkowym zapędzie, przeszło czterdzieści batalionów moskiewskich, jedne rozbite, drugie w kupkach tyralierskich, wiele oznajmujących się tylko przytomnością chorągwi, ale wszystkie zajmujące przestrzeń i szczelnie powiązane ogniwami ciągłéj kanonady, powtórną niejako rozpoczynają bitwę z wyżyn na równinę, z zakrytego obwodu do naszego środka. Przez pół godziny grenadyery i 4 pułk, stanowiące czoła kolumn Chłopickiego i Skrzyneckiego, wytrzymują pod Olszyną ulewę kul, granatów, kartaczów, ognie plutonów, ognie rot, ognie tłumów całych, na które regulamin nie wyszukał nazwiska — wszystko to w pragnieniu i pewności doczekania się zapowiedzianéj rezerwy. Chłopicki obiega bojowisko na wszystkie strony, wyglądając jazdy Łubieńskiego; dwa konie pod nim ubito; sam w nogę postrzelony kartaczem, płaszcz jego popruty od kul karabinowych. Za nim, przed nim, w koło niego giną szeregami całemi — szefowie batalionów grenadyerskich i strzeleckich zapadli się prawie wszyscy w ziemię — a rezerwy jeszcze nie widać.“ Tu następuje opis postępów wojska moskiewskiego. Koniec zaś całego tego epizodu bitwy jest skreślony w ten sposób: „Bój cofnął się z równiny międzyleśnéj i wre gwałtownym odwrotem po Olszynie.

Milberg i Skrzynecki, parci przez wszystkie rezerwy moskiewskie, cofnęli się za rów naczelny i zaledwie trzymają się za wewnętrznym. Już weterany, 8my i 20ty liniowy wybiegają na pole Wielkiego, a 2ga brygada strzelecka na pole Małego Grochowa. Grenadyery częścią garną się do 4go pułku w Olszynie, częścią znów ustępują po drodze Okuniewskiéj. Chłopicki bieży nazad z pod słupa żelaznego, mniéj ażeby wstrzymać odwrót Skrzyneckiego i Milberga jak żeby w odpustnéj śmierci znaleść schronienie przed okropnościami przewidzianéj klęski. Zwyciężał jako wódz — umrzeć chce jako prosty żołnierz. Po drodze żadnego nie wydaje rozkazu; wymyka się swoim adjutantom; z obojętnością przelatuje bataliony Rolanda nadaremnie oczekujące jakiego przeznaczenia. Jak mijał bateryę prawego skrzydła, granat pękł pod brzuchem jego konia i samego powalił o ziemię poszarpawszy mu obie nogi. Adjutanci zbiegli się około niego i niesionego na kosach odprowadzili na Pragę" *).

Podobnych obrazów jest kilka w dziele Mierosławskiego. Poglądy jego w głównych punktach oparte są na zasadach ścisłych jak formuły algebraiczne i przeciwstawione planom i działaniom jenerałów, a ogrom nagromadzonych przez niego szczegółów malowniczych lub charakterystycznych jest prawdziwie zadziwiający. Nic więc dziwnego, że dzieło jego niezmierne wrażenie sprawiło w emigracyi i zrobiło złudzenie, zwłaszcza między młodszymi emigrantami, że autor stworzony jest na wielkiego wodza. Muszę tu, uprzedzając dalsze opowiadania moje, przytoczyć zdanie, jakie mi o nim powiedział Heltman.

---

*) Powstanie Narodu Polskiego, str. 288, 291 i 292.

Siedzieliśmy, dwóch nas tylko, na trawniku w pięknym ale w owéj chwili pustym zupełnie parku w Bad-Badenie. Odezwałem się do Heltmana: Jest tu nas dwóch tylko w tym niemieckim zakącie i Bóg trzeci z nami — powiedz mi więc szczerze, z ręką na sercu, co myślisz o Mierosławskim? Heltman odpowiedział mi: Kładę rękę na sercu i daję ci święte słowo honoru że Mierosławski jest podług mnie najpierwszym dziś jenerałem w Europie. Takie wyobrażenie o nim miała cała demokracya a na czele jéj centralizacya. Po wyjściu dzieła Mierosławskiego, ci przywódzcy demokracyi powiedzieli sobie z wewnętrznym tryumfem: „Otóż mamy nakoniec hetmana do kierowania zamierzonem powstaniem“ i jednogłośnie zamianowali go takim hetmanem. Szczególną jakąś łaską losu — został schwytany, uwięziony, sądzony, skazany na śmierć — ażeby być uwolnionym i w tryumfie niesionym przez lud berliński. W ciągu tych wypadków złudna jego sława rosła ciągle; obrona, jaką w swojéj sprawie wypowiedział po francusku przed sądem, przejęła entuzyazmem dla niego całe Niemcy, a odwaga prawdziwa czy udana, jaką okazał, przyjmując bez żadnego odwołania się do łaski królewskiéj wyrok skazujący go na śmierć, podniosła popularność jego między demokracyą nietylko niemiecką, ale w ogóle europejską do najwyższego stopnia. Stał się chwilowo jéj bohaterem. Dowodzi tego tryumf jego w Berlinie, a następnie ta ufność, z jaką powoływano go wszędzie, gdzie tylko wybuchła rewolucya — w Sycylii, w Węgrzech, w Badeńskiem. Ale od chwili, gdy z dziedziny pióra i słowa przeszedł na pole czynów, zaczyna się jego upadek. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem znalazł się jak student chełpliwy, junacki, nierozważny i zwichnął sprawę

polską, którą niespodziewane wypadki wprowadziły były na tak pomyślny tor; w Sycylii odegrał rolę Don Kiszota, a wojna badeńska strąciła go ostatecznie z tego piedestalu, na którym go złudzona wyobraźnia demokratów postawiła.

Złudzeń tych nie podzielałem nigdy. Wprawdzie, nie raz słysząc tyle o nim, pomyślałem sobie, że może w ciągu wojny a następnie w emigracyi nabrał tych wiadomości poziomych, drobiazgowych, ale fundamentalnych w sztuce wojennéj, na których mu zbywało, i że czas, okoliczności, doświadczenie wyrobiły w nim więcéj męzkości, energii, decyzyi i wszelkich zgoła cnót wojskowych, niżeli ich zapowiadał w pierwszéj młodości — ale gdym się więcéj zastanawiał i przypominał sobie dobrze naturę jego umysłu i główniejsze rysy jego charakteru, przypuszczenie to zupełnie się rozpraszało. Zresztą śmieszne jego wynalazki wojenne: kozły dla zasłaniania wrzekomo piechoty przed szarżami jazdy i barykady na kółkach na użytek tyralierów, któremi się zajmował jeszcze w 1848 r., dowodziły, że jedna strona jego umysłu została była błahą i dziecinną. Kozły te i barykady przypominały owe gry wojenne, któremi się zaprzątał w korpusie kadetów i uważał za tak ważne, że ośmielił się carowi o nich mówić. Pomimo tego miałem przekonanie i trwam w niem dotąd, że w sztabie głównym n. p. jako podszef sztabu, radzićby dobrze potrafił — i że na Kossutha przeważnieby mógł był wpłynąć, gdyby się do tego zręcznie wziął, jak to już mówiłem wyżéj. Dla tego to pragnąłem bardzo nakłonić go do życzeń Kossutha i dowiedziawszy się o jego przyjeździe od młodszego brata jego Adama, także niegdyś kolegi mojego w korpusie kadetów, wtenczas kapi-

tana w marynarce kupieckiéj*), który przybywszy z Ludwikiem z Sycyli przyszedł niebawem mnie odwiedzić, wybrałem się nazajutrz do Wersalu.

Mierosławski mieszkał u jakiejś familii francuskiéj, zaprzyjaźnionéj z nim od dawna, czy też nawet spokrewnionéj przez matkę. Urządzono mu mieszkanie na poddaszu i z francuskim gustem dekoracyjnym zużytkowano pochyłość sufitu ażeby dać podobieństwo namiotu skromnéj izdebce, która mu służyła zarazem za sypialnią i za salonik. Mierosławski przyjął mnie jak dawny kolega — szczerze i serdecznie. Mamże dla tego rzucić pióro i zataić cośmy mówili między sobą, a następnie i fakta których byłem świadkiem? Wstrzymywał mnie ten skrupuł lat trzydzieści lubo po wypadkach badeńskich zerwałem był zupełnie z Mierosławskim. Dziś przeszłość ta weszła w dziedzinę historyi i służyć może dla nauki nowych pokoleń — godzina więc podobnych skrupułów minęła a dla pisarzy, którzy z bliska patrzeli na wypadki ówczesne i ludzi grających w nich ważne role, świadczyć o nich podług sumienia jest niewątpliwie obowiązkiem wyższym nad wszelkie względy, wypływające z dawnych związków koleżeńskich — Amicus Plato sed magis amica veritas. Opowiem też bardzo krótko, ale wiernie, pierwszą rozmowę, jaką miałem z owym dawnym kolegą, tak głośnym wówczas na świecie.

---

*) Był to republikanin najczerwieńszy i wielki zawadjak. Raz byłem z nim w teatrze le Vaudeville na przedstawieniu sztuki jakiejś antyrepublikańskiéj; zaczął sam jeden gwizdać — publiczność krzyczała „za drzwi!“ — on w odpowiedzi rzucil czapkę swoją marynarską na publiczność wymyślając jéj od ostatnich słów; nareszcie policya go wyrzuciła za drzwi. W kilka lat po wypadkach, które opisuje, został zabity na morzu przez swoich majtków.

Po chwilce, poświęconéj wspólnym naszym wspomnieniom, gdyśmy przeszli do okoliczności świeższych, postrzegłem wnet, że Mierosławski w tem się tylko zmienił od czasów kadeckich, że dawna jego zarozumiałość i próżność wzrosły do kolosalnych rozmiarów. W korpusie kadetów był to wielki człowiek w zarodzie, w Wersalu był to już wielki człowiek w całéj pełni swojego geniuszu, był duszą demokracyi i jéj mieczem — to jest za takiego się miał. „Centralizacya, mówił mi, służyła mi za piedestal, a dziś centralizacyą jestem ja — obracam tymi ludźmi jak lalkami i żaden z nich nie śmie w czemkolwiek mi się sprzeciwić.“ Mówił po części prawdę i ta pycha miała ton dosyć imponujący, ale efekt jéj psuł jego mundur jenerała sycylijskiego, cały złotem szamerowany, rozpięty na krześle i czapka jeneralska, także sowicie złotem galonowana, położona na stole. Były to okazy próżności studenckiéj, boć przecie tego stroju nie myślał włożyć na siebie w Wersalu i o to mu tylko chodziło, ażeby go wszyscy widzieli, którzy przychodzą do niego.

Przystąpiłem do zlecenia, jakie mi dał Kossuth, lecz po pierwszych słowach moich odezwał się: „Ale cóż ja tam mam robić, kiedy tam już jest Dembiński?“ Dembiński, odrzekłem, był tam wezwany na wodza naczelnego, jako jenerał chlubnie już znany z 1831 r., jednak na tem stanowisku utrzymać się nie mógł dla tego, że jest obcym. Nie jest to więc dla cudzoziemca władza tak bardzo do pożądania; Kossuth otwiera ci drogę skromniejszą ale pewniejszą: ofiaruje ci rangę pułkownika w sztabie głównym z upewnieniem że postąpisz wyżéj — na szefa sztabu prawdopodobnie — jak tylko pokażesz swoje zdolności. Mierosławski wstrząsnął ramionami. Jakże chcesz, odrzekł, żebym

przyjął rangę pułkownika w Węgrzech, gdzie się przedzierać muszę przez największe trudności, kiedy mnie Badeńczycy tuż za Renem wzywają z entuzyazmem na wodza naczelnego, a wojsko badeńskie warte węgierskiego, bo jest tam 10,000 starego żołnierza, 60 armat i 20,000 ruchawki.

Lecz w Węgrzech, rzekłem, jest cel patryotyczny i najmniéj 2000 Polaków pod narodową chorągwią.

Mają oni Bema, Dembińskiego, odparł Mierosławski, niech ich prowadzą. Mnie ci dwaj wielcy ludzie do niczegoby w Węgrzech nie dopuścili.

Skorzystałem ze wzmianki o Dembińskim, żeby go spytać, jak mógł powiedzieć o nim, że wyszedł z Warszawy jak zdrajca....

Źle mnie zrozumiał Dembiński! wykrzyknął Mierosławski — ja nikogo ani w polskich, ani we francuskich moich pismach nie nazwałem zdrajcą — nawet Krukowieckiego, nawet Łubieńskiego. Frazes o Dembińskim nie dałem jako moje zdanie, lecz jako sposób widzenią stronnictwa ruchu i czynu w Warszawie. Powiedziałem w francuzkiéj historyi powstania, że w oczach tego stronnictwa Dembiński wszedł do Warszawy jak zbawca, a wyszedł z niéj jak zdrajca, ale nie dałem żadnego pozoru do przypuszczenia że i ja tak samo myślę.

Słuchaj więc Ludwiku, rzekłem, skoro ten wyraz zdrajca, który tak głęboko zranił starego Dembińskiego, nie wyszedł z twojego przekonania, sprawiedliwość i uczciwość wymagają, żebyś przy pierwszéj sposobności zadeklarował to publicznie; Dembiński zaś kazał mi powiedzieć przez Barzykowskiego (właściwie powiedział mi to tylko Barzykowski), że jak odwołasz lub sprostujesz ten

obelżywy frazes, gotów jest resztę puścić w niepamięć, a jeżeli udasz się do Węgier, to ci objęcia swoje otworzy.

Ale mnie się ani śni, odrzekł, jechać do Węgier.

Wolisz więc hetmanić Sycylijczykom lub Badeńczykom, odezwałem się trochę gorzko. Pozwól mi jako staremu koledze powiedzieć ci Ludwiku, że stanowisko jakie zająć zamierzasz wodza kosmopolitycznego wszelkich bezwzględnie rewolucyi, nie może ci sławy przyczynić. Dziwnie to nawet wydawać się będzie, że Mierosławski, przywódzca powstania polskiego w r. 1846, walczy za jedność niemiecką.

Co mi tam gadasz! zawołał niecierpliwie Mierosławski, alboż wiesz prawdziwy powód, dla którego włóczę się to do Sycyłii, to nad Ren. Ja jeden go wiem; oto że mi potrzeba koniecznie praktyki wojennego rzemiosła, bo tego mi nie dostaje i ja to czuję. O co zaś chodzi Sycylijczykom, o co chodzi Badeńczykom, to mnie bardzo mało interesuje. Dają mi wojska, żebym niemi dowodził i to dla mnie szkoła — na tem mi dosyć.

Trudno mi było powstrzymać się od uśmiechu, bo mi przypominał Mierosławski młodych i niedoświadczonych chirurgów, którzy się wprawiają do operacyi in anima vili.

Dobrze to jest, rzekłem, tylko podczas gdy będziesz się wprawiał do hetmańśtwa na Niemcach, minie chwila arcyważna i może niepowrotna, w którój mógłbyś ogromne oddać usługi ojczyźnie i zarobić sobie na piękną, czystą, niezaprzeczoną sławę. Przedstawiłem mu obszernie stan rzeczy w Węgrzech, łączność sprawy węgierskiéj z polską, przychylne usposobienie Kossutha dla Polaków w ogólności, dla niego w szczególności, szkodliwy wpływ na niego

w obecnéj chwili jenerałów węgierskich, który udałoby mu się — jemu Mierosławskiemu — zapewne przeważyć, gdyby nad tem popracował; daléj świetne powodzenie Węgrów i prawdopodobieństwo wdania się w tę sprawę Moskali.

Mierosławski rozprawiał ze mną dosyć długo nad tem wszystkiem; widocznie walczył sam z sobą, czy ma hetmaństwo badeńskie poświęcić czy nie? Miłość własna jego wzięła górę — to tylko otrzymałem od niego jako ostatnie słowo, że jeżeli Moskale wejdą do Węgier, to wtenczas zda dowództwo badeńskiego wojska Syblowi i puści się do Węgier jakąkolwiek drogą.

W kilka dni potem, w ciągu których jeszcze parę razy widziałem go w Paryżu i w Wersalu, pojechał do Badeńczyków, ja zaś śledziłem pilnie obroty Węgrów, o których otrzymywaliśmy w Paryżu wiadomości coraz pewniejsze i coraz więcéj szczegółowe — Wysocki już mógł nawet przesyłać relacye z teatru wojny do Gazety Polskiéj w Poznaniu.

Przerwałem krótkie opowiadanie moje o węgierskiéj wojnie na wzięciu Wacowa i odwołaniu Windischgrätza. Jenerał Welden, który go zastąpił, skoncentrował wszystkie siły, jakiemi mógł rozrządzać, a nie wynosiły więcéj nad 25,000 wojska podług Bułharyna, na prawym brzegu rzeki Gran. Mosty na téj rzeczce były popalone, Węgrzy bardzo mało mieli pontonierów i postawienie nowych mostów wiele im czasu zajęło. Dnia 18 Kwietnia nakoniec trzy korpusy węgierskie przeszły rzekę Gran; dwa z nich, to jest korpusy Klapki i Damianicza, uderzyły 19go na armią Weldena pod Nowym Sarlo i rozbiły ją, a jenerał Gaspary, który z trzecim korpusem przeszedł rzekę

poniżéj, zastąpił uciekającym drogę i dokonał zupełnego zwycięztwa; niedobitki jednak zdołały ujść przez most pod Granem na prawy brzeg Dunaju i nie zatrzymując się dla spalenia mostu za sobą, biegły w nieładzie daléj. Nie oparły się aż pod Raab. Austryacy stracili pod Nowym Sarlo 2000 ludzi w zabitych, 6000 zaś wzięto w niewolę*) W téj bitwie Wysocki dowodził dywizyą a Polacy, jak zwykle, walczyli jak bohaterzy. Görgöi nie ścigał Weldena, co mu Bułharyn za błąd poczytuje, ale poszedł na odsiecz twierdzy Komorn, obleganéj przez Austryaków. Mieli oni w posiadaniu swojem wzgórza na prawym brzegu Dunaju, zwane Piaskową górą, panujące nad szańcem przedmostowym Komorna, ale mostu na Dunaju nie było; Gögöi musiał go postawić pod ogniem nieprzyjaciela — przeszedł ten most 26 Kwietnia, zdobył Piaskową górę i lasek, w którym Austryacy mieli wszystkie narzędzia oblężnicze, lecz w tem zjawił się nagle nowy nieprzyjaciel. Był to jenerał Schlick, który cofając się z Pesztu, trafił na bitwę pod Komornem i uderzył na prawe skrzydło armii węgierskiéj. Bitwa rozpoczęła się na nowo — skończyła się klęską Schlicka — Austryacy stracili w ogóle w tym dniu w poległych i wziętych w niewolę 3000 ludzi, 10 dział i wszystkie narzędzia oblężnicze z ogromnym zapasem amunicyi, a Komorn, w którym była załoga z 10,000 ludzi, został oswobodzony od nieprzyjaciela. Görgöi stanął wtenczas na najwyższym szczeblu swojéj karyery, lecz okoliczności ogromnie go przerastały. Miał on drogę otwartą do Wiednia, a opanowawszy tę stolicę, miałby był w ręku los monarchii austryackiéj

*) Bułharyn. Rys wojny węgierskiéj, str. 239.

i w następstwie los całéj wschodniéj Europy. Zdaje się nawet że ta perspektywa ukazała się na chwilę przed jego oczyma. Po zwycięztwie pod Komornem ruszył śmiało za Austryakami w kierunku Raab; Jenerał Welden przerażony, opuścił, silną z natury i umocnioną fortyfikacyami pozycyą pod tem miastem, i cofnął się pod Presburg. Tymczasem Görgöi, namyśliwszy się w drodze, wrócił do Komorna, a z Komorna z całą prawie armią swoją z 45,000 ludzi wyruszył ku Budzie prawym brzegiem Dunaju. Buda, jak wiadomo dawna stolica Węgier, wznosi się naprzeciw Pesztu, przedzielona od niego Dunajem. Miasto było w posiadaniu Węgrów, ale załoga austryacka zajmowała starożytną cytadelę zamkową, którą dowodzący w niéj jenerał Hentzy na prędce umocnił był wałem i palisadami. Görgöi stanął pod murami téj cytadeli 5 Maja i wezwał jenerała Hentzy o poddanie się. Jenerał austryacki odmówił w sposób rycerski i tem ocalił monarchię Habsburgów. Görgöi stracił dwa tygodnie czasu na obleganiu téj cytadeli, gdyż musiał sprowadzać działa oblężnicze z Komorna i wystawił miasto Peszt na srogie bombardowanie, w którem pięćdziesiąt najpiękniejszych gmachów spłonęło a cała ludność wyniosła się była do pobliskiego miasteczka, gdzie największa część musiała obozować pod gołem niebem. Zdobył nakoniec Görgöi cytadelę zamkową 20 Maja, znalazł w niéj wielkie łupy i zabrał 3500 niewolników. Obrońca cytadeli J. Hentzy zginął. — Komitet obrony krajowéj, z Kossuthem na czele, wysłał do zwycięzcy deputacyę z orderem węgierskim nowo ustanowionym pierwszéj klasy, lecz cały ten tryumf drogo był opłacony. Görgöi wrócił pod Komorn dopiero w końcu Maja, gdy już armia austryacka była wzmocniona posiłkami z Włoch do 50,000 ludzi — armia węgier-

ska wynosiła wprawdzie 137,000 ludzi z 400 działami*), ale rozrzucona była na całéj przestrzeni Węgier i Görgöi miał znowu tylko 45,000 ludzi pod ręką. Nie było więc z czem iść na Wiedeń, a co gorsza, w ciągu tych czterech tygodni, użytych przez Görgöja na wzięcie Budy jako też na marsze z Komorna pod to miasto i powrót do Komorna, rząd austryacki wszedł był w układy z Rosyą o interwencyą jéj w Węgrzech. Na początku Czerwca przygotowania armii rosyjskiéj w Królestwie Kongresowem do wyprawy na pomoc Austryi były tak widoczne, że wszystkie dzienniki europejskie o tem mówiły. Dla nas, we Francyi, nie była to, przyznać muszę, nowina nieprzyjemna, zwłaszcza że wiedzieliśmy, iż Dembiński wstąpił na powrót do czynnéj służby w Węgrzech, że dowodził korpusem do którego należał legion polski i że nalegał na Kossutha i Görgöja, aby mu pozwolili z tym korpusem wejść do Galicyi. Gazeta Polska poznańska z 2 Maja zawierała pismo Wysockiego, który dawał w tym względzie obszerne wyjaśnienia i powiadał, że jest przeciwnym wkroczeniu korpusu węgierskiego do Galicyi póki formacya legionu polskiego nie będzie ukończona, ale zapewniał, że tą formacyą czynnie się zajmuje.

Zbliżała się więc kryzys stanowcza w sprawie węgierskiéj, która i polską sprawę poruszyć miała. Tymczasem w Badeńskiem Mierosławskiemu wcale się nie wiodło. Z początku pisywał do dziennika le Siècle relacye ze swojéj kampanii i chełpił się z różnych małych sukcesów, czasem w sposób cyniczny, gdyż ta struna odzywała się na nieszczęście zbyt często u niego, i tak raz zdając

*) Rys wojny węgierskiéj, str. 246.

rachunek z pieniędzy, które przeszły przez jego ręce na koszta wojenne, i strat jakie zadał Prusakom, dowodził, że sprząta Prusaków za tanie pieniądze — tyle za każdego. Pamiętam, że Journal des Debats powstał z oburzeniem na przechwałki tak brutalskie. Pomimo jednak owych głoszonych przez niego sukcesów i ekonomicznego zabijania Prusaków, pokazało się, że się ciągle cofa i nakoniec przyszła wiadomość, że został rozbity pod Waghaüsel. Pomyślałem sobie, że chwila przyszła przypomnieć mu jego przyrzeczenia; zarazem pod wpływem świeżych wypadków w Węgrzech wykłuł się w głowie mojéj projekt, który zdawał mi się płodnym w rezultaty i podobnym do wykonania. Był następujący:

Między W. Księstwem Badeńskiem a Tyrolem austryackim po nad brzegami jeziora Boden (lac de Constance) jest najwięcéj pięć mil niemieckich przedziału; są to terytorya wyrtembergskie i bawarskie; pierwsze przytyka do jeziora klinem nie szerszym nad 4 mile, drugie daleko węższym jeszcze klinem, bo zaledwie na milę jednę szerokim — oba przebyć można jedną nocą marszem forsownym. Owoż myślą moją było nakłonić Mierosławskiego, ażeby, gdy sprawa badeńska już tak prawie jak stracona, wziął ze starego wojska badeńskiego 6 lub 8 tysięcy ochotników, całą artyleryą jeżeli można, zapasów ile się wziąść da i ruszył z takim korpusikiem przez te dwa kliny do Tyrolu, nie uważając na zgwałcenie prawa narodów i inne dyplomatyczne trudności, które nas mało obchodziły. Co zaś do wojska badeńskiego liczyłem na to, że mu się ten projekt podoba. Bunt to wojska był początkiem rewolucyi badeńskiéj i żołnierze mogli byli być pewni, że im to gładko nie ujdzie, jeżeli książę ich wróci

do władzy. Nie mieliby przeto nic do stracenia puszczając się na awanturniczą wyprawę do Tyrolu, i w rzeczy saméj przekonałem się późniéj naocznie, że byli do wszystkiego gotowi, byle nie wrócić pod panowanie swojego księcia.

Przejęty tą myślą postanowiłem jechać bezzwłocznie w Badeńskie i w razie potrzeby zostać przy Mierosławskim aż do chwili stanowczéj, w któréj nie pozostanie mu inna alternatywa jak wrócić ze wstydem do Francyi — po drugiéj a nawet trzeciéj nieudanéj donkiszockiéj wyprawie — albo ratować swoją sławę rzucając się zuchwale w góry Tyrolskie na tyły armii austryackiéj ażeby podać rękę Węgrom i Polakom. W razie jednak gdyby mi się nie udało nakłonić go do tego ostatniego planu — a miałem wewnętrzne przekonanie że mi się nie uda — byłem zdecydowany wrócić sam do Węgier, tylko nie miałem wielkiéj ochoty przedzierać się znowu przez kordony pruskie i austryackie, umyśliłem puścić się morzem do Konstantynopola a ztamtąd przez Wołoszczyznę do Temeszwaru. Droga była wprawdzie długa, ale nie wiele zależało nikomu na tem, czy trochę wcześniéj, czy trochę późniéj przyjadę na teatr wojny — nie przynosząc Węgrom wysokich zdolności wojskowych, lecz tylko ramię żołnierza. — Droga morska miała dla mnie jeszcze tę korzyść, iż byłem prawie pewnym, że mi rząd piemoncki ułatwi przeprawę, jeżeli się zgłoszę do niego z dobrą rekomendacyą. W tym celu udałem się do księcia Adama Czartoryskiego i do Alex. Walewskiego. Jeden i drugi udzielili mi jak najchętniéj rekomendacyi, książę Czartoryski do Józefa Sobolewskiego, Alex. Walewski do posła francuskiego w Turynie pana Bois le Comte. Ani jednemu ani drugiemu nie

wyjawiłem mojego awanturniczego planu, bo o takich planach mówić można tylko po skutku pomyślnym — inaczéj wydają się szaleństwem. Uważałem jednak że książę Czartoryski był zamierzoną interwencyą moskiewską bardzo zaniepokojony. Nie wróżył nic dobrego i bardzo ganił Görgöja — tak jak wszyscy ludzie, którzy się temi wypadkami interesowali — iż zamiast iść na Wiedeń po zwycięztwie pod Komornem zwrócił się był pod Budę i stracił sposobność wzięcia austryackiéj stolicy. Władysław Zamoyski miał więcéj otuchy; widziałem go wybierającego się do Węgier przez Konstantynopol. Widziałem także przed wyjazdem Telekiego — ale znalazłszy go w tymże samym sceptyzmie i epikureizmie jak za przybyciem moim do Paryża — mówiłem z nim mało bardzo o węgierskiéj a obszernie o innéj sprawie. Miałem w hotelu sąsiadkę Moskiewkę, pod polskiem, nawet bardzo arystokratycznem nazwiskiem — nie wiem jakim sposobem zabłąkanem w głąb Rosyi — którą pianista Liszt uwiózł był z Charkowa od męża i dzieci i zostawił na koszu nad Renem. Ona snać nie lubiła Niemców i wyrwała się do Paryża, gdzie się zgłosiła do Telekiego, ażeby nawrócił do niéj niewiernego. Teleki nie miał zbyt czułego serca i nieszczęsna musiała drogo okupić obietnicę protekcyi, która na niczem spełzła. Była już podwójną Ariadną, gdy w loży odźwiernego spostrzegła pod moim kluczem bilet wizytowy Telekiego. Nuż w prośby do mnie, żebym jéj choć Telekiego zwrócił. Nie przyrzekłem jéj tego bynajmniéj, lecz będąc u ambasadora węgierskiego i widząc że ziewa gdym zaczął z nim o wypadkach węgierskich mówić, wprowadziłem sprawę owéj moskiewskiéj Ariadny. Wydawało mi się to zabawnem. Rzeczywiście Teleki się po-

ruszył, uniewinniał się, oskarzał Ariadnę i w końcu zarzucił mi, że zapewne każę sobie moje adwokatowanie taką samą ceną opłacać jak on swoją obietnicę protekcyi. Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, że nie jestem ambasadorem węgierskim, abym na taką grubą zwierzynę polował... i na tem skończyła się moja konferencya dyplomatyczna.

Wyjechałem z Paryża 14 Czerwca. Pamiętam tę datę, bo w przeddzień była — z powodu wyprawy do Rzymu — tłumna manifestacya, którą wojsko rozpędziło; a cholera tak silnie grasowała w stolicy francuskiéj, że kawalerya rozstawiona wzdłuż Bulwarów, przeciąwszy komunikacyę między jedną a drugą stroną téj głównéj arteryi paryskiéj, wstrzymała na wszystkich poprzecznych ulicach pogrzeby, a na nie jednéj kilka pogrzebów; co nie przeszkodziło Paryżanom manifestować.

W Badeńskiem zatrzymałem się naprzód w Bad-Badenie, gdzie wiedziałem że jest Heltman, i od niego spodziewałem się dowiedzieć, gdzie mam szukać Mierosławskiego — ale i on nie wiedział co się z nim dzieje. Musiałem więc czekać na jakąś wiadomość o wodzu i wojsku badeńskiem i przebawiłem parę dni z Heltmanem w Bad-Badenie. Heltman był to charakter idealny — poeta w czynie — ale tem samem więcéj szkodliwy niż użyteczny. Żył ciągłemi złudzeniami i drugich w nie pociągał atrakcyą jaką umysł i charakter jego wywierały na dusze skłonne do entuzyazmu. Długo kierował on całą demokracyą jako prezes centralizacyi, przytem był najobfitszym i najcelniejszym z demokratycznych pisarzy. Styl jego czysty i gładki płynął szerokiem korytem jak rzeka, a gdzie trzeba było bohaterskich poświęceń tam on biegł

pierwszy, jakby poświęcenia były jego specyalnością. Nie wiem wiele razy był emisaryuszem w najrozmaitszych częściach Polski, ażeby przygotowywać to powstanie mas, które było jego marzeniem. Zresztą był skromnym, słodkim i ufnym jak dziecko. Przytoczyłem wyżéj zdanie jego o Mierosławskim — podobnież wierzył we wszystkich swoich współdziałaczy i swoich przyjaciół, każdego brał za co się dawał, a zawody jogo zacząć się miały dopiero od Mierosławskiego.

Po dwóch czy trzech dniach oczekiwania przywiózł nam nakoniec inny centralizator, Krzyżanowski, nowiny od Mierosławskiego. Przyjechał on z Karlsruhe i doniósł nam, że przybył tam tegoż samego dnia rankiem Adam Mierosławski, który bratu swojemu Ludwikowi ciągle towarzyszył. Zostawił on go w marszu o parę etapów od Karlsruhe z całą prawie armią badeńską na nowo po rozbiciu zgromadzoną — i powiadał że Ludwik dąży do stolicy badeńskiéj, gdzie przykazał, ażeby czekała na niego formująca się kompania polska, złożona z 200 młodzieży z nowéj emigracyi — Adam zaś Mierosławski ma się zająć umocnieniem na prędce tego miasta.

Podług tych nowin nic mnie bardzo nie nagliło do wyjazdu z Bad-Badenu, a miałem interes wyrozumieć tych dwóch centralizatorów jakby im przypadł mój projekt. Przepędziłem więc resztę dnia z nimi. Skreśliłem już sylwetkę Heltmana, Krzyżanowski był zupełnie odmiennym człowiekiem. Po długiéj rozmowie można było poznać, że ani uczuciem, ani wyobraźnią się nie rządzi, że to charakter umiarkowany, wytrawny, ale pozytywny i energiczny. Był on delegatem centralizacyi przy rządzie rewolu-

cyjnym badeńskim a centralizacya wiedziała kogo wybrała. Krzyżanowski, mówiący doskonale po niemiecku i obznajmiony ze stósunkami niemieckiemi, wychodził z wielkim taktem z adwokatami składającymi ów rząd i każde zdanie jego miało u nich wielką wagę, jak się późniéj o tem przekonałem. Heltman przyłączył się wnet z entuzyazmem do mojego projektu, Krzyżanowski zaś był mu zrazu zupełnie przeciwny. Utrzymywał on, że Mierosławski ma takie zobowiązania względem Badeńczyków, iż mu honor nie pozwala odstąpić ich sprawy, a zwłaszcza też zabierać im najlepszą część wojska, ażeby je dla innéj sprawy użyć — że to byłoby wprost zdradą. Wyjaśniłem mu, że nie chodzi tu bynajmniéj o to, żeby to natychmiast uczynił i bez wiedzy rządu. Niech Mierosławski, rzekłem, próbuje jeszcze szczęścia póki się nie przekona i póki rząd badeński także się nie przekona, że dłuższa walka doprowadzić może tylko do ogromnéj klęski lub poddania się na łaskę i niełaskę Prusaków. Wiem ja, że Mierosławski mógłby się trzymać długo w Czarnéj puszczy, gdyby miał podostatkiem żywności i amunicyi, ale prawdopodobnie zabraknie mu prędko tego wszystkiego i wojsko mu się rozprzęgnie pod ręką. Czyż nie lepiéj więc, nim do téj ostateczności przyjdzie, zastanowić się dobrze jakby jéj uniknąć. Owoż zdaje mi się, że projekt podany przezemnie jest nawet ze stanowiska badeńskiego najpraktyczniejszym i najzaszczytniejszym po temu środkiem. Rzucając się na tyły armii austryackiéj ażeby współdziałać z Węgrami, korpus ochotniczy badeński walczyć nie przestanie za sprawę jedności niemieckiéj, z większą nadzieją skutku niż w tym zakątku Niemiec, gdzie Badeńczyków prą tak przeważną siłą Prusacy. Rewolucya badeńska

mogła się tylko w takim razie udać, gdyby pociągnęła była w tenże sam wir Würtemberg, Bawaryą, małe państwa niemieckie a w końcu i Prusy, ale Badeńczycy walczą samotnie przeciw całéj potędze pruskiéj i niezawodnie sami jedności niemieckiéj nie wywalczą — ulegną nie dziś to jutro. W państwie austryackiem zaś znajdą sprzymierzeńców w Czechach, Węgrach, Polakach, Niemcach wiedeńskich, Włochach, a jeżeli Moskale wkroczą do Węgier, to wszystkie kwestye europejskieześrodkują się w obrębie tego państwa. Krzyżanowski zaczął się chwiać; pokazałem mu wtenczas na karcie geograficznéj jak łatwe jest przejście z Badeńskiego do Tyrolu; dowodziłem, że żywność i amunicyę można nawet przewieść jeziorem Boden na brzeg tyrolski w okolice Bregenzy, a Tyrol, rzekłem, ogołocony jest z austryackiego wojska; tam więc Badeńczycy rozgospodarować się będą mogli, rekwirować co im potrzeba i posuwać się w kierunku jaki wypadki wskażą — w najgorszym zaś razie cofnąć się do Szwajcaryi. Przy pomocy karty dokonałem przekonania Krzyżanowskiego. „Będę ja o tem mówił, rzekł, z ministrami badeńskimi — od razu wszystkiego nie powiem — po słówku rzecz wprowadzę i o wszystkiem wam doniosę.“

Nazajutrz po téj rozmowie byłem w Karlsruhe. Adam Mierosławski rządził tam jak gubernator moskiewski w zdobytem mieście; napędzał całą ludność do sypania szańców, klął i wymyślał po francusku, a spokojni mieszczanie — przeklinający w duszy rewolucyą — drzeli przed nim. Kompania ochotników z młodéj emigracyi, która się znajdowała w Karlsruhe, była w opłakanym stanie, wszyscy w bluzach obdartych i zgłodniali, bo nikt się nimi nie zajmował a oni nie wiedzieli do kogo się odwo-

łać*). Wszyscy nie bawiliśmy długo w stolicy badeńskiéj, bo drugiego czy trzeciego dnia przyszła wiadomość od Ludwika Mierosławskiego, że przybył z wojskiem do Rastadtu ominąwszy Karlsruhe, któréj bronić nie myśli. Podążyliśmy za nim a rząd rewolucyjny przeniósł się do Freiburga.

Ludwik Mierosławski zdziwił się nie mało, gdy mnie zobaczył. Powiedziałem mu, że przyjechałem z Francyi, aby być z nim aż do chwili, w któréj sam osądzi, że sprawa badeńska stracona a sprawa polska się podnosi w Węgrzech. Prosił mnie o szczegóły wypadków jakie zaszły w Węgrzech, bo dawno już żadnéj gazety nie miał w ręku. Opowiedziałem mu zwycięztwa jenerałów węgierskich, plan Dembińskiego wkroczenia do Galicyi i wszystko co mówią o przyszłéj interwencyi moskiewskiéj. Chciałem go wybadać co myśli począć, ale nic innego wydobyć z niego nie mogłem, jak fanfaronadę i blagę. Sądzićby można było, że był najpewniejszym zwycięztwa. W końcu rzekł mi: kiedy już tu przyjechałeś, zostań przy mnie, będziesz moim adjutantem. Zgodziłem się na to, lubo rola ta wydawała się komiczną w własnych moich oczach, ale chciałem popracować jeszcze nad Mierosławskim, a liczyłem na poparcie ze strony Heltmana, Krzyżanowskiego i otaczających go Polaków. Przywdziałem więc mundur adjutanta jenerała Mierosławskiego i o mało drogo tego nie opłaciłem, jak to opowiem daléj.

W Rastadzie upłynęło mi kilka dni jak na zabawie, o Prusakach nie było słychać, a sztab główny obsadzony

---

*) Był między nimi młody jeden Fredro, syn Maksymiliana, bardzo dobrze wychowany i utalentowany młodzieniec; umarł na suchoty w Szwajcaryi

był samymi tylko Polakami, dla których te dnie wolne od biedy były prawdziwemi wakacyami. Był tam Chrystowski, kolega Mierosławskiego w centralizacyi, Służalski, ów faworyt Mićkiewicza, o którym mówiłem dawniéj, Żurkowski, doktor, który na Mierosławskiego największy wpływ wywierał i kilkunastu innych w najrozmaitszych mundurach, bo każdy sobie wybierał taki jaki mu się podobał, tylko wszyscy brali wzory z wojska Konstantynowskiego. W fortecy i w wojsku panowała niesłychana anarchia. Mierosławski zachował był szwadron dragonów gwardyi książęcéj, który był najprzeciwniejszym ruchowi rewolucyjnemu. W czasie odwrotu Mierosławskiego reszta tego pułku i dwa inne także dragonów były pod dowództwem poczciwego jenerała naszego Szneidera, napadli na niego, pobili go niemiłosiernie i poranili tak, że musiano go odwieść do Francyi a dragoni przeszli do Prusaków pod Waghaüsel. Mierosławski jednak zatrzymał przy sobie pozostały szwadron dragonów, ażeby mu tworzył orszak na przeglądach i paradach, lecz obawiając się losu Szneidera, uformował z Polaków z młodéj emigracyi swoją straż przyboczną i kazał im sypiać z bronią na korytarzach kwatery głównéj. Artylerzyści mieli podobnież przywiléj bezkarności, wieszali bez sądu różnych podejrzanych im ludzi w Rastadzie. Jednego dnia powiesili rano szewca dla tego, że był Prusakiem, lubo od trzydziestu lat osiadłym w tem mieście; wieczor powiesili innego mieszkańca, którego podejrzywali o szpiegostwo. Mówiłem o tem z oburzeniem Mierosławskiemu: „Rastadt, rzekłem, stanie się niebawem jaskinią rozbójników.“ „Ech! wykrzyknął Mierosłowski, moim artylerzystom wszystko wolno!“

Tolerować wszystko żołnierzom było rzeczywiście koniecznością jego sytuacyi. — Gdyby był chciał zaprowa-

dzić porządek, karność, sądy wojenne — i gdyby jednego tylko żołnierza rozstrzelano, całe to buntownicze wojsko byłoby rzuciło się na niego i rozszarpało go. — Pod taką grozą nie mógł lub nie śmiał inaczéj go uorganizować, jak na sposób radykalnie-demokratyczny. Żołnierze wybierali sami sobie podoficerów i oficerów niższych. Wyższych tylko on mianował ale jak widzieliśmy na przykładzie jenerała Sznejdera nie szło to w smak żołdactwu. Stare wojsko Badeńskie było wprawdzie tak wyćwiczone — mianowicie artylerya — że żołnierze sami wiedzieli co czynić i umieli się poznać na zdolniejszych kolegach, ale ruchawkę ani podobna było prowadzić w kupie, a Mierosławski nie korzystał nawet z kilku dni wolnych żeby tę hołotę trochę przemusztrować.

Miałże on jaki plan strategiczny w téj awanturniczéj kampanii? Mogę śmiało powiedzieć — opierając się na zdaniu jednomyślnym zebranéj późniéj rady wojennéj — żadnego. Cała jego strategia polegała na ciągłem cofaniu się przed Prusakami, któremi dowodził następca tronu dzisiejszy cesarz Wilhelm, ostrzeliwał się tylko gdzie na to była sposobna pozycya dla ocalenia honoru. W Rasztadzie ani myślał się bronić; było to widoczne, dla najmniéj znającego się na sztuce wojennéj. Rastadt była to forteca nie ukończona, nie uzbrojona, bez żadnych zapasów, a przed szańcami w jednéj stronie ciągnął się szeroko dosyć gęsty lasek, który mógł doskonale zasłaniać ruchy nieprzyjaciela. Wszyscy w około Mierosławskiego radzili mu żeby ten lasek spalił — on tego nie chciał; co było najoczywistszym dowodem, że ma zamiar Rastadt opuścić za pojawieniem się Prusaków. Kazał tylko wystawić za laskiem bateryą z faszyn i z ziemi, za tą zasłoną

umieścił kilka dział a za niemi posterunek staréj piechoty. Podobnych posterunków postawił kilka w około fortecy i na tém się ograniczały jego przygotowania do przyjęcia Prusaków.

Zmiarkowawszy jego myśl, raz gdy był sam w swoim gabinecie zbliżyłem się do niego i przedstawiłem mu projekt z jakim udałem się za nim w Badeńskie. Powtórzyłem mu wszystko com powiedział Heltmanowi i Krzyżanowskiemu popierając moje argumenta, podobnież jak to uczyniłem z niemi, skazówkami na karcie geograficznéj; starałem się poruszyć jego patryotyzm, jego ambicyę, jego uczucie honoru wojskowego, któren mógł w ten sposób ocalić, ale słuchał mnie dosyć obojętnie i w końcu odpowiedział, że żadnéj decyzyi pod tym względem powziąść nie może, nim się raz jeszcze z Prusakami nie zmierzy mając nadzieję, że weźmie odwet. Trzeba było więc jeszcze czekać na tę próbę stanowczą i nie czekałem długo. W parę dni potém około południa, podczas gdy Mierosławski z częścią sztabu swojego objeżdżał posterunki a ja tylko i Chrystowski byliśmy w kwaterze głównéj, zagrzmiały działa za laskiem. Kanonada była silna i przedłużała się. W krótce przybiegł do nas kanonier cały prochem osmolony i powiedział nam że Prusacy są w znacznéj sile ukryci w dole i bez wątpienia gotują się do ataku a skoro się pokażą działa badeńskie będą musiały cofnąć się mając zbyt słabą asekuracyą za sobą. Byliśmy w straszliwym kłopocie, nie wiedząc gdzie szukać Mierosławskiego. Szczęściem po chwilce przyjechał i natychmiast kazał uderzyć w bębny na alarm; wojsko zaczęło się gromadzić na placu a on nie zsiadając z konia z całym sztabem, do którego ja i Chrystowski przyłączyliśmy

się, pospieszył ku zaatakowanéj bateryi. Czekał tam na niego Służalski, który już obejrzał był pozycyą Prusaków i zaofiarował się pokazać ją Mierosławskiemu. Pojechaliśmy wszyscy za jego przewodem. Długo nie widać było jak tylko gołe pole podnoszące się zwolna. Dopiero gdyśmy przybyli na krawędź tego podniesienia, postrzegliśmy w dole artyleryą pruską faszynami osłoniętą a za nią rozciągłą linię piechoty. Prusacy przywitali nas wściekłym krzykiem zwróciliśmy czémprędzéj konie, puściliśmy im cugle — instynkt zbił je w jedną kupkę a było nas przynajmniéj piętnastu i taką kupą biegliśmy. Prusacy kartaczami za nami sypnęli ale nikogo nie dosięgli. Wróciwszy do lasku zastaliśmy tam już zgromadzoną całą armią jaką Mierosławski miał pod ręką. Wnet porozsyłał on stare pułki na prawo i na lewo; została tylko ruchawka, którą kazał mnie prowadzić na Prusaków, bo już strzały karabinowe zwiastowały, że postępują naprzód. Trudno mi wypowiedzieć co to za bieda była prowadzić tę hołotę do boju a właśnie szedłem w sam środek ataku, gdzie należało było posłać stare pułki. Pies owczarski napędzający do kupy spłoszoną trzodę owiec mniej nie wątpliwie ma do roboty niżeli ja miałem z ową ludzką trzodą. Na próżno dla dodania jéj animuszu kazałem jéj śpiewać chórem pieśni patryotyczne — pieśni zatrzymywały się w gardłach a śpiewacy kryli się we wszystkie krzaki, za wszystkie drzewa, w fosy i w doły, pod różnemi pretekstami. Nareszcie wyprowadziłem, jeżeli nie wszystkich to przynajmniéj największą część, na otwarte pole gdzie stały nasze armaty zupełnie odkryte z lewego skrzydła i spostrzegłem tyralierów pruskich zbliżających się dosyć szybko żeby napaść z tyłu na nie, a za tyralierami ścisłe linie piechoty. Rozsypałem ruchawkę moją

w tyraliery za rowem, na którym był mostek, a sam stanąłem na tym mostku, ażeby uciekającym drogę przeciąć bo miałem przekonanie że moi żołnierze kilku minut nie wytrzymają w ogniu. Nie omyliłem się; wkrótce zaczęli ustępować — ciżbą tłoczyć się na mostek — koń mój wspiął się i pchany przez tłum zleciał ze mną w rów. Nimem zdołał — potłuczony — wydobyć się z wody i z błota i konia mojego pochwycić, już cała ruchawka moja była w ucieczce a artylerzyści zaprzodkowali byli działa i ruszyli za hołotą. Turkot armat i jaszczyków pędzących cwałem po drodze bitéj dał hasło do ogólnéj ucieczki. Kurz taki powstał, że nie widać było świata, musiałem znowu koniowi cugle puścić i zdać się na jego instynkt. Dopiero pod samemi wałami zdołał Mierosławski na czele polskiéj kompanii cały ten popłoch wstrzymać i wojsko napowrót uszykować. Zostawił mu potém kilka godzin na wypoczynek i obiad. Pod wieczór wyprowadził go znowu przeciw nieprzyjacielowi. Tymrazem, na czele szła kompania polska rozsypana w tyraliery, za nią stare pułki, w końcu ruchawka. Polacy dawali przykład męstwa i oni głównie wyparli Prusaków z lasku. Działa nasze wróciły na dawną pozycyę i niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane.

Nazajutrz mieliśmy ranek spokojny, żadnych strzałów nie było słychać a Mierosławski był tryumfującym; spostrzegłem jednak, że wewnątrz gryzła go jakaś troska. Wyprawił mnie do posterunku dosyć odległego, w stronie przeciwnéj laskowi i bateryom przed nim ustawionym, ażebym go zlustrował na prędce i dowiedział się czy się tam Prusacy nie pokazują. Dopełniłem tego zlecenia i wracałem do fortecy, gdy rzuciwszy okiem na prawo

postrzegam na innéj drodze wiodącéj także do Rastadtu, w dosyć znacznéj odległości, długą linią czarną, poruszającą się w kierunku wstecznym od fortecy. Przypatruję się lepiéj i poznaję sztab główny na koniach, piechotę, artyleryą, pociągi — zgoła całe wojsko Badeńskie. Zdziwiony, skręcam konia, daję mu ostrogę i lecę przez mokrą łąkę i orane pola — dopędzam Mierosławskiego i pytam go, co się stało, że tak znienacka wychodzi z Rastadtu. Odpowiada mi że Prusacy otaczają tę fortecę, jedna tylko pozostała droga do wyjścia, którą lada chwilę zamknąć mogą — nie było chwili do stracania i wyprowadził czém prędzéj wojsko, ażeby nie być odciętym. Tak więc gdyby nie przypadek szczęśliwy żem spostrzegł wychodzące wojsko, byłbym wrócił do opuszczonego Rastadtu, gdzieby mnie rozstrzelali, jak się to stało z Mniewskim, którego Mierosławski na innym jakimś posterunku zostawił.

Sens moralny wynikający z podobnych nauczek, jest że adjutantując przy jenerale awanturniczym, który wojuje bez żadnego planu, trzeba być przygotowanym, iż można bardzo łatwo wpaść w ręce nieprzyjaciela i być rozstrzelanym lub powieszonym.

Prusacy nie zaraz spostrzegli, że Mierosławski z rąk im się wymknął. Zaszliśmy spokojnie do jakiegoś miasteczka, którego nazwiska nie pamiętam, dwie czy trzy mile na południe Rastadtu. Tam Mierosławski chciał jakiś opór stawić nieprzyjacielowi dla ocalenia honoru poraz ostatni, ale nim pozycyę wybrał, krzyk się rozległ: Prusacy idą! Żołnierze nie czekając na żaden rozkaz porwali za broń, artylerzyści zaprzodkowali działa i cała armia

ruszyła w dalszy pochód, — przyznać muszę, że w pewnym porządku lubo nikt nią nie komenderował.

Wśród tego ruchu Mierosławski z oczów mi zniknął szukałem go i nie mógłem go nigdzie znaleść, aż nareszcie spostrzegam, że jestem na rynku sam jeden z Badeńskiego wojska. Dopadam do kwatery głównéj i szczęściem zastaję tam jeszcze szefa sztabu Mierosławskiego, niemca, ale dobrze mówiącego po francuzku i jowialnego. Pakował już z swoim kancelistą resztki różnych papierów wojskowych — pytam go gdzież jenerał „Il a f... le camp“, a cóż my poczniemy? Nous f... le camp idem. Zaofiarował mi miejsce w swoim powozie, który czekał przed bramą, przyczepiłem konia mojego do koni powozowych i zabrałem się z Niemcem i jego kancelistą.

Czas był już wielki na to, bo Prusacy byli tuż pod miastem i ztamtąd puszczali kartacze za wojskiem Badeńskiem a tyralierzy ich postrzegłszy nasz powóz dążący za nim strzelali do niego jak do celu. Kilka kul przeszyło pokrycie powozu. Snać nie mieli kawaleryi na podorędziu bo byłaby nas niewątpliwie dognała.

Wieczorem przybyliśmy do Offenburga, zostawiwszy o parę mil za sobą armię Badeńską saméj sobie zostawioną, lecz, która w nocy czy nad rankiem zgromadziła się w całość prawie pod tym miastem. Mierosławskiego widzieć nie mógłem tegoż wieczora. Zaszedłem do doktora Żurkowskiego, który jeden jak już wspomniałem wyżéj, wywierał wpływ na niego i poprosiłem go żeby natychmiast wezwał wszystkich Polaków ze

sztabu, gdyż mam im ważną rzecz do przedłożenia. Niebawem zebrali się wszyscy, opowiedziałem im mój projekt. „Chwila jest stanowcza, rzekłem, dłużéj wahać się nie można. W téj armii, którą Mierosławski ma jeszcze pod ręką i z którą już nic zrobić nie potrafi na Badeńskiéj ziemi jest jeszcze z 8000 starych żołnierzy na wszystko zdecydowanych. Pewny jestem, że jeżeli Mierosławski zechce przeżnąć się do Tyrolu znajdzie między niemi ze 6000 ochotników, którzy pójdą za nim a nie wątpliwie cała artylerya z swojem 40 czy 50 działami nie opuści go. Rząd nawet pójdzie z nami z kasą.“

Wszyscy byli swojego zdania i przyrzekli mi nazajutrz jednozgodnie nalegać na Mierosławskiego ażeby się tego projektu chwycił. Rzeczywiście nazajutrz zaatakowaliśmy go połączonemi siłami. Zmięszał się, „wiem ja, rzekł, że to nie jest projekt niemożebny i drugiemu by się udał, ale ja nie jestem szczęśliwy, widzicie że nic mi się nie udaje, mnie otoczą i schwycą.“

Daremnie staraliśmy się podnieść w nim ducha, na wszystkie perswazye nasze odpowiadał jednostajnie „nie, nie namówicie mnie do tego przedsięwzięcia, bo mam przekonanie, żeby mi się nie udało“ — „C'est un homme fini et f...“, szepnął mu do ucha szef sztabu niemiec. Nie mogąc nic wskórać rozeszli się wezwani przezemnie ziomkowie, wszyscy zasmuceni, tem bardziéj, że nam Mierosławski słówka jednego nie powiedział o dalszych swoich planach. Dano obiad, do którego zasiadło pięć osób, dwaj Mierosławscy, Chrystowski, Żurkowski i ja. Pożywaliśmy w milczeniu, gdy nagle drzwi się otwierają i wpada Polak ze szlifami pułkownika a w mundurze takim jaki nosili fligiel adjutanci Konstantego; za nim dwóch czy

trzech innych także w mundurach oficerskich fantazyjnych. Pułkownik, którego nazwiska nie pamiętam, odezwał się do Mierosławskiego tonem grzecznym ale stanowczym: „jenerale, dowiedziałem się i z dobrego źródła żeś dał dymisyę, wzywam cię w imie honoru i uczciwości żebyś nam powiedział, czy tak jest. Ja mam żonę i dzieci i miałbyś ciężko na sumieniu, gdybyś mnie wystawił na śmierć jak Mniewskiego, bez użytku ani dla polskiéj ani nawet dla badeńskiéj sprawy.“

Mierosławski zbladł, i po chwili wahania się; „tak jest, rzekł, posłałem dymisyę moją rządowi i wyjeżdżam pierwszym pociągiem, ale proszę was wszystkich nie jedźcie ze mną, bo wszystkich nas razem zatrzymają na drodze Badeńczycy i może rozsiekają, mnie zgubicie a siebie nie ocalicie.“ Pułkownik nie słuchając daléj wyszedł ze swojemi kolegami, skinąwszy zaledwie głową Mierosławskiemu, Poszedłem niedługo potem za jego przykładem. — Wszyscy Polacy będący w Offenburgu zebraliśmy się na naradę i zdecydowaliśmy, że nie zważając na wszystkie samolubne zaklęcia Mierosławskiego, pojedziemy wraz z nim pierwszym pociągiem bo Prusacy wejdą zapewne w nocy do miasta a nie mamy żadnéj przyczyny czekać na nich i poświęcić się dla uchronienia Mierosławskiego od jakiegoś niebezpieczeństwa, które jest wprost tylko w jego imaginacyi. Zgodziliśmy się na to że cokolwiek z sobą pocznie Mierosławski, my udamy się do Freiburga i oddamy się pod rozporządzenie rządu badeńskiego. Tak się też stało, wyjechaliśmy tymże samym pociągiem co Mierosławski, którego widzieliśmy wsiadającego z bratem do Coupé; obydwaj w paletotach i czapkach cywilnych. My wsiedliśmy do innych wagonów, a w Freiburgu wysiedli-

śmy nie troszcząc się już daléj o naszego ex wodza. — Poszedłem tegoż wieczora jeszcze do Heltmana i Krzyżanowskiego, opowiedziałem im wszystko co zaszło i oświadczyłem, że podług postanowienia powziętego na zgromadzeniu Polaków w Offenburgu poddajemy się wszyscy pod rozkazy rządu tymczasowego badeńskiego.

Nazajutrz rano wchodzi do mnie Krzyżanowski z miną zasępioną i powiada mi: Dobrze że choć pan tu zostałeś. — Choć ja! zawołałem, przecież jest tu nas więcéj Polaków. — To nie wiesz pan co się stało, zapytał mnie. — Nic nie wiem, odpowiedziałem. — „Zaszedł tu opłakany wypadek, rzekł Krzyżanowski, Mierosławskiego poznał jakiś dozórca na Banhofie tutejszym, a naczelnik Banhofu zaaresztował go myśląc że ucieka, a może i z kasą. Dymisya, którą mu Mierosławski pokazał, nie zaspokoiła go, odwołał się do rządu. Tymczasem pociąg odjechał i zrobiła się zamieszka na dworcu. Wymyślano na Mierosławskiego, nazywano go zdrajcą, nareszcie przyszedł rozkaz od rządu, żeby go wolno puścić, musiał jednak czekać na następny pociąg. Z tego czasu korzystał brat jego, ażeby wyszukać Polaków, opowiedział wszystkim, snać z przesadą niebezpieczeństwo w jakiem się brat jego znajdował, zapewniał, że kontr-rewolucya gotuje się w Freiburgu; że Niemcy chcą na Polaków złożyć winę rewolucyi i wydać ich Prusakom, że przeto nic im nie pozostaje do czynienia jak zabrać się z bratem jego do Szwajcaryi. Wszyscy usłuchali go i wyjechali z nimi jednym pociągiem, a co najgorsza, młodzież kompanii polskiéj, zabrała z sobą broń, którą na granicy Szwajcarom wydać musiała. — Wysiadając tam rozpowiadali ci młodzi ludzie głośno plotki, jakie słyszeli od Adama Mie-

rosławskiego; raport o tém przyszedł do rządu i członkowie jego chcieli manifest przeciw postępowaniu Polaków ogłosić w gazecie tutejszéj — ledwo ich od tego wstrzymałem. Dziś ma być rada wojenna, na którą ja i Heltman jesteśmy wezwani — przyjdź tam pan wraz z nami — jako świadek naoczny weźmiesz obronę honoru polskiego.“

Przyrzekłem to uczynić. Byłem na téj radzie — okropne były ze wszystkich względów oskarzenia na Mierosławskiego. Sybel, minister wojny i organizator całego powstania, wziął nas trzech Polaków na stronę i rzekł nam: Nie chcę głośno oskarzać Mierosławskiego, ale wam, ziomkom jego, powiem szczerze, że on wszystko zdezorganizował, co ja uorganizowałem; wprowadził anarchię, nieład, chaos wszędzie — żadnego rachunku nie składał z przesyłanych mu funduszów — w całym ciągu téj blisko trzymiesięcznéj kampanii żadnego ruchu strategicznego, to jest mającego jakąś zasadę, jakieś wyrachowanie, jakiś cel, nie wykonał — zmarnował tylko wszystkie siły, któreśmy mu powierzyli, a miał 10,000 regularnego wojska i 10,000 nowego dobrze uzbrojonego. Teraz postawił nas w takiem położeniu, że wszyscy obecni na téj radzie musimy uchodzić i zostawić kraj na łaskę i niełaskę Prusaków.

Nie widziałem sposobu bronienia Mierosławskiego — broniłem tylko młodzież polską, która obowiązek swój przynajmniéj pod Rastadtem świetnie wypełniła. Wychodząc z téj rady, przypomniałem Heltmanowi zdanie jakie mi wypowiedział o Mierosławskim w Bad-Badenie. Któż się mógł tego spodziewać, odpowiedział mi smutnie — i w rzeczy sa-

méj Mierosławski złudził wszystkich, którzy sądzą, że kto zdolnym jest krytykować działania wodzów, jest tem samem zdolnym dowodzić wojskami, a takich jest bardzo wielu. Mówiłem już wyżéj, że Mierosławskiemu, obznajomionemu z prawidłami strategii, brak było nietylko praktyki sztuki wojskowéj, ale nawet fundamentalnych wiadomości, potrzebnych oficerowi — że nawet temperament jego nie był wojskowym a tem mniéj rycerskim. W Badeńskiem przekonałem się dowodnie, że odwaga jego miała jedyne źródło w jego ambicyi i w próżności; dla tego też wystarczała na krótką chwilę tylko. Mógł podjechać pod armaty nieprzyjacielskie, wyprowadzić tyralierów, może i kolumny ścisłe w najgęstszy ogień karabinowy, ale w tym ogniu długo wytrzymać nie mógł — wnet się cofał na bezpieczne miejsce, choćby ztamtąd trudno mu było dojrzeć co się dzieje na przednich liniach, jak to uczynił pod Rastadtem. Odwaga ciągła, we wszystkich okolicznościach, we wszystkich chwilach życia, odwaga wojskowa i cywilna zarazem była cnotą zupełnie mu obcą. W Badeńskiem okazał się może niższym od zwyczajnego poziomu swojego talentu i charakteru, a to z podwójnéj przyczyny, raz, że go badeńska sprawa bynajmniéj nie obchodziła — drugi raz, że strach przed zemstą pruską wszystkie siły jego paraliżował i charakter jego w chwilach groźnych poniżał do takiego stopnia, żem się wstydził za niego. Wiedział on bowiem dobrze, że sprzeniewierzywszy się przyrzeczeniu pod słowem honoru podpisanemu przez niego przy kapitulacyi w 1848 roku, iż na Prusaków nigdy broni nie podniesie, musiałby głowę schylić pod najsroższemi obelgami gdyby wpadł w ich ręce, nie licząc tego, że byłby w dodatku niechybnie rozstrzelanym lub powieszonym. Jak mógł w ta-

kich okolicznościach podjąć się dowództwa nad zbuntowanem wojskiem badeńskiem? to chyba tem jednem wytłómaczyć można przy zwykłéj jego lekkomyślności, że się nie spodziewał mieć z Prusakami do czynienia. Bądź co bądź, strach ten, towarzyszący mu jak cień nieodstępny gdy hetmanił na czele 20,000 wojska, był karą za jego niesłychaną próżność.

XVI.

Sprawa badeńska zakończyła się na radzie wojennéj, o któréj wspomniałem. Wszyscy obecni uznali, że dłużéj prowadzić walkę jest niepodobieństwem. Mogłem więc już bez skrupułu wyjechać z Badeńskiego. Dla formy zażądałem dymisyi od ministra wojny Sybla, który przysłał mi był patent na kapitana badeńskiego i udałem się do Bernu. W Szwajcaryi trzeba mi było przesiedzieć około trzech tygodni, ażeby doczekać się tam przesyłki funduszów z kraju, mając zamiar jechać do Węgier przez Turcyą. Zabawiłem tydzień w Bernie. Na wstępie, zaszedłszy na obiad do restauracyi w hotelu gdziem stanął, słyszę przy stole ogólnym rozmowę o Mierosławskim, którego Szwajcarzy nazywali „der general Miroluski,“ siedział między nimi człowiek jeden, wysoki, gruby, osiwiały, ślepy na jedno oko a drugie błyszczało złośliwością mefistofelesowską. Ten odezwał się po francusku z akcentem wszakże cudzoziemskim: „Ech! jenerał ci to wątpliwy, ale czem on jest niezaprzeczenie, to grabarzem rewolucyów. Już trzecią pogrzebał, jak będzie ich pięć, trzeba będzie to krzy-

żykiem naznaczyć.“ Zaciekawił mnie ten jegomość, starałem się wywiedzieć kto on jest i powiedziano mi w biurze hotelowem, że to osławiony Adam Gurowski.

Pod Bernem w ładnéj willi mieszkała spokrewniona ze mną rodzina jenerała Józefa Szymanowskiego, który przebywał w Rzymie i był w wysokich łaskach u Ojca św. Piusa IX. Odwiedzałem codziennie prawie, w ciągu krótkiego pobytu mojego w Bernie, tę zacną rodzinę, znajdując u niéj serdeczne, prawdziwie familijne przyjęcie, tak miłe na obcéj ziemi jak cień palm i zdrój ożywczy w oazie dla Araba błąkającego się na pustyni; tylko w oazie pani Szymanowskiéj zamieszkiwało nieszczęście — jedna z jéj córek była obłąkana. Wyobraziła sobie, że przyjmując na siebie pokutę za ojczyznę, odwróci od niéj plagi jakie Bóg na nią zesłał. Nie przestając na modłach i postach, zadawała sobie dziwne pokuty, n. p. zgrzytała po całych dniach zębami do Najświętszéj Panny. Gdym był w Bernie żadnego pożywienia brać nie chciała i nie można było tego jéj postanowienia przełamać, trzeba było dla pokrzepienia trochę jéj sił kąpać ją w bulionie. Nie mogło to jednak długo utrzymać jéj życia, wkrótce po wyjeździe moim z Berna umarła biedna obłąkana zagłodziwszy się.

Z Berna udałem się do Genewy, gdzie zastałem mnóstwo przyjezdnych Polaków emigrantów, między innymi Józefa Sobolewskiego, do którego miałem, jak to już wyżéj nadmieniłem, list polecający od księcia Czartoryskiego. Największa część tych gości w Genewie zgromadzała się w willi zamieszkałéj przez państwo Nakwaskich, którzy przyjmowali rodaków z prawdziwie staropolską gościnnością. P. Henryk Nakwaski, poseł na sejm 1831 roku, był najczystszym typem Warszawianina. Najlepiéj go zcha-

rakteryzowała dawna jedna piękność warszawska, która chlubne polskie nazwisko Chodkiewiczowéj zamieniła na nazwisko moskiewskie Galicynowéj. Widząc go wchodzącego do jéj salonu, gdzieś u wód nad Renem, po wielu latach niewidzenia, wykrzyknęła: Ach! zdaje mi się, że widzę samego króla Zygmunta schodzącego ze swojéj kolumny! W rzeczy saméj Henryk Nakwaski, żywy, ruchliwy, gadatliwy, wesoły, uprzejmy, gościnny, miał w swojem obejściu, akcencie, wyrażeniach, sposobie widzenia rzeczy i ludzi, cechę właściwą wyłącznie Warszawianom i nie było wielką przesadą widzieć w nim na obczyźnie symbol żywy téj kochanéj stolicy naszéj tak jak król Zygmunt jest jéj symbolem kamiennym.

Pani Nakwaska, z domu Potocka, dawniéj piękność pierwszorzędna, była w późniejszym wieku jedną z najzacniejszych matron polskich, u któréj wysoki rozum, wszystkie cnoty domowe i serce szczeropolskie łączyły się z najwytworniejszem obejściem i salonowym dowcipem*). W domu państwa Nakwaskich byłem jak między krewnymi, bo rodzina moja macierzyńska pochodziła z tejże saméj Płockiéj ziemi i zaprzyjaźniona z Nakwaskimi od kilku pokoleń. Dzięki zachodom pana Henryka Nakwaskiego, prezydent kantonu genewskiego, James Fazy, dał mi paszport pod obcem nazwiskiem jako rodowitemu z tego kantonu i z tym paszportem otrzymawszy oczekiwany fundusz puściłem się w drogę przez Turyn do Genui, gdzie zamierzałem wsiąść na statek parowy idący do Konstan-

---

*) Pani Karolina Nakwaska była autorką kilku dzieł, z których najwięcéj upowszechnionem jest: Dwór polski, przewodnik dla gospodyń.

tynopola. W Turynie zatrzymałem się dwa dni; byłem z listem Alex. Walewskiego u posła francuskiego, pana Bois le Comte, ażeby popróbować czy mi się nie uda otrzymać miejsce bezpłatne na statku parowym należącym do rządu i udało mi się. Pan Bois le Comte wyrobił mi w dwadzieścia cztery godzin bezpłatne miejsce pierwszéj klasy na tym statku pomimo mojego szwajcarskiego paszportu. Korzystając z czasu, który mi przeczekać trzeba było w Turynie, odwiedziłem jenerała Chrzanowskiego. Było to już po bitwie pod Novarą, stoczonéj podczas gdy byłem w Badeńskiem czy w Szwajcaryi i zastałem naszego jenerała przybitego tą klęską, lubo nikt na świecie nie przypisywał jéj jego winie. Jemu jednemu zdawało się, że honor jego ucierpiał, że dobra sława, na jaką sobie zarobił w 1831 roku, zaćmiła się pod Novarą. „Wyżéj ja stałem przed tą bitwą, mówił mi, lubo naczelnie wojskiem pierwéj nie dowodziłem, potrzebaż mi było dowodzić Włochami, powszechnie znanymi z tchórzostwa; król i ja byliśmy tam w największym ogniu, ażeby dać przykład wojsku i nic to nie pomogło — żołnierze uciekli, zostawiając na polu bitwy i nas obydwóch i swoich oficerów, których ani słuchać chcieli. Nie ma tu co mówić, czy plan bitwy był zły czy dobry, najlepszyby się z takim żołnierzem nie udał.“

Zwątpienie i zniechęcenie, w jakie popadł Chrzanowski, oddziaływało nawet na jego opinie polityczne. Człowiek ten, wyszły ze szkoły Konstantego, który porządek tak w wojsku jak w całem społeczeństwie widział tylko w tych trzech warunkach: władza jedna — hierarchia — karność, gdy rozmowa nasza przeszła do obecnego stanu Europy, biorąc mnie za republikanina, jakim nigdy nie byłem odnośnie do Polski, czynił mi ustępstwa. Jeżeli w koło

nas, rzekł mi, będą wszędzie republiki, to i my będziemy republiką, zgadzam się na to — lecz jeżeli około nas będą same monarchie, to i my musimy być monarchią. Ach jenerale, odrzekłem, miejmy najprzód Polskę jakąkolwiek a potem zobaczymy co mamy z nią czynić. Mówiliśmy następnie o wojnie węgierskiéj — jenerał nic dobrego o niéj nie wróżył, odradzał mi nawet awanturowania się na teatr walki. Rzeczywiście od kilku tygodni nie dobrze szło Węgrom. Moskale byli już na ich ziemi i nigdzie silnego nie znajdowali oporu. Już byli panami Debreczyna, Szegedyna i zagrażali Pesztowi; z drugiéj strony armia austryacka, wzmocniona dywizyą siedmnastotysięczną Paniutyna, pobiła była Węgrów pod Raab i postępowała naprzód ku twierdzy Komorn. Nie rozpaczałem jednak jeszcze o sprawie węgierskiéj, mając na uwadze że armia austryacka i rosyjska nie wynoszą obiedwie razem podług gazet więcéj nad 160,000 ludzi — węgierska zaś liczyła wprawdzie tylko 130,000, lecz miała w swojem posiadaniu silne fortece i nader obronne pozycye. Powstanie w Polsce na tyłach armii rosyjskiéj mogło więc przeważyć szalę na stronę Węgrów i Polaków. Przedstawiłem to jenerałowi, lecz go nie przekonałem. Powtarzał, że Węgrzy nie będą mieli ani odwagi ani siły opierać się Moskalom — każdy z nas został przy swojem zdaniu — przyznać jednak muszę, że walczyłem z wewnętrznem uczuciem, które przemawiało za Chrzanowskiego sposobem widzenia.

Nazajutrz późnym wieczorem przyjechałem dyliżansem do Genui, bo jeszcze nie było kolei żelaznéj z Turynu do tego pięknego portowego miasta. Przebiegłem jeszcze tegoż wieczora ulice Strada Balbi, Strada Nuova, Strada Nuovissima, ozdobione pałacami z białego marmuru, które

przy świetle księżyca wydawały mi się jakby cudne jakieś dekoracye. Nie znałem nikogo w Genui, ale mi Józef Sobolewski dał był list do jednego swojego protegowanego Polaka z poleceniem ażeby mi służył za przewodnika — tylko na liście nie było wskazanego mieszkania tego Polaka. Nie frasowało mnie to, wiedząc że Sobolewski tak jest znanym w Genui, że do jego domu jak najłatwiéj trafię, i pewny byłem, że tam się o owym Polaku wywiem. Zawiódłem się. Do domu Sobolewskiego zaprowadził mnie wprawdzie faktor hotelu, gdziem wysiadł, ale słudzy Sobolewskiego Włosi, nazwiska owego Polaka nie znali — pytali mnie się jak wygląda a że nie umiałem im tego powiedzieć, musiałem z niczem wrócić do hotelu.

Ten zawód wynagrodziła mi miła bardzo i prawdziwie szczęśliwa niespodzianka. Przemyśliwając nad tem, jak wynaleść protegowanego Sobolewskiego, zawołałem faktora i zapytałem czy nie wie o jakimkolwiek Polaku przebywającym w Genui. Odpowiedział mi: Si, si Signore conosco una familia polacca.

Familia polska! wykrzyknąłem, ale jesteśże pewny, że polska, bo wy tu wszystkie narodowości mięszacie, nawet Piemontczyka gotowiście wziąść za Polaka.

— Nie panie, to polska familia, zaręczyć to mogę, i jeżeli pan chcesz, zaprowadzę go do niéj.

— Prowadź.

Faktor prowadzi mnie do jednego domu na pierwsze piętro, dzwoni. Drzwi nam otwiera pani jakaś nie wielka, szczupła, nie bardzo młoda ale z nader miłą twarzą, czarno-

włosa, czarnooka i z cerą południową. Pewny byłem, że to Hiszpanka, Francuzka południowa, Wołoszka, może nawet Neapolitanka, którą faktor uznał za Polkę i bardzo nieśmiało odzywam się: czy pani Polka?

— A juścić Polka panie, odpowiada.

Uradowany pytam się jéj o Polaka, którego szukam.

Nie potrafię, odpowiada mi, objaśnić pana, ale zawołam męża albo syna, który zapewne będzie mógł mu powiedzieć wszystko czego żądasz, tymczasem zechciéj mi pan wejść do pokoju i wprowadziła mnie do bardzo porządnego salonika, a sama wyszła. Wkrótce wróciła z dorodnym wybujałym, jasnowłosym młodzieńcem, który wypisał na karteczce adres poszukiwanego przezemnie Polaka i te kartkę mi wręczył. W trakcie tego wchodzi do pokoju drugi mężczyzna, stary z siwą głową, ogromnie także wysoki, ale trochę zgarbiony, siada przy mnie na kanapie, i wszczyna rozmowę, do któréj się matka i syn mięszają, ośmieliłem się spytać z kim mam zaszczyt mówić. — Jestem Wiszniewski, odpowiedział mi. — Michał? — Tak jest. — Jakżem szczęśliwy, zawołałem żywo, że mi przypadek pozwolił zrobić znajomość pańską. Istotnie byłem z tego szczęśliwy, bo miałem wielką cześć dla autora monumentalnéj Historyi literatury polskiéj, Charakterów rozumów ludzkich i innych dzieł znakomitych. Przypomniałem sobie wtenczas, żem słyszał, iż Michał Wiszniewski osiadł w Genui i został bankierem, ale zarazem że stroni od współziomków zniechęciwszy się do nich najzupełniéj. — Przedłużyłem więc jeszcze rozmowę, naprowadziłem ją na jego dzieła i spytałem go czy rzeczywiście skruszył pióro swoje na zawsze, jak to powiadają. A czyż to warto pisać

w rodzinnym naszym języku, odrzekł, ażeby rzuciwszy w świat dzieła, które kosztowały długie lata, czasem życie całe mozolnéj i sumiennéj pracy i zawierają w sobie czasem kwintesencyą ogromu przetrawionéj nauki i myśli wypróbowanéj w długich rozwagach — rzuciwszy to w świat, widzieć lada chłystka bez nauki, bez talentu wyrokującego w gazetach o téj pracy tonem profesora, który ma przed sobą ćwiczenie studenta, i widzieć publiczność czerpiącą sąd swój w takich wyrokach. — Och biedne jest, panie, u nas rzemiosło pisarza, dobrze robisz że się do niego nie bierzesz; wszędzie daje chleb, przynosi poważanie, prowadzi częstokroć do dostojeństw i do władzy; u nas pisarz z głodu by umarł, gdyby nie miał innego zrzodła dochodu, a pod względem poważania najwyższy honor jaki go spotkać może, jest być zaproszonym na święcone do wielkiego pana z tłumem różnobarwnéj publiczności. Prawdziwego, ogólnego poważania nikt się u nas nie dorobi nauką i piórem.

Zaprzeczałem temu jak najżywiéj.

Nie mówię tego o Warszawie — ciągnął daléj — ale o Krakowie i mówię to panu z własnego doświadczenia. W 1846 r. miałem to złudzenie żem sobie pracą zarobił na poważanie młodzieży i usiłowałem wstrzymać ją od szalonego powstania, które kraj cały mogło wepchnąć w otchłań; otóż o mało mnie kijami nie wytłukli a wszyscy poszli za Tysowskim, o którym pierwej nikt nie słyszał w Krakowie. Wyjechałem zaraz z kraju, otrząsłszy pył z nóg moich. Świeżo spadła była na mnie dosyć znaczna sukcesya, którą jużem był spieniężył. Z tym kapitałem wyniosłem się do Genui, gdzie z profesora i pisarza zrobiłem się bankierem.

Tu zwrócił rozmowę do Genui, zapytał mnie czy nie mam chęci zwiedzić pięknych pałaców tamtejszych i ofiarował mi się za Cicerone zrobiwszy mi uwagę, że parostatek odpływa dopiero za cztery dni co mi daje trzy dni czasu do zwiedzenia osobliwości miasta. Oczywiście przyjąłem tę ofiarę z największą wdzięcznością. Wiszniewski zaprosił mnie na obiad na dzień następny i przyrzekł po obiedzie zacząć ze mną przegląd pałaców.

Obiad Wiszniewskiego był nową niespodzianką — dano barszcz z uszkami, zrazy, pierożki, wszystko przyrządzone przez panią Wiszniewską. W Genui było to osobliwością, wprawdzie innego rodzaju niż pałace marmurowe, miłą jednak dla mnie. Michał Wiszniewski był w doskonałym humorze, przyczem pokazało się, że pesymizm jego w poglądach na Polskę nie był tak czarnym, jakim mi się dnia poprzedniego okazał, lub też odnosił się wyłącznie do losu literatów w naszym kraju. Mówiliśmy o bitwie pod Nowarą i spełzłych usiłowaniach Włochów, ażeby odebrać Austryakom Medyolan i Wenecyę. — Trochę lepiéj pono — odezwałem się — biliśmy się w 1831 r. nie chwaląc się zbytecznie. — Ha! wykrzyknął Wiszniewski, gdyby Włosi mieli szlachtę taką jak Polska, przy środkach jakie posiadają to nie byłoby już oddawna Austryaków na ich ziemi. — Myślałem że mówi to z ironią — odgadł moją myśl. — Mówię to szczerze, rzekł. — Przejedź pan świat a nie znajdziesz nigdzie kasty tak poświęconéj dla ojczyzny, tak walecznéj a przytem tak rozmnożonéj jak szlachta polska. I rozgadał się o szlachcie naszéj con amore na ton Henryka Rzewuskiego. W końcu szepnął mi, jakby wyznanie wydzierające mu się z serca. „Nie bierz tego ad litteram com mówił, żem pióro moje na

zawsze skruszył, mam jeszcze na myśli skreślić obrazki szlachty naszéj, znajdziecie to po śmierci mojéj.*)

Podług przyrzeczenia oprowadził mnie autor historyi literatury naszéj po Genui i nie skończyło się na jednym razie. Nazajutrz i trzeciego dnia pokazywał mi daléj wszystko co godne widzenia w tem mieście — najpiękniejsze pałace, kościół katedralny zbudowany ze sztuk czarnego i białego marmuru na przemian, port, Ville na spadku Apeninów, skały z czarnego marmuru sterczące nad morzem za portem. Nie będę tego wszystkiego opisywał, lecz przytoczę słowa, z jakiemi się odezwał do mnie, gdyśmy oglądali pałac Brignolles-Salle, najpiękniejszy ze wszystkich w Genui. Główny pokój jest tam cały niepokalanéj białości jakby świątynia niewinności. Ściany, sufit, posadzka, dwa ogromne kominy, jeden naprzeciw drugiego stojące i cudnie rzeźbione, wszystko jest z białego marmuru bez jednéj żyłki odmiennéj. Nad kominami są zwierciadła weneckie, z dwóch stron portrety w całéj wielkości członków rodziny Brignolles-Salle w XVI wieku pędzla Rubensa i Van Dyck'a, którzy przebywali jeden po drugim czas jakiś w Genui i malowali portrety wszystkich ówczesnych patrycyuszów tego miasta — ale co najwięcéj zadziwia w tym pokoju zwykłych śmiertelników, to posadzka, w któréj nie widać śladu złączeń między składającymi ją płytami białego marmuru; zdaje się być cała z jednéj sztuki, podobna do rozlanego mleka.

„No i cóż panie — zawołał Michał Wiszniewski — jest to trochę inaczéj jak w naszych polskich pałacach,

*) Nic jednak podobnego o ile wiem nie zostało po nim. Wdał się w wielkie przedsięwzięcia dróg żelaznych, w których majątek jego przepadł i nie miał czasu oddawać się literaturze.

a cóżby powiedział nasz Szlachcic wiejski, gdyby go tu wprowadzono; jakżeby się przewróciły wszystkie jego wyobrażenia o wykwintności i przepychu w mieszkaniach“ — i śmiał się serdecznie zacny nasz uczony, bo i on, czy był luminarzem uniwersytetu Jagiellońskiego czy bankierem w Genui, nigdy nie przestał być szlachcicem pod skórą.

W ten miły sposób zeszło mi trzy dni w Genui. Czwartego dnia parostatek odpływał do Konstantynopola. Rankiem pożegnałem się z Michałem Wiszniewskim i jego rodziną. Wszyscy oni wstrzymywali mnie przez te trzy dni od mojéj zamierzonéj wyprawy, ale odpowiadałem, że to dla mnie kwestya honoru, gdyż z wielu względów byłem ze sprawą węgierską związany. Nie mogąc zbić téj racyi, pobłogosławili mnie, stary Wiszniewski i jego żona na drogę.

Przed godziną naznaczoną na wyjazd statku byłem w porcie z moim skromnym tłomoczkiem i przechadzałem się w towarzystwie protegowanego Sobolewskiego, który stósownie do danego mu polecenia starał się być mi użytecznym — czekałem już tylko na głos dzwonka na statku, gdy w tem spostrzegam Wiszniewskiego syna, biegnącego do portu co mu tchu stało i powiewającego chustką z daleka. Pobiegłem naprzeciw niego. „Nie masz pan czego jechać do Węgier, zawołał, wszystko tam już skończone. Oto jest depesza telegraficzna, którą tylko cośmy odebrali, donosząca że 13 Sierpnia pod Villagosz Görgöi z główną armią węgierską poddał się Moskalom.“

Depesza ta położyła ostatecznie koniec nadziejom i marzeniom, które mnie w Październiku poprzedniego roku powiodły do Węgier a następnie z Węgier do Francyi. Lepszaby była kulka moskiewska pod Temeswarem, ale

nie moja wina, jeżeli tam zdążyć nie mogłem. Szczęśliwy byłem przynajmniéj, że mnie zacny Michał Wiszniewski ustrzegł od niepotrzebnéj wałęski do Konstantynopola, i za to zachowałem wdzięczną cześć dla jego pamięci.

Zanim zamknę te wspomnienia, niech mi wolno będzie rzucić wejrzenie na opisaną przezemnie epokę ze stanowiska dzisiejszego, to jest z odległości trzydziestu lat, które nas od niéj przedzielają. Wielki ruch ludów w 1848 r. został na całéj przestrzeni Europy powstrzymany i wszędzie nastąpiła reakcya wroga wszystkim ich dążnościom. We Francyi Napoleon III ujął w rękę władzę prawie absolutną, obróciwszy na swoją korzyść głosowanie powszechne. W Niemczech zakwitł na nowo stan rzeczy z 1815 roku z sejmem frankfurtskim, a ustępstwa, poczynione duchowi wieku w różnych państwach rzeszy, zmieniły się w czczą formę. Austrya wróciła do systemu Metternichowskiego, srodze obostrzonego dla Węgrów, których prawa historyczne pochłonięte zostały w ogólnem zcentralizowaniu wszystkich składowych części monarchii. Włochy widziały się już skazane na wieczne rozszarpanie i pod ręką Austryi, ciążącą na Wenecyi i Medyolanie, Karol Albert — la spada d'Italia — zrozpaczony złożył koronę i pojechał umrzeć w Portugalii, a dawni Carbonari rozpoczęli na nowo swoje spiski podziemne pod kierunkiem Mazziniego i wysyłali na ukoronowanego Carbonaro — Napoleona III — Orsiniego, Pianotego i innych póki mu nie przypomnieli dawniejszych jego przysiąg. — Jednak cóż dzisiaj widzimy? Oto Francya jest znowu rzecz-

pospolitą i osadzoną podobno na silnym gruncie; Niemcy są zjednoczone i choć na pozór konstytucyjne; Włochy także zjednoczone, konstytucyjne i dążące daléj — zbyt zuchwale — do republiki; ludy Austryi mają autonomie i swobody; Węgry uzyskały wszystko czego pragnęły nim zmuszone zostały chwycić za broń — zgoła program 1848 roku jest dziś w najznaczniejszéj części wykonany — nie przez siły rewolucyjne lecz przez samą moc okoliczności. Nie należyż ztąd wnosić że prądy 1848 roku wynikały z pewnych praw historycznych, przeciw którym ani monarchowie, ani żelazni kanclerze, ani stronnictwa trzymające się zapamiętale przeszłości, ani nawet bagnety nic nie mogą — bo te prawa rządzą ludzkością a nie pojedyńczy ludzie, nie koterye, nie bagnety — i możemy wierzyć, że program 1848 roku będzie z czasem w całości logicznie i konsekwentnie spełniony, to jest że sprawa polska, która w nim pierwsze zajmowała miejsce, będzie rozstrzygniętą podług sprawiedliwości — cywilizacyi i ogólnego interesu Europy — bo jak powiedział bardzo rozumnie arcyksiążę Jan: „Przywrócenie Polski jest rzeczą konieczną, a co jest koniecznem to stać się musi.“

KONIEC.



